

Romuald Romański  
Wojny kozackie

przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury  
Romuald Romański  
Wojny kozackie

-

i

DOM WYDAWNICZY PBELLONA Warszawa  
Ilustracja na okładce: Zdzisław Byczek  
Redaktor merytoryczny: Grażyna Szaraniec  
Redaktor prowadzący: Kornelia Kompanowska  
Redaktor techniczny: Beata Jankowska  
Korekta: Zespół

moi

) Copyright by Romuald Romański, Warszawa 2005  
) Copyright by Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa  
2005

Dom Wydawniczy Bellona  
prowadzi sprzedaż wysyłkową swoich książek za  
zaliczeniem  
pocztowym z 20-procentowym rabatem od ceny  
detalicznej.

Nasz adres: Dom Wydawniczy Bellona  
ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa  
Dział Wysyłki tel. (22) 45 70 306, 652 27 01  
fax (22) 620 42 71

e-mail: [biuro@bellona.pl](mailto:biuro@bellona.pl)

Internet: <http://www.bellona.pl>

[www.ksiegarnia.bellona.pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)

ISBN 83-11-10174-4

?>^| 05

Wstęp

0 wojnach kozackich za Chmielnickiego (choć chyba  
słuszniej byłoby je nazywać  
wojnami polsko-ukraińskimi) niby się w Polsce  
pamięta, ale odnoszę wrażenie, że

raczej marginalizuje się ich znaczenie dla naszego państwa jako całości, a i dla Ukrainy również. Bardzo niesłusznie, bowiem rok 1648 stanowi wyraźną cezurę w naszych dziejach. Do tego czasu cieszyliśmy się na ogół dobrą, a przynajmniej niezłą koniunkturą i polityczną, i gospodarczą. Nie wykorzystywaliśmy wszystkich możliwości, to prawda, ale i tak rośliśmy w siłę, stawaliśmy się mocarstwem politycznym i militarnym, a wszystko to działo się, prawdę mówiąc, jakoś tak mimochodem, bez większego wysiłku, a czasem nawet jakby wbrew własnym chęciom. Gmach, zwany Rzeczpospolitą, stał krzepko i nawet piękniał, tak że zarówno mieszkańcom, jak i sąsiadom mogło się wydawać, że to budowla, która przetrwa wieki.

I oto w roku 1648 wszystko się zmieniło! Nagle okazało się, że gmach stoi wprawdzie na wzgórzu, ale na bardzo niepewnym gruncie. Dopóki panowała dobra pogoda, wszystko było w porządku; fundamenty jakoś wytrzymywały. Gdy jednak niespodziewanie rozpętała się gwałtowna burza z piorunami i ulewnymi deszczami, masy ziemi zaczęły powoli osuwać się w dół, pociągając za sobą całą konstrukcję. Spadek był bardzo powolny, to prawda, bo ostatecznie wszystko runęło dopiero pod koniec XVIII wieku, ale proces erozji, rozpoczęty w 1648 roku, trwał cały czas, systematycznie i z nieubłaganą konsekwencją nadwerężając fundamenty Rzeczpospolitej.

Wiadomo oczywiście, że wszystko zaczęło się wcześniej, że symptomy tej erozji w

postaci błędów i wad ustroju politycznego, finansowego, społecznego, a także religijnego, pojawiały się o wiele wcześniej. Ale wszystkie one z całą siłą dały o sobie znać dopiero w wyniku wielkiej, dramatycznej burzy 1648 roku. Dopiero to, co wydarzyło się pod Żółtymi Wodami, Korsuniem, a zwłaszcza pod Piławcami, ujawniło bliższym i dalszym sąsiadom, że Rzeczpospolita może być smacznym i całkiem łatwym

5

do zjedzenia kąskiem, a w polityce międzynarodowej (wewnętrznej zresztą też) obowiązuje prawo dżungli - albo zjadasz, albo jesteś zjadany.

Jak pokazał czas, w tym konflikcie ?? był0 zwycięzców: ostatecznie „zjedzona” została i Rzeczpospolita, i Ukraina. W 1648 roku dla Rzeczpospolitej skończyła się „złota polska jesień” i rozpoczęła jesienna szaruga, po której nadeszła iście syberyjska zima. Dosłownie i w przenośni. Tyle że Ukraina na tym nie skorzystała. Wręcz przeciwnie, zapłaciła cenę jeszcze wyższą- cenę morza na darm0 przelanej krwi, dziesiątków tysięcy pognanych w tatarski jasyr i olbrzymich obszarów celowo zamienionych w pustynię. Okupiła tę naukę ruiną własnych marzeń i planów, zamiast których otrzymała carski knut i politykę wynaradawiania, bo w XVII wieku, mimo wspólnych korzeni i wspólnej religii, naród ukraiński i naród rosyjski to były już dwa odrębne narody i tak też, mimo setek lat indoktrynacji, pozostało do dziś. Kto był temu winien? Na to pytanie

staralem się już odpowiedzieć w opracowaniu pt. Kozaczyzna, które było swego rodzaju wstępem do niniejszej trylogii. Na trylogię zdecydowałem się, gdy - wbrew początkowym zamierzeniom - postanowiłem opis wojen kozackich (ukraińskich) podzielić na trzy części, tak jak i same wojny można, moim zdaniem, podzielić na trzy wyraźne okresy: okres pierwszy obejmuje rok 1648, czyli rok totalnej klęski Rzeczypospolitej (gdybyśmy oceniali historię z punktu widzenia Ukrainy, byłby to oczywiście rok zwycięstwa, bo zawsze klęska jednej strony oznacza sukces drugiej).

Okres kolejny to lata 1649-1651, czyli czas równowagi. Wielu historyków uważa, że zakończył się on spektakularnym polskim zwycięstwem pod Beresteczkiem, podczas gdy naprawdę jego zakończenie nastąpiło pod Białą Cerkwią, gdzie zawarto kolejną ugodę, która niczego nie załatwiła i niczego nie rozstrzygnęła.

No i wreszcie okres trzeci, zakończony w roku 1667. W ruinie legły plany i nadzieje obu stron konfliktu o przyszłość Ukrainy była to również ruina w

dosłownym tego słowa znaczeniu, gdyż rozejm w Andruszowie nie tylko przekreślił,} sens dwudziestoletnich walk o -jak pisze autorka Historii Ukrainy Natal,,

Jakowenko \_\_ p&ń J  
bv ??? również położył kres jedno« • TT1 •  
, .", a ilOLWU ^uzac b  
zeznpostawioną Polsce, i lew0 ' !' dziel^c  
? na prawo-

Na takie też trzy części Pozwolił>e^ która przejęła Rosja. Warkich- Klęska,

przełam i równocześnie sobie Podziehc swój opis wojen  
t?-przyznaję - dość  
nietradycyjna ^??? oraz ????. Mam nadzieję, że tym  
przyjęciem Czytelników.

'interpretacja spotka się z przychyl-

6

Cisza przed burzą

Umilkły działa pod Kumejkami i Borowicą. Pawluk i  
Tomilenko, wraz z innymi

przywódcami, zostali przez własnych podwładnych  
wydani Polakom. Ten niewątpliwie

mało rycerski postępek był dość często

praktykowany przez kozackich powstańców,

którzy w ten sposób pragnęli nieco stępić ostrze

represji ze strony zwycięzców i

uchronić, co się da, a przede wszystkim własne

głowy. Ich akurat przynajmniej

częściowo usprawiedliwia fakt, że Adam Kisiel,

ostatni senator Rzeczypospolitej,

który pozostał wierny wierze prawosławnej, własnym

słowem gwarantował przywódcom

kozackim zachowanie życia. Upokorzona Kozaczyzna

zgodziła się też na postawione

jej niezwykle twarde warunki, a akt kapitulacji w

Boro-wicy podpisał ówczesny

pisarz Wojska Zaporoskiego, Bohdan Chmielnicki.

Rychło okazało się, jednak że dla pokonanych nie

ma łaski, a Rzeczypospolita ani

myślała dotrzymywać obietnic danych buntownikom.

Nieudolny wódz kozacki został

więc przewieziony do Warszawy, osadzony i

publicznie ścięty, a jego ciało,

ewentualnym naśladowcom ku przestrodze, podobno

poćwiartowano.

Wbrew oczekiwaniom, surowe represje nie ominęły

pozostałych Kozaków; spadły też

na całą Ukrainę. Problem kozacki, a tym samym i

ukraiński, postanowiono więc

ostatecznie rozwiązać ogniem, mieczem i szubienicą. Na Ukrainie zapanował terror. Wieształ, palił, wbijał na pal i ścinał hetman polny Mikołaj Potocki (miał rację W. Konopczyński twierdząc, że lepszy był z niego poskromiciel niż wódz). W jego ślady szli więksi i mniejsi latyfandyści, a także zwykła szlachta. Do rejestru wzajemnych krzywd i pretensji dodano więc nowe pozycje, zapominając, że terrorem można jedynie podsycić wzajemną nienawiść, nie można natomiast niczego rozwiązać! Kilka wieków później wódz wszechczasów, Napoleon, lapidarnie, ale bardzo słusznie stwierdził, że mieczem niczego nie da się załatwić, niczego zbudować. Politykę terroru aprobował wiosenny sejm 1638 roku. Za radą Koniecpolskiego, uchodzącego za głównego eksperta w sprawach ukraiń-

7

skich, postanowiono ograniczyć rejestr kozacki do 6000 żołnierzy, oddając ich pod dowództwo nakaźnych (a więc niewybranych przez członków bractwa) komisarzy i oficerów-szlachciców. Kozacy mogli dosłużyć się co najwyżej stopnia setnika (takim setnikiem w pułku czechryńskim został Bohdan Chmielnicki, pozbawiony decyzją władz godności pisarza Wojska Zaporoskiego, mimo że nigdy wcześniej nie występował przeciwko Rzeczypospolitej). Uchwała tegoż sejmu wyraźnie grzmi surmami triumfalnymi i dyszy zemstą: „A gdy za zdarzeniem boskim, jako wszystkich wojsk zastępów pana, pogromiwszy je i poraziwszy (zbuntowanych Kozaków -przyp. autora), od Rzeczypospolitej nad nią

wiszące niebezpieczeństwo odwrócone zostało, wszelkie tedy ich prawa, starszeństwa, prerogatywy, dochody i inne godności przez wierne posługi ich od przodków naszych nabyte, a teraz przez tę rebelię stracone, na wieczne czasy im odejmujemy, chcąc mieć tych, których losy wojny pozostawiły wśród żywych, w chłopcy obrócone pospólstwo".

Był to jedyny program, jaki Rzeczpospolita zaproponowała pokonanym - zepchnięcie ich z pozycji zawodowych żołnierzy, uważających się - i na ogół uważanych - za „szlachtę niższej kategorii”, do roli zwykłych poddanych; w praktyce w miastach królewskich byli to po części mieszczanie, ale większość z nich została zdeklasowana do rangi chłopów pańszczyźnianych! Czy istniało inne wyjście, inne, lepsze rozwiązanie? Oczywiście, tak! Po stłumieniu powstania (a dokładniej mówiąc, serii ostatnich powstań) należało usiąść do stołu rokowań i znaleźć rozwiązanie satysfakcjonujące wszystkie strony konfliktu, a tym samym - trwale. Do „okrągłego stołu” powinni byli zasiąść: przedstawiciele Kozaków - zarówno tych wiernych do tej pory Rzeczpospolitej (yide: wspomniany Chmielnicki), jak i tych, „których losy wojny pozostawiły wśród żywych” (a było ich wcale niemało), przedstawiciele jeszcze niespolonizowanej szlachty ukraińskiej (ich też wciąż było sporo) i mieszczan, którzy w XVI- i XVII-wiecznej Ukrainie odgrywali znaczącą rolę, przedstawiciele hierarchii prawosławnej i unickiej oraz szlachty i magnaterii polskiej (lub już

doszczętnie spolonizowanej), no i oczywiście warszawscy „statyści”, z kanclerzem Jerzym Ossolińskim na czele. Łatwo zauważyć, że wśród stron nie wymieniam chłopów ukraińskich, czyli elementu dość znaczącego w trakcie powstań. Nie jest to jednak przeoczenie, gdyż w XVII-wiecz-

8  
nej Rzeczpospolitej, podobnie zresztą jak i w innych państwach ówczesnej Europy, chłopów nikt nie uważał za partnerów do jakichkolwiek rozmów politycznych! Byli oni wówczas traktowani jako zwykłe „mięso armatnie”. Chłopi tak czy inaczej musieliby więc zaakceptować takie rozwiązanie, na jakie zgodziliby się reprezentujący ich duchowni prawosławni i Kozacy. Gdyby zatem takie gremium zwołano, być może udałoby się znaleźć sposób, by rozwiązać ten węzeł gordyjski, jakim stała się XVII-wieczna Ukraina, bo rozcinanie go mieczem okazało się nieskuteczne (cóż, Aleksander Macedoński był tylko jeden i nikomu nie udało się go skutecznie naśladować, a i on nie wszystko rozcinał mieczem - wszak próbował scalić w jeden naród pokonanych Persów ze zwycięskimi Macedończykami i Grekami metodami jak najbardziej pokojowymi, by nie rzec - romantycznymi, żeniąc arystokratki pokonanych Persów ze swoimi wiarusami). Może wówczas udałoby się wreszcie zmienić nieadekwatny do rzeczywistości status Rzeczpospolitej, tworząc z niej państwo nie Dwojga, a Trojga Narodów? Henryk Sienkiewicz przypisał księciu Jeremiemu Wiśniowieckiemu autorstwo zdania:



„Pokonanym łaskę okażcie, to jaż wdzięczności przyjmę, bo u zwycięzców w pogardę pójdziecie”. Książę wypowiedział je ponoć po rozgromieniu wojsk koronnych, gdy będąca wówczas na kolanach Rzeczpospolita próbowała rozmawiać z Kozakami. Szkoda, że myśl ta nie przyszła mu do głowy wtedy, gdy to Kozaczyzna leżała u stóp Rzeczpospolitej! To była przecież właśnie ta chwila, gdy należało okazać łaskę!

Zmiana statusu państwa była w tym momencie niezbędna (oczywiście, jeśli myślało się o sensownym ułożeniu współżycia z Ukraińcami--Rusinami), przede wszystkim dlatego, że po wiekach niezawinionego marazmu społecznego i politycznego Ukraina-Ruś zaczęła się odradzać. W ogniu polemicznych walk między przedstawicielami obu Kościołów -unickiego i prawosławnego - odradzało się poczucie odrębności narodowej, a na tym tle - poczucie krzywdy narodowej. Już w 1609 roku lwowscy mieszczanie zwrócili się do króla z supliką, w której znalazły się znamienne zdania: „Uciemienieni jesteśmy my, naród ruski, przez naród polski, jarzmem cięższym niż niewola egipska, gdzie choć bez miecza, ale gorzej niż mieczem, z potomstwem naszym gubią, zabroniwszy nam zysków i rzemiosł (...), z czego tylko człowiek żyć by mógł, tego nie może

9

Rusin na rodzanej ziemi swojej Ruskiej używać, w tym to ruskim Lwowie”. A w 1623 roku wtórował im poseł na sejm, szlachcic Ławrentij Drewynski, który w swej

suplikacji podkreśla, że „Rzeczpospolita zamieszkuje trzy narody: Polski, Litewski i Ruski”<sup>1</sup>.

Pewnych faktów, oczywiście, cofnąć już nie można było - chociażby tej nieszczęsnej unii, która, zamiast łączyć, podzieliła Ukrainę i stała się przyczyną nie tylko ostrych polemik, ale również krwawych starć - należało jednak ratować to, co było jeszcze możliwe do uratowania i, wychodząc naprzeciw aspiracjom Rusinów, zaakceptować ich odrębność narodową i religijną. Mało tego, należało tej odrębności nadać trwałe, prawne formy na wzór tych, które uzyskali dla siebie Litwini, a zatem ustanowić odrębny skarb, powołać odrębne urzędy kanclerzy, hetmanów, wojsko itp. Szczególnie ważną kwestią było powołanie odrębnego wojska, takiego, jakie istniało na Litwie i w Koronie, gdyż w sytuacji utrwalającego się poczucia odrębności narodowej, stacjonowanie na ziemiach ukraińskich oddziałów koronnych było odbierane jako przejaw okupacyjnych, hegemonistycznych dążeń Polaków. Już wkrótce zarówno Kozacy, jak i wspierający ich Rusini-Ukraińcy mieli z uporem i konsekwentnie żądać wytyczenia linii granicznej, której oddziałom koronnym nie wolno będzie przekraczać. Krótko mówiąc, należało Ukrainie nadać status trzeciego, autonomicznego członka w ramach Rzeczpospolitej. Prawdę powiedziawszy, był to już ostatni moment, kiedy jeszcze można było skutecznie i trwale przeprowadzić taką operację. Czy byłaby to operacja łatwa?

Na pewno nie. Wręcz przeciwnie, istniało kilka trudnych do rozwiązania problemów, jak chociażby określenie statusu prawnego samej Kozaczyzny, unikatowej na światową skalę organizacji „pirackiej”, która nijak nie mieściła się w strukturach państwa (problem ten zauważali nawet ???-wieczni historycy ukraińscy!). Ale po to, by znaleźli odpowiednie rozwiązanie, państwo ma przecież swoich „statystów”, czyli mężów stanu, a Polska tej doby miała ich podobno aż dwóch, i to wybitnych, czyli króla Władysława IV i kanclerza Jerzego Ossolińskiego.

1 Zarówno cytaty, jak i ta informacja pochodzą z książki N. Jakowenko pt.

Historia Ukrainy do końca XVIII wieku (Lublin 2000, s. 175 i 178), wydanej dzięki finansowemu wsparciu Fundacji z Brzezina Lanckorońskich i Komitetu Badań Naukowych Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

10

Gremium jednak nie zwołano ani rozwiązań żadnych nie poszukano, gdyż ci, od których to zależało, nie byli tym zainteresowani. Magnateria i większość bogatej szlachty była albo pochodzenia polskiego, albo się dokumentnie spolonizowała i istniejący stan rzeczy zupełnie ją zadowalał. A Kozacy... Kozacy byli stroną przegraną i żądań stawiać nie mogli, zwłaszcza że, jak pamiętamy, już wcześniej traktowano ich jak paznokcie i włosy, które też są żywe i potrzebne ciału, ale „gdy zbyt wyrosną, jedne ciążą głowie, drugie

przykro ranią, oboje trzeba częściej przycinać"2 (jak to metaforycznie wyjaśniono posłom kozackim na sejmie konwokacyjnym po śmierci Zygmunta III).

Otwarte pozostaje zresztą pytanie, czy Kozaków stać było w latach 1637-1638 na zaproponowanie spójnego programu reform państwowych. Przecież, mimo wszystkich zmian, jakie zaszły w łonie Kozaczyzny, była to „elita z przypadku, z awansu społecznego”.

Nie poszukano więc rozwiązań politycznych; zachłysłnięto się sukcesem i uwierzono, że siłą i represjami można problem ukraiński rozwiązać. A co najistotniejsze, przez czas dość długi, bo aż przez 10 lat, większość - jakbyśmy dziś powiedzieli - decydentów żyła w błogim przeświadczeniu, że jest to program sensowny i, co najważniejsze, skuteczny. Że tym razem powiedzie się likwidacja bractwa kozackiego i wtłoczenie jego członków w strukturę społeczeństwa feudalnego na pozycji ni to mieszczan, ni to chłopów pańszczyźnianych. Podobno jedynie sami zainteresowani, czyli Kozacy, nie mieli złudzeń i krążyło wśród nich powiedzenie: „Lachy wsadzili nas do mieszka, ale zapomnieli go zawiązać...”.

Na Ukrainie zapanował spokój. Kanclerz litewski, Albrycht Radziwiłł, tak to skomentował w swych pamiętnikach: „W Polsce nastał spokój z Kozakami... Wbito im w głowy tę bojaźń, by nie wynosili się ponad swój stan służebny i nie knuli coraz większych zbrodni”3.

Tych dziesięć lat spokoju to zupełnie wyjątkowy okres w dziejach Ukrainy, już

przez współczesnych nazywany okresem „złotego pokoju”.

2 Takiej odpowiedzi udzielił w 1632 roku sejm konwokacyjny posłom kozackim, żądającym przyznania Kozakom prawa do udziału w elekcji króla. Cytuję [za:] A. S. Radziwiłł, Pamiętnik o dziejach w Polsce, t. 1, 1632-1636, Warszawa 1980, s. 135.

3 A. S. Radziwiłł, op. cit, t. 2, s. 103.

11

. Oż dla całej Rzeczpospoli-To był zresztą okres pokoju i prosperity równi !łZachodnią ścianą”, szatej. Ale w tym samym czasie w Europie, tuż z<\*> żą skalę konflikt w dzje lała wojna trzydziestoletnia, pierwszy na tak d Jach naszego kontynentu.

^tu dla biorących w nim

Trudno dokładnie ocenić skutki tego konfliktu bezpośrednio toczyły udział krajów, zwłaszcza tych, na terenie ?><? ^ to starcia prowadzone się działania zbrojne.

Jedno jest pewne - nie to^ bezpiecznie przygląd według reguł rycerskich pojedynków, którym if • wśród pobliskich drzew> dać się ludność cywilna, chroniąca się co najwy^ przypadkiem po głowie, a to po to, żeby lepiej widzieć, a nie oberwa<^x\_wiecznych kryteriów Może nie była to jeszcze wojna totalna

według^ gdy zaczęja się wojna ale... Na początku XVII wieku, a zatem wte^'okolo

4 mln mieszkań. trzydziestoletnia, kraje Korony Czeskiej liczy ' pozostało ich

już ^1?? ców, natomiast w połowie tego samego stulec ? były równje potworne

milion! Straty wielu krajów Rzeszy NiemiecK rejonach Wirtembergii i szacuje

sieje na 60-70 procent (w niektórych dochodziły nawet do 90 procent ludności!).

^ ogromne straty w po.

Prowadzone działania spowodowały równowagę, gdyż tendencje gospodarczym walczących krajów, zwanych najemnych żołnierzy. Niebronione wsie łatwo padały łupem rozwydatka; atymczasem wal. rzy. Produkcja rolna systematycznie więc się

bowoły żywności Brające armie i wygłodzona ludność miejska poprosyła

gwałtownie spadło kowało przede wszystkim mięsa, gdyż w toku pogłowie bydła.

-wojowi gospodarczemu

Sytuacja międzynarodowa sprzyjała więc rolniczym; jednym

Rzeczpospolitej, która była przecież krajem wyhodniej- Przyznac trzeba;

z głównych dostawców żywności dla Europy z koniunktury; rozsze.

że szlachta znakomicie wykorzystwała okres eksportu. Doszła też jak

rzając zakres upraw i zwiększając produkcję jej dostatków". Wów-

pisze Tadeusz Korzon, do „niewidzianych dotychczas ze jej ma b ?

czas też, zdaniem tego autora, upowszechnił zaszczepionym"4.

„pszczoła bez żądła" i rozdawcą „chleba do skutków tej prosperity, Tymczasem

skarb państwa wcale nie odciegił. „Lego minimum wysoko-gdyż szlachta wymogła ograniczenie do niezbyt prosperity gospodarczej

ści płaconych podatków. No cóż, lata pokoju 1

2, Kraków 1912, s. 290. 4 T. Korzon, Dzieje wojen i wojskowości w Polsce, {-

rozleniwiają. A jeśli jeszcze nie ma się zaufania do własnego monarchy, skutki są nietrudne do przewidzenia.

Okres prosperity nie ominął również Ukrainy. Jej żyzne ziemie produkowały bardzo dużo zboża (a mogły produkować go jeszcze więcej), ale znaczna odległość od rynków zachodnich i brak dobrych szlaków komunikacyjnych utrudniały jego eksport. Znaczną część nadwyżek przeznaczano więc na hodowlę, przede wszystkim koni i bydła. Olbrzymie tabuny koni i stada bydła wędrowały w tym czasie na zachód (np. przez Przemyśl przepędzono rocznie ponad 20 000 wołów!).

Dobra koniunktura Ukrainy była więc wynikiem zarówno „złotego dziesięciolecia” pokoju wewnętrznego, jak i korzystnej sytuacji w handlu międzynarodowym, a jej widowym rezultatem była szybka kolonizacja tej części Rzeczypospolitej. Rozwijały się miasta - Kijów, Czehryń, Sza-rogród, Korsuń, Lubnie i wiele, wiele innych. W porównaniu do miast Korony czy nawet Litwy (a tym bardziej w stosunku do metropolii europejskich), te nie wyglądały jeszcze zbyt imponująco, niemniej jednak powoli stawały się dość prężnymi ośrodkami lokalnego handlu i rzemiosła, wokół których skupiała się ludność wiejska. Lokowano w nich również ośrodki przemysłowe. Na przykład Stanisław Konięcpolski w swoich Brodach założył i prowadził z powodzeniem fabrykę tkanin, korzystając z wzorów i technologii perskiej. Nie brak było też na Ukrainie warsztatów, a nawet większych zakładów ruszni-karskich i płatnerskich. Nie ma się temu zresztą

co dziwić, bo pokój pokojem, a zapotrzebowanie na broń w tym regionie było zawsze duże. Przyczyniali się do tego zwłaszcza Tatarzy, dość systematycznie plądrujący te tereny.

Ukraina ulegała więc stopniowej kolonizacji i można było mieć nadzieję, że wreszcie i w tej części Rzeczypospolitej zapanuje ład i porządek, że „stanie się ona osiadłą włością, gwarantującą państwu pokój wewnętrzny, a posiadaczom fortunę”<sup>5</sup>. Tak się, niestety, nie stało. Dlaczego? Przyczyn, jak zwykle, było wiele, ale przyjrzyjmy się uważniej kilku z nich. Pierwszym powodem był swoisty gigantyzm. Na Ukrainie zawsze wszystko było ogromne. Jak pisze Władysław Konopczyński, „(...) powiat równy był zachodniopolskiemu województwu albo niemieckiemu 5 W. Tomkiewicz, Kozaczyzna Ukrainna, Lwów 1939, s. 45.

13

państewku w rodzaju Saksonii lub Hesji”. Czyż można więc się dziwić, że również fortuny magnackie zolbrzymiały tu do niespotykanych gdzie indziej rozmiarów? Zjawisko to -jak pamiętamy - występowało już wcześniej, ale po roku 1638 przybrało rozmiary wręcz oszałamiające. Wystarczy przypomnieć, że książę Jeremi Wiśniowiecki, który już wkrótce miał się stać jednym z głównych bohaterów opisywanych przez nas wydarzeń, w roku 1640 posiadał podobno 7603 „dymy”, czyli domy mieszkalne zlokalizowane w jego posiadłościach, a w ciągu następnych kilku lat zdołał jakoby „dorobić się” włości liczących w 1645 roku aż 38 000 „dymów”



(wiejskich i miejskich), zamieszkiwanych przez blisko 230 000 poddanych.

Wprawdzie do ówczesnych danych należy podchodzić z pewną ostrożnością, ale nawet jeśli są one przesadzone, to i tak dają niejaki wyobrażenie o tempie dokonujących się wówczas zmian. Tak czy inaczej, „państewko” to przynosiło księciu około 600 000 złotych rocznego dochodu! Aby zrozumieć, jak ogromna była to kwota, wystarczy wiedzieć, że koń kosztował wówczas... 6 złotych<sup>6</sup>. Faktem też pozostaje, że niezależnie od wszelkich zastrzeżeń wobec siedemnastowiecznych statystyk, było to „państewko” pod względem obszaru i liczby poddanych większe od wielu ówczesnych niemieckich księstw udzielnych.

Nie mniej zapobiegliwi byli przedstawiciele innych rodów magnackich -

Konieczpolscy, Kalinowscy, Potoccy, Ossolińscy, Żółkiewscy, Lubomirscy, Zasławscy,

Tyszkiewiczowie, Niemirycze i inni. Łącznie na terenie województw kijowskiego i

braclawskiego do magnatów, stanowiących 7 procent właścicieli ziemskich,

należało około 80 procent ziemi. Latyfundia rosły więc na Ukrainie jak grzyby po

deszczu. Zjawisko to samo w sobie nie było jeszcze groźne, zwłaszcza że część

latyfundystów, choć już dokładnie spolonizowana, wywodziła się jednak z dawnych książąt ruskich.

O polonizacji elit ukraińskich wspominałem już w swojej monografii pt.

Kozaczyzna. W XVII wieku proces ten właściwie już się kończył. Jednym z ostatnich,

rdzennie ruskich, książąt, którzy porzucili  
prawosławie i przeszli na katolicyzm,  
był księżę Jeremi Wiśniowiecki, bożyszczę XVII-  
wiecznej polskiej szlachty i...

Żydów! Odkryło się to zresztą nie  
6 Podaję [za:] Z. Wójcik, Wojny kozackie w dawnej  
Polsce [w:] Dzieje narodu i  
państwa polskiego, z. II - 27, s. 50 i 51.

14

bez pewnego skandalu, gdyż matka Jeremiego, Raina  
Wiśniowiecka z domu Mohylanka,  
była szczególnie gorliwą wyznawczynią prawosławia.  
Ona też, fundując monaster  
Mharski, zamieściła w akcie fundacyjnym taką oto  
przestrożkę: „A ktoby tę  
fundację w przyszłości naruszać i kasować miał,  
albo odejmować to, cośmy nadali,  
albo na starożytną błacho-czestywą (prawosławną -  
przyp. autora) wschodnią wiarę  
następował i odmieniał - tedy niech będzie nad nim  
klątwa i rozsądzi się ze mną  
przed Majestatem Bożym”.

Księżna Raina zmarła w roku 1619, a w roku 1632  
młody księżę Wiśniowiecki, pod  
wpływem nauk jezuitów, porzucił wiarę prawosławną  
i przeszedł na katolicyzm. A  
zatem zmienił wiarę! Nie tylko zresztą „odmienił”,  
ale, zwłaszcza w latach walki  
z Chmielnickim, z gorliwościaneofity „następował”  
na tak drogą matce wiarę  
błachoczestywą. Można więc powiedzieć, że -  
zgodnie z ostrzegawczym zapisem -  
żył obłożony matczyną klątwą i w tym, oczywiście z  
przymrużeniem oka, doszukiwać  
się przyczyn osobliwego fatum dziejowego, jakie  
nad księciem wyraźnie ciążyło!  
Powróćmy jednak do spraw serio. Otóż właściciele  
tych ogromnych włości, nawet

jeśli rezydowali na Ukrainie, jak chociażby  
właśnie Wi-śniowieccy, to przecież  
nie administrowali swymi latyfundiami sami. Byłoby  
to zresztą w tamtych czasach  
i w tamtych warunkach wręcz niemożliwe. A przecież  
większość z nich, zwłaszcza  
ci, którzy wywodzili się z rdzennej Polski, nie  
mieli zamiaru na stałe zaszywać  
się w ukraińskiej głuszy, gdzie diabeł mówi  
dobranoc, a w dodatku od czasu do  
czasu buszują czambuły tatarskie lub powstańcze,  
kozackie i ukraińskie watahy.  
Konsekwencją tego zjawiska było powstanie na  
Ukrainie bardzo rozbudowanego  
systemu dzierżaw. Zdecydowana większość  
dzierżawców niezbyt dbała o powierzone  
im majątkości, a jeszcze mniej o poddanych  
chłopów. Prawdę mówiąc, głównym ich  
celem było jak naj szybsze wzbogacenie się, czemu  
i dziwić się za bardzo nie  
można. A że praktycznie jedyną drogą do  
osiągnięcia tego (obok oszukiwania  
właścicieli dzierżawionych majątków) był wyzysk  
poddanych, to i skutki nie dały  
na siebie długo czekać. Aby nie być gołosłownym,  
oddajmy głos anonimowemu  
autorowi Latopisca naocznego świadka: „Pospólstwo  
zaś, chociaż we wszystko  
obfitowało, w zboża, w bydło, w pasieki, ale  
jednak - czego nie zwykła była  
cierpieć Ukraina - ździerstwami wielkimi trapili  
staro-

15

stowie i namiestnicy,, ?ydzi Bo dzierżawcy (tu w  
znaczeniu: właściciele -przyp.  
autora) sami nie mieszkali na Ukrainie, tylko  
urząd piastowali i przez to mało

wiedzieli o krzywdach ludzi pOSpoiitych, a chociaż  
wiedzieli, byli zaślepieni  
podarkami od starostów i Żydów arendarzy; nie  
mogli tego wiedzieć, ^ własnym  
smalcem ich skórę s • Qd jch poddanych wydarłszy,  
im ofiam^ a tQ gam pan mógłby  
wziąć od gw poddanego . me żaliby się tak jeg0  
poddany A tak byle łapserdak,  
byle Żyd się bogaci, sprawia po kilka zaprzęgów  
koni, wymyślając wielkie czynsze  
powołowszczyzny, dudy, ospy, suche miareczki,  
daninę z żaren i inne, odbiera  
folwarki, chutory"7.

Wydaje się, że autor iatopisca trafnie ujął pewne  
zjawisko, z którego me do  
końca zdajemy Sobie obecnie sprawę 0tóż xvil-  
wieczna Ukraina me należała do  
regi0now szczególnie udręczonych uciskiem  
pańszczyźnianym. Wręcz przeciwnie,  
dbając o ściąganie ludzi na ukraińskie „pustki ,  
szlachta ? mag^eria wabiła  
osadników zwolnieniami od rygorów  
pańszczyźnianych, ustalanymi niejednokrotnie  
na 20-30 lat. Sytuacja chłopów ukraińskich, w  
porównaniu do sytuacji chłopów  
polskich czy też litewskich, była więc stosunkowo  
niezła. Tyle tylko, że właśnie  
w połowie XVII wieku więkzość „wolnizn" zaczęła  
się kończyć, co powodowało  
zaostanie ??\$0???? ? zmuszanie nieprzywykłych do  
tego chłopów do wychodzenia  
„na panskie". Można łatwo sobie wyobrazić, jaki  
miało to skutek psychologiczny i  
propagandowy; wszak nie ma gorszej rzeczy niz  
odbieranie komus przywilejów5 do  
których przywykł i które uważa za swoje i  
mezmienne. Dlatego obecne prawo zna

kategorię „praw nabytych”, których odbierać nie wolno.

Zwróćmy ponadto uwagę na dwa inne aspekty tej relacji - na wyraźne ostrze

antysemickie i na ostatnie trzy słowa, a mianowicie: „odbiera folwarki, chutory”.

Przyjrzyjmy się im bliżej. Żydów pojawiło się w tym okresie na Ukrainie mnóstwo.

Przed wybuchem powstania kozackiego, ??°^???

??1 50 00° (niektórzy

twierdzą, że więcej: około

100 000); to sporo, jeśli weźmie się pod uwagę, że

cała Ukraina miała wówczas

około 3 milionów mieszkańców. Byli to zazwyczaj

ludzie pracowici i zapobiegliwi,

więc część z nich zogła administratorami i

dzierżawcami majątków magnackich i

szlacheckich, większość jednak zajęła

się praktyczną realizacją szlacheckiego przywileju prop

inacyjnego  
7 Litopys Samowydca, Kijów 1971, s. 47.

16

Przypomnijmy, o co dokładnie chodziło. Otóż

szlachta wywalczyła sobie, obok

wielu innych przywilejów, monopol na produkcję i

sprzedaż w swych majątkach

alkoholu w postaci piwa i wódki. Realizacją tego

przywileju nie zajmowała się

najczęściej sama, lecz wydzierżawiała go, za

niemałe pieniądze, Żydom arendarzom,

którzy, mając na uwadze własne zyski, realizowali

przysługujący im monopol w

sposób, oględnie mówiąc, bezwzględny. Prawdę

mówiąc, był to złoty interes, bo,

jak wiemy, na Ukrainie zawsze piło się dużo.

Żydzi stali się więc automatycznie konkurencją dla

miejscowych, nie-szlacheckich

producentów, zwłaszcza dla Kozaków, którzy tą produkcją zajmowali się - prawda, że bezprawnie, ale za to jakże efektywnie - od dawna.

Sytuacja zaostrzyła się zwłaszcza po roku 1638. Kozaków na pewien czas, jak wiemy, okiełznano, a jednym z przejawów tego stanu rzeczy był bezwzględny zakaz bezprawnego „palenia wódki”, pilnie przestrzegany przez Żydów arendarzy, bezwzględnie eliminujących wszelką konkurencję, „co z wielką ciężkością Kozaków działało się, osobliwie gdy na instancje żydowskie wysyłali podstarościowie kotły i garnce gorzałczane rąbać, gdzie takowe znaleźli”<sup>8</sup>. Takie więc były główne przyczyny antagonizmu kozacko-, a ujmując rzecz szerzej, ukraińsko-żydowskiego, za który już niedługo Żydzi mieli zapłacić bardzo wysoką, krwawą cenę.

Przyjrzyjmy się teraz wspomnianej w cytowanym fragmencie kwestii odbierania folwarków i chutorów. Rzecz dotyczy głównie Kozaków, a dokładniej starszyzny kozackiej. Przez dziesiątki lat istnienia Kozaczyzny dorobili się oni znacznych majątków (zdaniem niektórych badaczy, w 1622 roku liczba kozackich chutorów w pasie sąsiadującym z Dzikimi Polami wynosiła 9000-10 000). Większość z nich istniała na „kozackim prawie”, to znaczy najczęściej bez żadnych tytułów prawnych. Do tej pory jednak nikt ich w zasadzie nie ruszał. I to też się zmieniło, gdyż konstytucja sejmowa z 1638 roku wręcz do tego zachęcała.

Wprawdzie ziemi na Ukrainie w owych czasach nie brakowało, ale o wiele lepszym

interesem było oczywiście zajęcie włości zagospodarowanych niż nieuprawianych ugo-

8 Ojczyste Spominki w pismach do dziejów dawnej Polski, Diaryusze, Relacye, Pamiętniki itp., służyć mogące do objaśnienia dziejów krajowych: tudzież Listy Historyczne do panowania królów Jana Kazimierza i Michała Korybuta oraz listy Jana Sobieskiego, hetmana wielkiego koronnego, wyd. A. Grabowski, Kraków 1845, s. 142.

17

stówie i namiestnicy, i Żydzi. Bo dzierżawcy (tu w znaczeniu: właściciele - przyp. autora) sami nie mieszkali na Ukrainie, tylko urząd piastowali i przez to mało wiedzieli o krzywdach ludzi pospolitych, a chociaż wiedzieli, byli zaślepieni podarkami od starostów i Żydów arendarzy; nie mogli tego wiedzieć, że własnym smalcem ich skórę smarują: od ich poddanych wydarłszy, im ofiarują, a to sam pan mógłby wziąć od swego poddanego i nie żaliłby się tak jego poddany. A tak byle łapserdak, byle Żyd się bogaci, sprawia po kilka zaprzęgów koni, wymyślając wielkie czynsze, powołowszczyzny, dudy, ospy, suche miareczki, daninę z żaren i inne, odbiera folwarki, chutory"<sup>7</sup>. Wydaje się, że autor Latopisca trafnie ujął pewne zjawisko, z którego nie do końca zdajemy sobie obecnie sprawę. Otóż XVII-wieczna Ukraina nie należała do regionów szczególnie udręczonych uciskiem pańszczyźnianym. Wręcz przeciwnie, dbając o ściąganie ludzi na ukraińskie „pustki”, szlachta i magnateria wabiła

osadników zwolnieniami od rygorów pańszczyźnianych, ustalanymi niejednokrotnie na 20-30 lat. Sytuacja chłopów ukraińskich, w porównaniu do sytuacji chłopów polskich czy też litewskich, była więc stosunkowo niezła. Tyle tylko, że właśnie w połowie XVII wieku większość „wolnizn” zaczęła się kończyć, co powodowało zaostrzenie rygorów i zmuszanie nieprzywykłych do tego chłopów do wychodzenia „na pańskie”. Można łatwo sobie wyobrazić, jaki miało to skutek psychologiczny i propagandowy; wszak nie ma gorszej rzeczy niż odbieranie komuś przywilejów, do których przywykł i które uważa za swoje i niezmiennie. Dlatego obecne prawo zna kategorię „praw nabytych”, których odbierać nie wolno.

Zwróćmy ponadto uwagę na dwa inne aspekty tej relacji - na wyraźne ostrze antysemityczne i na ostatnie trzy słowa, a mianowicie: „odbiera folwarki, chutory”.

Przyjrzyjmy się im bliżej. Żydów pojawiło się w tym okresie na Ukrainie mnóstwo.

Przed wybuchem powstania kozackiego było ich podobno ponad 50 000 (niektórzy twierdzą, że więcej: około 100 000); to sporo, jeśli weźmie się pod uwagę, że cała Ukraina miała wówczas około 3 milionów mieszkańców. Byli to zazwyczaj ludzie pracowici i zapobiegliwi, więc część z nich została administratorami i dzierżawcami majątków magnackich i szlacheckich, większość jednak zajęła się praktyczną realizacją szlacheckiego przywileju propinacyjnego.

7 Litopys Samowydca, Kijów 1971, s. 47.



Przypomnijmy, o co dokładnie chodziło. Otóż szlachta wywalczyła sobie, obok wielu innych przywilejów, monopol na produkcję i sprzedaż w swych majątkach alkoholu w postaci piwa i wódki. Realizacją tego przywileju nie zajmowała się najczęściej sama, lecz wydzierżawiała go, za niemałe pieniądze, Żydom arendarzom, którzy, mając na uwadze własne zyski, realizowali przysługujący im monopol w sposób, oględnie mówiąc, bezwzględny. Prawdę mówiąc, był to złoty interes, bo, jak wiemy, na Ukrainie zawsze piło się dużo. Żydzi stali się więc automatycznie konkurencją dla miejscowych, nie-szlacheckich producentów, zwłaszcza dla Kozaków, którzy tą produkcją zajmowali się - prawda, że bezprawnie, ale za to jakże efektywnie - od dawna.

Sytuacja zaostrzyła się zwłaszcza po roku 1638. Kozaków na pewien czas, jak wiemy, okiełznano, a jednym z przejawów tego stanu rzeczy był bezwzględny zakaz bezprawnego „palenia wódki”, pilnie przestrzegany przez Żydów arendarzy, bezwzględnie eliminujących wszelką konkurencję, „co z wielką ciężkością Kozaków działało się, osobliwie gdy na instancje żydowskie wysyłali podstarościowie kotły i garnce gorzałcza-ne rąbać, gdzie takowe znaleźli”<sup>8</sup>. Takie więc były główne przyczyny antagonizmu kozacko-, a ujmując rzecz szerzej, ukraińsko-żydowskiego, za który już niedługo Żydzi mieli zapłacić bardzo wysoką, krwawą cenę.

Przyjrzyjmy się teraz wspomnianej w cytowanym fragmencie kwestii odbierania

folwarków i chutorów. Rzecz dotyczy głównie Kozaków, a dokładniej starszyzny kozackiej. Przez dziesiątki lat istnienia Kozaczyzny dorobili się oni znacznych majątków (zdaniem niektórych badaczy, w 1622 roku liczba kozackich chutorów w pasie sąsiadującym z Dzikimi Polami wynosiła 9000-10 000). Większość z nich istniała na „kozackim prawie”, to znaczy najczęściej bez żadnych tytułów prawnych. Do tej pory jednak nikt ich w zasadzie nie ruszał. I to też się zmieniło, gdyż konstytucja sejmowa z 1638 roku wręcz do tego zachęcała. Wprawdzie ziemi na Ukrainie w owych czasach nie brakowało, ale o wiele lepszym interesem było oczywiście zajęcie włości zagospodarowanych niż nieuprawianych ugo-

8 Ojczyste Spominki w pismach do dziejów dawnej Polski, Diayrusze, Relacye, Pamiętniki itp., służyć mogące do objaśnienia dziejów krajowych: tudzież Listy Historyczne do panowania królów Jana Kazimierza i Michała Korybuta oraz listy Jana Sobieskiego, hetmana wielkiego koronnego, wyd. A. Grabowski, Kraków 1845, s. 142.

17

rów. Jak się wkrótce przekonamy, z problemem tym zetknął się sam Bohdan Chmielnicki, mimo że zaliczał się on do tej grupy starszyzny kozackiej, która dotąd była wobec państwa bezwarunkowo lojalna. W latach 1638-1647 sytuacja Ukraińców i Kozaków uległa tak radykalnemu pogorszeniu, że zwróciło to uwagę nawet hetmana koronnego Mikołaja Potockiego,

którego doprawdy trudno byłoby podejrzewać o pro-ukraińskie i prokozackie sympatie. Ale nawet jego przeraziły krzywdy wyrządzane Kozakom przez dzierżawców, podstarościch i innych magnackich oficjalistów:

„(...) Sianożęci, pasieki, gumna i cokolwiek się tylko u Kozaka podoba, odbierają, samych zaś biją, zabijają...”

- pisał w listopadzie 1647 roku w liście do Jerzego Ossolińskiego, słusznie przewidując, że z tej przyczyny może dojść do wojny domowej.

Analizując przyczyny Wielkiego Wybuchu, nie można też zapomnieć o konfliktach religijnych, wstrząsających ówczesną Ukrainą.

Wprawdzie pod rządami Władysława IV, który był dość daleki od fanatyzmu swego ojca, temperatura religijnego

wrzenia na Ukrainie nieco opadła; rzadziej dochodziło do zamieszek i otwartych walk, ale wzajemna nienawiść między prawosławnymi a unitami pozostała. Pozostał

też nierozwiązany problem rozdarcia religijnego.

Za prawosławiem, nadal masowo wyznawanym przez chłopów i mieszczan, opowiadali się oczywiście jego wyznawcy oraz, bardziej ze względów politycznych niż

religijnych, Kozaczyzna, dla której była to okazja do utrwalenia swojej pozycji

elity politycznej i społecznej. Unię, mającą ciągle mniej wyznawców niż

ortodoksyjne prawosławie, nadal popierały głównie władze państwa.

Mimo więc pozornego pokoju i spokoju, Ukraina w połowie XVII wieku przypominała ogromną minę. Chwilowo jeszcze nieuzbrojoną, bez lontu lub zapalnika, ale to się miało wkrótce zmienić...

Może zresztą okres pokoju na Ukrainie trwałby nieco dłużej, gdyby nie... król Władysław IV, a konkretnie jego plany wojny z Turkami.

Nie były to bynajmniej plany nowe. O wielkiej wojnie z Tatarami i Turcją przebąkiwano w Warszawie i w innych stolicach europejskich już od 1633 roku.

Jerzy Ossoliński, w mowie do papieża Urbana VIII, nawoływał do zorganizowania ligi władców chrześcijańskich dla rozprawienia się z Turcją. O wojnie z Tatarami, a może i z Turcją, mówiło się również w 1637 roku, chociażby przy okazji paktu familijnego z Habsburgami, który również, między innymi, był sojuszem zaczepnym przeciwko Turcji.

18

Jak więc widzimy, plany tureckie Władysława IV pojawiały się raz po raz, przy różnych okazjach, a nieoceniony Paweł Jasienica porównywał je do... węża morskiego, który pojawia się od czasu do czasu i znika, tak że obserwatorom trudno ocenić, co naprawdę zobaczyli, a nawet czy w ogóle coś widzieli.

Władysław IV był na pewno typem marzyciela na tronie, fantasta i człowiekiem z gatunku tych, których określa się mianem „niespokojnych duchów”. Nic dziwnego, że przez całe życie próbował realizować różne zamierzenia, które rozpoczynał, a następnie porzucał, aby podjąć następne. Z planami wojny tureckiej było jednak nieco inaczej. One również, jak to już przed chwilą powiedziano, pojawiały się i znikwały, ale przez lat z górą trzynaście nigdy nie znikły zupełnie, a tuż przed

końcem rządów tego romantycznego króla rozgorzały wielkim ogniem, od którego następnie zapłonęła Ukraina i omal nie spaliło się całe państwo.

W niniejszym opracowaniu, poświęconemu wojnom kozackim, nie ma miejsca na szczegółową analizę przyczyn, z których Władysław był tak bardzo do tych planów przywiązany; poświęcono im zresztą wiele miejsca w innych publikacjach naukowych i popularnonaukowych. Warto jednak poświęcić im chwilę uwagi, aby zrozumieć postępowanie króla i należycie je ocenić.

Władysław IV przez całe życie marzył o sławie i wielkości: własnej i swojego rodu. Marzył o odzyskaniu korony szwedzkiej, którą bezpowrotnie utracił jego ojciec, marzył o zmianie statusu tronu Rzeczypospolitej z elekcyjnego na dziedziczny, oczywiście dla rodu Wazów. Marzył też o zrealizowaniu tego, co nie udało się osiągnąć nikomu przed nim (a i po nim nikomu do końca), a mianowicie o odepchnięciu muzułmańskiego Półksiężycy od granic Europy; prawdę mówiąc, marzył o wyrugowaniu go w ogóle z Europy, a nawet o zupełnym starciu go z powierzchni ziemi.

W marzeniach tych racjonalne pobudki mieszp.!y się, jak to zwykle u tego władcy bywało, z romantycznymi porywami. Do pierwszych można zaliczyć niewątpliwie słuszne i mające głęboki sens pragnienie rozwiązania trapiącego Rzeczpospolitą problemu najazdów tatarskich, które systematycznie, niejednokrotnie po kilka razy w roku, upuszczały Ukrainie (i nie tylko) wcale spore strumyki krwi.

Doprowadzić do tego mogła w zasadzie jedynie aneksja Krymu i likwidacja państwa tatarskiego. Prawdę mówiąc, to nierozwijające normalnej gospodarki państwo, które z permanentnej wojny, a właściwie z ustawicznych, rabunkowych napadów

19  
na sąsiadów uczyniło swój sposób na życie, było już w XVII-wiecznej Europie zupełnym anachronizmem i aż prosiło się o likwidację.

Ale król nie poprzestawał na tym. Pragnął zaatakować Turcję. Nie zgadzam się z tezą, formułowaną przez niektórych historyków, że były to plany zupełnie sprzeczne z interesem Rzeczypospolitej. Wprawdzie do ostrych konfliktów z Turcją dochodziło wówczas stosunkowo rzadko, gdyż w tym czasie mocarstwo to było zaangażowane w innych częściach świata, ale ten stan rzeczy w każdej chwili mógł ulec zmianie. Polityka Turcji była bowiem w tamtym okresie mało przewidywalna i stanowiła wypadkową wpływów dywizji janczarów, haremowych niewolnic, wielkich wezyrów i Bóg - przepraszam: Allah - wie kogo jeszcze. Ostrze ekspansji tureckiej mogło więc w każdej chwili, nawet zupełnie nieoczekiwanie, zwrócić się przeciw Rzeczypospolitej.

Nie zapominajmy również o tym, że rubież południowo-wschodnia Rzeczypospolitej była typową „płonącą granicą” (jeśli w ogóle o linii granicznej w tym rejonie można mówić), gdyż ustawiczne najazdy tatarskie wciąż wykrwawiały Ukrainę i utrudniały racjonalne jej zagospodarowanie. Już z tego więc punktu widzenia

ostateczne rozwiązanie problemów tatarskiego i tureckiego (a w praktyce bardzo się one zazębiały i trudno było je rozdzielić, gdyż Tatarzy znajdowali się pod tureckim patronatem) byłoby korzystne i dla Ukrainy, i dla całej Rzeczypospolitej. Wreszcie, likwidacja zagrożenia tatarsko-tureckiego mogła w dalszej perspektywie przyczynić się do rozwiązania problemu kozackiego, którego, jak wiemy, bagatelizować nie należało. Tkwiło więc w tych planach racjonalne -z punktu widzenia polityki państwa -jądro. Z drugiej jednak strony, i tu mają rację krytycy Władysława IV, były to plany bardzo niebezpieczne, bo narażały państwo na wojnę z Turcją, ówczesnym supermocarstwem, a jej wynik doprawdy trudno byłoby przewidzieć. Siła militarna Turcji była wciąż ogromna, a plany powstania europejskiej ligi antytureckiej nader mgliste. Łatwo więc sytuacja mogła się odwrócić w myśl starego ukraińskiego porzekadła: „Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma!”. W sumie więc lekarstwo mogło okazać się bardziej niebezpieczne niż sama choroba, gdyż Rzeczpospolita wprawdzie stać było na wojnę z Tatarami i na zajęcie Krymu (a i to pod warunkiem wsparcia z zewnątrz i współdziałania Kozaków), ale już na wojnę zaczepną z Turcją - nie! Na to Turcja była zbyt silna albo Rzeczpospolita za słaba!

20

Tymczasem królewską myśl uskrzydlały, obok racjonalnych przesłanek, również

zupełne fantasmagorie. Były to wizje wyzwolenia Mołdawii, Wołoszczyzny, Bałkanów itd., oczywiście z nim, królem polskim i być może dziedzicznym władcą terenów wyrwanych Turcji, w roli głównej. Karmili nimi rozgorączkowaną wyobraźnię monarchy posłowie Wenecji, zaangażowanej w trudną wojnę z Turcją, a także Watykanu, również z przyczyn oczywistych zainteresowanego likwidacją potęgi muzułmańskiej w Europie.

Na wyobraźnię romantycznego władcy Polski działały także rodowe tytuły i prawa jego nowej małżonki, Ludwiki Marii Gonzaga, księżniczki Mantui, Montferratu i Nevers, wywodzącej się z rodu greckich Paleologów i mającej z tego powodu rodzinne prawa do Konstantynopola, czyli tureckiego Stambułu. Takie prawa, w myśl ówczesnych kodeksów, nie przedawniały się nigdy (choć w praktyce nic nie znaczyły i niczego nie dawały), mógł więc Władysław marzyć, że członkowie jego rodu - kto wie, może nawet jego syn? - zasiądą w Konstantynopolu na tronie odrodzonego Cesarstwa Bizantyjskiego. W dodatku zakończona pomyślnie „wojna turecka” mogła być też skuteczną drogą do utrwalenia dynastii Wazów na tronie w Warszawie, gdyż Rzeczpospolita, w trosce o zdobyte przez siebie tereny potureckie, którymi władaliby Wazowie, właśnie ich wybierałaby na swój tron tak długo, aż ustaliłaby się i utrwaliła w świadomości szlachty nowa dynastia. Mogłoby więc stać się podobnie jak z Litwą i Jagiellonami.



Czy można winić Władysława IV o to, że tak wytrwale dążył do zbudowania wielkości swego rodu? Nie zapominajmy, że w XVII i następujących wiekach monarchia dziedziczna była w Europie rozwiązaniem powszechnym i, powiedzmy to wprost, optymalnym. To raczej nasza polska tradycja wybierania władcy przez cały naród, to znaczy całą szlachtę, było rozwiązaniem błędnym, za które przyszło nam zresztą zapłacić wysoką cenę. A marzenie o ustaleniu dziedziczności w swoim rodzie towarzyszyło nie tylko Władysławowi. Nieobce było ono również innym naszym elekcyjnym królom, jak choćby Janowi Sobieskiemu czy Augustowi Mocnemu z rodu saskich Wettinów.

Racjonalne czy nie, plany królewskie napotykały jednak nieprzezwyciężoną przeszkodę w postaci głęboko zakodowanej w „narodzie szlacheckim” niechęci do wojny zaczepnej. Na taką wojnę żaden sejm szlachecki po prostu nie dałby pieniędzy, nie uchwalił podatków. A bez zgody sejmu w Polsce nic nie można było zrobić.

21

Starzejący się nieubłagane i bardzo już schorowany władca postanowił obejść jednak tę przeszkodę. Jak? Ano w sposób stosunkowo prosty i, jak mu się wydawało, łatwy.

Postanowił mianowicie sprowokować Tatarów do uderzenia na Ukrainę. To rzeczywiście nie było trudne. Wystarczyła odmowa płacenia dorocznych „upominków”

(jak elegancko nazywano wcale niemały haracz), wsparta kilkoma pogranicznymi

prowokacjami i można było przyjąć każdy zakład, że czambuły tatarskie pojawiają się na Ukrainie. Przygotowana do tego armia koronna, wzmocniona prywatnymi armiami ukraińskich „królewiat” (a były one niemałe; przecież sam Jeremi Wiśniowiecki wystawiał w czasie wojny dywizję liczącą blisko 8000 żołnierzy), odparłaby atak i w rewanżu mogłaby zaatakować Krym. Do tego miejsca wszystko jeszcze było w porządku i plany królewskie współgrały z planami jego dwóch najpotężniejszych urzędników: kanclerza Ossolińskiego i hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Jak wiemy jednak, królowi było tego wciąż za mało; chciał koniecznie wojny z Turcją. Aby to osiągnąć, musiał sprowokować do ataku również to państwo, bo szlachta nie miałaby wówczas wyjścia i musiałaby uchwalić podatki na armię. Wszystko się zresztą gmatwało, a cały plan mógł równie dobrze spalić na panewce, jako że nawet atak na Krym mógł się okazać niewystarczający. Sułtan, zaangażowany w trudną wojnę z Wenecją, mógł, przynajmniej na razie, przełknąć jakoś tę gorzką pigułkę. Okazja mogła więc minąć bezpowrotnie. No i tu w scenariuszu królewskim pojawili się Kozacy. Władysław IV przeznaczył im bardzo ważne zadanie: mieli oni na swoich lotnych czajkach zaatakować tureckie wybrzeża, zaświecić sułtanowi w oczy pożarami jego miast, a nawet przedmieść Stambułu. Liczył, że tego byłoby już za dużo dla sułtana, Turcja nie mogłaby darować

takich zuchwałych prowokacji! Dwa plus dwa nawet w polityce daje czasem cztery, Władysław mógł więc zasadnie spodziewać się, że Turcja wypowie Rzeczpospolitej wojnę, która następnie z obronnej przekształci się w zaczepną. A o to mu przecież chodziło.

Początkowo wszystko rozwijało się zgodnie z planem. 29 lutego 1644 roku na tajnej naradzie senatorów-rezydentów zapadła decyzja, aby posłom tatarskim nie wręczać przewidzianych traktatem polsko-tureckim corocznych, zwyczajowych „upominków”, a ich samych zatrzymać z po-

22  
wodu nieokazania przez nich należytej skruchy za najazd perekopskiego Tuhaj-bejaw styczniu 1644 roku.

Akcji tej zresztą słynny wódz tatarski, o którym w Polsce i na Ukrainie jeszcze wiele lat po jego śmierci śpiewano pieśni, na pewno nie mógł zaliczyć do swych sukcesów. Tym razem jego orda została zatrzymana już na granicy państwa i 29 stycznia, w bitwie pod Ochmatowem, rozgromiona przez wojska koronne i dywizję prywatną ks. Jeremiego Wiśniowieckiego, dowodzone przez hetmana wielkiego Stanisława Koniecpolskiego. W starciach polsko-tatarskich był to ewenement; po raz pierwszy bowiem czambuły zaatakowano i pokonano już na początku napaści, nie zaś, jak dotąd, dopiero w trakcie odwrotu, kiedy dowódcy polscy mieli już informacje o trasie ich pochodu, a skośnoocy wojownicy, obarczeni łupami i tysiącami niewolników pociągniętych w jasyr, poruszali się wolniej i łatwiej ich

było dogonić. Był to również ostatni przykład zgodnej współpracy wojsk koronnych i kozackich oddziałów rejestrowych, które w niemałym stopniu przyczyniły się do klęski Tuhaj-beja.

Obradujący w lutym 1645 roku sejm decyzji senatorów ani nie potwierdził, ani też nie odrzucił i po upływie regulaminowego terminu roz-szedł się, nie podejmując w tej sprawie żadnej uchwały. Dla Władysława IV takie rozwiązanie sprawy było o tyle korzystne, że wobec braku stanowiska sejmu pozostawała w mocy uchwała senatu, zgodnie z którą mógł nadal - legalnie! - uprawiać politykę prowokowania Tatarów. A Tatarzy, jak donosił głęboki, strategiczny wywiad, nie zawiedli i zgodnie z przewidywaniami zaczęli przygotowywać się do rozstrzygającej wyprawy na Rzeczpospolitą.

Wszystko też rozwijało się pomyślnie, jeśli chodzi o Kozaków. Gdzieś w połowie

kwietnia 1646 roku przybyli do Warszawy posłowie starszyny kozackiej: Jan

Barabasz, Iliasz (Eliasz) Karaimowicz, Maksym Nestorenko i Bohdan Chmielnicki.

Do spotkania z królem doszło w nocy, na zamku, w prywatnych apartamentach

Władysława. Rzec całą trzymano w tak wielkiej tajemnicy, że przebieg rozmów i

ich wyniki udało się odtworzyć z trudem i jedynie w ogólnych zarysach dopiero po

wybuchu powstania Chmielnickiego i po śmierci króla. Z poczynionych wówczas

ustaleń wynika, że Kozacy otrzymali z rąk królewskich 18 000 zł na budowę 60

czajek i dwa dokumenty królewskie: jeden zezwalający na podwyższenie rejestru o

dalszych 6000 Kozaków i drugi zabraniający  
chorągwiom koronnym posuwania się da-  
23

lej niż za Białą Cerkiew. Oznaczało to zapewnienie  
wcale sporej autonomii  
kozackiej i oddanie w ich ręce prawie całego  
województwa kijowskiego. Jak  
słusznie zauważa W. Serczyk, jeszcze nigdy Kozacy  
nie otrzymali tak wiele; nawet  
wówczas, gdy sami stawiali żądania w sytuacjach,  
gdy Rzeczpospolita szukała ich  
wsparcia. Ze swej strony posłowie kozaccy  
obiecali, że jak przyjdzie co do czego,  
to wystawią nawet do 100 000 szabel zaporoskich!  
Jak widać, król był w czasie tych negocjacji  
nadzwyczaj hojny! Tyle tylko że,  
parafrazując kapitalną odpowiedź, jakiej w Potopie  
Zagłoba udzielił Szwedom w  
Zamościu, polski władca ofiarował posłom kozackim.  
.. Niderlandy. A mówiąc  
wprost, podejmował decyzje, których podejmować nie  
powinien, gdyż zgodnie z  
prawem Rzeczpospolitej, mógł je podjąć wyłącznie  
sejm. Władysław IV ewidentnie  
złamał więc prawo, licząc prawdopodobnie, że cała  
afery wyjdzie na jaw dopiero  
po wojnie, którą oczywiście miał zamiar wygrać, a  
zwycięzców przecież nikt nie  
osądza.

Był to już jednak ostatni sukces królewski.  
Później wszystko się beznadziejnie  
powikłało, głównie z winy samego twórcy tego  
scenariusza. 11 marca 1646 roku  
zmarł hetman Stanisław Koniecpolski, człowiek,  
nawet według ówczesnych kryteriów,  
jeszcze nie stary (miał 54 lata). Ponoć  
zaszkodziło mu małżeństwo z 16-letnią

Zofią Opalińską (Joachim Jerlicz pisał wprost, że hetman zmarł z powodu afrodyzjaku, „bo mu aptekarz na razy kilka by dał, co on razem zażył, i tak swego życia dokonał”<sup>9</sup>).

Stary hetman miał duży wpływ na swego władcę i potrafił nieco temperować jego niecierpliwą naturę. Teraz, pozbawiony tego hamulca, Władysław zaczął postępować tak, jak mu nakazywał jego temperament i 9 maja 1646 roku, po powrocie z łowów, obwieścił oficjalnie zamiar rozpoczęcia wojny z Turcją. Prawie też natychmiast rozpoczął formowanie nowych jednostek wojskowych, w większości za pieniądze pożyczone od własnej żony, Marii Ludwiki. Na nie spodziewającą się niczego Rzeczpospolita wiadomość ta spadła jak grom z jasnego nieba. Gdy 12 maja zjechał do Warszawy Albrzycht Stanisław Radziwiłł, w stolicy wszyscy mówili o zbliżającej się wojnie. Musiało to niepomrotnie zdziwić kanclerza wielkiego litewskiego-

<sup>9</sup> J. Jerlicz, *Latopisiec albo Kroniczka różnych spraw i dziejów*, t. 1, Warszawa 1853, s. 49.

24

go, gdyż on, jeden z najwyższych przecie w Rzeczpospolitej urzędników, o niczym nie wiedział! Formalnie o zamiarze wojny z Turcją i wydaniu patentów na zaciąg żołnierzy poinformował swego kolegę na urzędzie dopiero Jerzy Ossoliński. Dobrze to co prawda świadczyło o umiejętności dochowywania tajemnicy przez osoby dopuszczone do monarszych planów, ale też potwierdzało spiskowy charakter poczynań Władysława.

Prawdę mówiąc, nie do końca wiemy, dlaczego król niemal w ostatniej chwili zrezygnował z dotychczasowych metod i nagle zaczął działać „z otwartą przyłbicą”.

W każdym razie uchYLENIE tej przyłbicy i ujawnienie tak długo tajonych planów wojennych nie oznaczało, jak twierdzi Paweł Jasienica, samobójstwa politycznego króla. Władysław IV mimo wszystko cieszył się wśród szlachty zbyt dużą popularnością, by obawiać się jakichś groźnych następstw tego kroku. Moim zdaniem, była to raczej samobójcza bramka w meczu, który Władysław toczył z sejmem i szlachtą (przepraszam za użycie terminologii piłkarskiej przy omawianiu sprawy, której poważne reperkusje odczuwano jeszcze bardzo, bardzo długo, ale wydaje mi się, że dość dobrze oddaje ona sens tego, co wydarzyło się w maju 1646 roku).

Skutki tego nierozważnego kroku dały znać o sobie natychmiast. Planów królewskich nie poparł dosłownie nikt, nawet Jerzy Ossoliński. Na pytanie swego litewskiego kolegi, jaką pieczęcią zostały opatrzone patenty na zaciąg żołnierzy, odpowiedział, że nie pieczęcią koronną (w rzeczywistości opatrzone je tzw. pokojową pieczęcią Władysława IV, co również oznaczało złamanie przepisów, gdyż pieczęci tej nie należało używać do pieczętowania dokumentów związanych ze sprawami publicznymi). Kanclerz koronny poparł też stanowisko swego litewskiego interlokutora, który kategorycznie oświadczył, że raczej da sobie uciąć rękę,

niż zezwoli na przyłożenie do tych dokumentów pieczęci Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Stanowisko obu kanclerzy nie powinno nikogo dziwić. Radziwiłł nigdy nie był dopuszczany do tajemnych zamysłów króla, a idea wojny tureckiej była mu zupełnie obca. Natomiast Ossoliński po prostu przestraszył się konsekwencji.

Krół właściwie ocenił postawę swego urzędnika, gdyż w rozmowie z posłem weneckim, Tiepolo, powiedział: „Zdradził mnie kanclerz, jak Judasz Chrystusa, nie przez złość ani nienawiść”. W drobniejszych, mniej istotnych sprawach Ossoliński mógł iść na skróty i nie liczyć się z opinią

25

szlachecką, ale ta sprawa była zbyt poważna, wręcz gardłowa. Chyba też nie do końca był przekonany o słuszności koncepcji wojny z Turcją. Jego plany, podobnie jak plany nieżyjącego już Koniecpolskiego, nie sięgały dalej niż na Krym, Budziaki i Multany.

Nie poparli też zamiarów króla inni senatorzy. Nawet ukraińscy. Wydaje się, że król bardzo liczył na ich poparcie, sądząc, że przekona ich wizją rozszerzenia granic Rzeczypospolitej, a co za tym idzie, wizją rozszerzenia ich wpływów i włości. Nie wziął jednak pod uwagę, że oni również, podobnie jak Ossoliński, nie chcieli znaleźć się w ostrym konflikcie z masami szlacheckimi. Ponadto znaczna ich część po prostu obawiała się klęski w starciu z Turcją; jej skutki przecież najbardziej boleśnie odczuliby właśnie oni. Woleli więc nie narażać na poważne



ryzyko tego, co posiadali.

Król tak łatwo nie zrezygnował. Nadal próbował przeciągnąć ich na swoją stronę, prowadząc na ten temat rozmowy w trakcie uroczystości weselnych z okazji ślubu córki Ossolińskiego z Samuelem Kalinowskim, synem wojewody czernichowskiego Marcina Kalinowskiego. Jako że nie przyniosły one spodziewanych przez Władysława rezultatów, kontynuowano je później, w trakcie zjazdu senatorów w Krakowie z okazji uroczystości koronacyjnych Marii Ludwiki. Odbyło się wówczas tajne posiedzenie senatu w podkrakowskim Łobzowie. Wszystko na próżno. Senatorowie nie chcieli popełniać politycznego samobójstwa, popierając coraz mniej realne królewskie plany.

Widząc daremność swych wysiłków, Władysław zaczął pozornie sam zmieniać stanowisko i przekonywać zebranych o swoich dobrych intencjach i o tym, że podejmując bez zgody sejmu zbrojenia, zamierzał jedynie zabezpieczyć granice państwa przed napadami tatarskimi. Na taką woltę było już jednak za późno i nikt królewskim słowom uwierzyć nie chciał. Ostatecznie trzydniowe obrady zakończyły się jedynie podjęciem decyzji o konieczności zwołania kolejnego sejmu. Termin wyznaczono na 23 października 1646 roku. Gwałtowna reakcja szlachty w trakcie sejmików, na których wybierano posłów na sejm, musiała chyba zaskoczyć dwór. Pojawiły się ulotne pisma, krytykujące króla i kanclerza (mimo że Ossoliński oficjalnie odciął się od planów Władysława IV).

Dostało się też jednemu z głównych propagatorów wojny z Turcją, posłowi weneckiemu Giovanniemu Tiepo-lo. Szlachta, przestraszona nie na żarty wizją starcia z jednym z najwięk-

26

szych ówczesnych mocarstw, wpadła w popłoch, atakując każdego, kogo podejrzewała o popieranie tych planów.

W takiej atmosferze wynik zwołanego na 25 października sejmu był łatwy do przewidzenia. Posłowie, wykazując rzadką w dziejach Rzeczypospolitej jednomyślność, zażądali od króla poniesienia planów wojny tureckiej i rozpuszczenia zaciągniętych bezprawnie wojsk. Były to głównie wojska werbowane w krajach niemieckich, które ponoć zachowywały się w Polsce jak w podbitym kraju-grabiły, napadały i wymuszały bezprawne kontrybucje. Być może było w tych zarzutach trochę przesady, ale zapewne niewiele, bo na ogół tak się zachowywały ówczesne armie, a wojna trzydziestoletnia bynajmniej nie wpłynęła na złagodzenie obyczajów, wręcz przeciwnie. O determinacji przeciwników wojny najlepiej świadczy list otwarty Stanisława Lubomirskiego, który radził, aby ministrów popierających królewskie plany pociągnąć do odpowiedzialności sądowej, i wzywał szlachtę, aby siadała na koń i rozpędzała królewskie obozy wojskowe. Zapachniało więc rokoszem i trudno się dziwić, że nikt z ministrów i senatorów nie stanął po stronie króla. Ci, którzy przybyli na obrady (spora część wolała jednak nie

narażać się żadnej ze stron konfliktu i pozostała po prostu w domu),

jednomyślnie poparli posłów szlacheckich. A to przekreślało nadzieje króla na przeforsowanie swych zamierzeń.

W tej sytuacji król, choć niechętnie i z dużymi oporami, zaakceptował żądania szlachty i zdecydował się rozpuścić żołnierzy. Stracił przy okazji ponad 400 000 złotych pożyczonych na ten cel od królowej, gdyż szlachecki sejm ani myślał zgodzić się na zwrot pożyczki z funduszy publicznych. Niefrasobliwy król nie przejął się tym zbyt i skomentował to podobno stwierdzeniem: „Niech to tak będzie, żem ja te kilkakroć sto tysięcy kurwom moim rozdał”<sup>10</sup>.

Plany wojny z Turcją wzięły więc ostatecznie w łeb, ale rozbudzone nadzieje Zaporozców pozostały, a w konfrontacji z twardą ukraińską rzeczywistością zaczęły stawać się czymś w rodzaju lontu, w który król własnoręcznie uzbroił ukraińską minę. Kozacy bowiem, nie przejmując się zmianami, jakie zaszły w odległej Warszawie, kontynuowali przygotowania do wyprawy na ziemie tureckie i tatarskie: za pieniądze otrzy-

10 Pamiętniki Samuela i Bogusława Maskiewiczów (wiekXVII). Opracował, wstępem i przypisami opatrzył! A. Sajkowski. Redakcja i słowo wstępne W. Czapliński, Wrocław 1961, s. 234.

27

mane od króla budowali swoje czajki. Nie zważając też na konstytucje sejmowe, ograniczające liczebność rejestru, tworzyli nowe oddziały, czemu hetman polny

Mikołaj Potocki, przynajmniej częściowo wtajemniczony w plany królewskie, nie przeciwdziałał.

W sierpniu 1647 roku doszło do jeszcze jednego tajemniczego i nigdy do końca niewyjaśnionego wydarzenia, a mianowicie do podróży kanclerza na Ukrainę.

Oficjalnym powodem była inspekcja jego osobistych tamtejszych posiadłości.

Historycy jednak zgodni są co do tego, że był to jedynie pretekst. Jaki był więc faktyczny powód jego wyjazdu? Próbowano na różne sposoby rozwiązać tę zagadkę, ale jednoznacznych ustaleń nie zanotowano.

Najbliższe prawdy wydaje się stwierdzenie, że misja kanclerza miała na celu załatwienie dwóch spraw stanowiących de facto dwie strony tego samego równania.

Pierwszym powodem miała być kolejna próba pogodzenia dwóch zwalczających się zaciekle obozów religijnych. W styczniu 1647 roku zmarł prawosławny metropolita kijowski Piotr Mochyła (ojciec wspomnianej już Reiny Wiśniowieckiej, matki Jeremiego) i wydawało się, że jest to stosowny moment do podjęcia tego rodzaju misji.

Powód drugi wiązał się bezpośrednio z sytuacją polityczną Ukrainy, a konkretnie z nastrojami panującymi wśród Kozaków.

Ossolińskiemu przypadła więc najprawdopodobniej w udziale próba porozumienia się ze starszą kozacką i wysondowania jej zamiarów. Nie wiemy, z kim konkretnie spotkał się kanclerz koronny. Można jedynie przypuszczać, że były to, między innymi, osoby

uczestniczące w słynnej naradzie nocnej w apartamentach królewskich, a więc może również Bohdan Chmielnicki? Opierając się na relacji Gradzkiego, Ludwik Kubala twierdzi, że Ossoliński nie tylko spotkał się z Chmielnickim, ale również, przekazał mu, w imieniu króla, chorągiew, buławę i tytuł hetmański. To bardzo pociągająca i frapująca wizja wydarzeń, ale rację ma niewątpliwie J. Kaczmarczyk, zdecydowanie odrzucający ten pogląd. Rzeczywiście, w lecie 1647 roku Chmielnicki był, w najlepszym razie, postacią drugoplanową wśród starszyny (pełnił jedynie funkcję setnika pułku czehryńskiego, jednego z wielu setników kozackich) i obdarzanie go tak wielkimi zaszczytami nie było niczym uzasadnione".

" J. Kaczmarczyk, Bohdan Chmielnicki, Wrocław 1988, s. 34. 28

Nie zapominajmy również o tym, że lato 1647 roku to okres, w którym Chmielnicki miał mnóstwo problemów natury osobistej. W decydującą fazę wszedł wówczas jego konflikt z Danielem Czaplińskim (o którym obszerniej za chwilę), był oskarżony o zdradę państwa, przetrzymywany w areszcie, wręcz zagrożony karą śmierci. Czy w takiej sytuacji udałoby się ukryć przed oczami wrogów fakt wręczenia mu insygniów władzy? A jeśli je rzeczywiście otrzymał, dlaczego nie posłużył się nimi wówczas, gdy już zdecydował się na wywołanie powstania i starał się przeciągnąć na swą stronę siczowych Zaporozców? Byłby to przecież bardzo mocny, wręcz decydujący argument. Dlaczego też nie wspomina o tych faworach w dość

bogatej korespondencji, prowadzonej wówczas z Mikołajem Potockim? To jedynie część pytań i część zastrzeżeń, jakie budzi relacja Gradzkiego, spisana dopiero w roku 1655, a więc w zupełnie innej rzeczywistości niż ta, jaka istniała w 1647 roku. Najprawdopodobniej jest więc to jeszcze jedna legenda, w jakie obfituje bardzo niekompletny pod względem faktograficznym życiorys największego męża stanu Ukrainy.

Pozostawmy jednak tę kwestię na uboczu i pozwólmy sobie na stwierdzenie, że misja kanclerza nie przyniosła pozytywnych, a co najważniejsze, trwałych rezultatów. W ciągu najbliższych miesięcy miało się bowiem okazać, że król nie może już liczyć na lojalność swych kozackich partnerów.

Kończąc tę część rozważań, warto jeszcze raz powtórzyć, że swymi fantasmagoriami na temat wojny z Turkami Władysław IV uzbroił ukraińską minę w lont. A kto go podpalił?

Zaszczyt ten bez wątpienia należy przypisać Bohdanowi Chmielnickiemu. Poważni historycy, spoglądający na sprawy świata z wyżyn naukowego Olimpu, starają się nie zauważać personalnych uwarunkowań, ale i oni nie mogą uciec od stwierdzenia, że gdyby nie spór Bohdana Chmielnickiego z podstarościm Danielem Czaplińskim (doskonale zresztą pasujący do nakreślonego powyżej scenariusza) o Subotów i o „Helenę Ukraińską”, to wybuch powstania na Ukrainie - wprawdzie nieunikniony - nastąpiłby później i przybrałby, być może, skromniejsze rozmiary, bo na jego

czele nie stanąłby ten wielce utalentowany mąż stanu.

Zacznijmy jednak od początku, czyli od życiorysu Bohdana Chmielnickiego. Wbrew pozorom jest to zadanie bardzo trudne, gdyż w życiorysie tego największego męża stanu, jakiego wydała XVII-wieczna Ukraina,

29  
ina, jest, niestety, wiele białych plam. Dotyczy to zwłaszcza okresu, w którym przyszedł wódz największego w dziejach Ukrainy powstania był osobą mało znaną i pełnił dość podrzędne funkcje w strukturze Wojska Zaporoskiego.

Kłopoty zaczynają się już przy próbie ustalenia daty i miejsca urodzenia hetmana, faktów tych bowiem... nigdzie nie odnotowano. Sam Chmielnicki również o tym nigdy nie mówił. Na ogół przyjmuje się, że urodził się w 1595 roku w Czehryniu, ale jest to jednak tylko jedna z hipotez, oparta na informacji pochodzącej od posła weneckiego Mikołaja Sagredo.

Niewiele wiemy również o rodzinie Bohdana Zenobiusza, takie bowiem imiona dano na chrzcie przyszłemu hetmanowi. Ojciec miał na imię Michał i był przez pewien czas sługą hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Potem związał się z zięciem hetmana, Janem Daniłowiczem, i w jego imieniu sprawował rzędy podstarościńskie w Czehryniu. Imienia matki nie znamy i wiemy o niej jedynie to, że pochodziła z rodziny kozackiej.

Następnym problemem, do dziś nierozwiązanym i wzbudzającym nadal namiętne spory wśród historyków, jest kwestia pochodzenia społecznego Bohdana Chmielnickiego. A

konkretnie - był czy nie był polskim szlachcicem? Dziś kwestia ta może się nam wydawać mało istotna, wręcz marginalna. Ale w XVII wieku rzecz przedstawiała się inaczej. Wówczas odpowiedź na to pytanie miała kolosalne znaczenie. Poświęćmy więc tej sprawie chwilę uwagi. Chmielnicki twierdził, że należy do stanu szlacheckiego i w liście do Jana Kazimierza, pisanym 15 sierpnia 1649 roku, użył zwrotu: „(...) urodziwszy się urodzonym Chmielnickim”, a w XVII-wiecznej polszczyźnie zwrot ten oznaczał przyznanie się do szlachectwa. Używał też sygnetu z herbem Abdank do pieczętowania listów i uniwersałów. Można by więc uznać, że Chmielnicki należeli do wcale licznej na Ukrainie „skozaczo-nej” szlachty. Niestety, sprawa nie jest tak prosta, bo w herbarzach szlachty uprawnionej do używania tego herbu nie ma Chmielnickich. Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że w dwa lata po śmierci Bohdana Chmielnickiego sejm nobilitował jego syna, Jerzego, a przecież nie czyniłby tego, gdyby, podobnie jak ojciec, należał on do szlachty.

Czyżby więc hetman „poprawił” swój życiorys, przypisując sobie szlachectwo, do którego nie miał prawa? Być może, choć zastanawia fakt,

30

że nigdy żaden z braci szlacheckiej mającej prawo do herbu Abdank nie uczynił mu z tego powodu zarzutu. A przecież w dobie powstania ukraińskiego Polskę zalewała fala pism propagandowych, wśród których nie brakowało najzwyklejszych paszkwili,



przedstawiających i Kozaków, i samego Chmielnickiego w jak najgorszym świetle. Może więc rację ma Samuel Gradzki, który twierdzi, że ojciec Bohdana był szlachcicem skazanym na banicję i z tego tytułu pozbawionym szlachectwa? Do tezy tej zdaje się przychylić Janusz Kaczmarczyk, autor doskonałej biografii Bohdana Chmielnickiego. Jego zdaniem, Michał Chmielnicki opuścił w 1594 roku Żółkiew, przeszedł na służbę do Jana Daniłowicza i objął stanowisko podstarościego w Czehryniu, gdyż tam, w pobliżu Dzikich Pól, mógł nie dbać o wyroki sądów. Może i tak było naprawdę, choć osobiście mam pewne wątpliwości co do słuszności tego rozumowania, bowiem po pierwsze, pod opieką potężnego hetmana Żółkiewskiego mógł czuć się równie bezpieczny w Żółkwi, jak w Czehryniu, a po drugie, w 1620 roku widzimy Michała Chmielnickiego wraz z synem w armii Żółkiewskiego pod Cecora, gdzie poniósł śmierć w służbie Rzeczypospolitej. Nikt też nigdy nie wypomniał Bohdanowi Chmielnickiemu „grzechów” ojca (a musiałyby być one niemałe, jako że wyrokami banicji i infamii w tamtych czasach tak pochopnie nie szafowano). Kwestii szlachectwa rodziny Chmielnickich zapewne tu nie rozstrzygniemy, powróćmy więc do spraw lepiej nam znanych. Wiadomo, że przyszły wódz kozacko-ukraiński był, jak na owe czasy, człowiekiem nieźle wykształconym. Przez kilka lat uczęszczał do kolegium jezuickiego we Lwowie, gdzie ukończył klasy gramatyki, poetyki i retoryki. Dało mu to, oprócz innych wiadomości, niezłą znajomość

łaciny, która była wtedy językiem uniwersalnym i pełniła funkcję podobną do tej, jaką dziś pełni język angielski. Znajomość łaciny okazała się bardzo przydatna wówczas, gdy Chmielnicki stał się, może nie de iure, ale na pewno de facto, władcą Ukrainy, gdyż pozwoliła mu na rozmowy w cztery oczy, bez pośrednictwa tłumaczy, z posłami zagranicznymi. Jak wspomnieliśmy, w 1620 roku obaj panowie Chmielnicki, ojciec i syn, wzięli udział w wyprawie hetmana Stefana Żółkiewskiego do Mołdawii, przeciw wojskom tureckim. Michał Chmielnicki dowodził oddziałem ochotników, w którym służył również jego syn Bohdan. Wyprawa ta zakończyła się tragicznie nie tylko dla armii Rzeczypospolitej i jej dowód-  
31

??, ale również dla Chmielnickich. Michał Chmielnicki zginął pod Cecora, a Bohdan dostał się na dwa lata do niewoli tureckiej. W gruncie rzeczy jest to jedyna pewna informacja, gdyż nie do końca wiadomo, gdzie w ciągu tych lat niewoli przebywał. Nie wiemy również, w jaki sposób się z niej wydostał. Ze wzmianki na ten temat, uczynionej w liście do Jana Kazimierza, można wnioskować, że udało mu się uciec. Nie brak jednak badaczy dziejów hetmana, którzy są skłonni twierdzić, że został wykupiony. Może przez matkę, a może przez króla Zygmunta III w uznaniu zasług ojca? Po powrocie na Ukrainę Bohdan Chmielnicki osiadł na ojcowiznie, czyli w Subotowie nieopodal Czehrynia. Był to chutor zbudowany przez Michała

Chmielnickiego na ziemi darowanej prawdopodobnie przez Jana Daniłowicza. Majętność była niewielka, ale dość dobrze zagospodarowana. No, i pięknie położona nad Taśminą, na szczycie wysokiego jaru i dosłownie na skraju Dzikich Pól. Chmielnicki pomnożył stan swego posiadania dzięki umiejętnej gospodarce i, jak to często w życiu bywa, dzięki ożenkowi z Anną Somkówną Perejasławia, córką wzbogaconego na handlu Kozaka, Jakima Somka. Nie znamy daty ślubu, a wszelkie spekulacje na ten temat opierają się na fakcie, że najstarszy syn Chmielnickich, Tymofiej, urodził się w 1632 roku. Przyznajmy jednak, że słaba to podstawa do jakichkolwiek stwierdzeń. Nie wiemy również, czym przyszły hetman ukraiński zajmował się w latach poprzedzających ślub. Czy gospodarował wraz z matką tylko w Subotowie? A może szukał kariery na dworach magnackich? Podobno przez pewien czas był koniuszym u Mikołaja Potockiego. Podobno też jego karierę oficjalisty dworskiego przekreśliła sprzeczka z magnatem. Poszło rzekomo o ocenę ukończonej właśnie w tych latach twierdzy w Brodach. Na pytanie Potockiego, co sądzi o fortyfikacji, Chmielnicki udzielił ponoć filozoficznej odpowiedzi: „Myłosti pana, ręka ludzka zbudowała, ręka ludzka może zepsować”. To zdanie podobno doprowadziło Potockiego do takiej furii, że chciał własnoręcznie ściąć zuchwalca. Powstrzymał się jednak (czego, jeśli historyjka ta jest prawdziwa, pewnie później bardzo żałował) i

ograniczył się do wygnania go z dworu, co zresztą niezbyt zaszkodziło Bohdanowi, który starym szlakiem i zwyczajem uszedł na Zaporozże i wziął udział w wyprawie kozackiej na Krym.

Czy tak było naprawdę? Mało prawdopodobne, choćby dlatego, że Brody nie należały do Mikołaja Potockiego, lecz do Stanisława Koniec-  
32

polskiego. A poza tym wyobraźmy sobie wielkiego magnata, który wypytuje swego koniuszego o opinię na temat twierdzy! Cała historia jest więc prawie na pewno anegdotą, która powstała wówczas, gdy Chmielnicki był już wielkim mężem stanu i rzucał mroczny cień na całą Rzeczpospolitą.

Wespazjan Kochowski zresztą twierdzi, że wydarzenie to miało miejsce nieco później i dotyczyło nie twierdzy w Brodach, a Kudaku. I że rozmówcą Chmielnickiego w tej relacji był nie Mikołaj Potocki, a właśnie Stanisław Koniecpolski.

Niewykluczone jednak, że Chmielnicki rzeczywiście wziął udział w wojnie domowej na Krymie, w którą wmieszali się Kozacy, popierając Sza-hin Gereja. Jest to bardzo prawdopodobne; wszak uczestniczyli w niej praktycznie wszyscy członkowie bractwa, dlaczego więc nie miałyby tego uczynić Chmielnicki?

Tak czy inaczej, kariera dworska nie udała się Bohdanowi i po powrocie z Krymu (jeśli oczywiście był tam) pędził żywot człowieka poczciwego, drobnego właściciela ziemskiego. Szło mu nieźle. Jak wynika z jego własnych słów, posiadał „(...) cztery stawki rybne i młyn, niwy, zako-py, sianożeci...”, a

także zapasy zboża oraz sporą hodowlę koni, bydła i owiec. Wszystko razem wartości około 1000 florenów<sup>12</sup>. Urodziła mu się również spora gromadka dzieci. Cztery córki - Katarzyna i Stefanida (imion dwóch pozostałych, niestety, nie znamy) i dwóch synów - wspomniany już Tymofiej, urodzony w 1632 roku, oraz Jerzy, który przyszedł na świat w roku 1640 lub 1642. Nie wiemy, co działo się z Chmielnickim w „gorących” latach 1637-1638, wszystko jednak wskazuje na to, że nie brał bezpośredniego udziału w buntach Pawluka, Ostrzanina, Huni i Putywlca. Wniosek taki można wysnuć na podstawie listu Chmielnickiego do Jana Kazimierza, w którym m.in. znalazł się taki oto ustęp: „(...) do tych sędziwych lat moich nie byłem w żadnej rebelliej przeciwko Majestatowi WKMci, Panu memu Miłościwemu”<sup>13</sup>. Wprawdzie Chmielnicki do ludzi prawdomównych raczej się nie zaliczał i, zwłaszcza w sprawach politycznych, dość często mijał się z prawdą, ale tym razem można mu chyba wierzyć, dysponujemy bowiem dowodami potwierdzającymi prawdziwość jego słów.

<sup>12</sup> Dokumenty Bohdana Chmelnyćkoho, wyd. I. Krypjakewycz, I. Butycz, Kijów 1961, nr 1, s. 24-25.

<sup>13</sup> Dokumenty, op. cit., nr 65, s. 122-123.

33

Jednym z nich jest dokument kapitulacji, podpisany po stłumieniu powstania Pawluka przez przedstawicieli Wojska Zaporoskiego. Widnieje pod nim m.in. podpis Bohdana Chmielnickiego, pisarza tegoż wojska. Potwierdza to tezę o

„bezgrzeszności" Bohdana, gdyż zajęcie tak wysokiego stanowiska w hierarchii Wojska Zaporoskiego byłoby niemożliwe bez aprobaty hetmana Koniecpolskiego, a trudno sobie wyobrazić, by wyraził on jaw stosunku do aktywnego członka buntu. Na pewno też nie wziął Chmielnicki udziału w tłumieniu powstania, walcząc po stronie wojsk Rzeczypospolitej. Gdyby tak było, miałyby później ogromne problemy ze zdobyciem zaufania Zaporozców i niewątpliwie spotkałby się z ich strony z zarzutami zdrady. Jest zatem wielce prawdopodobne, że zachował wówczas zupełną neutralność, nie angażując się po żadnej ze stron. Dlaczego tak postąpił? Nie wiemy. Może dlatego, że nie miał zaufania do talentów politycznych i wojskowych przywódców tych powstań i nie chciał brać udziału w sprawie, którą uważał za przegraną? A może należał do tej części starszyny kozackiej, która czuła się związana z Rzeczypospolitą, starała się być wobec niej lojalna i w oparciu o istniejący porządek rzeczy próbowała budować przyszłość własną i Ukrainy? Niestety, na te pytania jak dotąd nie znaleziono odpowiedzi.

Chmielnicki brał również udział w dwóch poselstwach kozackich, wysłanych do Warszawy w celu prześlągnięcia sejmowi i złagodzenia represji, jakie miały spaść na pokonanych Kozaków. Można być raczej pewnym, że nie brali w nich udziału ludzie, na których ciążył zarzut uczestnictwa w buncie. Oba poselstwa kozackie niczego wprawdzie nie osiągnęły i nie zostały nawet przyjęte przez izbę poselską, ale

pozwoili hetmanowi otrzeć się o wielk politykę i, być może, zetknc się po raz pierwszy z królem. Być może m.in. dlatego w kilka lat później brał on udział w delegacji, która w trakcie tajnych obrad w apartamentach królewskich omawiała udział Kozaków w wojnie przeciw Tatarom i Turcji. Sprawowanie funkcji pisarza i udział w poselstwach świadczą równieź o tym, że Chmielnicki był popularny wśród braci Kozaków, musiał więc po powrocie z niewoli tureckiej dbać nie tylko o pomnażanie dobytku (i rodziny), ale równieź o swoj karierę w bractwie zaporoskim. Mimo tych starań jednak, gdy po uśmierzeniu buntu Ostrzanina i Huni Mikołaj Potocki wręczał Kozakom nominacje, Chmielnicki utracił swe dotychczasowe stanowisko pisarza Wojska Zaporoskiego i został jedynie setnikiem czechryńskim. Jest to zreszt koronny argument, podnoszony przez

34

tych badaczy, którzy kwestionuj szlacheckie pochodzenie Bohdana. Twierdzą oni bowiem, że gdyby Chmielnicki był szlachcicem i rzeczywiście pieczętował się herbem Abdank, to zachowałyby zapewne swe stanowisko pisarza Wojska Zaporoskiego. Pewnej racji odmówić im nie można, bo, jak pamiętamy, konstytucja sejmowa z 1638 roku nie tylko stanowiła, że Kozacy znajdujący się poza rejestrem mająbyć traktowani jak pańszczyźniani chłopi, ale równieź starała się „okiełznać” Kozaków rejestrowych, rezerwujc dla szlachty wszystkie wyższe stanowiska. Postanowiono w niej bowiem, że jedynie „setnicy i atamani, ci mająbydź z Kozaków

samych, dobrze nam ? Rzpltey zasłużonych ludzi rycerskich, obierani".

Jeśli więc Chmielnicki, mimo swej lojalności wobec władz, a jednocześnie zaufania, jakim cieszył się w bractwie, stanowisko pisarza Wojska Zaporoskiego utracił, to mogło się tak stać jedynie dlatego, że nie potrafił dowieść swej przynależności do stanu szlacheckiego.

Z drugiej jednak strony, jeśli fakt nieszlacheckiego pochodzenia Chmielnickiego był w istocie tak powszechnie znany, to czyż narażałby się on na zarzut kłamstwa, tytułując się szlachcicem w liście do króla? Pisał go przecież w 1649 roku, będąc wodzem powstania, które wstrząsnęło Rzeczpospolitą, postacią znaną w całej Europie, utrzymującą ożywione kontakty dyplomatyczne z wieloma państwami. Czyż zaryzykowałby w tej sytuacji popełnienie tak oczywistego i łatwego do zweryfikowania kłamstwa? Z dawien dawna przecież wiadomo, że od wielkości do śmieszności jest jeden, czasem bardzo niewielki krok. Dlaczego więc miałyby się narażać na śmieszność, używając bezprawnie tytułu „urodzonego”? Przyznajmy, że tkwi w tym jakaś zagadka, która frapuje, a którą z dzisiejszej perspektywy i wobec znikomości danych trudno rozwiązać.

Mianowanie na stanowisko setnika zdaje się natomiast rozstrzygać kwestię udziału w powstaniach, gdyby bowiem Chmielnicki brał udział w którymkolwiek, to nie byłby zaliczany do ludzi „dobrze nam ? Rzpltej zasłużonych" i setnikiem raczej by nie został.



Czas teraz na zaprezentowanie towarzyszek życia Chmielnickiego, kobiety, która wywarła ogromny i, powiedzmy to od razu, fatalny wpływ na jego losy.

Na imię miała Helena, niektórzy biografowie Chmielnickiego zwali ją też Kresową.

Podobno była równie piękna, jak jej starożytna imienniczka i, podobnie jak tamta, stała się przyczyną wojny i rzezi. Do zrobienia  
35

„kariery” historycznej, takiej jak ta, która stała się udziałem Heleny

Trojańskiej, naszej Helenie Kresowej (lub, jak kto woli, Ukrainkiej) zabrakło

tylko jednego - piewcy jej uczynków na miarę Homera. Dlatego pamięć o niej

zagięła w pomroce dziejów i dziś znana jest jedynie wąskiemu -niestety -

kręgowi ludzi interesujących się dziejami XVII-wiecznej Ukrainy. A i to

niektórzy z nich, jak np. W. Serczyk, wręcz podejrzewają, że nie była ona

kobietą z krwi i kości, a jedynie wymysłem siedemnastowiecznych plotkarzy. Uważa

on, że współcześni, nie mogąc sobie poradzić z wyjaśnieniem niejasnych dla nich

przyczyn konfliktu Chmielnickiego z Danielem Czaplińskim, podstarościm

czehryńskim, wprowadzili do dziejów Ukrainy i Rzeczypospolitej fikcyjną taką

właśnie femme fatale. Widocznie nie tylko Francuzi wyznają zasadę, że

praprzyczyną konfliktów między mężczyznami zawsze musi być kobieta! Nasi

przodkowie myśleli widocznie podobnie. Ale pozostawmy te dywagacje na uboczu i

przypomnijmy to, co przynajmniej część historyków uważa za fakty.

Nasza bohaterka pojawiła się w okolicach Czehrynia wiosną 1647 roku. Podobno nazywała się Komorowska. Nie znamy, niestety, jej wcześniejszych losów, nie wiemy, skąd przybyła i dlaczego.

W tamtych czasach, na burzliwym i „płonącym” pograniczu Dzikich Pól, kobiet, zwłaszcza urodziwych i stanu wolnego, nie było wiele, nic więc dziwnego, że do naszej bohaterki zapalało uczuciem aż dwóch panów - Chmielnicki i wspomniany już Daniel Czapliński. Początkowo szczęśliwszym zalotnikiem okazał się Chmielnicki (który wówczas był już wdowcem) i Helena zamieszkała w Subotowie.

Szczęście jednak nie trwało długo, gdyż Czapliński nie miał zamiaru zrezygnować z walki o wdzięki Heleny, a w dodatku, używając terminologii sportowej, walczył nieczysto, wręcz pozwolił sobie na faul. A mówiąc konkretnie, wykorzystał swe stanowisko i poparcie ze strony młodego Aleksandra Koniecpolskiego, najechał Subotów z „głodnym ludem”, a więc najprawdopodobniej z chłopami, i... wygnał Chmielnickiego (który, nawiasem mówiąc, chyba rzeczywiście nie posiadał formalnego tytułu własności Subotowa). Wydaje się zresztą, że panowie mieli ze sobą na pieńku już wcześniej i rywalizacja o kobietę była jedynie kroplą, która przelała dzban.

Chmielnicki poniósł poważne straty materialne, jego syn Tymofiej został bestialsko pobity przez służbi Czaplińskiego (Jasienica twierdzi, że pan Daniel miał skłonności sadystyczne i osobiście zajmował się torturo-

waniem chłopów), a w dodatku utracił ukochaną. Helena Kresowa zmieniła bowiem obiekt uczuć i wkrótce została żoną Czaplińskiego. No cóż, nie od dziś wiadomo, że kobieta zmiennajest... Chmielnicki protestował, skarżył się m.in. hetmanowi Mikołajowi Potockiemu, ale zyskał jedynie to, że rozwścieczony Czapliński postanowił pozbyć się rywala raz na zawsze (Chmielnicki twierdził potem, że zamach na jego życie miał miejsce w czasie starcia z Tatarami pod Czeh-ryniem, kiedy to ciał go szablą w kark polski żołnierz, pan Daszewski). Gdy plan ten się nie powiódł, postanowił wyeliminować rywala, oskarżając go o zdradę stanu, a konkretnie o przygotowywanie zabronionej przez prawo „chadzki” na Morze Czarne. Powiedzmy od razu, że była to prawda. Chmielnicki rzeczywiście czynnie uczestniczył w przygotowywaniu kozackich czajek, tyle tylko że nie czynił tego z własnej inicjatywy. Przypomnijmy, że był on jednym z uczestników tajnych narad odbywających się na zamku królewskim w Warszawie. Uzgodniono wówczas udział Kozaków w planowanej przez Władysława IV wojnie tureckiej i to, co robił Chmielnicki (a także inni Kozacy), było jedynie realizacją tych postanowień. Czy chorąży Aleksander Koniecpolski wiedział o królewskich planach? Zapewne nie. Nic więc dziwnego, że łatwo uległ namowom swego pod-starościego i wydał nakaz aresztowania i surowego ukarania Chmielnickiego. Nie miał wprawdzie do tego

żadnego prawa, gdyż Chmielnicki, jako Kozak rejestrowy, podlegał wyłącznie jurysdykcji hetmańskiej, ale któżby na „pięknej i bujnej” Ukrainie przejmował się takimi drobiazgami... Zwłaszcza jeśli można było w ten sposób definitywnie rozstrzygnąć nabrzmiewający już od kilku miesięcy konflikt.

Uprzedzony o wydanym nakazie aresztowania Chmielnicki starał się nadal działać legalnie i szukał schronienia u hetmana Potockiego, ale po drodze wpadł w zasadzkę i został osadzony w więzieniu. W tym momencie życie największego męża stanu, jakiego wydała siedemnastowieczna Ukraina, zawisło na włosku. Od grożącej mu kary śmierci wybroniło go jedynie wstawiennictwo jego zwierzchnika, a jednocześnie kuma, Stanisława Michała Krzyczewskiego (Krzeczewskiego?). Poręczył on za swego powinowatego i w ten sposób wyjednał zwolnienie go z więzienia.

W sumie była to banalna historia, jakich wiele rozgrywało się wówczas na Ukrainie, nie bez powodu nazywaną „ziemią krwi i przemocy”,

37

krajem, w którym człowiek skrzywdzony, jeśli był Ukraińcem lub Kozakiem, nie miał najmniejszej szansy, aby wykazać swe racje i osiągnąć „legalną” sprawiedliwość. Mógł tylko, jeśli miał dość siły, „gwałt odeprzeć gwałtem”.

Władysław IV zdawał sobie z tego sprawę i dlatego skarżącym się na krzywdy i niesprawiedliwość posłom kozackim odpowiadał podobno przewrotnie: „A to szabel nie macie przy boku?!”.

Prawdopodobnie sprawa między Chmielnickim a Czaplińskim skończyłaby się jak wiele innych, do niej podobnych. Może jeszcze jednym „zajazdem”? Może kolejnymi zamachami na życie, z których jeden mógł się wreszcie okazać skuteczny? O tym, że tak się nie stało, ?? decydował postawiony Chmielnickiemu zarzut zdrady stanu. Czy mógł próbować udowodniać swą niewinność, odwoływać się do „wyższych instancji”? Teoretycznie tak, w praktyce mogło się to jednak skończyć „pośmiertnym” przyznaniem mu racji. Podobno zresztą Chmielnicki po wyjściu na wolność miał zamiar pójść tą drogą, ale mu to odradzono. Jeśli tak było rzeczywiście, świadczyłoby o jego głębokim przywiązaniu do idei legalizmu. A to byłby zaiste ciekawy rys charakteru u przyszłego buntownika!

W tej sprawie istniał jeszcze jeden aspekt, na który warto zwrócić uwagę. Otóż tym razem krzywda dotknęła członka starszyny kozackiej, człowieka do tej pory - jak wszystko na to wskazuje - lojalnego wobec władz Rzeczpospolitej, dopuszczanego do najtajniejszych planów króla. Można oczywiście twierdzić, że takie rzeczy zdarzały się, zdarzają i będą zdarzać się zawsze i wszędzie. To prawda. Ale mądre władze powinny starać się temu przeciwdziałać; w przeciwnym razie ofiary z konieczności sięgną do pozaprawnych metod i z konieczności staną się wrogami istniejącego systemu. Zwłaszcza w tak napiętej sytuacji, w jakiej znalazła się Ukraina, mądre, przewidujące i zapobiegliwe władze nie powinny

zrażać do siebie ludzi pokroju Chmielnickiego, cieszących się sympatią i autorytetem w kołach - nazwijmy to - opozycyjnych, a równocześnie skłonnych do współpracy z władzą, gotowych na kompromis i lojalnych.

Oczywiście daleki jestem od myśli, że gdyby losy Bohdana Chmielnickiego potoczyły się inaczej, gdyby pozwolono mu żyć spokojnie w Subo-towie u boku (albo i nie) „boskiej Heleny”, to na Ukrainie nie doszłoby do kolejnego zrywu.

To, oczywiście, nieprawda. Jednostka, nawet tak wybitna jak Chmielnicki, nie ma aż tak ogromnego wpływu na dzieje narodu. Ukraina była „skazana” na kolejne powstanie z powodu długiego rejestru błędów popełnionych przez Rzeczpospolitą.

Podobnie zresztą

38

argumentował również sam Chmielnicki, odpierając zarzut, że dla „prywaty” wywołał bunt i sprowadził nieszczęście na całe państwo.

Mina wybuchnęłaby więc tak czy inaczej, ale gdyby nie krzywdy -wyrządzone, prawdę mówiąc, nie przez Czaplińskiego, bo on był w gruncie rzeczy nikim, ale przez magnatów reprezentujących władzę - to lont podpaliłby kto inny, a wówczas nie byłoby to z pewnością powstanie Chmielnickiego. A to już zasadnicza różnica.

Jednostka nie może wprowadzić - dla pomszczenia swych prywatnych krzywd - wywołać powstania narodowego, ale może przyśpieszyć jego wybuch, a jej talenty militarne i dyplomatyczne mogą zadecydować o jego rozmiarach i skutkach. No, a Chmielnicki

okazał się człowiekiem bardzo zdolnym. Nie mogącemu liczyć na sprawiedliwość Chmielnickiemu pozostała tylko jedna droga - na Zaporozże. W końcu więc zdecydował się na ucieczkę, a poprzedziła ją podobno intryga rodem z powieści Dumasa. Wspominają ją wszyscy biografowie Chmielnickiego i badacze dziejów XVII-wiecznej Ukrainy, przytoczmy więc ją i my.

Rzecz cała rozegrała się w początkach grudnia 1647 roku. Wówczas to przygotowujący się (oczywiście potajemnie) do wyjazdu na Dzikie Pola Chmielnicki postanowił zaopatrzyć się w listy i dokumenty królewskie, nadające Kozakom daleko idące przywileje i zachęcające ich do wojny z Turcją. Jak pamiętamy, wręczył je delegacji kozackiej Władysław IV, a przechowywał je u siebie esauł kozacki Barabasza, postać pierwszoplanowa wśród starszyny Wojska Zaporoskiego i jeden z uczestników pamiętnych tajnych narad z Władysławem IV. Aby zdobyć listy, Chmielnicki musiał je więc po prostu wykraść. Stało się to w trakcie uczyty, którą wydał dla swych przyjaciół w Czehrynie. Oddajmy jednak głos nieznanemu nam z nazwiska autorowi Diariusza czy to kroniki o początkach rebelii kozackiej, który rzecz całą opisał tak: „Upoili Barabasza w iedney Pasiece, któremu chustkę wyciągnawszy z kieszeni, posłali do iego żony. Day do rady przywileye: białogłowa uwierzyła chustce. Przywileje wydała, a oni znowu chustkę do kieszeni Barabasza włożyli. Przywileje Chmielnicki zabrał do siebie. O czym Barabasza ? do

domu powróciwszy, nic nie wie o tych Przywilejach, które ? w krótkim czasie w zapomnienie poszły"14. Czy tak było naprawdę?

Wielu history-

14 Pierwszy okres buntu Chmielnickiego w oświeceniu uczestnika wyprawy żółto-wódzkiej i naocznego świadka wypadków, wyd. I. E. Chrzaszcz, Lwów 1936, s. 260.

39

ków sądzi, że nie, że to tylko kolejna legenda, ubarwiająca życiorys hetmana kozackiego. Być może. Nie ulega jednak wątpliwości, że Chmielnicki po przybyciu na Zaporozie posiadał jakieś dokumenty wystawione przez Władysława IV. Jeśli więc nawet historia z Barabaszem jest tylko legendą, to zapewne ma ona, jak zresztą

wszystkie legendy, swoje racjonalne jądro.

Powiedzmy też od razu, że ta opowieść doskonale pasuje do charakteru Chmielnickiego, który już wkrótce miał zasłynąć nie tylko w Rzeczpospolitej, ale dosłownie w Europie jako mistrz intryg, podstępów i zasadzek.

Jeszcze tej samej nocy, w której odbyła się rzeczona pożegnalna uczta, Chmielnicki z kilkunastoma towarzyszami uciekł na Niż. W taki to sposób

zakończył się okres „złotego pokoju” dla Ukrainy i całej Rzeczpospolitej, a

rozpoczął się czas powstania, które miało ostatecznie zdecydować o losach obu państw.

Początek wojny o Ukrainę

Dyplomacja i szabla

Ucieczka Chmielnickiego pod koniec 1647 roku na Zaporozie była zatem początkiem



końca „złotego pokoju” na Ukrainie, choć zapewne niewielu uczestników i obserwatorów zdawało sobie wówczas z tego sprawę. Trudno zresztą się temu dziwić, gdyż mniejszych lub większych ucieczek na Zaporozże w owym czasie nie brakowało; wręcz przeciwnie, były one zjawiskiem powszednim, a Chmielnicki nie zaliczał się przecież jeszcze wówczas do postaci pierwszoplanowych, można więc było sądzić, że jego ucieczka zakończy się podobnie jak wiele innych - niczym. Nie przejmowano się więc nadmiernie tym, z pozoru drobnym, incydentem ani w Kijowie czy też innych miastach ukraińskich, ani też w obozach armii koronnej na Ukrainie. Nie wiemy, kiedy pierwsze informacje o niej dotarły do Warszawy, ale i tak stolica zajmowała się wówczas inną tragedią. 9 sierpnia 1647 roku zmarł bowiem ośmioletni syn Władysława IV, Zygmunt Kazimierz, i zarówno dwór królewski, jak i stolica kraju wciąż jeszcze nie mogły otrząsnąć się po tej nagłej, nieoczekiwanej stracie, zwłaszcza że w przekonaniu ogółu był to prawie stuprocentowy kandydat na przyszłego władcę Rzeczypospolitej.

W każdym razie autor bardzo rzetelnego, chronologicznie prowadzonego Pamiętnika o dziejach w Polsce, kanclerz litewski Albrycht S. Radziwiłł, pierwszą wzmiankę na temat Chmielnickiego i wydarzeń ukraińskich zamieścił dopiero w informacjach majowych z 1648 roku, przytaczając, miejscami zresztą niedokładnie, relację z pierwszego większego starcia między wojskami koronnymi a buntownikami, znanego w

historii pod nazwą bitwy pod Żółtymi Wodami. Nie wiemy nawet, czy ze wszystkich następstw swego ruchu zdawał sobie sprawę sam Chmielnicki. W momencie ucieczki nie był już człowiekiem młodym, gdyż miał około pięćdziesięciu lat, co oznacza, że

41

wedle ówczesnych standardów zbliżał się do sędziwego wieku. Doświadczenia mu nie brakowało, niewątpliwie więc był świadom tego, że dla niego osobiście rozpoczęła się walka o być albo nie być, ale czy miał świadomość, że wyzwanie, które rzucił Rzeczpospolitej, spowoduje efekt domina i że na jego oczach i za jego sprawą runie w gruzy cały znany mu porządek świata? Można w to poważnie wątpić. Planami wszystkich stron rozwijającego się konfliktu zajmiemy się zresztą później, teraz natomiast zaprezentujemy pokrótce przebieg pierwszych tygodni i miesięcy konfliktu.

Wszystko zdaje się wskazywać na to, że Chmielnicki podróżował rzeką, raczej wolno, zatrzymując się w nadbrzeżnych wioskach i agitując ich mieszkańców, aby przyłączyli się do jego oddziału. Prawdopodobnie z zaciekawieniem i zrozumieniem słuchano jego opowieści o krzywdach, których doświadczył. Chmielnicki był wszak postacią znaną wśród Zaporozców, a historia jego życia i wezwanie do podjęcia walki z kresowymi „paniętami”, dzierżawcami, oficjalistami i żydowskimi arendarzami, trafiała na podatny grunt. Zimą 1648 roku gotowych do walki z panującym systemem było wielu, nie tylko wśród Kozaków, ale również wśród

chłopów, owej „czerni”, której tak bardzo obawiał się Mikołaj Potocki. Brakowało jedynie impulsu, człowieka, który miałby odwagę rzucić hasło powstania. Apele Chmielnickiego nie mogły więc pozostać bez echa, zwłaszcza że - być może - dysponował on królewskimi przywilejami. My oczywiście wiemy, że zostały one wydarte z pogwałceniem praw Rzeczypospolitej, nielegalnie, a w zmienionej sytuacji politycznej straciły jakiegokolwiek znaczenie. Ale dla prostego Kozaka i chłopu ukraińskiego były one dowodem na to, że dobry król pragnie spełnić marzenia swego ludu, ale źli urzędnicy i jeszcze gorsi kresowi panowie nie pozwalają mu na to. Należy więc walczyć z nimi w imię króla, wręcz w jego obronie. Bajka o dobrym, sprawiedliwym królu i złych doradcach i urzędnikach powtarza się na kartach historii nie tylko naszego kraju wielokrotnie i zazwyczaj wywołuje podobne skutki. Apele Chmielnickiego przyniosły więc zamierzony rezultat i zbuntowany oddział powiększał się systematycznie, ale trudno uznać, że był to ruch żywiołowy, że same z siebie garnęły się do niego setki i tysiące... Nie był to w każdym razie efekt kuli śniegowej, która tocząc się, pociąga za sobą lawinę, wszystko raczej wskazuje na to, że do zbuntowanego oddziału przyłączały się szczególnie zdesperowane lub z natury awan-

42

turnicze jednostki. No cóż, strach przed zwycięskimi wojskami koronnymi i

twardymi represjami wciąż jeszcze był na Ukrainie ogromny.

Tak czy inaczej, w momencie przybycia w okolice Syczy oddział Chmielnickiego liczył podobno od 300 do 500 osób. Mało to było czy dużo? Oddajmy głos hetmanowi Potockiemu, który w liście do Władysława IV tak oceniał powstałą sytuację: „Mała się to rzecz widzi, na początku buntów 500 człeka (z tego należy wnioskować, że hetman, pisząc list, miał dość dobre i dokładne informacje o tym, co działo się na Zaporozżu w pierwszych tygodniach 1648 roku - przyp. autora), gdy jednak kto uważy, z jakiej potuchy w jaką nadzieję bunt podniesiono, że rzecz była nie najgorszym ruchem przeciwko 500 ruszyć, bo ci z konspiracji wszystkich pułków kozackich wszyskkiej Ukrainy bunt podnieśli"1. To bardzo rozsądny, chciałoby się rzec - rozumny list. Szkoda, że dalsze postępowanie hetmana nie zasługuje już na taką pochwałę.

Na Zaporozżu nie było poważniejszych sił koronnych. Stacjonował wprawdzie w okolicy Chortycy oddział dragonii, ale powstańcom, wspartym Kozakami mieszkającymi na wyspie Tomakówka (zwanej również Buckiem), udało się go wyprzeć, jeśli nie zupełnie unicestwić. Natomiast Kozacy rejestrowi, zwłaszcza z pułku Krzyczewskiego (Krzeczewskie-go?), pełniący służbę na Zaporozżu, działali przeciw powstańcom opieszale i raczej dość niechętnie, choć wciąż jeszcze pozostawali lojalni wobec państwa.

Buntownikom sprzyjał również teren, na którym działali. Przypominam, że w

tamtych czasach i w tamtych okolicach na Dnieprze było mnóstwo mniejszych i większych wysp i wysepek, porośniętych szuwarami i tworzących prawdziwie niedostępny labirynt. W razie konieczności powstańcy mieli więc gdzie się ukryć i przeczekać ewentualną akcję pacyfikacyjną wojsk koronnych. A w tym czasie rzucone przez nich hasła zataczałyby coraz szersze kręgi, jak fale w stawie, do którego wrzucono kamień, doprowadzając wreszcie do wybuchu buntu na tyłach wojsk koronnych. Na to liczył Chmielnicki i tego bał się hetman Potocki.

1 Jakuba Michałowskiego wojskiego lubelskiego a później kasztelana bieckiego księga pamiętnicza z dawnego rękopisma będącego własnością Ludwika hr. Morsztyna wydana staraniem i nakładem ?. ?. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, Kraków 1864, s. 6.

43

Ówczesna Sicz znajdowała się na przyłądku Mykityn Róg, ale nie ona stała się siedzibą powstańców, lecz wspomniana ?? Tomakówka, na której znajdowała się stara Sicz, zniszczona w 1593 roku przez Tatarów.

Przeprowadzając wspomnianą akcję przeciw dragonii, Chmielnicki „oczyścił” teren Zaporozża i zapewnił sobie na pewien czas bezpieczeństwo, ale równocześnie spalił za sobą ostatnie mosty.

Teraz pozostała mu już tylko jedna droga, droga walki z Rzeczpospolitą.

Przystępował do niej spokojnie i rozważnie, bez nieprzemyślanych, spektakularnych gestów. Nie będąc pewnym sukcesu, nie pokusił się o zdobycie

Siczy. Z tego też samego powodu nie zwołał natychmiast zgromadzenia braci Siczowców i nie postawił swej kandydatury w wyborach na hetmana Wojska Zaporoskiego. Wybory takie miały wprowadzić, jak pamiętamy, wielce demokratyczny charakter, ale dla pokonanych mogły mieć tragiczne następstwa. Dla Chmielnickiego przegrana, w najlepszym przypadku, oznaczałaby odejście w polityczny i militarny niebyt, a wówczas pozostałoby mu szukanie schronienia za granicą, w Rosji, wśród braci Kozaków dońskich. Oczywiście, jeśli zdążyłby ująć przed pacyfikacyjnymi oddziałami koronnymi. A w najgorszym? No cóż, na Siczy mało kto dożywał sędziwego wieku i kończył żywot naturalną śmiercią...

Chmielnickiemu potrzebny był więc spektakularny sukces, dlatego, pobrzękując od czasu do czasu szablą, rozpoczął równocześnie grę dyplomatyczną, w której, jak wiemy, okazał się mistrzem i która również w przyszłości miała mu przynieść wiele korzyści (choć ostatecznie stała się jego przekleństwem i pogrążyła ruch, który on sam zapoczątkował).

Grę tę Chmielnicki prowadził początkowo na dwóch polach. Pierwszym z nich była korespondencja z hetmanem koronnym Mikołajem Potockim, którego w ten sposób starał się powstrzymać od natychmiastowych działań przeciw oddziałowi buntowników. Było to ważne, gdyż początkowo Potocki zachowywał się bardzo energicznie i zdecydowanie. Już 20 lutego wydał uniwersał, w którym nakazywał

wszystkim Kozakom nie tylko zakończenie buntu, ale również pojmanie i wydanie stronie polskiej Chmielnickiego. W razie nieposłuszeństwa groził: „(...) jeżeli tej mojej woli nie wykonacie, wszystkie dostatki wasze, które we włości macie, zabrać, a żony, dzieci wyścinać każę”<sup>2</sup>. Była to wyraźna zapo-

<sup>2</sup> Dokumenty ob oswoboditielnej wojnie ukrainskiego naroda 1648-1654, Kijów 1965, nr 3, s. 15.

44

wiedź zastosowania odpowiedzialności zbiorowej wobec rodzin uczestników powstania, podobna do tej, jaką zapowiadał uniwersał Stanisława Koniecpolskiego podczas powstania Pawluka. Groźbom Potockiego towarzyszyły ruchy wojsk koronnych, które opuściły zimowe kwatery wokół Baru i przesunęły się w kierunku Korsunia. Można by więc sądzić, że Potocki docenił wagę wydarzenia, jakim było przybycie na Niż Chmielnickiego i rozpoczęcie przez niego działań przeciw Rzeczypospolitej. Były to jednak w znacznej mierze jedynie pozory. W rzeczywistości bowiem hetman Mikołaj Potocki lekceważył rozpoczęte powstanie, o czym świadczy inny ustęp z korespondencji hetmana z królem: „Dotąd jeszcze Kozacy żadnej krwi krople od wojsk WKMci nie uronili i nie uronia”. W tych słowach pobrzmiewa zadufanie i pewność siebie człowieka, który dzięki zwycięstwom odniesionemu dziesięć lat wcześniej pod Kumejkami uwierzył zarówno w swą szczęśliwą gwiazdę, jak i w swój ogromny talent militarny.

Można zresztą zadać w tym miejscu pytanie - w jaki to sposób głównodowodzący wojsk koronnych zamierzał stłumić rodzące się powstanie? Siłą perswazji? Samą groźbą represji i konfiskat? Jeśli tak, to popełnił pierwszy z całej serii błędów. Represji majątkowych obawiać się mogli co najwyżej zamożni Kozacy, ale po Kumejkach i po klęskach roku 1638 większość starszyzny początkowo i tak niezbyt wierzyła w sukces powstania i akcji Chmielnickiego przyglądała się raczej bez entuzjazmu. A prości, szeregowi Kozacy i „czerń” ukraińska? Cóż oni mieli do stracenia? W rzeczywistości więc uniwersał bardziej jątrzył, niż odstraszał. Dwa wieki później „bóg wojny” Bonaparte twierdził, że dlatego wygrywa bitwy i kampanie, gdyż swych przeciwników traktuje jakby każdy z nich był geniuszem wojskowym i stara się przewidzieć każde ich posunięcie. Mikołaj Potocki w 1648 roku postąpił wręcz odwrotnie: potraktował Chmielnickiego i Kozaków jak niedorosłe dzieci, które przestraszą się gniewu ojca. Uspokajająca korespondencja przywódcy buntowników trafiała więc na podatny grunt. W pierwszym ze znanych nam listów Chmielnicki eksponował przede wszystkim własne krzywdy i nimi tłumaczył swoją decyzję ucieczki na Zaporże. W drugim rozszerzył nieco argumentację i wypomniał władzom Rzeczypospolitej krzywdy, które dotknęły całe Wojsko Zaporoskie, podkreślając równocześnie, że powstańcy nie mają zamiaru dokonywać „swawoli”, co należy rozumieć jako zapewnienie, że



powstańcy nie mają zamiaru dokonywać rabunków i (wyłamywać się spod władzy Rzeczypospolitej, a jedynie pragną sprawiedliwości i, jakbyśmy dziś powiedzieli, humanitarnego traktowania Kozaków. O ludności Ukrainy w tej korespondencji nie ma na razie mowy, Chmielnicki jeszcze nie występuje w roli jej obrońcy. Pojawia się natomiast zapowiedź antysemickiego charakteru powstania, gdyż to właśnie Żydzi wymienieni są wśród głównych „krzywdzicieli” Zaporozców. Korespondując z hetmanem, Chmielnicki nie zapomniał o szabli i nadal „błyskał” nią od czasu do czasu, choć początkowo bez większego powodzenia. Około 9 lutego powstańcy uderzyli na obóz Kozaków rejestrowych, w którym znajdowali się żołnierze dwóch pułków: czerkaskiego i czehryńskiego, nie odnieśli jednak sukcesu. Rejestrowi ani nie zostali pokonani, ani też nie przeszli na stronę powstańców, a po prostu, po krótkiej walce, wycofali się z niewielkimi stratami, w porządku, zabierając ze sobą sprzęt, chorągwie itd. Kontakty dyplomatyczne z Potockim, mające na celu odsunięcie w czasie momentu konfrontacji z wojskami koronnymi, były ważne, ale istotny sukces mogło przynieść Chmielnickiemu jedynie znalezienie wartościowego sojusznika i na tym też polu notujemy szczególną aktywność kandydata na hetmana Wojska Zaporoskiego. Doświadczenia poprzednich zrywów kozackich, zwłaszcza tych ostatnich, z lat

1637-1638, przekonały i samego Chmielnickiego, i większość Kozaków, że siły samych Zaporozców, nawet przy założeniu, że na ich stronę przejdą Kozacy rejestrowi i że otrzymają wsparcie „czerni” ukraińskiej, mogą okazać się niewystarczające do pokonania Rzeczypospolitej. Decydujące znaczenie miały tu dysproporcje gospodarcze, ludnościowe, a także struktura i wartość bojowa sił zbrojnych obu stron konfliktu. Dlatego też Chmielnicki, prawie natychmiast po przybyciu na Zaporozie i „roztasowaniu się” na Tomakówce, zaczął rozglądać się za sprzymierzeńcem. Wybór jego padł na Krym i Tatarów. Wydaje się zresztą, że Chmielnicki podjął chyba plan, który niejako „wisiał” w powietrzu, gdyż próby porozumienia się Kozaków z Tatarami pojawiły się już wcześniej.

Prawdę mówiąc, Chmielnicki nie miał też zbyt wielkiego wyboru. W praktyce w grę wchodziły bowiem Krym lub Moskwa. Z Moskwą Ukrainę łączyło wiele - wspólna religia, wspólne pochodzenie i tradycje. Poselstwa kozackie w przeszłości często bywały w stolicy Wielkiego Księstwa Moskiewskiego i często też dochodziło jeśli nie do formalnych

46

sojuszy, to przynajmniej do faktycznego współdziałania. Ale zimą 1648 roku sojusz kozacko- czy też ukraińsko-moskiewski z wielu przyczyn nie wchodził w rachubę. Państwo moskiewskie nie powróciło jeszcze do pełni sił po okresie Wielkiej Smuty i klęskach zadanych mu przez Władysława IV, nie kwapiło się więc

do zerwania zawartego w 1635 pokoju z Rzeczpospolitą. Moskwę łączyło zresztą z Warszawą zupełnie świeże przymierze obronne, skierowane przeciw Tatarom krymskim, których Rosja bardzo się obawiała. Moskiewskiej ingerencji w walkę na Ukrainie nie sprzyjała również dość napięta sytuacja wewnętrzna w tym państwie, związana m.in. z wprowadzonym w 1646 roku wysokim podatkiem od soli. W wielu miejscach dochodziło do zamieszek i starć z wojskami carskimi, a w konsekwencji doszło wreszcie do otwartego „buntu solnego” w Moskwie i kilku innych miastach. Wprawdzie jest sprawą nie podlegającą dyskusji, że osłabienie Rzeczpospolitej było Moskwie bardzo na rękę i że na Kremlu pilnie nasłuchiowano wieści „zza miedzy”, ale czas otwartej interwencji jeszcze nie nadszedł.

W tej sytuacji pozostawała Chmielnickiemu droga na Krym. Ona również dla Kozaków nie była „dziewicza”. W przeszłości już kilkakrotnie dochodziło do rozmów tatarsko-kozackich w sprawie wspólnej walki z Polską. Wspominał o nich przecież nie tak dawno Stanisław Koniecpolski, postulując wojnę przeciw Krymowi w przymierzu z Moskwą. Zazwyczaj jednak pertraktacje kozacko-tatarskie kończyły się niczym, gdyż obie strony dzieliło zbyt wiele, aby mogły mieć do siebie zaufanie. Tatarzy zresztą z natury rzeczy byli dla wszystkich nader kłopotliwymi sprzymierzeńcami, gdyż lubili łączyć „przyjemne z pożytecznym”, grabiąc równie skutecznie terytorium wrogów, jak i sojuszników.

Tym razem jednak obie strony znalazły się w sytuacji, w której wszelkie obawy, zastrzeżenia i zaszłości historyczne musiały pójść w kąć, gdyż zawisła nad nim jednakowa groźba - Kozacy szykowali się do walki o być albo nie być z Rzeczpospolitą, a Tatarzy dobrze pamiętali o wojennych planach Władysława IV, które miały doprowadzić do likwidacji chanatu. A jeśli nawet chcieliby o nich zapomnieć, to przypomniałyby im dwie prowokacyjne wyprawy dwóch magnatów ukraińskich - Aleksandra Koniecpolskiego i Jeremiego Wiśniowieckiego w październiku 1647 roku. Doszły one wówczas aż pod Oczaków i Perykop, a choć niczego wielkiego nie zwojowały, gdyż Tatarzy przywarowali w stepach i nie dali

47

się sprowokować, to stanowiły wyraźne ostrzeżenie, że król nie zamierza zupełnie zrezygnować z planu radykalnego rozwiązania problemu krymskiego. Nikt bowiem, ani w Rzeczpospolitej, ani na dworze chańskim, nie miał wątpliwości, że to „iunaczenie” magnatów kresowych było uzgodnione z królem. „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”. W myśl tej odwiecznej zasady Chmielnicki, szykując się do rozprawy z wojskami koronnymi, postanowił poszukać sojusznika na Krymie. Poselstwo kozackie udało się na Krym już w lutym 1648 roku. Kozaków przyjęto tam z otwartymi ramionami, uważając ich zapewne za dar Allacha dla swoich wyznawców, i z miejsca przystąpiono do konstruktywnych rozmów.

Niestety, znamy jedynie ich finalny, by tak rzec, produkt, czyli zawarcie sojuszu kozacko-tatarskiego, którego ostrze wymierzone zostało w Rzeczpospolitą. Niewiele natomiast możemy powiedzieć o przebiegu rokowań i szczegółowej treści podjętych wówczas postanowień. Hadży Mehmed Senai, autor Historii chana Islam Gereja III, przekazał nam tylko taką oto informację na temat przybycia do Bachczysaraju posłów kozackich: „Świetny wódz kozactwa dniesprzańskiego, lew cieszący się dobrym imieniem, mąż chrobry spośród tych, którzy [po swoich kościołach i cerkwiach] posiadają dzwony - hetman nazwiskiem Chmielnicki - będąc z natury skłonny do tego, by zostać zaszczycony honorem islamu, jest to bowiem wojownik, którym [w końcu] będzie kierował Przewodnik Wiekuisty, co by się stało dla dobra islamu - otóż ten właśnie Chmielnicki, jako rozumny człowiek i nieustraszony bohater, wyrzucił podówczas serca dawną swoją wrogość wobec religii [muzułmańskiej]. Był on ze wszech miar zmuszony do szukania opieki u najszczęśliwszego władcy jegomości. Z tego powodu przyjechali od niego posłowie z prośbą o pomoc, o poparcie, którzy złożwszy [chanowi] hołd poddańczy, opowiedzieli o słabości Kozaków oraz skarżyli się na swe krzywdy. Wobec tego [chan] raczył ulitować się nad dolą owego hetmana nazwiskiem Chmielnicki. Nie jest rzecz słuszna ani właściwa - powiedział on - ażeby ci, którzy o nasz wysoki próg ocierają swą twarz i składają nam hołd poddańczy, choćby to nawet

byli giaurowie, mieli być słabi i bezsilni wobec swych nieprzyjaciół.

Tak mówiąc, raczył on posłać na pomoc owemu [Chmielnickiemu] kilku emirów Tatarów, którzy urządzają łowy na nieprzyjaciela, a wspo-

48

mnianego już Tuhaj-beja, komendanta granicznego zamku Ferah-kerman, wyznaczyć i mianować wodzem oraz zwierzchnikiem nad owym wojskiem"3.

I to wszystko! Aż dziwne, że tak mało i że za napuszonymi, kwiecistymi frazesami kryje się tak niewiele treści. A przecież było to wydarzenie ważne, nie tylko dla Polski i Kozaków, ale również dla Tatarów, gdyż usuwało groźbę polskiego ataku na Krym. Poza tym niewątpliwie dla obu stron było to historyczne (jakbyśmy to dziś określili) porozumienie, boć przecież „wodę na miecze” lali odwieczni wrogowie i z nieprzyjaciół stawali się koalicjantami. Szkoda więc, że Senai tak nieudolnie wypełnił swą rolę „rzecznika prasowego” strony tatarskiej, a Kozacy nie sporządzili żadnego „komunikatu z rozmów”. Nie wiemy nawet, czy Chmielnicki wystosował list do chana, czy tylko wyposażył swych wysłanników w ustne instrukcje, co przysłał, jakie, tak drogie sercu każdego Tatara, przedłożył upominki, no i wreszcie rzecz najważniejsza - co obiecał chanowi za udzielenie pomocy. Natan Hanower, kronikarz żydowski, twierdzi, że „(...) taki stanął między nimi układ co do łupu: Tatarzy wezmą w niewolę ludzi i bydło, Kozacy zaś wszystko inne, to jest srebro, złoto i szary”4.

Ale czy można mu wierzyć? Hannover nie był zbyt dobrze poinformowany o tym, co działo się w lutym 1648 roku na Krymie; twierdził ??., że Chmielnicki osobiście i z całym swym wojskiem udał się do „króla Tatarów” i zawarł z nim przymierze. A my wiemy przecież, że Chmielnickiego w tym momencie na Krymie nie było, że jedynie za pośrednictwem swych posłów „ocierał swą twarz” o wysoki próg chański.

W tym względzie Hadży Senai mylić się nie mógł. Zawarcie sojuszu z Tatarami znacznie zwiększyło szanse powstańców na zwycięstwo w zbliżającym się starciu z wojskami koronnymi, a dla Chmielnickiego oznaczało duży, osobisty sukces, dzięki któremu

3 Hadży Mehmed Senai z Krymu, Historia chana Islam Gereja III, tekst turecki wydał i opracował Zygmunt Abrahamowicz. Uzupełniający komentarz historyczny O. Górka i Z. Wójcik. Pod redakcją Z. Wójcika, Warszawa 1971, s. 101.

4 Jawein Mecula tj. Bagno głębokie. Kronika zdarzeń z lat 1648-1652, napisana przez Natana Hannovera z Zastawia i wydana po raz pierwszy w Wenecji w roku 1656.

Przełożył z oryginału, opatrzył wstępem i objaśnieniami dr M. Bałaban [w:]

Sprawy i rzeczy ukraińskie. Materiały do dziejów Kozaczyzny i Hajdamaczyzny, wydał F. Rawi-ta-Gawroński, Lwów 1914, s. 20.

49

mógł wreszcie przedstawić swą kandydaturę na hetmana Wojska Zaporoskiego.

Jak wiemy, rozpoczynając powstanie, nie zajmował on w hierarchii Wojska

Zaporoskiego żadnego oficjalnego stanowiska; był jedynie nieformalnym przywódcą

nieformalnej grupy, która zbuntowała się przeciw istniejącemu porządkowi i rzuciła wyzwanie potężnej Rzeczpospolitej. Na czele Kozaków rejestrowych stał wówczas Jacek Szemberk, a Siczow-com, czyli Kozakom mieszkającym na Siczy i w jej okolicach, przewodził ataman koszowy. Wprawdzie władze Rzeczpospolitej nie uznawały tej faktycznej dwuwładzy wśród Kozaków i nie przyjmowały do wiadomości faktu istnienia atamanów koszowych, ale w rzeczywistości to oni zarządzili Zadnieprzem. Chmielnicki natomiast, w momencie gdy przybył na Zapo-roże, był jedynie byłym pisarzem Wojska Zaporoskiego, byłym setnikiem pułku czechryńskiego, no i przywódcą niewielkiego w końcu oddziału buntowników.

Przypomnijmy, że bractwo kozackie było organizacją demokratyczną i swe władze wyłaniało poprzez demokratyczne wybory. Chmielnicki więc, aby zostać formalnym przywódcą Kozaczyzny, musiał powrócić do starej tradycji i doprowadzić do wyboru go na hetmana zaporoskiego. A jak pamiętamy, nie było to zadanie ani łatwe, ani też w wielu przypadkach... bezpieczne. Błąd, przedwczesne odkrycie kart mogły mieć fatalne skutki, dlatego też Chmielnicki, jak na wytrawnego gracza politycznego przystało, wystrzegał się jak ognia wszelkich pochopnych i nierozważnych ruchów. Wraz ze swymi zwolennikami zatrzymał się na Toma-kówce, zagarnął stacjonujące tam czółna i żywność, umocnił teren starej Siczy i... czekał na sukces, dzięki któremu mógłby być pewny wyboru. Wykorzystywał też



zapewne czas na rozmowy z atamanem koszowym i pozostałą starszyzną kozacką, aby, jakbyśmy to dziś określili, sprzedać swój wizerunek polityczny.

Gdy po powrocie posłów z Krymu, dowiedziano się na Zaporozżu o zawartym z Tatarami porozumieniu, nadszedł wreszcie czas Chmielnickiego. Teraz już spokojnie mógł zwołać wszystkich przebywających na Zaporozżu Kozaków i zaproponować im, by wybrali go na hetmana. Do wyborów stawał bowiem nie skrzywdzony były setnik czehryński, ale człowiek, który odniósł poważny sukces dyplomatyczny, a sukcesy tego rodzaju Kozacy cenili sobie bardzo wysoko, prawie na równi z sukcesami militarnymi. Zwłaszcza że już wkrótce słowo ciałem się stało i w oko-

50

licach Siczy zameldował się pierwszy, liczący kilkaset osób, czambuł tatarski.

Niedługo potem zaczęły przybywać następne.

Nie znamy dokładnej daty wyboru Chmielnickiego na stanowisko hetmana

zaporoskiego. Samuel Wieliczko twierdzi, że miało to miejsce 19 kwietnia, ale na

informacjach osiemnastowiecznego kronikarza

ukraińskiego nie zawsze można

polegać. Ustalenie dokładnej daty tego wydarzenia nie ma zresztą zbyt wielkiego

znaczenia. Ważne jest to, że miało ono miejsce już po powrocie posłów z Krymu.

Znamy natomiast nieźle przebieg obrad i wyborów, gdyż szeroko opisuje je

wspomniany Wieliczko. Wprawdzie zwyczaje kozackie nie zmieniały się za często i

wybory hetmana przebiegały podobnie jak wszystkie poprzednie, np. Sahajdacznego, warto jednak odnotować kilka istotnych informacji. Otóż, jak wynika z relacji Samuela Wieliczki, frekwencja wyborcza była spora, gdyż na wezwanie atamana koszowego stawilo się aż 30 000 Kozaków; było ich tylu, że nie mogli pomieścić się na majdanie siczowym i obrady musiały toczyć się poza Siczą, na pobliskiej łące. Or-dyńców było podobno 4000, ale przypuszczam, że i Kozaków, i Tatarów było na owej uroczystości zdecydowanie mniej. Pamiętajmy, że ówczesni kronikarze dość często grzeszyli skłonnością do przesady. Tak czy inaczej, zebranych poinformowano o rozpoczęciu wojny z Polakami oraz o sojuszu z Tatarami, a także o przybyciu pierwszych czambułów pod dowództwem Tuhaj-beja. Informacje te przyjęto z entuzjazmem, a Chmielnickiego wybrano przez aklamację. Potem wydobyto ze skarbnicy siczowej i wręczono nowemu hetmanowi chorągiew (królewska, podobno wyszywaną złotą nicią i bardzo piękną), a także buńczuk, buławę i srebrną pieczęć wojskową. Uroczystości zakończyła msza w cerkwi, w której uczestniczyła starszyna i Chmielnicki. Później oczywiście bito w bębny, strzelano z armat i samopałów. Zapewne leż bawiono się do późnej nocy. Międzynarodowy charakter konfliktu Wraz z wyborem Bohdana Chmielnickiego na hetmana Wojska Zaporoskiego zmienił się diametralnie charakter rodzącego się konfliktu. Do tej pory była to, prawdę

mówiąc, prywatna wojna Chmielnickiego i stosunkowo niewielkiej garstki jego zwolenników z Rzeczpospolitą. Chmiel-  
51

nicki wprawdzie, jak pamiętamy, próbował grać rolę reprezentanta wszystkich skrzywdzonych braci zaporoskich, ale wiemy przecież, że nikt go do tego, przynajmniej formalnie, nie upoważnił. Wybór na hetmana Wojska Zaporoskiego dał mu wreszcie upragniony mandat do występowania w imieniu Kozaków, a że uważali się oni - i dość powszechnie byli uważani - za reprezentantów ludu ukraińskiego, to również w jego imieniu.

Wprawdzie - powtórzmy to - Rzeczpospolita odebrała Kozakom prawo wyboru władz, a przede wszystkim hetmana, atamana koszowego itd., ale zarządzenie to pozostało jedynie martwym przepisem. Zawierając sojusz z chanem krymskim, władcą państwa tatarskiego, Chmielnicki spowodował też, że rozpoczynający się konflikt przestał być tylko buntem, powstaniem czy też wojną domową a stał się w pewnym sensie konfliktem międzynarodowym. Mówiąc językiem dzisiejszego prawa międzynarodowego, można by stwierdzić, że sojusz ten spowodował uznanie Kozaków za stronę wojującą, a to oznaczałoby - oczywiście według dzisiejszych standardów - że spowodowany przez nich ruch niepodległościowy przekształcił się z konfliktu o charakterze wewnętrznym w konflikt o charakterze międzynarodowym, że zostali oni uznani za podmiot prawa międzynarodowego ze wszelkimi wynikającymi z tego faktu prawami i obowiązkami.

Oczywiście, w XVII wieku społeczność międzynarodowa nie wykształciła jeszcze takiej formy uznania; miało to nastąpić dopiero w wieku XIX. Zresztą nawet dziś jeszcze jest to głównie norma prawa zwyczajowego, niemniej jednak nawet według ówczesnych pojęć i norm rozpoczynające się powstanie miało jakościowo inny charakter niż poprzednie powstania kozackie, nawet te największe, takie jak powstanie Nalewajki i Łobody czy też Pawluka. Dodatkowo fakt zawarcia sojuszu, sprzymierzenia się z Tatarami, w pewnym sensie legalizował pozycję Chmielnickiego.

Sprawę dodatkowo komplikuje nierozstrzygnięta kwestia hołdu pod-dańczego, który - według relacji Hadży Mehmeda Senai'ego - Chmielnicki miał złożyć chanowi. Czy był to jedynie zwrot retoryczny, użyty przez autora kroniki dla wyraźniejszego podkreślenia wielkości „perły najwspanialszej w całej szkatule klejnotów i gwiazdy fortunnej w gwiazdozbiorze niebios pomyślności”, czyli chana Islam Gereja III? Chyba jednak nie. Chmielnicki w chwili, gdy wyprawiał swych posłów na Krym, nie był jeszcze, w sensie formalnym (a i faktycznym chyba również), przywódcą całej Kozaczyzny. W pertraktacjach występował jako strona

52

zdecydowanie słabsza. Tatarzy zapewne doskonale zdawali sobie z tego sprawę i bez wątpienia postawili twarde warunki, które Chmielnicki musiał przyjąć. Jednym z nich mogło być żądanie, aby uznał zwierzchnictwo chana nad sobą i ziemiami

ukraińskimi.

Można też być pewnym, że wódz kozacki nie przywiązywał do tej deklaracji wielkiej wagi. W momencie zawierania sojuszu nad Zaporo-żem wisiały jeszcze pułki koronne, które trzymały całą Ukrainę w ryzach. Ostateczny rezultat walki pozostawał zupełną niewiadomą. W tej sytuacji Chmielnicki zapewne nie zawahałby się nawet przed złożeniem chanowi obietnicy likwidacji prawosławia na Ukrainie i przejścia wraz z całym narodem na islam, gdyby to miał być warunek udzielenia mu pomocy, zwłaszcza że, jak pamiętamy, Kozacy kwestie religii traktowali na ogół instrumentalnie.

Dzieje powstania kozackiego i późniejszej wojny polsko-ukraińskiej wyraźnie wskazują na fakt, że hetman kozacki z upodobaniem stosował żonglerkę polityczną i równie łatwo zawierał porozumienia i składał hołdy „ościennym potencjom”, jak i łamał składane przyrzeczenia. Okoliczności, w jakich przyszło mu działać, zmuszały go po prostu do nieustannego stosowania pokerowych zagrywek, tyle tylko że zazwyczaj w tej grze miał słabe karty, a i „blefy” udawały mu się tylko do pewnego momentu. To zresztą nic nowego; taka na ogół jest sytuacja słabych i wspominam o tym przede wszystkim po to, aby dodatkowo uzasadnić tezę, że Senai, mówiąc o hołdzie, nie mijał się z prawdą i nie ubarwiał swej relacji.

Pozostaje jeszcze kwestia przejścia lub obietnicy przejścia na islam, też, jak pamiętamy, sugerowana przez Senai'ego. Jest to kolejna zagadka w życiorysie

hetmana zaporoskiego. Analiza tekstu Historii..., a konkretnie tego fragmentu, w którym Senai stwierdza, że Chmielnicki „(...) będąc z natury skłonny do tego, by zostać zaszczycony honorem islamu, jest to bowiem wojownik, którym [w końcu] będzie kierował Przewodnik Wiekuisty", może prowadzić do wniosku, że wódz kozacki dawał do zrozumienia swym rozmówcom, że zamierza w przyszłości porzucić prawosławie i przejść na mahometanizm. Czy była to prawda, czy też kolejny fortel kozackiego atamana, mający usposobić życzliwie Islam Gereja III? W życiorysie hetmana kozackiego wiele jest białych plam, sytuacji i wydarzeń niejasnych i niepewnych. Ta również do nich należy i zapewne nigdy już nie zostanie wyjaśniona. Nie zapominajmy zresztą, że więk-

53

szość Kozaków miała dość „luźny” stosunek do religii. Taka deklaracja, a nawet konkretne przygotowania do zmiany religii nie powinny więc budzić w nas zdziwienia. Mógł to być po prostu kolejny element gry, prowadzonej, jak zwykle u Chmielnickiego, dla osiągnięcia doraźnej korzyści politycznej. Mamy zresztą pewne sygnały, że Chmielnicki nie po raz pierwszy podejmował taką grę. Wynika to choćby z relacji Mustafy Naima, nadwornego historiografa sułtana tureckiego Ahmeda III, który twierdzi, że w swoim liście do sułtana z grudnia 1652 roku (a zatem wystosowanym w kilka lat po opisywanych wydarzeniach), Chmielnicki

„odsłonił swoją tajemnicę”: że w czasie pobytu w niewoli tureckiej po klęsce w bitwie pod Cecora „przeszedł na islam”. Niewykluczone więc, że podobną „rewelację” zasugerował wódz kozacki również Islam Ge-rejowi w 1648 roku. A może była to prawda? Ostatecznie wielu giaurów (niewiernych), chcąc poprawić swój los w niewoli tureckiej, przechodziło na islam. A my przecież nie wiemy, w jaki sposób Chmielnickiemu udało się z tej niewoli wyzwolić.

O ile można uznać, że wiara Chmielnickiego była jego prywatną sprawą, o tyle jego związki z Półksiężycem - na pewno nie. Nie zapominajmy, że jednym z głównych problemów XVII-wiecznej Europy była walka z Turcją, toteż sojusze zawierane przez przywódcę Kozaków, najpierw z Tatarami, a potem Turcją, jak również składane przez niego deklaracje wiary, nie mogły przejść niezauważone w Moskwie, w Wiedniu, Wenecji czy też Watykanie, a nawet w Paryżu. To dodatkowo „umię-dzynarodowiało” konflikt i wywoływało - w miarę rozwoju sytuacji na Ukrainie - bardzo wyraźne reperkusje polityczne, którymi jeszcze nie raz będziemy mieli tu okazję się zająć. Powróćmy jednak do kwestii zasadniczej, to znaczy do charakteru politycznego rozpalającego się konfliktu i do pozycji Chmielnickiego. Faktem jest, że z początkiem roku 1648 można było obserwować trzy procesy o kapitalnym wręcz znaczeniu. Po pierwsze, konflikt ukraiński przestał być li tylko wewnętrzną

sprawą Rzeczypospolitej, po drugie, pojawiły się nie do końca nam znane, ale nie budzące wątpliwości więzy prawno-międzynarodowe, łączące najpierw tylko Kozaków, ale wkrótce już całą Ukrainę z państwem krymskim, które doprowadziły do koalicji kozacko--tatarskiej (a może, ujmując rzecz szerzej -ukraińsko-tatarskiej), no, i po trzecie wreszcie, Rzeczpospolita znalazła się de iure w stanie wojny z państwem krymskim.

54

Można oczywiście twierdzić, że konflikt Rzeczypospolitej z Tatarami w praktyce istniał „od zawsze”, gdyż czambuły tatarskie bez przerwy buszowały po Dzikich Polach, które de nomine należały do Rzeczypospolitej, a ponadto nieustannie najeżdżały i wykrwawiały Ukrainę. Nie oznaczało to jednak, że między Rzeczpospolitą a Krymem istniał stan wojny. Bachczysaraj zazwyczaj najazdy te tłumaczył albo niesubordynacją poszczególnych ord, albo - częściej - rewanzem za napady kozackie. Natomiast to, co wydarzyło się na początku 1648 roku, oznaczało formalną ingerencję Krymu w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej i rozpoczęcie - de facto i de iure - wojny między obu państwami. Konsekwencje tych faktów - m.in. w postaci przejęcia przez chana osobistego dowództwa nad wojskami tatarskimi, działającymi na terenie Ukrainy - nietrudno było zaobserwować w dalszych fazach konfliktu. Można się jednakże zastanawiać, kto tak naprawdę wojnę tę wypowiedział: Tatarzy, zawierając sojusz z Kozakami czy też, wcześniej,



Rzeczpospolita, która jednostronnie wstrzymała zagwarantowane traktatem „podarki” dla chana i zezwalała na prowokacyjne wyprawy Konięcpolskiego i Wiśniowieckiego. Analizując całą tę sytuację można dojść do wniosku, że Rzeczpospolita jednostronnie zerwała układ istniejący między obu państwami, a Tatarzy uznali to za powód do wojny prewencyjnej, której celem miało być osłabienie przeciwnika i spowodowanie, by powrócił on na tory dawnej polityki. Było to jeszcze jedno pokłosie niedoważonych rojeń Władysława IV o wojnie tureckiej!

Pamiętajmy jednak, że Chmielnicki był nie tylko przedmiotem polityki międzynarodowej, ale również jej podmiotem. To jego inicjatywa spowodowała zawarcie sojuszu (lub nawet złożenie hołdu) i umiędzynarodowienie konfliktu. Również w następnych fazach hetman kozacki będzie konsekwentnie dążył do zapewnienia sobie poparcia nie tylko Tatarów, ale także innych, silnych sojuszników – Rosji i Turcji. Zapominanie o tym powoduje to, że ruch, który rozpoczął się na przełomie 1647/1648 roku, bywa błędnie nazywany powstaniem Chmielnickiego, a nawet powstaniem kozackim, podczas gdy, moim zdaniem, od samego początku mamy do czynienia z wojną, czy może raczej z batalią o ukraińskie państwo kozackie, w której uczestniczą, jako sojusznicy Kozaków i Ukraińców, najpierw Tatarzy, a potem Rosja i Turcja.

Siły zbrojne przeciwników

Z chwilą zawarcia sojuszu kozacko-tatarskiego i wyboru Bohdana Chmielnickiego na stanowisko hetmana Wojska Zaporoskiego stało się oczywiste, że dyplomacja musi chwilowo zejść na drugi plan. Nadszedł czas na rozstrzygnięcia militarne. Siłą rzeczy, na plan pierwszy wysunęły się więc siły zbrojne przeciwników, gdyż to one miały rozstrzygnąć o sukcesie jednej ze stron. Jak prezentował się wiosną 1648 roku potencjał militarny Rzeczypospolitej i koalicji kozacko-tatarskiej?

Rzeczpospolita

Siły zbrojne państwa polsko-litewskiego w omawianym okresie nie miały jednolitego charakteru, składały się bowiem z różnych formacji, zarówno państwowych, jak i niepaństwowych. Do tych pierwszych zaliczano przede wszystkim ogólnopaństwowe wojska zaciężne, podzielone na armię koronną i litewską. W okresie tym wojska koronne liczyły około 4000 żołnierzy, a litewskie zaledwie 2000, były więc raczej skromne pod względem ilościowym. W wieku XVII w wielu państwach pojawiły się już silne, stałe armie, utrzymywane również w czasie pokoju, najczęściej rekrutujące się z zawodowych żołnierzy. Był to wynik doświadczeń wyniesionych z wojny trzydziestoletniej, której przebieg ostatecznie przekonał władze państw biorących udział w konflikcie, że bardziej opłaca się ponosić wysokie nakłady na utrzymywanie stałych sił zbrojnych, niż uzależnianie bezpieczeństwa kraju od oddziałów kondotierskich, które, choć dobrze wyszkolone,

były niepewne i na ogół służyły temu, kto lepiej płacił, toteż bez większych ceregieli przy każdej nadarzającej się okazji zmieniały swoje „barwy”.

W tym miejscu wypada wyjaśnić, na czym polegała różnica między oddziałami najemnymi, kondotierskimi a zaciężnymi. Wprawdzie

zarów-

56  
no w jednych, jak i w drugich służyli zawodowi żołnierze, inaczej jednak wyglądało ich tworzenie, a także funkcjonowanie i podległość. Wojska najemne tworzone były przez dowódców spełniających równocześnie rolę swoistych przedsiębiorców. Tworzyli oni własne oddziały, będące de facto ich własnością, a następnie zawierali normalne, chciałoby się rzec: cywilnoprawne umowy o najem usług z władcami wojujących państw. Były to więc oddziały stałe, zorganizowane na wzór przedsiębiorstwa i sprzedające swe usługi każdemu, kto chciał i mógł je kupić. Oznaczało to, że władca, który wchodził w taki układ, miał stosunkowo niewielki wpływ na ich funkcjonowanie. Natomiast oddziały wojsk zaciężnych były tworzone przez dowódców wyznaczonych przez władcę państwa, za jego pieniądze i w jego imieniu, były więc znacznie bardziej związane z państwem i z jego władcą, który też dzięki temu zachowywał wpływ na obsadę kadry dowódczej swej armii. Wojna trzydziestoletnia pokazała też, że nie zdaje egzaminu tworzenie sił zbrojnych prawie od podstaw, drogą werbunku prowadzonego dopiero wówczas, gdy

konflikt już się rozpoczął, ponieważ na należyte  
wyszkolenie powołanych w ten  
sposób żołnierzy brakowało po prostu czasu.  
Tymczasem wprowadzanie do użycia  
nowych, coraz bardziej skomplikowanych rodzajów  
broni oraz nowych metod walki  
wymagało coraz dłuższego szkolenia żołnierzy. Z  
kolei armie zawodowe, pochodzące  
z ochotniczego zaciągu, nie mogły pozwolić sobie  
na wysyłanie w bój  
niedoszkolonych żołnierzy, gdyż to powodowało duże  
straty, a uzupełnianie  
szeregów było trudne, długotrwałe i nazbyt  
kosztowne. Clausewitz w swym  
fundamentalnym dziele O wojnie mówił wprost, że  
powodzenie interesu zwanego  
wojną jest zależne od ilości talarów w szkatule  
władcy i liczby wałęsających się  
w okolicy włóczęgów. Jeśli więc nawet było dość  
tych pierwszych, to i tak mogło  
zacząć brakować tych drugich, którzy, odstraszeni  
wieściami o zbyt dużych  
stratach, mogli dojść do wniosku, że zaciąganie  
się do wojska na ochotnika to  
zły interes. Czasy wystarczającej podaży tzw.  
mięsa armatniego miały dopiero  
nadejść wraz z pojawieniem się armii z poboru.  
Rozwiązaniem tego dylematu mogły być tylko  
zawodowe armie stałe, które miały  
dość czasu na należyte wyszkolenie żołnierzy,  
opracowanie odpowiedniej taktyki  
itp. Powstawały w ten sposób, jakbyśmy to dziś  
nazwali „siły szybkiego  
reagowania”, które wchodziły do akcji z chwilą  
57  
wybuchu konfliktu, a dopiero później, na ich  
zapleczu i w oparciu o ich kadre,

tworzono i przekształcano nowe oddziały złożone z ochotników. Dlatego też cesarstwo habsburskie zdecydowało się utrzymać, już po zakończeniu wojny trzydziestoletniej, stałą armię, liczącą około 40 000 żołnierzy. Jeszcze większą armię posiadała Francja, której stałe siły zbrojne liczyły około 100 000 żołnierzy. W ślad za nimi armie stałe powołały również inne państwa, np. Rosja, której armia liczyła w 1651 roku ponad 133 000 żołnierzy, czy też Turcja, której stałe siły zbrojne liczyły kilkadziesiąt tysięcy. Na tym tle byliśmy więc zdecydowanym Kopciuszkiem. Trzeba jednak w tym miejscu dodać, że nasze wojska prezentowały na ogół wysoką wartość bojową. Był to też okres, w którym armie państw zachodnich niejednokrotnie wzorowały się na stosowanej przez polską armię taktyce i strategii.

W czasie wojny wojska zaciężne Rzeczypospolitej powiększono w zależności od potrzeb i posiadanych środków finansowych, tworząc tzw. wojska suplementowe (uzupełniające) lub komputowe. Trwało to kilka miesięcy, a na ich utrzymanie przeznaczano zazwyczaj dochody z akcyzy, ceł i podatków konsumpcyjnych. Czasem, w sytuacjach ekstremalnych, sejm uchwalał nowe podatki, najczęściej poprzez podwyższenie stawek celnych, podymnego (tj. podatku od domów mieszkalnych) oraz pogłównego, płaconego przez całą ludność państwa w wysokości zależnej od zawodu i stanu majątkowego.

Niestety, nieustabilizowany, często wręcz katastrofalny stan finansów

publicznych powodował, że wojsko zaciągano zazwyczaj „na kredyt”, a zaległości płacowe były ogromne i trwały niejednokrotnie przez kilka lat, dlatego też zjawiskiem powszechnym w tym okresie były „strajki generalne” wojska, które w tamtym czasie zwano konfederacjami. Formacją ogólnopaństwową było również tzw. pospolite ruszenie szlacheckie, będące de facto milicją szlachecką. Podstawą tej już wówczas anachronicznej instytucji był wywodzący się ze średniowiecza obowiązek obrony kraju, spoczywający na wszystkich osobach należących do stanu szlacheckiego, a także na nieszlacheckich posiadaczach dóbr ziemskich. Pospolite ruszenie było zwoływane przez króla na podstawie uchwały sejmowej, tradycyjnie za pomocą tzw. wici, czyli pęków sznurów z we-

1 Zarys dziejów wojskowości polskiej do roku 1864, 1648-1864, t. II, Warszawa 1966, s. 31.

58

tkniętymi w nie uniwersałami królewskimi, rozwożonych przez komorników. Wici rozsyłano trzykrotnie w dwutygodniowych odstępach. Pospolite ruszenie miało organizację terytorialną, z podziałem według województw, ziem i powiatów<sup>2</sup>. Trudno jest jednoznacznie określić wartość bojową tej formacji, gdyż na ogół było to wojsko nader chimeryczne, łatwo ulegające panice, a poza tym niewyszkolone, niezdiscyplinowane i rozpolitykowane. Królowie zresztą starali się unikać zwoływania go, gdyż nierzadkie były przypadki, że zwołana szlachta

odmawiała udziału w walce, wykorzystując okazję do stawiania warunków i żądań politycznych, zmieniając obóz wojskowy w sejmik, a to oczywiście fatalnie wpływało na dyscyplinę pozostałych oddziałów. Zdarzały się jednak również przypadki, dość jednak rzadkie, że biło się ono dobrze i ofiarnie.

Wartość bojowa oddziałów pospolitego ruszenia zależała zresztą w dużej mierze od terenów, z jakich wywodziła się tworząca je szlachta. Na ogół bardziej bitne i zdyscyplinowane były oddziały z terenów województw ruskich, gdyż tamtejsza szlachta była zaprawiona do walki z najeżdżającymi Ukrainę Tatarami (a i Kozakami też). Znacznie gorzej natomiast prezentowała się pod tym względem szlachta wielkopolska, gdyż rejon ten od dawna cieszył się pokojem i spokojem, zatem miejscowa szlachta nie miała okazji do zdobywania doświadczeń bojowych.

Od 1619 roku armię państwową wspierały tzw. wojska powiatowe, czyli oddziały zaciężne, wystawiane przez poszczególne jednostki terytorialne na podstawie uchwał sejmików i opłacane przez skarb wojewódzki, z tego też powodu zaliczane do wojsk niepaństwowych. Zazwyczaj powoływano je w czasie bezkrólewia, zagrożenia danego województwa przez najazd z zewnątrz lub też w razie zniszczenia państwowych sił zbrojnych - do czasu ich odbudowania. Oddziały te miały swoich dowódców, ale gdy występowały w polu razem z wojskami państwowymi, podlegały królowi lub hetmanom. Na służbę Rzeczypospolitej przechodziły one

zresztą najczęściej wówczas, gdy siły państwowe zostały zniszczone i trzeba było szybko je odtworzyć. Najczęściej jednak pełniły one służbę policyjną w swoich województwach, tłumiły lokalne powstania chłopskie i zwalczały wcale liczne i silne w tych czasach bandy rabusiów. Swym składem i organizacją niczym nie różniły się od państwowych armii.

2 K. Hann, Pospolite ruszenie wedle uchwał sejmikowych ruskich od XV do XVIII wieku, Lwów 1928, s. 47.

59

Do niepaństwowych wojsk zaliczano również gwardię królewską, w swej istocie była ona bowiem prywatnym wojskiem króla, utrzymywanym z funduszy skarbu nadwornego.

W chwili rozpoczęcia walk na Ukrainie gwardia ta liczyła około 1200 żołnierzy i składała się z regimentu pieszego, oddziału dragonii i rajtarii.

Poważną siłę zbrojną w Rzeczypospolitej stanowiły również prywatne armie magnatów.

Posiadać je mógł każdy, kto miał na to ochotę i odpowiednie środki. Szczególnie liczne były armie magnatów na Białorusi i Ukrainie, co wynikało oczywiście z zagrożenia tych terenów częstymi napadami tatarskimi i buntami ludności. Na tym terenie istnienie ich miało zresztą długą, wręcz wielowiekową tradycję wywodzącą się jeszcze z czasów, gdy tereny te nie należały do Korony i kiedy to książęta ruscy mieli prawo, a nawet obowiązek utrzymywania własnych armii<sup>3</sup>.

Liczebność wojsk prywatnych była różna i zależała od upodobań, ambicji, potrzeb,



a zwłaszcza zasobności szkatuły ich właściciela. Jeremi Wiśniowiecki np. przed rokiem 1648 dysponował stałą armią, liczącą 1500-2000 żołnierzy, wspartych artylerią, a w razie potrzeby mógł zmobilizować dodatkowo od 6000 do 9000 żołnierzy. Podobną liczbą wojska dysponował książę Dominik Zasławski, a Stanisław Lubomirski w swych dobrach małopolskich i ruskich utrzymywał oddziały liczące około 5000 ludzi. Właściciele mniejszych latyfundiów utrzymywali oddziały liczące po kilkuset ludzi<sup>4</sup>. Armie te z chwilą wybuchu wojny zazwyczaj wspierały armię państwa, choć oczywiście zależało to od stosunków danego magnata z dworem oraz od tego, czy działania zagrażały terenom, na których znajdowały się jego latyfundia. Wartość bojowa armii prywatnych była oczywiście różna, ale na ogół były to wojska dość dobrze zorganizowane, wyposażone i wycwiczone, a ich kadrę dowódczą tworzyli doświadczeni oficerowie, wywodzący się z armii koronnej bądź litewskiej. Wadą tych oddziałów była jednakże ich niekarność, gdyż nie zawsze ich właściciele chcieli podporządkować się rozkazom państwowych władz wojskowych, hetmanom bądź regimentarzom. Warto jednak pamiętać, że stanowiły one poważną siłę zbrojną, wielokrotnie przewyższając liczebnie państwowe armie - koronną i litewską. Na przykład w przededniu rozpoczęcia działań zbrojnych na Ukrainie państwowe woj-

3 N. Jakowenko, *Historia Ukrainy...*, op. cit. s. 156.

4 J. Wimmer, *Wojsko Polskie w drugiej połowie XVII wieku*, Warszawa 1965, s. 35.

60

ska litewskie liczyły około 2000 żołnierzy, a prywatne wojska hetmana litewskiego Janusza Radziwiłła - około 6000 ludzi. Wymownie świadczyło to o złej strukturze i organizacji państwa. Do niepaństwowych sił zbrojnych można jeszcze zaliczyć w tym okresie siły zbrojne miast królewskich oraz tzw. wojska ordynackie. Ordynacje były to rodowe majątki ziemskie, które na mocy odpowiedniego aktu prawnego, wydanego przez właściciela, były niepodzielne i niezbywalne, a dziedziczyli je męscy członkowie rodu w ustalonej kolejności (kobiety były wyłączone z dziedziczenia). Sejm, zatwierdzając akt o utworzeniu ordynacji, zobowiązywał równocześnie ich właścicieli do obrony ważnych twierdz lub też do wystawiania oddziałów zbrojnych. W omawianym okresie istniało kilka ordynacji, m.in. ostrogska, pińczowska, zamojska itd. W praktyce jednak, poza zamojską, na której ciążył obowiązek utrzymania twierdzy w Zamościu, nie odgrywały one większej roli, jeśli chodzi o udział w siłach zbrojnych. Kilka zdań należy też poświęcić Kozakom rejestrowym. Oni również zaliczali się do wojsk państwowych, a w omawianym okresie oddziały te liczyły, jak pamiętamy, 6000 ludzi. Ich zadaniem było oczywiście wspieranie armii koronnej, zwłaszcza w czasie walk na Ukrainie, choć, jak wiemy, w latach ubiegłych wykorzystywano

Kozaków również na innych frontach; m.in. brali oni udział w walkach na terenie Prus, Rosji itp. Zazwyczaj też była to formacja wartościowa, dobrze wyszkolona, bitna, posiadająca ogromne doświadczenie wyniesione z walk z Tatarami, z wypraw na czarnomorskie wybrzeża Turcji itd. Wówczas jednak, gdy zamierzano wykorzystywać ich w walkach z Kozakami niżowymi (zaporoskimi), stawali się elementem bardzo niepewnym, na którym zupełnie nie można było polegać. Na Ukrainie funkcjonowało nawet powiedzenie, że „prędzej wilkiem orać niż Kozakiem przeciwko Kozakom wojować”. Jednakże wiosną 1648 roku Kozacy rejestrowi pozostawali jeszcze lojalni wobec Rzeczypospolitej. Przyjrzyjmy się obecnie strukturze wojsk Rzeczypospolitej i stosowanej przez nie taktyce. Charakterystyczną cechą naszych sił zbrojnych była zdecydowana przewaga jazdy w stosunku do piechoty. O ile w innych armiach europejskich jazda stanowiła zazwyczaj około 1/3 całości sił zbrojnych, o tyle w Rzeczypospolitej jazdy było prawie trzykrotnie więcej niż piechoty. Taka struktura, istniejąca zresztą nie tylko w armii państwowej, ale również w wojskach prywatnych, spowodowana była głów-

61

nie koniecznością walki z bardzo ruchliwym przeciwnikiem, jakim byli Tatarzy. Rozwojowi jazdy w naszych wojskach sprzyjał również czynnik natury, by tak rzec, społeczno-psychologicznej. Otóż nasza szlachta uważała służbę w formacjach

kawaleryjskich za służbę zaszczytną, pozostawiając piechotę elementom plebejskim.

Konnica składała się z czterech zasadniczych typów:

- jazdy ciężkiej (husarii), której przeznaczeniem było przełamywanie frontu nieprzyjaciela, odgrywała więc ona w zasadzie rolę dzisiejszych jednostek pancernych;
- jazdy pancernej, która była de facto, wbrew swej nazwie, jazdą średniozbrojną. Wspierała ona atak husarii, ale nadawała się również do manewru na skrzydła i tyły wojsk przeciwnika;
- jazdy lekkiej (tatarskiej, wołoskiej, lisowczyków), którą wykorzystywano głównie do działań rozpoznawczych, do uderzeń na skrzydła i tyły oraz do pościgu;
- kawalerii zorganizowanej na wzór jazdy zachodniej. Zaliczała się do niej rajtaria i arkebuzeria.

Jedyną jednostką organizacyjną, a zarazem taktyczną jazdy była chorągiew, natomiast jednostkami taktycznymi wyższego rzędu, organizowanymi ad hoc, były pułki, grupujące w zależności od potrzeb pola walki po kilka, a nawet kilkanaście chorągwi. Jazda polska w omawianym okresie była nie tylko najlepszą formacją w siłach zbrojnych Rzeczypospolitej, ale górowała również nad kawalerią innych państw. Siłą polskiej konnicy była jej zdolność do szybkiego manewru i do ataku zwartą masą, kopią i szablą<sup>5</sup>. Natomiast w siłach zbrojnych państw zachodnich znacznie większą wagę przywiązywano do siły ognia kawalerii, dlatego

też wyposażano ją wyłącznie w broń palną i rapiery. Jazda ta z uporem stosowała taktykę tzw. Karakolu, polegającą na tym, że szeregi konnicy ostrzeliwały się z bliskiej odległości, następnie szereg, który oddał salwę, odjeżdżał na tyły oddziału, aby dać miejsce następnemu szeregowi do wykonania identycznego manewru, a samemu nabić broń w miejscu osłoniętym przez poprzedzające ją szeregi. Taktyka ta była zupełnie nieskuteczna w starciu z szarżującą w głębokich oddziałach i dążącą do walki wręcz jazdą polską, o czym mogli się przekonać m.in. Szwedzi w pierwszej fazie wojny o Inflanty.

5 J. Orzechowski, Dowodzenie i sztaby, Warszawa 1974, s. 327.

62

O walorach polskiej jazdy napisano już wiele i wie o nich każdy, kto choć pobieżnie interesuje się historią polskich sił zbrojnych. Do służby w kawalerii chłopcy ze szlacheckich domów przygotowywali się dosłownie od dziecka, a „ćwiczenia rycerskie”, w postaci nauki jazdy konno, gonienia do pierścienia, strzelania do celu, szermierki itd., były wręcz zalecane przez artykuły wojskowe, „ułożone” na sejmie w 1609 roku. Warto też, jak sądzę, przytoczyć dość oryginalną opinię XIX-wiecznego historyka wojskowości polskiej Konstantego Górskiego. Twierdził on mianowicie, że sukcesy naszych kawalerzystów brały się zarówno z nieustających ćwiczeń, ciągłej praktyki w walkach „z takimi mistrzami w pojedynczym boju, jak Tatarzy”, jak i z... licznych pojedynków. „W drugiej

połowie XVII wieku - pisze Górski - nastąpiły ćwiczenia innego rodzaju, a temi były ciągle pojedynki i bójki o byle co pomiędzy żołnierzami polskimi. A lubo mogły one paraliżować i podrywać dyscyplinę w wojsku, gdyż zdarzało się, że pacholek zabijał towarzysza, a towarzysz porywał się na rotmistrza, były one w każdym razie takim przygotowaniem do wojny, jakiego dziś znaleźć nie umieją...

Niekiedy całe chorągwie chodziły za łeb"6.

Przyznajmy, że jest to dość oryginalny pogląd, którego słuszność trudno obecnie zweryfikować.

Nie ulega jednakże wątpliwości, że zarówno pojedynki, jak i walki między całymi oddziałami były zjawiskiem nagminnym w naszej armii. Aby się o tym przekonać, wystarczy przeczytać pamiętniki Paska, Po-czobuta i innych XVII-wiecznych kombatantów. Do starć między poszczególnymi żołnierzami i całymi chorągwiami dochodziło wówczas dość często w obozach wojskowych, nawet w trakcie wypraw wojennych, np. w obozie pod Sokalem, w czasie wyprawy beresteckiej w 1651 roku, doszło do starcia między chorągwią Zygmunta Denhoffa a oddziałem piechoty kanclerza Albrychta Radziwiłła, w wyniku którego „jednego z naszych zabito i żołnierze mocno pobici"7.

Znacznie mniej rozbudowaną formacją w siłach zbrojnych Rzeczypospolitej była piechota (nosząca wspólnie z artylerią nazwę „ludu ognistego"). W skład wojsk pieszych wchodziły w omawianym okresie oddziały tzw. piechoty cudzoziemskiej,

piechoty formowanej na wzór polski (czasem też zwany węgierskim) oraz dragonie (franc. le dragon - smok).

6 K. Górski, *Historija jazdy polskiej*, Kraków 1894, s. 88.

7 A. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, op. cit., s. 292.

63

Dragonia bowiem, wbrew sugestiom Henryka Sienkiewicza w Trylogii, nie była jazdą, lecz „piechotą na koniach”. Konie, zresztą dość marnej jakości, służyły dragonom do przyjazdu na pole walki. Gdy dochodziło do starcia, wówczas konie odprowadzano na tyły, a dragoni walczyli pieszo. Czasem, w szczególnie dramatycznych sytuacjach, wykorzystywano konie w charakterze „żywych szańców”, za którymi ukryci dragoni prowadzili ogień z muszkietów.

Jednostką podstawową piechoty była kompania, przy czym 2/3 składu było uzbrojone w muszkiety lontowe, a 1/3 w piki. Wszyscy piechurzy byli wyposażeni w szable.

Pikinierzy stanowili osłonę muszkieterów przed atakiem jazdy, dlatego też mieli oni uzbrojenie ochronne w postaci zbroi półpłytowej, osłaniającej górną część ciała, i hełmu.

W szyku bojowym ustawiano pikinierów w środku, a muszkieterów po obu bokach.

Ogień ciągły zapewniano w ten sposób, że szereg muszkieterów, po oddaniu salwy, wycofywał się na tył jednostki, a jego miejsce zajmował szereg następny (kontrmarsz). Ze względu na tempo nabijania muszkietów, ustawiano muszkieterów w

sześć szeregów<sup>8</sup>. W sytuacji gdy muszkietierom nie udało się powstrzymać szarży kawalerii, wówczas do walki przystępowali pikinierzy.

O wartości bojowej każdego wojska w znacznym stopniu decyduje oczywiście system dowodzenia i jakość kadry dowódczej. Według ustalonych zasad i praw Rzeczypospolitej, formalnie zwierzchnikiem wszystkich sił zbrojnych był król (choć jego władza była mocno ograniczona kompetencjami sejmu i pozycją nieusuwalnych hetmanów). Jeśli król brał osobiście udział w wyprawie wojennej, wówczas on sprawował naczelne dowództwo nad wszystkimi siłami zbrojnymi, również nad pospolitym ruszeniem. Władysław IV, polityk niewątpliwie kontrowersyjny i, co ważniejsze, bardzo niekonsekwentny w swych poczynaniach, był jednakże bardzo zdolnym dowódcą, czego dał niejednokrotnie dowody. Niestety, 20 maja 1648 roku w Mereczu, podczas podróży po Litwie, Władysław pożegnał się z życiem! Nie była to śmierć nieoczekiwana; król był człowiekiem słabego zdrowia i chorował od dawna. Cierpiał podobno na kamicy nerkową i wyjątkowo złośliwą odmianę reumatyzmu, a i tryb życia prowadził, mówiąc delikatnie, niezbyt higieniczny, nawet

8 M. Kukieł, *Zarys wojskowości w Polsce*, Kraków 1987, s. 71-72.

64

jak na te czasy, w których kwitło obżarstwo i opilstwo, a Paryż cuchnął jak co poniektóre polskie dworcowe ubikacje. Wprawdzie w pierwszych miesiącach 1648



roku zdrowie królewskie poprawiło się na tyle, że przedsięwziął wspomnianą podróż na Litwę, do Wilna, ale później jego stan znów znacznie się pogorszył. Stało się to w czasie postoju w Mereczu, wymuszonym febrą królowej. Wówczas to król, znudzony czekaniem na powrót żony do zdrowia, wybrał się 5 maja na ulubione polowanie, po którym powróciły dolegliwości nerkowe, potem - jak relacjonuje A. Radziwiłł - „przyszła złośliwa febra” i Władysław zaczął szybko opadać z sił. Jego śmierć była ogromną stratą dla państwa, nie tylko dlatego, że odszedł utalentowany dowódca, ale również, a może nawet przede wszystkim dlatego, że w tak trudnym momencie państwo znalazło się bez władcy! Należało zająć się wyborem nowego, a wiadomo jakim nieszczęściem dla Rzeczypospolitej była każda elekcja! Poza tym, rzecz szczególnie istotna w momencie rozpalania się konfliktu ukraińskiego, Władysław cieszył się szacunkiem i sympatią Kozaków.

Pod nieobecność króla dowództwo, zarówno nad wojskami zaciężnymi, jak i pospolitym ruszeniem, a także nad niepaństwowymi formacjami, biorącymi udział w działaniach, sprawowali hetmani - wielki i polny, których od czasów Unii Lubelskiej mieliśmy, jak pamiętamy, dwie pary, jako że istniały dwie armie - koronna i litewska. W zasadzie całością sił dowodził hetman wielki, a hetman polny zajmował się służbą wywiadowczo-rozpoznawczą.

Nierzadko jednak hetmanom polnym zlecano wykonywanie samodzielnych zadań częścią

lub całością armii. Jeśli w bitwie brali udział obaj hetmani, wówczas hetman wielki dowodził najczęściej prawym skrzydłem, a polny lewym. Wynikało to ze zwyczajowego uznawania prawego skrzydła za bardziej zaszczytne od lewego. Można więc uznać, że hetman polny spełniał funkcję klasycznego zastępcy naczelnego dowódcy armii, którym był hetman wielki. Oceniając walory naszych dowódców musimy przyznać, że przez cały wiek XVI i mniej więcej do połowy XVII mieliśmy na ogół szczęście do wybitnych dowódców, zarówno w armii koronnej, jak i litewskiej; wystarczy choćby wspomnieć Jana Zamojskiego, Jana Chodkiewicza, Stanisława Żółkiewskiego czy zmarłego tuż przed wybuchem wojny na Ukrainie Stanisława Koniecpolskiego. Ta plejada wybitnych dowódców skończyła się chwilowo na Koniecpolskim, a w feralnym dla Rzeczypospolitej

65

roku 1648 na czele armii koronnej stali: hetman wielki Mikołaj Potocki i hetman polny Marcin Kalinowski. Mikołaj Potocki to postać niejednoznaczna. Doświadczenie wojskowe zdobywał u boku najwybitniejszych naszych dowódców tamtego okresu: Stanisława Żółkiewskiego i Stanisława Koniecpolskiego, w wojnach z Turcją (tragiczna Cecora!), Szwecją, no i podczas tłumienia kolejnych zrywów kozackich. Jako podwładny był zazwyczaj - przynajmniej - zdyscyplinowany, energiczny i lojalny. W roli samodzielnego dowódcy zadebiutował dopiero w 1637 roku, gdy wybuchło powstanie kozackie Paw-

luka. Przygotowania do jego stłumienia rozpoczął ówczesny hetman wielki Stanisław Koniecpolski, jednakże choroba zmusiła go do przekazania dowództwa swemu zastępcy, czyli hetmanowi polnemu Mikołajowi Potockiemu. Potocki pokonał wówczas w bitwie pod Kumejkami Pawluka, a w następnym, 1638 roku - kolejnych dowódców kozackich: Jacka Ostranicę, Hunie i Skidana.

Był to więc, trzeba obiektywnie przyznać, debiut bardzo udany, choć, jak wspomniałem, nie w pełni samodzielny, gdyż plany kampanii opracował Koniecpolski.

Niestety, sprawdziło się wówczas również stare porzekadło o miłych złego

początkach. Zwycięskie kampanie przyniosły Potockiemu znaczną sławę w kraju i...

przewróciły mu w głowie. Nabrał zbyt wysokiego mniemania o swych talentach

wojskowych i zbyt uwiarylił w siebie. Wiara we własne możliwości jest

zazwyczaj zaletą, ale jeśli zmienia się w zadufanie, a w dodatku nie jest

wynikiem autentycznych zdolności i możliwości, lecz szczęśliwego zbiegu

okoliczności, to staje się poważną wadą. W rzeczywistości bowiem Mikołaj Potocki

był wodzem raczej miernym, w żadnym razie nie dorównującym talentami swym

wielkim poprzednikom, nie mającym też głębszego przygotowania teoretycznego,

konserwatywnym, a na dodatek leniwym. Miał też, niestety, problemy z chorobą

alkoholową! Jak twierdzi Joachim Jerlicz: „Więcej radziło kieliszku i

szklanicach niżeli o dobru Rzeczypospolitej i całości onej”<sup>9</sup>.

Nie miał też talentów dobrego wodza hetman polny Marcin Kalinowski. Był to człowiek nie posiadający wiedzy teoretycznej ani większego doświadczenia wojskowego, a co gorsza, lekkomyślny, skłonny do nad-

9 Latopisie albo kroniczka Joachima Jerlicza, wyd. W. Wójcicki, t. 1, Warszawa 1853, s. 64.

66

miernego ryzykanctwa oraz - wbrew pozorom energii i temperamentu - opieszały.

Hetmanem polnym został, jak twierdziła większość współczesnych mu obserwatorów sceny politycznej, dzięki protekcji mającego ogromny wpływ na króla kanclerza

Ossolińskiego, który chciał hetmańskim splendorem przyozdobić ojca swego zięcia

(córka kanclerza, Urszula, wyszła za mąż za Samuela Kalinowskiego). Historyk

polskiej wojskowości, Konstanty Górski, scharakteryzował go następująco: „(...)

słabej głowy i charakteru, a jednak ufny w siebie i lekceważący nieprzyjaciela,

może dlatego niedbały i ociążały w działaniu, a nadto uparty, co jest też

ciasnej głowy oznaką, zupełny prototyp

Skrzyneckiego"10. Nie mniej surowo

osadzał go znany historyk Ludwik Kubala, który pisał o Kalinowskim: „(...)

nie miał zdolności na wodza, bo ani myśleć sam, ani drugich słuchać nie potrafił"11.

Nie pomagała też Kalinowskiemu w dowodzeniu wrodzona wada, a mianowicie

krótkowidztwo. W ówczesnych czasach dowodzenie opierało się głównie na własnych

spozrzeżeniach dowódcy, na jego oglądzie sytuacji, natomiast Kalinowski, jak

przekazał nam jeden z kronikarzy, „(...) nie widział dobrze i kiedy na strzelenie z łuku kto od niego był, ledwo rozeznał, że to człowiek stoi”<sup>12</sup>. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednakże przyznać mu jedną zaletę, nader ważną u żołnierza, a i u wodza niebagatelną- był człowiekiem bardzo odważnym, a czasami również ofiarnym.

Nie brakło jednakże w owym czasie w wojsku koronnym dobrych i doświadczonych dowódców. Należał do nich niewątpliwie brat Władysława IV, następny władca Rzeczypospolitej, Jan Kazimierz Waza, a także bardzo popularny wśród szlachty ks. Jeremi Wiśniowiecki. Do zdolnych, a nawet wybitnych dowódców należeli również: Stanisław Rewera-Po-tocki, późniejszy hetman wielki koronny, Stefan Czarniecki, Jerzy Lubomirski, Aleksander Koniecpolski, Zygmunt Przyjemski, Krzysztof Houwaldt, Bogusław Radziwiłł i wielu innych. Na razie jednak nie należeli oni do postaci pierwszoplanowych, może poza Jeremim Wiśniowiczem, który dzięki posiadaniu własnej, silnej dywizji, pełnił już od pewnego

10 K. Górski, O działaniach wojska koronnego Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie z Kozakami (okres od dnia 19II do 10 VII 1651 roku. Bitwa pod Beresteczkiem),

„Biblioteka Warszawska” 1887, t. II i III.

" L. Kubala, Krwawe swaty, [w:] Szkice historyczne, t. II, Lwów, s. 315.

12 Cyt. za Z. Wójcik, Dzikie Pola w ogniu. O Kozaczyźnie w dawnej

Rzeczypospolitej, wyd. III, Warszawa 1968, s. 162.

czasu - przyznajmy: z powodzeniem - samodzielne funkcje dowódcze. Czas pozostałych uzdolnionych oficerów dopiero miał nadejść i już wkrótce zagrali oni swe role w pełnym świetle, na samym centrum sceny. Armia kozacko-tatarska

Kozacy

Struktura organizacyjna Wojska Zaporoskiego kształtowała się spontanicznie na przestrzeni wielu dziesiątków lat. Proces ten został przedstawiony w książce pt.

Kozaczyzna, tak że obecnie przypomnijmy tylko, że było to wojsko złożone z ochotników należących do bractwa zaporoskiego, na którego czele stała Rada,

mająca prawo podejmować decyzje w sprawach podstawowych dla całej organizacji, a

zatem w kwestiach wypraw wojennych na Tatarów i Turków, buntów przeciw

Rzeczpospolitej, a także wyboru atamana koszowego, który sprawował władzę w

czasie pokoju, i hetmana, którego władza - niczym nie ograniczona w czasie wojny,

wyprawy lub powstania - po zakończeniu działań właściwie kończyła się, a

przynajmniej była bardzo ograniczona kompetencjami atamana koszowego i Rady. W

skład naczelnego dowództwa, obok hetmana i pułkowników, wchodziłi jeszcze:

generalny sędzia, generalny oboź-ny, podskarbi, pisarz, generalny asauł (asauł),

który m.in. pełnił funkcję adiutanta hetmana, a także chorąży i buńczuczny.

Wszystkie te stanowiska osadzano kandydatami pochodzącymi z wyboru.

Wojsko dzieliło się na pułki, sotnie i kurenie.

Dowództwo pułku składało się z

pułkownika, asawuła, oboźnego, chorążego, sędziego i pisarza. Na czele sotni stali sotnik i asawuł oraz chorąży i pisarz. Kureniami dowodzili atamani kurenni. Ugoda podpisana w Borowicy, a następnie konstytucja sejmowa, dotycząca Ordynacji Wojska Zaporoskiego z 1638 roku, likwidowały w zasadzie bractwo kozackie, a tym samym również wspomnianą strukturę. Pozostać miało jedynie 6000 Kozaków rejestrowych, podzielonych na 6 pułków - czerkaski, czehryński, korsuński, perejasławski, kaniowski i bia-łocercki, w których kadre dowódczą mieli stanowić narzuceni przez władze Rzeczypospolitej oficerowie szlacheccy. Setnikami i atamanami mogli być lojalni wobec Rzeczypospolitej Kozacy. Na czele formacji Kozaków rejestrowych, w miejsce dotychczasowych „starszych”, ustanowiono

komisarza królewskiego - w 1648 roku był nim Jacek Szemberk - którego zadanie sprowadzało się przede wszystkim do utrzymania rejestrowych. W tym też celu oddano mu do dyspozycji liczący 800 ludzi oddział specjalny, którego główną siłę stanowiła dragonia. Kozacy, którzy nie weszli w skład rejestru, mieli zostać chłopami lub mieszczanami, w zależności od tego, gdzie mieszkali i czym się zajmowali; w każdym razie zasilić oni mieli rzesze zwykłego „pospólstwa”. Uchwała ta, w związku z brakiem odpowiednich sił policyjnych, pozostała jednak, jak wiele innych, „papierowym prawem”, a podjęta wiosną 1638 roku wyprawa pacyfikacyjna

przeciw Siczy spaliła na panewce. Struktura Wojska Zaporoskiego istniała więc nadal, a na Siczy i w jej okolicach przez cały okres „złotego dziesięciolecia” kwitło bujne życie kozackie; ci, którym było za ciasno, uciekali po prostu w step, gdzie nie sięgała żadna władza państwowa. Część Kozaków, szczególnie skompromitowanych w trakcie ostatnich powstań, opuściła zresztą w ogóle tereny Rzeczypospolitej i przeniosła się na teren Rosji, zasilając szeregi Kozaków dońskich.

Trudno jest obecnie ocenić liczebność niezależnych (to znaczy znajdujących się poza rejestrem) Kozaków. Jak pamiętamy, w wybieraniu hetmana brało ich udział podobno aż 30 000, choć osobiście jestem przekonany, że liczba ta była mniejsza. W każdym razie to była podstawowa siła, na którą mógł liczyć Chmielnicki, przystępując do wojny z Rzeczpospolitą. Oczywiście, hetman, wzorem poprzednich wodzów kozackich, miał nadzieję na przeciągnięcie na swoją stronę Kozaków rejestrowych, którzy, nieźle wyszkoleni, uzbrojeni i wyekwipowani, stanowili niebagatelną siłę, mogącą przesądzić o powodzeniu, przynajmniej w pierwszym okresie starcia.

Wartość bojowa armii zaporoskiej, zwłaszcza po połączeniu z rejestrowymi, była duża. Kozacy zaporoscy byli w gruncie rzeczy zawodowymi żołnierzami, którzy doświadczenie i umiejętności zdobywali w ciągłych walkach z Tatarami, w „chadzkach” na wybrzeża Turcji, a także w prywatnych oddziałach magnatów



ukraińskich, do których bardzo chętnie się wynajmowali.

Cechą charakterystyczną Wojska Zaporoskiego był brak podziału na pułki jazdy i piechoty. Były to po prostu pułki piechoty, wzmocnione sotniami jazdy. Znaczący wysoko cenili piechotę zaporoską. Budujący twierdzę Kudak francuski inżynier Guillaume le Vasseur Beauplan pozostawił nam taki oto obraz Kozaka żołnierza:

„Silnej budowy, łatwo znoszą chłód  
69

i głód, spiekotę i pragnienie; na wojnie są niestrudzeni, odważni, dzielni lub, lepiej się wyrażając, zuchwali i mało ceniący swe życie. Strzelają celnie z piszczeli, zwykłej swej broni. Największe męstwo i zręczność wykazują w taborze, otoczeni wozami, lub przy obronie twierdzy<sup>13</sup>".  
Bronią podstawową piechoty były strzelby (piszczele), spisy i szable. Dążąc do zwiększenia siły swojego ognia, Kozacy często formowali specjalne grupy strzeleckie, w których kilku żołnierzy ładowało broń i gotową do strzału podawała strzelcowi (dziś byśmy powiedzieli - snajperowi). Od liczby strzelców, ich celnego oka i wyszkolenia zależała sprawność i skuteczność grupy.

Zdaniem naszych kronikarzy (m.in. Starowolskiego), każdy wyruszający na wyprawę Kozak posiadał wóz zaprzęgnięty w konia, a na nim mosiężną armatę, strzelbę, amunicję i sprzęt obozowy w postaci siekier, łopat, sznurów, kosy itp., a także zaopatrzone w żywność - suchary, kaszę, mięso i ryby (zapewne suszone). Z tą

armatą na każdym wozie to zapewne -jak słusznie zauważył L. Podhorodecki, z którego książki pt. Sicz Zaporoska zaczerpnąłem ten opis - lekka przesada, ale niewątpliwie Kozacy bardzo dbali o siłę ognia swojej armii.

Wozy w ówczesnych wojskach, nie tylko zresztą kozackich, służyły nie tylko jako środek transportu, lecz również do tworzenia polowych umocnień, czyli obronnego taboru, o roli którego będziemy jeszcze mieli okazję wspomnieć.

Znacznie gorzej od piechoty prezentowała się jazda zaporoska. Wyposażona była w podobne uzbrojenie jak piechota, czasem dodatkowo jeszcze w tarcze, a w walce stosowała szyk zwany ławą, to jest długi, cienki szereg o zagiętych skrzydłach, którymi starała się oskrzydlić przeciwnika. W starciu z jazdą polską, atakującą w zwartych, głęboko uformowanych oddziałach, jazda kozacka nie miała większych szans. Nieoceniony Beauplan pisał, że o ile nawet 100 Kozaków, broniących się z umocnień, może stawić czoło 1000 Polaków, to 200 polskich kawalerzystów jest w stanie rozproszyć nawet 2000 konnych Zaporozców. Do taktyki stosowanej przez obie strony konfliktu i do jej wpływu na przebieg wojny jeszcze wrócimy.

13 Guillaume le Vasseur Beauplan, Ciekawe opisanie Ukrainy polskiej i rzeki Dniepru od Kijowa aż do miejsca, gdzie rzeka ta wrzuca się w morze, Warszawa 1822, s. 7.

70

Chmielnicki mógł być pewny, że z chwilą wejścia na osiadłe tereny Ukrainy jego

armia zwielokrotni się wskutek napływu „czerni”, czyli chłopów ukraińskich. Niektórzy historycy twierdzą, że w okresach maksymalnej mobilizacji oddziały czerni liczyły około 130 000-200 000 ludzi, sędzę jednak, że jest to liczba stanowczo przesadzona, gdyż słabo jeszcze na ogół zaludnionej Ukrainy nie było stać na tak wielką mobilizację. Nie zapominajmy, że niewiele większą armię, wzmocnioną zresztą zagranicznymi zaciągami, wystawiała Francja licząca w XVII wieku 14-16 mln mieszkańców. Wartość bojowa „pospolitego ruszenia chłopów ukraińskich”, podobnie jak w ogóle pospolitego ruszenia szlachty, jest trudna do oszacowania. Uzbrojenie chłopów było bardzo różnorodne i raczej nie odpowiadało ówczesnym standardom. Jedynie nielicznych stać było na samopasy, pistolety, szable i spisy, toteż przeważały różnego rodzaju koły, cepy, kosy osadzone „na sztorc”, końskie lub baranie szczęki poprzywiązywane do kijów itd. Pod względem uzbrojenia chłopskie „pospolite ruszenie” ustępowało więc szlacheckiemu. Górowało natomiast nad nim poziomem dyscypliny, która wynikała nie tyle ze strachu przed dowódcą, co z przekonania o wspólnocie interesów i celu walki. Można, jak sędzę, zaryzykować twierdzenie, że siła i zapału dodawała im naturalna nienawiść do szlachty i Żydów, a także pełna świadomość konsekwencji, jakie poniosą w wypadku klęski. Czasami jednak czerń bywała również „chimeryczna”, mało odporna na stres związany z

nieoczekiwanymi zmianami sytuacji, łatwo wpadała w panikę, uciekając, nieraz właściwie bez powodu, z pola walki.

Wojsko Zaporoskie dysponowało doświadczoną kadrą dowódczą, która zdobywała doświadczenie w czasie walk z Tatarami, Turkami i wojskami koronnymi w trakcie licznych powstań. Fakt, że pochodziła ona w zasadzie wyłącznie z wyboru, sprzyjał powierzaniu stanowisk dowódczych ludziom najlepszym, sprawdzonym w różnych „potrzebach”. Nie zawsze jednak stosowano taki system kreowania kadr dowódczych, hetman bowiem mógł, stosownie do potrzeb, mianować tzw. hetmanów czy też atamanów zakaźnych, z tym że oni również wywodzili się spośród doświadczonych Kozaków.

Wielką niewiadomą w momencie rozpoczęcia konfliktu były natomiast walory dowódcze wodza naczelnego, czyli samego Chmielnickiego. Był on wprawdzie długoletnim członkiem bractwa, prawdopodobnie więc brał

71

udział w różnych wyprawach (o czym jednak niewiele wiemy); musiał też wykazać się wieloma zaletami, o czym świadczy chociażby fakt powierzenia mu stanowiska pisarza Wojska Zaporoskiego, a także pewien autorytet, jakim cieszył się wśród braci Zaporozców. Wiadomo jednak, że do roku 1648 nie pełnił funkcji samodzielnego dowódcy wyprawy ani nawet większego zgrupowania.

Tatarzy

W armii tatarskiej, stanowiącej drugi człon koalicji, służyli mężczyźni w wieku

od 18 do 40 lat. Tworzyły ją głównie ordy krymskie, budziackie i nogajskie, czasem, w większych wyprawach, wzmocniane posiłkowymi oddziałami tureckimi, a także nadwołżańskimi Kirgizami i Kałmukami. Zwoływano je albo do obrony chanatu, albo też w celu przeprowadzenia wyprawy łupieżczej. Wyprawy takie Tatarzy przeprowadzali bardzo często, zazwyczaj na tereny Ukrainy lub Rosji, gdyż, prawdę mówiąc, wojna była, obok hodowli, głównym zajęciem ludności męskiej tego państwa, a zdobycze wojenne dość często najważniejszym źródłem utrzymania tatarskich rodzin.

Mimo że to również w granie rzeczy było pospolite ruszenie, to jednak wartość bojową ordy należy oceniać bardzo wysoko. Tatarzy stanowili doskonały materiał żołnierski. Wszyscy mężczyźni od dziecka ćwiczyli się w jeździe konnej, a także we władaniu bronią: łukiem, który był ich podstawową, bardzo groźną i skuteczną bronią, a także szablą i dzi-rytem. Nabyte w codziennych ćwiczeniach umiejętności często były też sprawdzane w specjalnie organizowanych popisach i zawodach w „sportach wojennych”, a więc właśnie w jeździe konnej, szermierce i posługiwaniu się dzi-rytem. Umiejętności te mogli też sprawdzać w praktyce i doskonalić w trakcie częstych wypraw wojennych czy też po prostu rabunkowych. Tatarzy cieszyli się sławą doskonałych jeźdźców, choć - jak pisze Beauplan - jeżdżąc w krótkich strzemionach, z bardzo podwiniętymi kolanami, wyglądali ponoć

na koniu „jak mała pa na charcie”. Byli też na ogół trudnymi do pokonania przeciwnikami w pojedynkach na białą broń, nawet dla naszej szlachty, niezłej na ogół w fechtunku.

Podstawowym rodzajem wojska tatarskiego była lekka jazda, pozbawiona w zasadzie uzbrojenia obronnego, gdyż jedynie część bogatszych zawodników stać było na kolczugi i, ewentualnie, misiurki.

72

Uzbrojenie zaczepne Tatarów nie było zbyt urozmaicone i nowoczesne. Jako broń strzelcza nadal królował łuk; choć w armiach zachodnich wyszedł on już zupełnie z użycia (w Polsce stosowały go jeszcze niektóre chorągwie jazdy lekkiej), to w rękach wojowników tatarskich była to niezwykle groźna i skuteczna broń. Strzały z łuku miały ciągle jeszcze większy zasięg niż z ówczesnej broni palnej, a Tatarzy umieli trafiać nimi z odległości 60-100 m. Prawdę mówiąc, była to również broń bardziej szybkostrzelna i celniejsza niż np. ówczesne muszkiety, załadowanie których wymagało aż sześciu czynności (w przypadku łuku w zasadzie czterech - wyjęcia z sajdaka, założenia na cięciwę, wycelowania i zwolnienia cięciwy), a ich celność pozostawiała jeszcze wiele do życzenia. Łuk miał jeszcze i tę przewagę w stosunku do ówczesnej broni palnej, że mniej obciążał żołnierzy. Muszkiety ówczesne były ciężkie (ważyły 7-9 kg), wymagały więc jeszcze dodatkowo podpórki, którą wbijano w ziemię i na niej opierano lufę. Wcale też nie miała wagę

miały noszone w woreczkach ołowiane kule i proch (który w dodatku łatwo było zamoczyć, co już zupełnie uniemożliwiało prowadzenie ognia). Natomiast łuki i sajdaki były lekkie, podobnie jak strzały, których w sajdaku było zazwyczaj 18-20, a było to nader istotne dla tatarskiej jazdy, której atutem była szybkość poruszania się i manewrowania na polu bitwy. Oczywiście, mankamentem łuku, w porównaniu do muszkietu czy rusznicy, była jego mniejsza skuteczność w przypadku, gdy trzeba było walczyć z przeciwnikiem pokrytym zbroją. Kula o wiele łatwiej przebijała pancerz niż strzała. Dlatego też w tym okresie u bogatszych wojowników pojawiły się już rusznice, muszkiety czy też pistolety. Jeźdźcy tatarscy uzbrojeni byli również w broń białą, głównie w szable i koncerze (proste, równe klingi, służące do zadawania ran kłutych, a głównie do przebijania pancerzy przeciwnika). Ponadto tatarscy ka-walerzyści wyposażeni byli w dzidy, dziiryty, a także tarcze lub tureckie kałkany. Obok jazdy lekkiej istniała w wojsku tatarskim piechota (segbani), uzbrojona w tzw. janczarki, czyli lekkie strzelby pochodzenia wschodniego, o długiej lufie i zakrzywionej lekko kolbie, oraz w nieliczną raczej artylerię, na którą składały się głównie 3-funtowe działka. Piechoty w wojskach tatarskich było jednak niewiele, nie więcej niż kilkuset żołnierzy, a używano jej sporadycznie do zdobywania umocnień. Na ogół jednak nie odgrywała ona większej roli.

Państwo krymskie było w stanie wystawić armię liczącą zapewne około 30 000-40 000 żołnierzy, choć zazwyczaj w łupieżczych wyprawach brały udział siły o wiele mniej liczne. Wszelkie więc opowieści o krocjach, sko-śnookich wojowników, jak szarańcza zalewających Dzikie Pola, należy włożyć między bajki. Armia ta (konnica) dzieliła się na oddziały zwane u nas czambułami, które nie miały z góry ustalonej liczebności. Podział na stosunkowo małe czambuły ułatwiał zadawanie szybkich uderzeń, ogarnianie w trakcie wyprawy większych terytoriów, no i oczywiście zdobywanie zaopatrzenia, zwłaszcza paszy dla koni. Było to o tyle istotne, że wojsko tatarskie nie obciążało się nadmiernie taborami, które na ogół były kulą u nogi wojsk Rzeczypospolitej. Wyruszając na wyprawę, każdy Tatar zabierał ze sobą podstawowe racje żywnościowe, umieszczając je w sakwach przytroczonych do siodła lub wręcz pod siodłem. Była to na ogół suszona lub surowa konina, której płaty trzymano właśnie pod siodłem (prawdopodobnie był to pierwowzór naszego befsztyka po tatarsku) oraz ziarno prosa, z którego przyrządzano tzw. małaj, czyli ma-małygę; po przybyciu na teren nieprzyjaciela jadłospis armii urozmaicano oczywiście miejscowymi, zdobycznymi produktami. Głównym problemem kwatermistrzowskim, jaki armia ta musiała rozwiązać, była więc właśnie pasza. Nieobciążone nadmiernie wozami czambuły poruszały się rzeczywiście błyskawicznie,



zwłaszcza że każdy kawalerzysta miał do dyspozycji po kilka rączych koni własnej, tatarskiej hodowli - tzw. bachmatów tatarskich, bardzo wówczas cenionych - mógł więc przesiadać się w miarę potrzeby ze zmęczonych wierzchowców na wypoczęte.

Nic więc dziwnego, że czambuły tatarskie były trudno uchwytnie dla wojsk

koronnych strzegących Ukrainy czy też wojsk rosyjskich (bo teren tego państwa

był równie chętnie i równie skutecznie

najeżdżany). Wojska koronne wypracowały

więc sobie swoistą strategię walki z zagonami tatarskimi - uderzały mianowicie

dopiero wówczas, gdy te już się wycofywały,

obciążone liczną rzeszą „jasyru”,

czyli jeńców: mężczyzn, młodych kobiet i dzieci.

Zwłaszcza dzieci i młode

dziewczęta uważane były za szczególnie cenną

zdobycz ze względu na wysoką cenę,

jaką osiągały na rynkach w Bachczysaraju i

Stambule. Jasyr i wozy ze zrabowanym

dobytkiem spowalniały bardzo ruchy czambułów, więc dopiero wtedy pojawiała się

szansa na ich dogonienie, zaatakowanie i

ewentualne odbicie jeńców.

74

Zupełnie wyjątkowa pod tym względem była bitwa pod Ochmatowem w styczniu 1644

roku. Wojskom koronnym pod dowództwem hetmana

Stanisława Koniecpolskiego,

wzmocnionym pocztami pańskimi, m.in. dy-wizjaks.

Jeremiego Wiśniowieckiego,

udało się wówczas zastąpić drogę oddziałom

tatarskim pod dowództwem słynnego i

osławionego bejape-rekopskiego Tuhaj-beja i

rozgromić je w bitwie stoczonej w

dniu 29 stycznia, zanim jeszcze Tatarzy zdążyli się rozlać po Ukrainie. Bitwa pod Ochmatowem przeszła do historii również dlatego, że był to ostatni epizod w polsko-ukraińskich dziejach, podczas którego kozackie wojsko rejestrowe współpracowało, bardzo zresztą efektywnie, z oddziałami polskimi.

Strategia i taktyka stron konfliktu  
Strategia i taktyka każdej armii zależna jest przede wszystkim od możliwości państw wojujących, specyfiki terenu, na którym toczą walkę, a zwłaszcza celów politycznych, jakie chcą osiągnąć w wyniku konfliktu, gdyż każda wojna jest -jak słusznie zauważył Clausewitz - polityką realizowaną przy pomocy specyficznych metod. Dlatego też strategia i taktyka obu armii Rzeczypospolitej, zarówno litewskiej, jak i koronnej, zasadniczo różniła się od strategii i taktyki stosowanej przez armie państw Europy Zachodniej (a także Rosji, która na ogół przyjmowała wzorce zachodnie, przystosowując je jedynie do własnych potrzeb).  
Na Zachodzie w XVII wieku ustalili się zwyczaj staczania „wojen bez bitew”.  
Zasadę tę sformułował król pruski Fryderyk II, stwierdzając: „Niech bez poważnych racyj wódz się nie porywa do bitew, w których szerzy śmierć okropne żniwa”<sup>4</sup>. Czy jednak naprawdę to względy humanitarne spowodowały przyjęcie takich założeń taktycznych? Można mieć co do tego poważne wątpliwości, w rzeczywistości decydował bowiem o tym cel konfliktu zbrojnego, a było nim

głównie zdobycie i zaanektowanie terytorium przeciwnika. Terytoria te były zazwyczaj chronione dobrze na ogół ufortyfikowanymi miastami i całymi systemami twierdz, co powodowało, że koncentrowano się głównie na ich obleganiu i zdobywaniu, gdyż jedynie to zapewniało kontrolę nad terenem. Ponieważ armie zachodnie walczyły w oparciu o system magazynów zaopatrzeniowych, szczególnego znaczenia nabierało więc dążenie do wyma-

14 Cyt. [za:] M. Kukieł, Zarys historii wojskowości w Polsce, Kraków 1929, s. 155.

75

newrowania przeciwnika i odcięcia go od jego magazynów, jak również oczywiście ochrona własnych. Z tych też względów w wojnach tych tak dużą wagę przywiązywano do kunsztownych manewrów, marszów i kontrmarszów, dzięki którym można było wymanewrować przeciwnika, odciąć go od baz zaopatrzeniowych i zmusić do odejścia z zajmowanej prowincji. Naturalną konsekwencją takiego sposobu wojowania była też ważna rola przypisywania wojskom inżynieryjnym i piechocie, niezbędnym zarówno przy fortyfikowaniu miast i twierdz, jak i przy ich zdobywaniu<sup>15</sup>.  
Jeśli już przeciwnicy decydowali się na stoczenie bitwy, to dochodziło do nich na wybranym przez obu dowódców polu, a przygotowania do starcia były długotrwałe i trwały niejednokrotnie nawet kilka dni. W tym czasie oceniano walory taktyczne terenu, umacniano szanćcami wybrane punkty, wzmacniano je artylerią itd.

Wojny prowadzone w takim stylu, według tak pojętych zasad, toczyły się długo, po kilka, a nawet kilkanaście lat, i wymagały posiadania znacznych zasobów finansowych. Wbrew zacytowanemu powyżej zdaniu Fryderyka II, wcale też nie były bezkrwawe. Może i ginęło w nich stosunkowo niewielu żołnierzy (co zresztą nie wynikało bynajmniej z humanitaryzmu dowódców, lecz z takiego a nie innego pojmowania własnego interesu, gdyż duże straty w armii mogły spowodować trudności w werbowaniu nowych ochotników), za to straty wśród ludności terenów, na których toczyła się wojna, były duże, czasem wręcz przerażające. Aby je sobie uzmysłwić, wystarczy przypomnieć, jak ogromne były straty wśród ludności państw biorących udział w wojnie trzydziestoletniej. Armie Rzeczypospolitej walczyły zupełnie inaczej. Nasi dowódcy znacznie mniejszą wagę przywiązywali do opanowania terenu i zdobywania nieprzyjacielskich twierdz, jako główny cel stawiając sobie zniszczenie i rozproszenie jego żywej siły i, dzięki temu, szybkie zakończenie wojny. Aby osiągnąć ten cel, stosowano błyskawiczne manewry, czasami samą tylko jazdą, czyli tzw. komunikiem, i głębokie obejścia wojsk nieprzyjaciela, aby narzucić mu rozstrzygającą bitwę w niedogodnych dla niego warunkach, a następnie rozbić go gwałtownymi, zmasowanymi atakami kawalerii. Stosowanie takiej strategii wymagało posiadania armii odpowiednio ruchliwej, zdolnej do szybkich, zaskakujących manewrów, z te-

15 Por. J. Orzechowski, Dowodzenie i sztaby, op. cit., s. 283.

76

go też powodu od stuleci w naszej armii utrzymuje się prymat jazdy nad piechotą, którą też chętnie wsadzano na koń, tworząc stosunkowo liczne oddziały dragonii. Szybkość manewrów opóźniał oczywiście tabor, w którym wożono broń, sprzęt oraz zapasy żywności i paszy dla koni. Warto pamiętać, że nasza armia, w przeciwieństwie do armii zachodnioeuropejskiej, nie zaopatrywała się w stałych magazynach, lecz podstawowe zapasy wozila z sobą. Dawało jej to niezależność od dróg zaopatrzenia, ale zmuszało do obciążania się licznym, bardzo wolno poruszającym się po ówczesnych drogach (a raczej bezdrożach) taborem. W sytuacji gdy niezbędny był błyskawiczny manewr, pozostawiano tabor pod osłoną piechoty i stosowano metodę szybkich zagonów kawalerii, wspartej ewentualnie przez dragonie. Na ogół taką taktykę stosowano wówczas, gdy przeciwnik wycofywał się i zachodziła konieczność dogonienia go i „osadzenia” w miejscu. Nierzadko też w takiej sytuacji staczano bitwę siłami samej tylko jazdy. Jeśli natomiast przeciwnik zakładał umocniony obóz, jazda jedynie go osaczała, a do generalnej bitwy dochodziło dopiero wówczas, gdy nadciągnęły piechota i artyleria. Taki sposób prowadzenia działań wojennych był spowodowany kilkoma czynnikami. Najważniejszym z nich była rozległość naszego państwa i długość granic, których

musiała bronić nasza nader nieliczna armia. Nie bez znaczenia był także rodzaj sił zbrojnych przeciwnika, z którym najczęściej mieliśmy do czynienia. Byli to głównie Tatarzy, dysponujący bardzo ruchliwą, doskonałą jazdą, ale pozbawieni piechoty, oraz Wojsko Zaporoskie, w którym z kolei główną, najwartościowszą broń stanowiła piechota. Ponadto nasze pogranicza były raczej pozbawione wartościowych twierdz, a i sama granica, szczególnie na niektórych odcinkach, była dość płynna (Dzikie Pola). No i jeszcze jedna sprawa, wcale nie bagatelna - kwestia zasobności skarbu państwa. Rzeczpospolitej po prostu nie było stać na prowadzenie wieloletnich wojen. Szlachta miała węża w kieszeni i z trudem godziła się na większe ciężary podatkowe, a w dodatku jak ognia bała się powoływania dużych, stałych armii zawodowych, które z przyczyn naturalnych byłyby silnie związane z władcą i mogły stać się w jego rękach narzędziem umożliwiającym przeprowadzenie zmian ustrojowych, a mówiąc po prostu, wzmocnienie władzy królewskiej. Obozy i koterie w łonie magnaterii i szlachty, których przecież nigdy nie brakowało, mogły być straszliwie ze sobą skłócone, zawsze

77

jednak godziły się i występowały jednolitym frontem, gdy chodziło o przeciwstawienie się jakimkolwiek próbom wprowadzenia absolutum dominium. Przekonał się o tym boleśnie nawet tak lubiany na ogół przez szlachtę Władysław

IV.

Nasz sposób wojowania próbował zmienić Batory. Jego wojna z Rosją toczyła się w zasadzie według wzorów zachodnioeuropejskich i polegała na zdobywaniu terytorium wroga poprzez opanowywanie twierdz, do czego potrzebna była oczywiście piechota i artyleria, toteż król ten dbał bardzo o rozwój i modernizację obu tych formacji. W późniejszym czasie zwolennikiem zachodniego stylu wojowania był Władysław IV, również bardzo dbający o rozwój piechoty i artylerii, który próbował przeszczepić na nasz grunt zachodnioeuropejską jazdę. Zmiany te jednak nie utrwaliły się i w naszej taktyce nadal dominował tradycyjny sposób prowadzenia wojen.

Stosowana przez daną armię strategia rzutowała też, w mniejszym lub większym stopniu, na sposób rozgrywania bitew. W wojnach toczonych na zachodzie Europy, jeśli już dochodziło do bitwy, to rozgrywane były one nader statycznie, a o zwycięstwie decydowała najczęściej umiejętność przeprowadzania wielu skomplikowanych manewrów, budowy umocnień polowych, no i przede wszystkim siła ognia. Dlatego też, jak zauważył jeden z naszych historyków wojskowości K. Górski, nawet kawaleria zachodnioeuropejska walczyła statycznie i „za dużo strzelała”. Natomiast taktyka rozgrywania bitew, stosowana przez naszych dowódców, polegała na silnych, zmasowanych atakach (szarżach) kawalerii działającej w oparciu o umocniony i obsadzony piechotą obóz (tabor). Z tego też powodu wykształciło się

u nas kilka rodzajów jazdy: husaria, której zadaniem było przełamywanie frontu przeciwnika i która tym samym spełniała funkcję dzisiejszych formacji czołgowych, jazdy pancernej, czyli średniozbrojnej, którą wykorzystywano do wsparcia ataku husarii, do uderzeń na skrzydła przeciwnika, a czasem do manewrów oskrzydlających, no i wreszcie jazdy lekkiej, znakomitej jeśli chodziło o walki podjazdowe, rozpoznanie terenu, a także do głębokich obejść przeciwnika i uderzeń na jego tyły. Chorągwiom lekkim powierzano również zadanie wywabiania przeciwnika w pole wówczas, gdy zajmował on umocnioną pozycję uniemożliwiającą przeprowadzenie rozstrzygającej szarży jazdy ciężkiej.

Ulubionym manewrem naszych dowódców były wówczas pozorowane ataki chorągwi jazdy lekkiej i nagłe, błyskawiczne, również pozorowane,

78  
ucieczki. Jazda lekka nadawała się też znakomicie do pościgu za cofającą się wroga armią i zadawania jej ostatecznego ciosu. Natomiast pozostająca w odwodzie piechota broniła obozu, czasem też udzielała wsparcia ogniowego atakującym chorągwiom jazdy. Wykorzystywano ją również do zdobywania umocnień przeciwnika, w czym wspierała ją dragonia i, dość często a skutecznie, spieszona jazda, która na ogół chętnie brała udział w szturmach, nie chciała natomiast zamykać się jako załoga w twierdzach czy też w umocnieniach polowych ze względu na trudności z zaopatrzeniem w paszę dla koni<sup>16</sup>.



Styl walki stosowany przez Kozaków był zupełnie odmienny. Oddziały piechoty zaporoskiej poruszały się pod osłoną taboru złożonego z dwóch rzędów wozów, a całość ubezpieczały jedno- lub dwuosobowe konne patrole. W chwili wejścia w kontakt z nieprzyjacielem tabor zatrzymywał się, wozy formowano w wydłużony równoległobok i silnie szepiano łańcuchami, czasem, dla większego wzmocnienia tej ruchomej fortecy, skrajne rzędy wozów obsypywano ziemią, tworząc w ten sposób swoiste, trudne do sforsowania szańce, zwłaszcza że dyszle wozów podnoszono do góry, tworząc w ten sposób palisadę, skierowaną w stronę nieprzyjaciela i utrudniającą dodatkowo dotarcie do wozów. Przód i tył taboru również tworzyły wozy, w których pozostawiano bramy umożliwiające poruszanie się jazdy i przeprowadzanie kontrataków. Na skrajnych wozach, zwłaszcza z tyłu i przodu taboru, ustawiano armaty. Piechota broniła się z za wozów, czasem również w kopanych pod wozami rowach strzeleckich. Natomiast w centrum taboru lokowano jazdę, a także zapasy żywności i amunicji. Obronny tabor starano się w miarę możliwości zakładać w miejscach z natury obronnych, najchętniej na terenie podmokłym lub poprzecinanym jarami i jamami, tak aby utrudnić ataki kawalerii przeciwnika. Również styl walki Tatarów dostosowany był, co oczywiste, do walorów ich wojsk, a także do celu ich wypraw. Wojna dla nich miała przede wszystkim charakter „przedsięwzięcia gospodarczego”, dlatego starali się wyciągnąć z niej maksimum

korzyści przy minimum strat. Za wszelką więc cenę starali się zaskoczyć przeciwnika, złupić jak największą ilość terenu i błyskawicznie umknąć na Krym.

Po przejściu przez Dzikie

16 J. Orzechowski, Dowodzenie i sztaby, op. cit. s. 327-328, a także T. Nowak i J. Wimmer, Historia oręża polskiego 963-1795, Warszawa 1981, s. 347-348.

79

Pola i przybyciu na skraj terenów osiadłych wojska tatarskie zakładały obóz

(kosz), a czambuły szeroko rozlewały się po kraju, starając się zaskoczyć

możliwie wiele miejscowości, zanim do ich ludności dojdzie informacja o napadzie.

W ten sposób ludność napadniętych terenów nie mogła w porę przygotować się do

obrony ani schronić w obronnych miastach, zamkach czy też w ostateczności w

głębokich lasach, porastających w tamtych czasach spore połacie kraju.

Po złupieniu i spaleniu zdobytych miejscowości i zagarnięciu miejscowej ludności

w jasyr, czambuły wycofywały się do kosza, gdzie łup, a zwłaszcza jasyr dzielono

i formowano w kolumny (młodych mężczyzn

przeznaczano najczęściej do pracy w

kopalniach lub na galerach, młode kobiety i

dziewczęta „zasilały” haremy sułtana

lub możnowładców tatarskich i tureckich. O losie dzieci również decydowała ich

płeć; małych chłopców np. często przeznaczano do służby w korpusie janczarów).

Jeśli mimo wszelkich starań dochodziło czasem do starcia ordy tatarskiej z

regularną armią, jazda tatarska starała się

rozstrzygnąć walkę na swoją korzyść

poprzez szarżę szeroką ławą, a więc podobnie jak jazda kozacka, ale w szyku złożonym z kilku rzędów, choć najczęściej dość luźnym. Taktyka taka umożliwiała Tatarom wykorzystanie tylnych szeregów do oskrzydlenia przeciwnika, najczęściej z lewego skrzydła, gdyż łatwiej wówczas było strzelać z łuku. Czambuły tatarskie z upodobaniem stosowały taktykę szybkich natarć i równie błyskawicznych odwrotów, starając się wprowadzić nieład w szeregi przeciwnika, a przynajmniej doprowadzić do rozluźnienia jego szyków. Gdy się to udało, wówczas czambuły wykonywały zwrot zaczepny i przechodziły do bezpośredniego natarcia. Po rozbiciu przeciwnika bitwa przeistaczała się w szereg indywidualnych pojedynków, w których jeźdźcy krymscy byli mistrzami. Ulubionym manewrem czambułów tatarskich było też przejeżdżanie w pełnym galopie przed czołem stojących oddziałów przeciwnika i ostrzeliwanie go z łuków. Powtarzali go wielokrotnie, starając się zadać przeciwnikowi straty, ale przede wszystkim przerazić go chmarą strzał i przeraźliwym krzykiem. Można sobie łatwo wyobrazić, jakie wrażenie manewr ten robił na stojących w szyku żołnierzach, zwłaszcza tych „nie-ostrzelanych”. Jak więc widzimy, wojownikom krymskim nieobce były aspekty wojny psychologicznej.

80

Sprawnie manewrująca, szybka i ruchliwa jazda tatarska była w zasadzie przez wiele dziesiątków lat jedynym przeciwnikiem, który docierał w głąb

Rzeczpospolitej i powodował wiele strat wśród ludności cywilnej. Była też przez długie okresy jedynym równorzędnym przeciwnikiem dla doskonałej jazdy polskiej, a nawet w niektórych bitwach, jak choćby pod Cecora, zadawała jej dotkliwe klęski.

Walcząc z każdym z tych przeciwników osobno armia koronna stosowała różną taktykę. Przeciwno Kozakom wykorzystywano głównie przewagę ruchliwej jazdy, atakującej w głębokich szykach, które z łatwością przerywały cienką ławę kozackiej jazdy. Również piechota zaporoska nie mogła sprostać polskiej jeździe w otwartym polu, jej głównym walorem była bowiem walka zza umocnień polowych.

Pozornie stawiało to Kozaków w korzystnej pozycji wobec wojsk koronnych, zwłaszcza jeśli się pamięta o niewielkich zasobach wartościowej, dobrze wyćwiczonej piechoty i o dość słabej artylerii, formacji wszak niezbędnych do zdobywania umocnień taborowych.

W rzeczywistości było jednak inaczej. Kozacki tabor był z natury rzeczy mało ruchliwy, a zatem łatwy do „osadzenia” w miejscu i oblężenia. Ruchliwa, szybka polska jazda łatwo go doganiała i osaczała, izolując od wsparcia z zewnątrz, a następnie, po dłuższym lub krótszym oblężeniu, zmuszała do kapitulacji z powodu braku żywności, chorób wywołanych niewłaściwym pożywieniem, fatalnym stanem higieny, zatruciem terenu obozu itp. Czasem zresztą doświadczeni dowódcy polskiej jazdy decydowali się nawet na próby rozerwania taboru atakiem jazdy,

tak jak Wiśnio-wiecki pod Żołninem w czasie powstania Ostranicy. Był to wprawdzie manewr nieco ryzykowny, gdyż w takim ataku chorągwie jazdy mogły ponieść znaczne straty, z drugiej jednak strony polscy dowódcy mieli pełną świadomość, że w razie niepowodzenia szturm nieprzyjaciel nie wyjdzie w pole i nie zdyskontuje sukcesu, gdyż nie dysponuje równie wartościową, ruchliwą formacją.

Prawdę mówiąc, większość powstań kozackich przebiegała według podobnego scenariusza, którego głównymi etapami były: pościg jazdy polskiej za kozackim taborem, osaczenie go i oblężenie, następnie mniej lub bardziej udane szturmy i wreszcie kapitulacja uciekinierów. Tak było nawet wówczas, gdy Kozacy dysponowali zdecydowaną przewagą liczebną, np. w trakcie powstania Tarasa Fedorowicza. Konięcpolski dysponował wówczas armią liczącą około 8000 żołnierzy, a Taras Fedoro-

81

wicz miał ich około 40 000 i mimo niepowodzenia bezpośrednich szturmów, a także sporych strat poniesionych przez stronę polską w trakcie tzw. nocy Tarasowej, Kozacy w końcu przystąpili do rozmów i de facto skapitulowali, aczkolwiek, co trzeba przyznać, na dość honorowych warunkach. Natomiast w walce z Tatarami wojsko polskie stosowało tzw. szyk antytatarski. Był to w zasadzie szyk zaczepno-odporny, z jazdą ustawioną w centrum, z taborem, obsadzonym artylerią i piechotą, osłaniającym jej tyły i skrzydła. Bitwę

rozpocząłoby oczywiście natarcie jazdy tatarskiej, które starano się odeprzeć ogniem artylerii i piechoty. Jazda tatarska, mimo swych walorów, była stosunkowo mało odporna na ogień, więc po pewnym czasie natarcie tatarskie traciło na sile, a czambuły zaczynały się wycofywać. Wykorzystywała to natychmiast jazda polska, ruszając do przeciwnatarcia, które często kończyło bitwę.

Sytuacja strony polskiej była o tyle korzystna, że w razie bezskutecznej szarży jazda polska mogła w każdej chwili wycofać się pod osłonę taboru i piechoty, a Tatarzy takiego wsparcia byli pozbawieni. Z tego rozwiązania taktycznego strona polska zrezygnowała jedynie w bitwie pod Ochmatowem, ale wówczas dysponowała ona przewagą liczebną.

Krótko mówiąc, wojska Rzeczypospolitej odnosiły sukcesy w starciach z Kozakami i Tatarami dzięki umiejętnemu wykorzystaniu poszczególnych rodzajów wojsk: jazdy, piechoty, artylerii i obronnego taboru. Pozwalało to na poziomie taktyki wykorzystywać słabe strony przeciwników i odnosić zwycięstwa nawet w sytuacji, gdy mieli oni liczebną przewagę. Teraz jednak, gdy Kozacy i Tatarzy występowali w koalicji, sytuacja uległa radykalnej zmianie na niekorzyść Rzeczypospolitej.

Obecność Tatarów w wojsku Chmielnickiego postawiła bowiem pod znakiem zapytania skuteczność wszystkich wypracowanych dotychczas schematów i koncepcji walki.

Jazda polska nie mogła już, tak jak do tej pory, w miarę bezpiecznie i, prawdę

mówiąc - bezkarnie - dążyć do osaczenia i zablokowania taboru kozackiego, gdyż w każdej chwili na jej skrzydła lub tyły mogło spaść uderzenie tatarskie. Rację bytu stracił również szyk antytatarski, z j azdą osłanianą przez tabor i piechotą oczekującą na dogodny moment, by zaatakować osłabionego ogniem artylerii i piechoty przeciwnika, bo ten dysponował obecnie wsparciem taboru zaporoskiego i w razie niekorzystnego przebiegu walki, mógł w każdej chwili wycofać się pod jego osłonę, tak jak uprzednio czyniła to polska kawaleria.

82

Innymi słowy, z chwilą powstania koalicji kozacko-tatarskiej, sytuacja Rzeczypospolitej zmieniła się na niekorzyść, zarówno pod względem ilościowym, jak i taktycznym. Przystępując więc do kampanii 1648 roku strona polska powinna była nie tylko skoncentrować większe niż do tej pory siły i wzmocnić liczebnie „lud ognisty”, czyli piechotę, ewentualnie dragonie i artylerię, ale też przygotować nowe rozwiązania taktyczne. Czy było to możliwe? Oczywiście tak, wymagało jednakże poprawy możliwości mobilizacyjnych państwa, a także głębokiej wiedzy teoretycznej naczelnego dowództwa. Szczególnie dogłębnie należało zapoznać się ze strategią i taktyką armii zachodnioeuropejskiej, zwłaszcza hiszpańskiej i holenderskiej. Nade wszystko jednak trzeba tu było wyobraźni, polotu i - po prostu - talentu. Cech tych niestety zabrakło zarówno skostniałemu, niepewnemu w

działaniu i wiecznie wahającym się hetmanowi wielkiemu Potockiemu, jak i jego nieprzezornemu, lekkomyślnemu i często podejmującemu decyzje na łapu-capu zastępcy.

Jednym słowem, sytuacja w jakiej znalazł się Potocki w 1648 roku, przerosła wielokrotnie jego możliwości fachowe i intelektualne. Posługując się modnym ongiś określeniem, można by rzec, że obejmując stanowisko hetmana wielkiego, Potocki zdecydowanie przekroczył próg swych kompetencji. W sumie była więc to postać tragiczna, zwłaszcza jeśli się pamięta o tym, że prawdę mówiąc, stanowisko swe zawdzięczał nie tyle własnym staraniom (choć oczywiście nie odżegnywał się od tego awansu), ile dworskim kombinacjom i księżycowym marzeniom Władysława IV o wojnie tureckiej. Próbując skleić to, co się już nieodwołalnie potłukło, kazano temu człowiekowi być dyrygentem orkiestry, gdy tymczasem on nadawał się co najwyżej na drugiego skrzypka. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że król, powierzając Potockiemu buławę wielką, nie przewidywał swej rychłej śmierci, sądził więc, że to on, w razie niepomyślnego rozwoju sytuacji, ujmie cugle w ręce i pokieruje operacjami wojskowymi. Niestety, na początku 1648 roku bogowie odwrócili się od Rzeczypospolitej i rozpoczął się tragiczny i dla państwa, i dla Potockiego osobiście czas. Konkludując, zimą i wiosną 1648 roku, wobec wyraźnych już oznak zbliżającej się



burzy, Rzeczpospolita-pozbawiona politycznego centrum decyzyjnego i wystarczająco silnych pod względem liczebnym sił zbrojnych - znalazła się w nader niekorzystnej sytuacji. Zupełnie zawiódł też polski tzw. głęboki wywiad, w związku z czym ani na Ukrainie, ani tym

83

bardziej w Warszawie nikt nie miał zielonego pojęcia o rozwoju sytuacji na Syczy, a zwłaszcza o kozacko-tatarskim przymierzu. Nie wiadomo, z jakim przeciwnikiem trzeba będzie walczyć, a to spowodowało opracowanie przez sztab polski iście „księżycowego” planu operacyjnego, o którym za chwilę. Nie przygotowano się również do nowej sytuacji, jeśli chodzi o taktykę toczenia bitew.

Na domiar złego naczelne dowództwo polskie było bardzo skonfliktowane. Potocki wręcz lekceważył Kalinowskiego i na każdym kroku podważał autorytet swego zastępcy (na jednej z narad miał podobno powiedzieć: „Gdy jest proboszcz, nikt nie radzi się wikarego”). Skutki tego stanu rzeczy dały o sobie znać już w pierwszych miesiącach 1648 roku.

Kampania wiosenna 1648 roku

Fatalny plan

Wiosną 1648 roku armia koronna na Ukrainie liczyła około 3700 żołnierzy i oficerów. Zdecydowanie przeważała kawaleria mająca 2271 koni, a także dragonia (1315 porcji). Natomiast piechoty było zdecydowanie mniej (450 porcji). Łącznie więc na początku 1648 roku Mikołaj Potocki dysponował na Ukrainie oddziałami

liczącymi 4036 koni i porcji<sup>1</sup>. Należy jednak podkreślić, że były to wojska doborowe, złożone ze starych, doskonale wyćwiczonych i doświadczonych żołnierzy. Do dyspozycji hetmanów stało też 6 pułków Kozaków rejestrowych, był to jednak element bardzo niepewny i, jak uczy historia powstań kozackich, skłonny do szukania porozumienia ze swymi braćmi, Kozakami niżowymi. Dowództwo polskie w pełni zdawało sobie sprawę z tego faktu, dlatego też zarówno komisarz wojska zaporoskiego (był nim, jak pamiętamy, Jacek Szemberk), jak i pułkownicy pułków kozackich otaczali się strażą przyboczną, mającą zapewnić im bezpieczeństwo osobiste i posłuszeństwo podwładnych. Jako że były to jednak niewielkie oddziały jazdy (około 50 koni) i dragonii (25 porcji), nie mogły żadną miarą zagwarantować utrzymania w ryzach podwładnych. Nic więc dziwnego, że na wieść - nieprawdziwą zresztą - o przejściu w dniu 9 lutego pułku

1 W ówczesnym wojsku istniał specyficzny system wypłaty żołdu, zgodnie z którym pensje oficerów i podoficerów wypłacano z sum przypadających na utrzymanie całych jednostek, toteż pochłaniały one pewną liczbę stawek żołdu, wypłacanych przez skarb państwa na utrzymanie żołnierzy. Powstawały więc tzw. ślepe poczty wjeździe i ślepe porcje w piechocie i dragonii. System ten powodował, że faktyczna liczba żołnierzy w armii była niższa od etatu armii o około 10 procent, dlatego też w maju 1648 roku armia koronna liczyła de facto nie 4036, a 3632

kawalerzystów, dragonów i piechurów. Podaję [za:]  
J. Wimmer, Wojsko Polskie w  
XVII wieku, Warszawa 1965, s. 32.

85

czerkaskiego na stronę powstańców, J. Szemberk  
zareagował nader nerwowo,  
rozpuszczając większość rejestrowych do domów.  
Do dyspozycji hetmanów mogła być jeszcze oddana  
gardia królewska, licząca około  
1200 koni i porcji, ale miejscem jej postoju była  
Warszawa, toteż ewentualne  
ściągnięcie jej na teren przyszłych działań  
zbrojnych wymagało sporo czasu.  
Łatwiej natomiast i szybciej można było wzmocnić  
armię państwową prywatnymi  
oddziałami magnatów, zwłaszcza dywizją  
Wiśniowieckiego i oddziałami Aleksandra  
Koniecpolskiego.

W roku 1648 Rzeczpospolita dysponowała wcale  
niemałym parkiem artyleryjskim,  
liczącym łącznie około 300 dział o różnych  
wagomiarach, jednakże większość z  
nich nie nadawała się do użytku. Zresztą na pole  
walki i tak nie zabierano wielu  
armat ze względu na wysokie koszty transportu.  
Ówczesna armia polska nie  
dysponowała bowiem własnymi środkami i musiała  
przed wyruszeniem w pole  
wynajmować prywatne zaprzęgi, a to wymagało  
posiadania znacznych środków  
finansowych, których w Rzeczpospolitej zawsze  
brakowało. W pole zabierano więc  
jedynie kilka najlżejszych dział, zazwyczaj nie  
więcej niż dwie sztuki na 1000  
żołnierzy<sup>2</sup>.  
Informacje o buncie Chmielnickiego wywołały panikę  
wśród szlachty, która z kolei

zaczęła wywierać nacisk na władze w celu podjęcia natychmiastowych działań. Najszybciej jednak i najenergiczniej zareagował jeden z ukraińskich „królewiczów”, a mianowicie książę Jeremi Wiśniowiecki, który o ucieczce Chmielnickiego na Sicz dowiedział się kilka dni później niż hetman wielki, bo dopiero 15 lutego. Książę, zdając sobie sprawę z nastrojów panujących wśród chłopów ukraińskich, przeprowadził w swych posiadłościach na Zadnieprzu zakrojoną na wielką skalę akcję policyjną, w trakcie której w chłopskich chatach znaleziono i skonfiskowano kilkadziesiąt tysięcy samopalów, które po wybuchu walk mogły zostać użyte przeciw wojskom Rzeczypospolitej. Rozstawił również wzdłuż Worskli strażę, których zadaniem było chwytnie zbiegów na Zaporozie. Przyznać trzeba, że energicznie działał początkowo również hetman wielki. Już na początku lutego opuścił swą stałą siedzibę w Barze i ruszył na Naddnieprze, polecając równocześnie przeprowadzić koncentrację podległego mu wojska. Później jednak, już na początku marca, jego

2 T. Nowak, J. Wimmer, Historia oręża polskiego, op. cit., s. 478.

86

aktywność gwałtownie zmaląła. Wielu historyków uważa, że przyczyn tego stanu rzeczy należy doszukiwać się w obawach Potockiego przed podjęciem ofensywy na Zaporozie, wynikających z posiadania zbyt skromnych sił. Jeśli tak było istotnie, to chyba hetman jednak nieco przesadził z ostrożnością. Przecież na przełomie

lutego i marca 1648 roku przewaga liczebna była zdecydowanie po stronie armii koronnej! Jak donoszono Potockiemu i jak wiemy to dziś, oddziały Chmielnickiego w lutym i marcu liczyły najwyżej kilkuset żołnierzy, a wyraźnie zwiększyły się dopiero w kwietniu, po wybraniu go na stanowisko hetmana zaporoskiego. Istnieją zresztą poważne rozbieżności między historykami, dotyczące liczebności oddziałów Chmielnickiego w chwili, gdy doszło do pierwszego zbrojnego starcia. Większość z nich sądzi, że w drugiej połowie kwietnia, przed rozpoczęciem działań zbrojnych, armia kozacka liczyła około 8000 ludzi, można jednak spotkać się z opiniami, że pod Żółte Wody hetman zaporoski wyruszył na czele około 1000 Kozaków. Do kwestii tej będziemy zresztą mieli okazję powrócić. Nawet nie licząc Kozaków rejestrowych, Potocki mógł więc przeciwstawić buntownikom w lutym i marcu armię trzy- lub czterokrotnie liczniejszą. Jego armia w miarę upływu czasu również się powiększała, gdyż do obozu koronnego przybywała uciekająca przed spodziewanym buntem szlachta, a także napływały poczty niektórych magnatów. Co więcej, armia koronna górowała nad przeciwnikiem również pod względem jakościowym. Chmielnicki w pierwszych miesiącach 1648 roku dysponował jedynie Kozakami, którzy byli wprawdzie dobrymi żołnierzami, ale, jak pamiętamy, zawsze ustępowali w polu polskiej jeździe. Tatarów wówczas jeszcze nie było.

Przyczyna kunktatorstwa Potockiego musiała być więc inna, a zapewne było ich

kilka. Jedną z nich były na pewno wytyczne króla, który chciał spacyfikować rewolucyjne nastroje wśród Kozaków, pozwalając im wypłynąć na Morze Czarne. Niewykluczone, że mimo licznych porażek, Władysław IV nie wyleczył się do końca z „tureckiej choroby” i teraz w buncie Chmielnickiego ujrzał szansę na reaktywowanie dawnych planów. Potocki zaś, jak na lojalnego poddanego przystało, liczył się zapewne z królewskim zdaniem. Choć, jak się przekonamy, tylko do czasu...

Pewien wpływ na postawę hetmana miały też zapewne rady i ostrzeżenia senatora Adama Kisielea, uważanego wówczas, po śmierci Koniecpolskiego, za głównego eksperta i doradcę królewskiego do spraw

87  
ukraińskich, a zwłaszcza kozackich. Otóż Kisiel początkowo starał się powstrzymać Potockiego od wyprawy na Dzikie Pola, gdyż obawiał się zdrady Kozaków rejestrowych. Jego zdaniem, mogli oni nawet uderzyć na tyły oddziałów koronnych, gdyby te przeszły do ofensywy, lub też stać się zarzewiem buntu na Ukrainie po opuszczeniu „włości” przez armię koronną. Poza tym, uważał Kisiel, Zaporozcy Chmielnickiego i tak uniknęliby klęski, gdyż w ostateczności, przyparci do muru, mogli poszukać schronienia w niedostępnych naddnieprzańskich kryjówkach.

Argumentów tych nie można oczywiście lekceważyć, nie były one jednak -jak sądzę - argumentami „nie do odrzucenia”. Po pierwsze, spokój na Ukrainie mogła

zapewnić licząca 6000 żołnierzy (a więc więcej niż było wojsk koronnych) dywizja ks. Wiśniowieckiego, który, jak pamiętamy, już 15 lutego deklarował chęć współpracy z hetmanami koronnymi. Dywizję tę, w miarę konieczności, mogły wesprzeć prywatne wojska Lubomirskiego, Zasławskiego i innych magnatów. Wojska te, równie skutecznie jak armia koronna, mogły też utrzymać w ryzach niepewnych rejestrowych.

Bardziej istotny był argument dotyczący ukrycia się buntowników w niedostępnych wyspach i chaszczach nad Dnieprem.

Niebezpieczeństwo takie rzeczywiście istniało, ale można wątpić, czy Chmielnicki z takiej możliwości chciałby i mógł skorzystać, gdyż w praktyce, tak czy inaczej, oznaczałoby klęskę. Nie po to podnosi się bunt, żąda autonomii dla całej Ukrainy itd., aby w konsekwencji, jeszcze przed pierwszym starciem, zmieniać się w ściganą i ukrywającą się zwierzynę. To przecież najlepsza metoda, aby „utracić twarz” i spowodować spadek nastrojów buntu wśród ludności ukraińskiej; znamy to z historii poprzednich powstań kozackich. Ponadto ukrywający się i jedynie wymykający pościgowi hetman zaporoski nie byłby przecież poważnym partnerem dla chana krymskiego!

Zamiast ataku na Sicz, Kisiel proponował taktykę defensywną czyli ustawienie kordonu wokół zamieszkanymi częściami Ukrainy i czekanie... Na co? Można przypuszczać, że na pokojową akcję Władysława IV. W takiej postawie tkwiło

jednak również zarzewie kłopotów. Na początku 1648 roku Chmielnickiego i zgromadzonych wokół niego Niżowców nie można już było uspokoić samymi obietnicami poprawy ich losu. W ewentualnych rokowaniach musiałyby zapaść konkretne decyzje, przekreślające, przynajmniej w niektórych punktach, nieszczęsną konstytu-

88

cję sejmową z 1638 roku, a można mieć poważne wątpliwości, czy szlachta, w osobach swoich szlacheckich posłów na sejm, zgodziłaby się na takie rozwiązanie. Zbyt świeża i zbyt powszechna była nieufność wobec króla w związku z jego planami wojny tureckiej, a jedną z podjętych przy tej okazji decyzji musiałyby być spuszczenie Kozaków ze smyczy i pozwolenie im na wyprawy czarnomorskie, bo przecież Zaporozże musiało z czegoś żyć. Najgłupszy szlachciura zdawał sobie sprawę z faktu, że oznaczałoby to prowokowanie Turcji, a wtedy... wąż morski po raz kolejny wychyliłby łeb z odmętów. Poza tym czas pracował na korzyść Chmielnickiego. Jego znaczenie systematycznie rosło, można więc sądzić, że wraz z nim rósłby i apetyt, pojawiłyby się nowe żądania, związane chociażby z utworzeniem z części Ukrainy państwa kozackiego. Obiektywnie rzecz oceniając należy przyznać, że wszelkie rozwiązania normalizujące napiętą sytuację ukraińską byłyby korzystne i dla Ukrainy, i dla państwa jako całości, można mieć jednak ogromne wątpliwości, czy Rzeczpospolita



była gotowa na ich przyjęcie. Tymczasem bez takich decyzji nastroje na Ukrainie stawały się więc coraz bardziej wybuchowe, a tłący się pożar, jak wiadomo, bywa gorszy od otwartego ognia... I trudniejszy do stłumienia. Poza tym jak długo można utrzymywać „kordon sanitarny”? Szlachta, która ze strachu opuszczała siedziby i chroniła się w obozach, po pewnym czasie musiałyby powrócić do domów; odmaszerowałyby również, prędzej czy później, te poczty magnackie, które już wsparły Potockiego. Po pewnym czasie pozostałaby na straży jedynie armia koronna, a więc niespełna 4000 ludzi.

Wydaje się, że spokojna i logiczna analiza sytuacji powinna skłonić Potockiego do podjęcia w marcu 1648 roku zdecydowanej ofensywy. A jednak hetman zwlekał.

Dlaczego?

Sądzę, że odpowiedzi na to pytanie szukać należy w pewnych cechach jego charakteru i wynikających stąd problemach, nazwijmy je, osobowościowych. Wiemy z różnych źródeł, że Potocki był z natury człowiekiem chwiejnym i niezdecydowanym. Miał też, o czym nie wolno zapominać, problemy z nadużywaniem alkoholu, a tego rodzaju uzależnienie często powoduje u ludzi nim dotkniętych wahania nastrojów, w wyniku których okresy aktywności przeplatają się z okresami apatii i braku pewności siebie. Co więcej, hetman wysoko cenił rozkosze „stołu i łoża”, a tu właśnie zbliżała się Wielkanoc, przynosząc wiele okazji do uczto-

wania i innych, miłych sercu hetmana, rozrywek. Kto wie, czy nie najbliższy jest prawdy W. Serczyk, pisząc: „Wydawało się, jakby myśl o święconym i innych rozkoszach podniebienia była ważniejsza od uderzenia na Zaporozie i zduszenia w zarodku niebezpieczeństwa zagrażającego całości Rzeczypospolitej”<sup>3</sup>. Jakikolwiek zresztą były przyczyny kunktatorstwa hetmana, możliwości, jakie istniały w marcu 1648 roku, zostały bezpowrotnie zaprzepaszczone. Akcji zaczepnych nie podejmował również Bohdan Chmielnicki, ale jego pasywna postawa była w pełni zrozumiała i usprawiedliwiona. W lutym, marcu, a nawet na początku kwietnia 1648 roku wciąż jeszcze dysponował on zbyt słabymi siłami, aby przejść do ofensywy. Rzesze „wy-piszczyków” dopiero skupiały się wokół niego, a emisariusze zapewne dokładali wszelkich starań, by przeciągnąć rejestrowych na stronę buntowników. No i, przede wszystkim, nie było jeszcze Tatarów, jeśli nie liczyć kilkusetosobowego czambułu, przysłanego przez chana raczej ze względów kurtuazyjnych niż jako rzeczywiste wsparcie militarne. Czas pracował więc na korzyść Zaporozców i ich wodza, toteż odwlekanie starcia jak najbardziej leżało w ich interesie.

Czas wahań i rozterek skończył się dla obu stron po 21 kwietnia. Na teren Siczy zaporoskiej nadeszły posiłki tatarskie, liczące około 4000-5000 wojowników z Tuhaj-bejem na czele<sup>4</sup>. Prawie równocześnie, a niewykluczone, że nawet tego samego dnia, ruszyły do ofensywy wojska koronne.

Plan Potockiego zakładał podzielenie pozostającej pod jego dowództwem armii na trzy dywizje:

- pierwsza składała się z około 600 koni jazdy koronnej (w tym 1 chorągwi husarii i 11 chorągwi pancernych), 700-800 dragonów oraz około 1500 Kozaków rejestrowych, łącznie więc liczyła około 3000 żołnierzy. Na jej czele hetman postawił swojego 24-letniego syna Stefana, dodając mu do pomocy Stefana

Czarnieckiego, porucznika chorągwi husarskiej Stanisława Lubomirskiego i Jacka Szemberka, komisarza wojsk zaporoskich;

- druga składała się prawie wyłącznie z Kozaków rejestrowych w liczbie około 3500<sup>1000</sup> ludzi pod dowództwem pułkowników wojsk 3 W. Serczyk, Na płonącej Ukrainie, Warszawa 1998, s. 52-53.

4 W. Biernacki, Żółte Wody - Korsuń 1648, Warszawa 2004, s. 90.

90

kozackich: Krzyczewskiego, Wadowskiego i Górskiego oraz dwóch esa-wułów: Iwana Barabasza i Iwana Iliasza (Eliasza).

Obydwie te dywizje miały wziąć udział w bezpośredniej ofensywie przeciw Chmielnickiemu, z tym że dywizję Stefana Potockiego planowano wysłać na Zaporozie drogą lądową, a grupę złożoną z Kozaków rejestrowych - drogą wodną, Dnieprem na czajkach. Plan zakładał współdziałanie, a nawet połączenie obu tych dywizji, w związku z czym większość koni należących do Kozaków płynących Dnieprem znajdowała się w taborze dywizji Stefana Potockiego.

Natomiast dywizja trzecia, licząca zapewne około 4500-5000 żołnierzy, a więc skupiająca gros sił koronnych wzmocnionych prywatnymi oddziałami, miała pozostać pod dowództwem obu hetmanów na Ukrainie, na pozycjach w rejonie Korsunia. Wydaje się rzeczą pewną, że podstawowym zadaniem tej grupy było utrzymanie w ryzach ludności Ukrainy.

Pojawiła się jednakże ostatnio w niektórych opracowaniach teza, że dywizja ta miała, obok zadań typu policyjnego, być czymś w rodzaju odwodu strategicznego i wesprzeć, w razie konieczności, dywizje biorące udział w bezpośredniej ofensywie.

Do tych kwestii jeszcze powrócimy, warto jednakże już w tym miejscu zaznaczyć, że jeśli tak było rzeczywiście, to - biorąc pod uwagę ówczesne możliwości komunikacyjne - usytuowano ją chyba zbyt daleko od przewidywanego miejsca starcia.

W. Biernacki, autor cytowanej już książki *Żółte Wody - Korsuń 1648*, jeden ze zwolenników wspomnianej tezy, uważa, że plan hetmana obejmował również utworzenie czwartego ugrupowania, które miała stanowić prywatna dywizja księcia J. Wiśniowieckiego. Jego zdaniem, Potocki powierzył Wiśniowieckiemu zadanie utrzymania w ryzach lewobrzeżnej Ukrainy, a gdyby sytuacja tego wymagała, również wsparcia trzeciej (hetmańskiej) dywizji. Gdyby więc Potocki musiał wyruszyć na Zadnie-prze, aby wesprzeć syna, to Wiśniowiecki winien przerzucić część swych sił na prawobrzeże i zastąpić armię koronną na jej dotychczasowych

pozycjach, aby przejąć jej zadania policyjne. Jest to nowa i niewątpliwie interesująca koncepcja, szkoda tylko, że...

stworzona dopiero w XX i XXI wieku przez historyków wojskowości, nic bowiem nie wskazuje na to, aby sami zainteresowani, a zwłaszcza ks. Wiśniowiecki, byli o niej poinformowani.

Na temat fatalnego w skutkach planu rozdzielenia sił polskich napisano już wiele, poddając go wielostronnej krytyce. Ostatnio pojawiła się

91

jedniak próba jego rehabilitacji, którą warto, jak sądzę, się zająć. Głównym jej animatorem jest prof. Wiesław Majewski, który postępowanie hetmana

usprawiedliwia z jednej strony strachem przed wybuchem powstania „na włości”, czyli w zasiedlonej części Ukrainy, z drugiej zaś koniecznością stłumienia

powstania Chmielnickiego w zarodku. Innymi słowy - zdaniem tego autora - Potocki, dzieląc swe, nie tak przecież znów liczne wojska, na trzy grupy, miał nadzieję stłumić bunt Chmielnickiego w zarodku, unikając równocześnie ryzyka, że rozleje się on w sposób niekontrolowany po Ukrainie, wolnej od nadzoru armii koronnej.

Można oczywiście zgodzić się z tezą, że takie były zamierzenia i nadzieje

Mikołaja Potockiego, tyle że nie stanowi to usprawiedliwienia dla podjęcia tak ryzykownej decyzji. Wartość planów wojennych, podobnie zresztą jak i wszelkich innych, ocenia się przecież nie według nadziei, jakie wiążą z nimi ich twórcy, a

według stopnia możliwości ich realizacji, no i przede wszystkim skutków, jakie one w rzeczywistości spowodowały. Spróbujmy więc przyjrzeć się założeniom tego planu, przyjmując, że istniał w takiej postaci, i ocenić jego realność.

Stwierdzenie, że dobre plany mogą powstać jedynie w oparciu o dobre, sprawdzone i, co najważniejsze, systematycznie aktualizowane informacje, można wprawdzie uznać za truizm, ale warto o nim pamiętać.

Tymczasem w obozie polskim o planach przeciwnika wiedziano raczej niewiele, a nawet te, raczej skąpe, informacje,

które do hetmanów docierały, były najczęściej mocno zdezaktualizowane. To prawda,

że przyczynił się do tego głównie Chmielnicki, który szczelnie zablokował

wszystkie drogi prowadzące na Niż, niemniej taka niemoc polskiego wywiadu może

nieco dziwić. Środowiska kozackie należało przecież już od dawna bacznie

obserwować, a dowództwo koronne powinno mieć tam swoje źródła informacji

(organizacja służby wywiadowczo-rozpoznawczej należała do zadań hetmana polnego

i do strażników - wielkiego i polnego)<sup>5</sup>.

Klęska w „wojnie wywiadów” spowodowała, że w obozie polskim nie wiedziano o

rzeczy najważniejszej, czyli o poselstwie kozackim na Krym i o jego skutkach.

Nie oznacza to wprawdzie, że zupełnie nie liczono się z możliwością kozacko-

tatarskiego współdziałania; taką możliwość prze-

5 Natomiast sam Chmielnicki zapewnił sobie dobry dopływ informacji, gdyż o

podziale wojsk koronnych i wymarszu „grupy lądowej” Stefana Potockiego

dowiedział się już 26 kwietnia, a więc zaledwie cztery dni po fakcie.

92

widywano przecież w Polsce już od dawna. Wspomina o niej nawet memoriał hetmana Konięcpolskiego z 1644 roku, tyle że w 1648 roku po prostu w nią nie wierzono, a raczej nie chciano wierzyć. Dlatego brak rzetelnych informacji zastępowano typowym myśleniem życzeniowym, uspokajając ewentualne niepokoje naiwnym przekonaniem, że „prawdziwi” Kozacy nie zgodzą się na współpracę ze swymi odwiecznymi wrogami, Tatarami. Kolportowano nawet wśród szlachty rzekome przesłanie Kozaka sprzeciwiającego się takim planom<sup>6</sup>. Z tych samych powodów nie znano też liczebności i wartości sił przeciwnika, wyraźnie ich nie doceniając, wręcz lekceważąc.

Brak informacji, nadmierna wiara we własne siły i niedocenywanie nieprzyjaciela to niewątpliwie błąd kardynalny planu Potockiego, który jeszcze w marcu obawiał się ruszyć wszystkimi posiadanymi siłami przeciw Chmielnickiemu, a już w kwietniu nie zawahał się wysłać w tym samym celu swojego niedoświadczonego, 24-letniego syna z o wiele słabszymi oddziałami. Nie był to, niestety, błąd jedyny, a nawet, jak miała pokazać przyszłość, najważniejszy.

Błędem znacznie poważniejszym było wysłanie Kozaków rejestrowych jako osobnej grupy „wodnej”, choć pomysł ten na pierwszy rzut oka może się wydawać posunięciem logicznym. W obozie koronnym zakładano przecież, że Chmielnicki nie

odważy się na starcie w otwartym polu, trzeba więc będzie go tropić po  
dnieprzańskich wysepkach, chaszczach i zakamarkach, a w takich warunkach Kozacy, znający tamte tereny i wyposażeni w czajki, mogli okazać się niezastąpieni. No tak, ale Kozakom słusznie nie ufano od samego początku. Nie ufał im ich komisarz, Szem-berk, podobnie zresztą jak i Adam Kisiel, który przecież obawiał się nawet, że mogą oni zaatakować od tyłu idące na Niż wojska koronne. Skąd więc nagle u naczelnego wodza ten przypływ zaufania, który spowodował, że puszczono ich samopas, bez nadzoru wojsk koronnych, z niezwykle ważnym zadaniem wsparcia grupy Stefana Potockiego w chwili, gdy ta wejdzie w kontakt bojowy z powstańcami? W. Biernacki pisze, że „(...) obawy, aby Kozacy rejestrowi rzeczywiście nie »zarazili się powietrzem zaporoskim«, usunięto przez zaprzysiężenie ich na wierność Rzeczypospolitej”<sup>7</sup>. Zapewne ma rację, zapewne tak myślano w polskim obozie,

6 Zob. W. Serczyk, *Na płonącej Ukrainie*, op. cit., s. 64.

7 W. Biernacki, *Żółte Wody - Korsuń 1648*, op. cit., s. 85.

93

tyle że było to właśnie klasyczne myślenie życzeniowe. Nawet powierzchowna tylko znajomość Kozaków i ich historii powinna była uzmysłwić Mikołajowi Potockiemu, że Kozacy zwykle nie traktowali przysięg składanych władzom Rzeczypospolitej ze śmiertelną powagą, a w razie buntu wierna patronom pozostawała jedynie



starszyzna (a i to zazwyczaj nie cała), czyli ludzie, którzy mieli to i owo do stracenia w przypadku ewentualnej klęski lub też widzieli swój interes w stabilizacji sytuacji na Ukrainie. Daleko nie szukając, takim człowiekiem był przecież sam Bohdan Chmielnicki. Nie zapominajmy zresztą, że każdy Kozak rejestrowy już wcześniej składał przysięgę na wierność królowi i Rzeczypospolitej, jeśli więc nie ufano w jej skuteczność, to powstaje pytanie, po co była ta druga? Czy dwie przysięgi miały być bardziej skuteczne niż jedna? Czyżby zakładano, że w tym przypadku ilość przejdzie w jakość? Jest to o tyle dziwne, że nie istniały w zasadzie żadne racjonalne powody, które mogłyby skłonić rejestrowych do walki z ich, bądź co bądź, braćmi zaporoskimi w obronie istniejącego na Ukrainie stanu rzeczy. Trudno przecież za taki powód uznać niski i nieregularnie wypłacany żołd, a za swoisty paradoks można uznać, że pieniądze na ten cel, mocno opóźnione, dotarły do obozu koronnego tuż przed ostateczną klęską i stały się łupem Chmielnickiego<sup>8</sup>. Problem pułków rejestrowych był więc na pewno bardzo delikatny i trudny, a pomysł utworzenia z nich zgrupowania działającego samodzielnie, w oderwaniu od wojsk koronnych, musiał okazać się nieporozumieniem. Błędem planu hetmana było również to, że trzy wydzielone przez niego grupy działały w zupełnej izolacji. Przy istniejących wówczas możliwościach

komunikacyjnych już ugrupowania wojskowe znajdujące się w odległości kilkudziesięciu kilometrów od siebie miały ograniczone możliwości porozumiewania się i koordynacji działań, a gdy odległość ta wzrastała do 100 i ponad 100 km, wówczas w praktyce możliwości takie zupełnie zniknęły. Tymczasem plan hetmana zakładał, że jego dywizja pozostanie w okolicach Korsunia, a więc o co najmniej 200-300 km od przewidywanego miejsca spotkania grupy lądowej z Chmielnickim. W ówczesnych warunkach oznaczało to, że wiadomość o starciu

8 W. Serczyk, *Na płonącej Ukrainie*, op. cit, s. 78. 94

i ewentualna prośba o pomoc dojdzie do obozu hetmanów najszybciej po około 4-5 dniach, natomiast dywizja hetmanów będzie potrzebowała co najmniej 8-11 dni szybkiego marszu, aby dotrzeć na miejsce. Wynikało z tego, że dywizja hetmana wielkiego mogła dotrzeć na pole bitwy nie wcześniej niż po 13-16, a ściślej mówiąc po około 17-18 dniach od chwili wysłania wiadomości o kontakcie z nieprzyjacielem i prośby o wsparcie, a i to zakładając, że: po pierwsze - wiadomość ta dojdzie do sztabu głównego, i po drugie, że marsz armii głównej będzie odbywał się w dobrych warunkach pogodowych i bez żadnych przeszkód, czyli że maszerujące wojska nie będą niepokozone przez nieprzyjaciela.

Podejmując więc tak skonstruowany plan i w ten sposób rozlokowując swoją dywizję, hetman wielki tracił w praktyce wpływ na przebieg wydarzeń i pozbawiał się

możliwości koordynowania poczynań dywizji biorących udział w ofensywie. Tracił też, co gorsza, możliwości szybkiej i skutecznej interwencji w razie niekorzystnego dla strony polskiej rozwoju sytuacji. Sądzę więc, wbrew zdaniu niektórych historyków, że dywizji pozostającej pod dowództwem obu hetmanów nie należy traktować jako odwodu strategicznego, a jedynie jako „żandarma” utrzymującego w ryzach ludność prawobrzeża (na lewobrzeżu funkcję taką spełniał -wszelako samorzutnie, a niejako „czwarta dywizja” Potockiego - ks. J. Wiśniowiecki na czele swych wojsk prywatnych). Gdyby wojska te miały być odwodem, wówczas powinny być rozmieszczone bliżej Zaporozża, powiedzmy wokół Czehrynia. Zamykając rozważania na temat planu operacyjnego wojsk koronnych w ramach kampanii 1648 roku, można zaryzykować twierdzenie, że wynikał on z braku rozeznania dowództwa polskiego co do rzeczywistej wielkości sił Chmielnickiego (a prawdę mówiąc, z zupełnego ich lekceważenia), jak również z naiwnej wiary w skuteczność ponownej przysięgi, odebranej od rejestrowych, mającej być lekarstwem na „zaporoskie powietrze”. Plan ten był więc w gruncie rzeczy bardzo korzystny dla Chmielnickiego, gdyż ułatwiał mu kontynuowanie „flirtu” z rejestrowymi w celu przeciągnięcia ich na swoją stronę, a ponadto pozwalał na zwalczanie poszczególnych dywizji wojsk koronnych całością swej armii, albowiem z powodu odległości dywizje te nie mogły współdziałać i wspierać się w skali

operacyjnej i taktycznej.

95

Żółte Wody

Dywizja Stefana Potockiego wyruszyła na spotkanie z Chmielnickim 21 kwietnia

1648 roku, zapewne z okolic Korsunia, wokół którego były rozlokowane oddziały koronne, natomiast dywizja kozacka najprawdopodobniej wypłynęła z Czerkas leżących nad Dnieprem.

Prawie równocześnie wyruszył z Siczy Chmielnicki i około 22 kwietnia połączył

się z Tatarami Tuhaj-beja, których baza znajdowała się najprawdopodobniej na

Bazawłuku. Od tej chwili obie armie koalicyjne działały już wspólnie, kierując

się na Kryłów. Bardzo szybko też Chmielnicki i Tuhaj-bej dowiedzieli się o

polskiej ofensywie i o podzieleniu armii koronnej na trzy grupy. Niektórzy

historycy przypuszczają, że stało się to 26 kwietnia, a nie jest wykluczone, że

nawet nieco wcześniej, gdyż pierwsze wieści na ten temat pochodziły od zbiegów z

dywizji Potockiego, których ujęli pod Kryłowem idący w awangardzie Tatarzy, a

Kryłów dywizja Potockiego osiągnęła już 24 kwietnia.

Nie ulega wątpliwości, że hetman zaporoski uznał sytuację za nad wyraz korzystną

dla siebie. Mimo nadejścia ordy Tuhaj-beja, nadal dysponował on siłami słabszymi

od koronnych i w starciu z całą armią polską miałby raczej niewielkie szanse na

zwycięstwo, natomiast rozdzielenie sił nieprzyjaciela pozwalało mu na

osiągnięcie lokalnej przewagi i pokonanie izolowanych grup. Zwiększało też

szanse, o czym była już mowa, na przeciągnięcie na stronę buntu rejestrowych, zwłaszcza grupy płynącej Dnieprem. O ile liczebność „grupy wodnej” Krzeczewskiego, podobnie jak i dywizji Stefana Potockiego, jest dość dobrze znana, o tyle ciągle trwają spory co do liczebności armii kozacko-tatarskiej. Tuhaj-bej przyprowadził z sobą około 5000 wojowników, podobno dość słabo uzbrojonych (w większości w kości osadzone na kijach, czyli w tzw. maślaki), bez szabel i łuków, „lichych, nieśmiałych i niepozornych”<sup>9</sup>. Nie wiemy jed-

9 I. Chrząszcz, Pierwszy okres buntu Chmielnickiego w oświetleniu uczestnika wyprawy żółtowodzkiej i naocznego świadka wypadków [w:] Prace historyczne w trzydziestolecie działalności profesorskiej Stanisława Zakrzewskiego, Lwów 1934, s. 264. Do informacji tej radziłbym jednak podchodzić dość ostrożnie. Zapewne nie były to wyborowe czambuły Tatarów krymskich, ale też pewnie nie aż tak beznadziejna zbieranina „czarnych” Tatarów, gdyż przeczą temu ich późniejsze sukcesy w walce z wyborową jazdą polską.

96

nak, jak liczna była armia kozacka. Opierając się na informacjach podawanych przez większość przekazów (min. Wieliczki, M. Potockiego i innych), współcześni historycy na ogół zgodnie przypuszczają, że ochotnicza armia kozacka liczyła od 6000 do 8000 żołnierzy, choć ostatnio pojawiła się teza, że Chmielnicki miał pod

swymi rozkazami w pierwszej fazie wojny nie więcej niż 1000 Kozaków, z czego około 50 zabezpieczało fortecę na Bucku, a 150 miało pomagać Tatarom przy przeprawie przez Dniepr. Wynikałoby więc z tego, że w wyprawie przeciw dywizji Potockiego towarzyszyło mu jedynie 800 Kozaków<sup>10</sup>. Rewizja poglądów co do liczebności Kozaków opiera się głównie na informacji zawartej w liście nieznanego autora, powtarzającego relację Kozaka, „który podczas tej potrzeby przedał się był do Chmielnickiego (...)”. Wynika z niej, że wódz zaporoski „ma Kozaków ośmset, a horod swój osadził kilkaset człowieka”.

Moim zdaniem, nie jest to wszelako relacja, którą należy traktować jako w pełni wiarygodną, gdyż tenże sam Kozak, jak wynika z dalszej części listu, „uczęstował” hetmana wielkiego zupełnie bałamutną informacją, „iż Tatarów jest około 50 tysięcy i osadzili naszych u Żółtej Wody, ale nic naszym nie szkodzą (...)”. Jeśli więc Kozak informator mógł tak łatwo powiększyć liczbę Tatarów o jedno zero, to równie łatwo z kolei mógł pomniejszyć o także zero liczbę Kozaków!

A mówiąc poważnie, tak mała liczebność armii zaporoskiej może budzić poważne wątpliwości, a nawet zdumienie. Nawet bowiem jeśli Wieliczko, opisując wybory Chmielnickiego na stanowisko hetmana, nieco przesadził z liczbą elektorów (jego zdaniem było ich 30 000), to spokojnie można przyjąć, że było ich co najmniej kilkanaście tysięcy. Przecież wybory człowieka, który miał piastować najwyższą

władzę w bractwie zaporoskim, musiały być dla Kozaków sprawą bardzo ważną. A skoro tak, to trudno pojąć, dlaczego na wyprawę podjętą prawie natychmiast po wyborach miałyby ruszyć tak niewielka rzesza Zaporozców. Nie mogło to nastąpić z rozkazu Chmielnickiego, gdyż jemu musiało przecież zależeć na tym, aby w pierwszym starciu, od którego w praktyce tak wiele zależało, dysponować jak największą armią i osiągnąć możliwie największą przewagę liczebną. Co do tego raczej nie ma wątpliwości, zwłaszcza

10 W. Biernacki, Żółte Wody - Korsuń 1648, op. cit., s. 95. " Ibidem.

97

jeśli się weźmie pod uwagę, że zarówno on, jak i cała starszyzna kozacka czuli respekt przed armią polską, z którą mieli przecież okazję zetknąć się nie raz, zarówno jako sprzymierzeńcy, jak i wrogowie, i która zawsze dotąd wychodziła zwycięsko ze wszystkich starć z kozackimi powstańcami.

Mała liczebność Kozaków w oddziałach Chmielnickiego nie mogła być również wynikiem swoistego wotum nieufności ze strony Zaporozców. Przecież dopiero co wybrali Chmielnickiego na stanowisko hetmana, i to przez aklamację, akceptując w pełni jego zamiary, a zwłaszcza plany wojny z Rzeczpospolitą w sojuszu z Tatarami! Dlatego też jestem raczej skłonny sądzić, że rzeczywiście armia zaporoska liczyła na początku maja 1648 roku od 6000 do 8000 Niżowców, reszta zaś pozostała na Siczy lub w jej okolicach w stanie pogotowia. Tym samym więc

armia kozacko--tatarska, zmierzająca na spotkanie z Potockim, liczyła zapewne łącznie około 12 000-13 000 żołnierzy. Taka liczebność połączonych oddziałów dawała Chmielnickiemu zdecydowaną przewagę nad niespełną 3-tysięczną dywizją koronną, zwłaszcza że miał on nadzieję na przeciągnięcie na swoją stronę rejestrowych, którzy tworzyli połowę jej stanu liczbowego. Jednocześnie pozwalała mu ona uniknąć kłopotów z zaopatrzeniem, jakie, biorąc pod uwagę słabo zaludniony teren, na którym miało dojść do starcia, musiałyby powstać w przypadku armii liczniejszej. Nie do końca też pozostaje rozstrzygnięta kwestia naczelnego dowództwa połączonych sił kozacko-tatarskich w pierwszej fazie działań zbrojnych. Zwolennicy tezy o małej liczebności Kozaków w tej koalicyjnej armii są skłonni sądzić, że należało ono do Tuhaj-beja, jeśli jednak przyjmujemy, że to Kozacy tworzyli główny trzon tych wojsk, to w konsekwencji musimy przyjąć, że stanowisko to piastował Chmielnicki. Przemawiają za tym również przesłanki logiczne. Ostatecznie była to głównie wojna kozacka, działania miały toczyć się na terenach doskonale im znanych, a poza tym tylko oni mogli liczyć na wsparcie ludności Ukrainy, jedynie na wezwanie Chmielnickiego do buntu mogły przyłączyć się rzesze „czerni” ukraińskiej. A bez tego wsparcia walka z Rzeczpospolitą na dłuższą metę nie miałaby szans. Dywizja Stefana Potockiego poruszała się sprawnie i szybko, marszem



ubezpieczonym, razem z taborem i artylerią. 24 lub 25 kwietnia osiągnięto Kryłów, 27. - Omelnik, a 28. - Kniażę Bajraki. Jak na bezdroża Ukrainy, było to naprawdę dobre tempo, zwłaszcza jeśli się pamię-

98  
ta, że marsz odbywał się wiosną, gdy już rozpoczęły się deszcze i step był zapewne rozmiękły, a oddziały koronne prowadziły ze sobą zapewne liczne wozy taborowe. Kwestia liczby wozów, towarzyszących ówczesnym wojskom, jest zawsze trudna do ustalenia. XVII-wieczne armie potrzebowały ich wiele, zwłaszcza w Rzeczpospolitej, która, jak pamiętamy, nie dysponowała systemem magazynów z zaopatrzeniem wojskowym. Każdy żołnierz i każdy towarzyszący wyprawie szlachcic wolontariusz musiał zabrać ze sobą na wyprawę żywność dla siebie i dla pachołków, paszę dla koni, a ponadto zbroję oraz rynsztunek i narzędzia. Do przewiezienia tego wszystkiego potrzeba było co najmniej dwóch wozów i kilku koni. Jeszcze więcej oczywiście zabierali ze sobą magnaci i wyżsi oficerowie armii, toteż towarzyszyły im w wyprawach niemal osobne, złożone z kilkadziesiątu wozów tabory, na których jechały kuchnie, beczki z trunkami, wygodne, duże namioty, a także sprzęty, zastawa stołowa i żywność w takiej ilości, aby zaspokoić potrzeby pana i jego dworu oraz umożliwić wydawanie uczt. Wożono oczywiście również zbroje bojowe i paradne oraz różnorodną broń. Ile więc było tych wozów w dywizji Stefana Potockiego? Biorąc pod uwagę liczebność dywizji, zapewne ponad 5000-6000,

sądzę jednak, że więcej.

Wozy taborowe bardzo spowalniały ruch wojska, które poruszało się po ówczesnych bezdrożach, zwłaszcza że ich konstrukcja i stan techniczny pozostawiały wiele do życzenia. Budowano je możliwie najprościej, z wysokich, czworograniastych koszy z wikliny, położonych najczęściej na dwóch kołach z grubej, drewnianej obręczy i szprych powiązanych wtkami brzożowymi. Prawdę mówiąc, koła takie bardziej przypominały wielobok niż okrąg, a osadzano je na drewnianym również sworzniu, rzadko jedynie smarowanym tłuszczem dla zmniejszenia tarcia. Nietrudno sobie wyobrazić, jak ciężko poruszała się taka konstrukcja, jak łatwo grzęzła w błocie lub piachu i jak przeraźliwie przy tym piszczała i skrzypiała.

Z jednej strony tabor musiał być kulą u nogi maszerującego wojska, z drugiej jednak był, jak pamiętamy, wykorzystywany nie tylko jako środek transportu, ale również do budowy obronnego obozu.

Jak łatwo zauważyć, trasa pochodu dywizji Potockiego była oddalona od Dniepru, co zresztą nietrudno zrozumieć, gdyż unikano w ten sposób konieczności przepływania się przez liczne w tym rejonie, małe dopływy Dniepru. Stało się więc tak, jak się stać musiało, czyli obie dywizje,

99

lądowa i wodna, prawie natychmiast po wyruszeniu z Czerkas (lub Kor-sunia) straciły ze sobą kontakt i od tej chwili ich dowódcy musieli działać w pełni

samodzielnie. W ten sposób ujawniła się pierwsza wada, tak precyzyjnego, zdaniem niektórych współczesnych historyków, planu Mikołaja Potockiego.

Żółte Wody, niewielką rzeczkę będącą dopływem Ingulca, który z kolei wpada do Dniepru, „grupa lądowa” Stefana Potockiego i Stefana Czarnieckiego osiągnęła w dniu 29 kwietnia w godzinach południowych. Jest rzeczą pewną, że dowództwo polskiej dywizji nie miało należytego rozeznania w sytuacji. Nadal nic nie wiadano o Tatarach w wojsku Chmielnickiego, ale też, co istotniejsze, nie zdawano sobie sprawy z faktu, że ich przednie strażę znajdują się już w pobliżu Żółtych Wód. Tuhaj--bej bowiem, zdając sobie sprawę z wagi zaskoczenia przeciwnika, powstrzymał swoje czambuły i nie dopuścił do tego, aby „pobuszowały” swoim zwyczajem po okolicy. Orda szła ostrożnie, ubezpieczana jak zwykle silną strażą przednią oraz linią zwiadowców. Taki sposób postępowania uniemożliwił stronie polskiej ujęcie, języka”, od którego dowództwo polskie mogłoby zasięgnąć informacji, w konsekwencji więc czambuły tworzące przednią straż osiągnęły pobliże Żółtych Wód przed polskimi oddziałami, o czym polscy dowódcy nie mieli pojęcia. Korzystając z dogodnego terenu, a zwłaszcza z łatwego dostępu do wody w obozie polskim, postanowiono rozlokować się na odpoczynek nieopodal źródła, z którego wypływała rzeczka. Jak zwykle, założono warowny obóz, zabezpieczono go strażami

przednimi i bocznymi, a 12 Kozaków wysłano na polowanie. W zapędleniu łowieckim oddalili się oni od obozu na większą odległość i wówczas zostali „ogarnięci” przez tatarskich zwiadowców; jednemu z nich udało się jednak uciec i dotrzeć do Czerkas. Od niego pierwszego hetmani dowiedzieli się, że dywizja lądowa weszła „w kontakt” z nieprzyjacielem, a także o tym, że Chmielnickiemu towarzyszą oddziały tatarskie, nadal jednak nic nie wiadano o ich liczebności. Znamienne natomiast jest to, że Mikołaj Potocki nie podjął wówczas właściwie żadnych kroków, aby uzyskać dokładniejsze informacje o sytuacji, w jakiej znalazł się oddział jego syna. Nie wiadomo nawet, czy podjęto próbę skontaktowania się z dowództwem grupy lądowej, nie można jednak wykluczyć, że po prostu informacje na ten temat nie przetrwały do naszych czasów. Nie można bowiem zapominać o tym, że nasza wiedza na temat tego, co działo się w XVII wieku, bywa dość

100

fragmentaryczna z powodu braku materiałów źródłowych, w owym bowiem czasie nie prowadzono tak szczegółowej dokumentacji i sprawozdawczości jak obecnie, a ponadto wiele spośród istniejących dokumentów po prostu zaginęło w różnych zawieruchach dziejowych. Dowódca czambułów straży przedniej, otrzymawszy od wziętych do niewoli „myśliwych” (którzy notabene przeszli w większości na stronę Chmielnickiego) świeże informacje o liczebności polskiej dywizji, postanowił zaskoczyć niczego

nie spodziewających się Polaków i, nie czekając na nadejście sił głównych, zaatakował obóz. Plan jednak nie powiódł się, gdyż szarżujących Tatarów zauważyła wreszcie polska straż przednia i w porę wycofała się, alarmując zarazem swoje dowództwo. Oczywiście, doszło jednak do starcia, które zapoczątkowało serię potyczek wojsk Rzeczypospolitej najpierw z Kozakami i Tatarami, później z Ukrainą a wreszcie również z Rosją, gdy zdecydowała się ona wziąć pod swe skrzydła Chmielnickiego i Ukrainę. Z tego chociażby więc względu było to na pewno starcie historyczne. Ze strony polskiej udział wzięły w nim początkowo trzy chorągwie jazdy pancernej, wzmocnionej dragonami rekrutowanymi spośród chłopów ukraińskich. Prawdopodobnie z powodu słabego wyszkolenia, choć nie można wykluczyć również innych przyczyn, dragonia nie wytrzymała szarży tatarskiej i zaczęła cofać się, a wreszcie wręcz uciekać w stronę obozu. Po zaciętej walce wycofały się również chorągwie pancerne, ponosząc przy tym spore straty, ale wsparte przez trzy chorągwie kozackie, przeszły do kontrnatarcia i spędziły ordę z placu. W rezultacie tatarska straż przednia, nie osiągnąwszy zamierzonego celu, cofnęła się w stronę swych sił głównych. Pierwsze starcie skończyło się więc ostatecznie sukcesem strony polskiej, co niewątpliwie poprawiło morale wojska<sup>12</sup>. Przy okazji wzięto też kilku jeńców, których zeznania, zapewne, jak to wówczas bywało, uzyskane przy pomocy tortur,

nastrój ten szybko zepsuły, przynajmniej w sztabie, gdyż uświadomiły stronie polskiej całą grozę sytuacji (jeńcy skalę tego zagrożenia znacznie przejasniali, zeznając, że Tatarów jest około 12 000, a wkrótce ma ich nadejść więcej. Nic więc dziwnego, że w obozie polskim zwołano natychmiast radę wojenną aby zdecydować o dalszym postępowaniu. Nie znamy, oczywiście, jej dokładnego przebiegu

12 W. Biernacki, Żółte Wody - Korsuń 1648, op. cit., s. 99.

101

ani stanowisk prezentowanych przez jej uczestników. Nie wiemy zatem, jakie stanowisko wobec istniejącej sytuacji prezentował dowódca dywizji Stefan Potocki oraz dwaj jego główni doradcy, a prawdę mówiąc, faktyczni decydenci, czyli Stefan Czarniecki i Jacek Szemberk. Jeśli o mnie chodzi, chętnie poznałbym zwłaszcza zdanie Czarnieckiego, gdyż współcześni obrońcy planu rozdzielenia armii na trzy grupy właśnie jego czynią planu tego autorem. Pewne jest natomiast,

że rozpatrywano trzy warianty postępowania:

- stoczenie walnej bitwy w otwartym polu;
- wycofanie się w ubezpieczonym szyku

taborowym w kierunku obozów wojsk koronnych na Ukrainie;

- pozostanie na miejscu w obozie i przyjęcie oblężenia w oczekiwaniu na nadejście sił głównych.

Ostatecznie, jak wiemy, przyjęto wariant trzeci, czyli pozostanie na miejscu i czekanie w obozie na odsiecz. Trudno jednoznacznie stwierdzić, co zadecydowało o

przyjęciu takiego stanowiska, ale można założyć, że przyczyn było kilka.

Możliwość pierwszą, czyli wydanie walnej bitwy, odrzucono zapewne z powodu przewagi przeciwnika (jak wiemy, znacznie wyolbrzymionej), którego jazda polska, mimo swej renomy, obawiała się, zwłaszcza że, jak pokazał przebieg pierwszego starcia, nie można było liczyć na skuteczne wsparcie dragonii.

Rozsądnym, przynajmniej nam obecnie może się tak wydawać, wyjściem byłoby niewątpliwie wycofanie się w kierunku ufortyfikowanych miast Ukrainy lub wręcz do obozu sił głównych. Świeżym, nieuszczerpionym jeszcze chorągwiom polskim, chronionym przez tabor, zapewne udałoby się przebić przez czambuły tatarskie (o Kozakach Chmielnickiego na razie niewiele w dowództwie polskim wiedziano). Mamy tu jednakże do czynienia z sytuacją, wcale nierzadką podczas badania zdarzeń historycznych, że to, co wydaje się słuszne i rozsądne nam, wyposażonym w wiedzę o tym, co się następnie wydarzyło, wcale nie musiało tak wyglądać w oczach ludzi, którzy pewne decyzje musieli podejmować wtedy, a nie dysponowali tą wiedzą, którą my dysponujemy dzisiaj. Spróbujmy więc spojrzeć na sytuację tak, jak widziano ją w polskim obozie w godzinach popołudniowo-wieczorowych 29 kwietnia 1648 roku.

Przede wszystkim polscy dowódcy mieli świadomość, że cofając się w kierunku zaludnionych terenów Ukrainy, pociągną za sobą Chmielnickiego i umożliwią mu nawiązanie bezpośrednich kontaktów z ludnością

?

ukraińską, a to groziło wybuchem otwartego buntu „na włości”. Poza tym odwrót dywizji lądowej mógł (a raczej musiał) w konsekwencji doprowadzić do utraty płynącej Dnieprem „grapy rzecznej” (albo „wodnej”), czyli dywizji Kozaków rejestrowych, z którymi nie miano przecież w praktyce żadnego kontaktu. Nawet jeśli w obozie polskim wierzono w skuteczność złożonej niedawno przez Kozaków ponownie przysięgi na wierność, to musiano zdawać sobie sprawę, że osamotnieni rejestrowi nie stawiają skutecznie czoła Niżowcom Chmielnickiego i Tatarom Tuhajbeja i w najlepszym razie pójdą w rozsypkę, a w najgorszym przejdą gremialnie (dobrowolnie lub z musu) na stronę buntowników. Natomiast nie ruszając się z miejsca, można było mieć nadzieję, że rejestrowi pozostaną wierni i w pewnym momencie przyjdą nawet dywizji koronnej z pomocą. A chodziło przecież o silne ugrupowanie, złożone z około 4000 nieźle wyszkolonych i wyposażonych żołnierzy. Było więc o co się martwić i, moim zdaniem, obawa o to, jak zachowają się rejestrowi, była głównym argumentem na rzecz pozostania pod Żółtymi Wodami, zwłaszcza że z punktu widzenia ówczesnej wiedzy polskiego dowództwa, ryzyko klęski było niewielkie. Dywizja Potockiego dysponowała dość silną artylerią, była też nieźle zaopatrzona w amunicję i żywność, nie mówiąc o tym, że miała łatwy dostęp do wody, a Tatarzy nie słynęli



z umiejętności zdobywania oszańcowanych taborów  
czy umocnionych obozów.

Za pozostaniem na miejscu przemawiała również  
nadzieja na nadejście armii  
głównej Mikołaja Potockiego, a wówczas to  
nieprzyjaciel znalazłby się w trudnej  
sytuacji, zmuszony do walki na dwa fronty.  
Ostatecznie więc nie skorzystano z  
możliwości odwrotu, co wydaje się krytykować autor  
Dziennika z pierwszego okresu  
buntu..., pisząc: „(...) gdybyśmy poszli zaraz na  
odwrot, przeszliśmy byli  
bezpiecznie do pana krakowskiego (... .)”<sup>13</sup>. Warto  
jednak pamiętać, że również ta  
relacja powstała w oparciu o posiadaną już wiedzę o  
skutkach podjętej 29 kwietnia  
decyzji, czyli po klęsce zgrupowania.  
Obóz polski założono w miejscu z natury dogodnym  
do obrony, u zbiegu dwóch jarów  
- Oczeretnego i Kurzej Odnogi, którymi płyną dwie  
13 Dziennik z pierwszego okresu B. Chmielnickiego  
spisany przez towarzysza spod  
chorągwi kozackiej wziętego do niewoli pod  
Kniażymi Baiarakami [w:] Relacje  
wojenne z pierwszych lat walk polsko-kozackich  
powstania Bohdana Chmielnickiego  
okresu „ Ogniem i mieczem ” (1648-1651),  
opracował, wstępem i przypisami  
opatrzył M. Na-giełski, s. 103.

103

rzeczki, a może raczej strumienie, zwane Żółtymi.  
Poniżej zbiegu strumieni, tam  
gdzie bierze początek rzeka Żółte Wody i gdzie  
usytuowano polski obóz, istniał  
błotnisty staw i bagna, a same jary mają w tym  
miejscu dość znaczną szerokość  
900-1000 m. Stanowisko polskie osłaniały więc  
jary, rzeka, staw oraz błota i

bagna. Zarówno strumienie, jak i rzeka były zapewne wówczas, wiosną 1648 roku, dość głębokie, a błota i bagna trudne do przebycia.

Miejsce na założenie obozu wybrał rotmistrz Jan Fryderyk Sapieha, który dysponował sporą wiedzą inżynierską, zdobytą w czasie służby w wojsku francuskim. On też nadzorował budowę umocnień. Obóz otoczono wozami taborowymi, a od strony, z której był łatwiejszy dostęp do polskich umocnień, czyli od południa i zachodu, wzniesiono trzy szańce, obsadzone przez artylerię<sup>14</sup>.

Regularne oblężenie polskiego obozu rozpoczęło się 30 kwietnia, z chwilą nadejścia głównych sił Tuhaj-beja i, w kilka godzin później, Chmielnickiego z Kozakami. Następnego dnia, 1 maja, nastąpił pierwszy atak sprzymierzonych na polskie umocnienia. Walkę rozpoczęli Kozacy, atakując polskie umocnienia od frontu, a więc tam, gdzie usypano szańce, natomiast Tatarzy uderzyli od tyłu, poprzez rzekę i bagna. Niezgrane w czasie i nieskoordynowane uderzenia nie przyniosły jednak rezultatu, zwłaszcza że znajdujący się w obozie Kozacy rejestrowi nie posłuchali wezwań Niżowców i, przynajmniej na razie, pozostali wierni Rzeczypospolitej. Mimo to walki w tym dniu trwały kilka godzin, nie przynosząc jednakże atakującym pozytywnych rezultatów.

W następnych dniach Chmielnicki rozpoczął prace oblężnicze, otaczając polskie umocnienia własnymi szaniami, na które wtoczono armaty. Ponawiano też szturmy,

które początkowo nie przynosiły oblegającym zamierzonych rezultatów. Armie koalicyjne założyły swe obozy osobno, po obu stronach Żółtych Wód - Chmielnicki z Kozakami po zachodniej, a Tatarzy po stronie wschodniej. Tuhaj-bej otoczył teren walk czambułami, szczególnie silną grupę wysyłając w kierunku uroczyska Książę Bajraki, przez które biegł trakt do Kryłowa, gdyż z tej strony właśnie spodziewano się nadejścia

14 Opis terenu walk pod Żółtymi Wodami sporządzono na podstawie: W. Majewski, Żółte Wody 1648, Warszawa 1999, s. 28 oraz W. Biernacki Żółte Wody - Korsuń, op. cit., s. 101-103.

104

polских sił głównych. Tatarzy, niezbyt przydatni w walkach oblężniczych, doskonale spełnili swe zadanie jako oddziały osłonowe. Blokada była tak szczelna, że nie przedostał się przez nią żaden poseł wysyłany do hetmanów z obozu polskiego; nie udało się to nawet tresowanemu psu, ponoć wysłanemu przez Stefana Potockiego do ojca z meldunkiem o sytuacji w obozie<sup>15</sup>. Wynika z tego, że Szarik, czworonogi bohater serialu Czterej pancerni i pies, był jedynie naśladowcą swego odległego w czasie protoplasty, niestety, bezimiennego. Tatarzy okazali się jednak sprawniejszymi tropicielami niż żołnierze III Rzeszy (a może poprzednik Szadka w służbie wojskowej miał mniejsze umiejętności?), gdyż pies Potockiego został złapany, odebrano mu meldunek i odesłano z powrotem do obozu. Obóz polski

otoczono kozackimi szanćami i obie armie przeszły do „wojny pozycyjnej”, toczącej się mniej więcej według tego samego scenariusza: codzienny wzajemny ostrzał artyleryjski przerywały czasami potężne szturmy, które Polacy równie „potężnie”, a co ważniejsze skutecznie odpierali. Chmielnicki nie ustawał też w agitowaniu Kozaków rejestrowych, znajdujących się w obozie koronnym. Miał zresztą do tego wiele okazji i możliwości. Do rejestrowych wołano z kozackich szanćów, wzywając ich do przejścia na stronę Chmielnickiego, starano się również nawiązywać bezpośrednie kontakty, zwłaszcza wówczas, gdy rejestrowi znajdowali się poza obozem. Niewykluczone też, że wypuszczano na wolność jeńców wziętych do niewoli w trakcie walk, pod warunkiem że będą namawiać swych towarzyszy do zmiany barw. Dla Chmielnickiego przeciągnięcie na swoją stronę rejestrowych było sprawą bardzo ważną, nie zapominajmy bowiem, że w dywizji Stefana Potockiego było ich około 1500, stanowili więc połowę wszystkich jego żołnierzy. Ukraińcy służyli też w oddziałach koronnych, zwłaszcza w dragonii. Przez długi czas wysiłki te nie przynosiły widocznych rezultatów, choć mniemać należy, że działały na zasadzie kropli, która draży skałę... Fiasko działań propagandowych hetmana zaporoskiego wynikało zapewne głównie z powodu stałego nadzoru oddziałów polskich nad „kolegami”. Zapewne też działał strach przed zemstą Rzeczypospolitej. Przecież wówczas, gdy toczyły się pierwsze

starcia pod Żółtymi Wodami, losy wojny nie były jeszcze rozstrzygnięte. Wręcz przeciwnie, można

15 Podaję [za:] W. Biernacki, Żółte Wody-Korsuń 1648, op. cit., s. 108.

105

było sądzić, że szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Rzeczpospolitej, gdyż jej główne siły na Ukrainie były jeszcze nie naruszone, a Chmielnicki wraz z Tatarami nie mógł sobie poradzić nawet z niewielką ich częścią. Kozacy mieli zresztą jeszcze wówczas spory respekt przed siłą wojsk koronnych, zawsze dotąd ostatecznie zwycięskich w walkach z nimi, mogli więc obawiać się późniejszej zemsty za zradę.

Pewną rolę mogła też odgrywać obecność Tatarów w obozie Chmielnickiego. Jak dobrze wiemy, każdy medal ma dwie strony. Sojusz Tatarów z Kozakami wzmacniał oczywiście szanse Zaporozców na zwycięstwo, dlatego też Chmielnicki nie miał żadnych kłopotów z przekonaniem członków bractwa zaporoskiego do odwrócenia sojuszy. Wręcz przeciwnie, jak pamiętamy, poczytano mu to na Siczy za sukces.

Argument ten niekoniecznie jednak musiał z równą siłą przemawiać do rejestrowych i do Ukraińców znajdujących się w obozie koronnym. I jedni, i drudzy mogli mieć rodziny i domy w zamieszkaną część Ukrainy i mogli, słusznie zresztą, obawiać się konsekwencji, jakie mogą ponieść ich najbliżsi.

Zmiana sojuszy nigdy zresztą nie była i nadal nie jest sprawą prostą, zawsze

bowiem pozostaje osad wzajemnej nieufności i wrogości mimo oficjalnie deklarowanej współpracy, a nawet przyjaźni. Historia roi się od przykładów potwierdzających tę tezę, można by je zresztą znaleźć i obecnie, w czasach współczesnych. A nowi sprzymierzeńcy kozaccy mieli dobrze udokumentowaną i uzasadnioną opinię największych rabusiów w tej części Europy, można było więc mieć stuprocentową pewność, że w razie zwycięstwa Chmielnickiego pod Żółtymi Wodami czambuły tatarskie „rozleją” się po Ukrainie, a do czego to prowadzi, wiedziano aż nadto dobrze. Nie można też wreszcie wykluczyć, że między żołnierzami polskimi a Kozakami i Ukraińcami zaczęło pojawiać się poczucie braterstwa, które zawsze rodzi się w czasie walki między żołnierzami, nawet różnych, niekoniecznie lubiących się narodowości, ale walczących po jednej stronie.

Mimo więc przewagi liczebnej, sprzymierzeni nie odnosili początkowo spektakularnych sukcesów, co nie oznacza jednak, że sytuacja strony polskiej nie uległa zmianie. Oblężenie nigdy nie wychodzi „na zdrowie” obleganym, pojawia się bowiem wiele różnych problemów, od zdrowotnych poczynając (szczególnie istotnych w XVII wieku, w którym poziom higieny był zatrważająco niski), a na problemach aprowizacyjnych

106

kończąc. W obozie polskim wprawdzie na razie żywności dla ludzi nie brakowało,

zaczęło jednak gwałtownie brakować paszy dla koni, a koni było dużo, bo, jak pamiętamy, obok własnych, należących do jazdy i taboru, prowadzono jeszcze wierzchowce przeznaczone dla Kozaków płynących Dnieprem. Próbowano rozwiązać ten problem, wychodząc z końmi poza obóz, na okoliczne łąki, z oczywistych powodów coraz dalej od umocnień i ochronnego ognia własnej artylerii i dragonów, ale tam czyhali Tatarzy, z lubością zagarniający i konie, i nadzorujących ich pachołków. W końcu więc utracono nie tylko konie rejestrowych, ale również własnej jazdy, tak że pozostałe jedynie, szczególnie starannie chronione, konie taborowe. Pojawił się też, jak wynika z zachowanych relacji, problem świeżej wody. Dlaczego? Nie wiemy. Być może oblegającym udało się odwrócić bieg rzeki, ale najprawdopodobniej skutecznie odstraszała pachołków wychodzących po wodę, ostrzeliwując z drugiego brzegu rzeki. W każdym razie w obozie polskim zaczęło jej brakować, zwłaszcza dla zwierząt. Sytuacja uległa radykalnej zmianie na niekorzyść strony polskiej 13 maja, kiedy to do obozu Chmielnickiego weszli, witani oczywiście owacyjnie, Kozacy rejestrowi z dywizji, która płynęła Dnieprem. Oznaczało to wzmocnienie armii sprzymierzonych o około 4000 doświadczonych, dobrze wyposażonych żołnierzy. Rejestrowi przyprowadzili ze sobą również działka zdjęte z czajek. Jak doszło do ich zdrady? Jak pamiętamy, rejestrowi wyruszyli czajkami z portu w Czerkasach,

najprawdopodobniej w tym samym czasie, co i dywizja lądowa. Można sądzić, że plan Mikołaja Potockiego zakładał połączenie obu grup, nie wiemy jednak, kiedy i gdzie to miało nastąpić. Nie znamy też przebiegu „spływu” Dnieprem, gdyż posiadane relacje dotyczą jedynie jego zakończenia, a więc przejścia rejestrowych na stronę Chmielnickiego. Przebieg tego niezwykle ważnego wydarzenia, istotnego nie tylko dla oddziałów broniących się pod Żółtymi Wodami, ale również dla losów całej kampanii, nie jest do końca jasny, gdyż dysponujemy kilkoma relacjami, które, jak zwykle w takich przypadkach, przedstawiają nieco inaczej przebieg wydarzeń. Według relacji Wieliczki, Chmielnicki, po połączeniu się z Tatarami, pomaszerował szlakiem na Kryłów, ale po minięciu Kudaku zatrzymał się nad brzegiem rzeki, oczekując na rejestrowych. Gdy łodzie nadpłynęły, straż kozackie wezwała przedstawicieli swych braci Kozaków reje-

107

strowych i poinformowały ich, że obóz Chmielnickiego znajduje się nieopodal brzegu. Informacja ta wielce ucieszyła rejestrowych, a na rozmowy udał się między innymi pułkownik Stanisław Michał Krzeczewski. Skutek tych rozmów był oczywisty - rejestrowi złamali dopiero co złożoną przysięgę i przeszli na stronę buntu, mordując wszystkich tych, którzy się temu przeciwstawiali, a więc pułkowników Stanisława Górskiego, Stanisława Wadowskiego, esauła Barabasza i



innych, a także towarzyszących wyprawie zaciężnych dragonów niemieckich. Wersja ta jest zapewne najbardziej znana rzeszom czytelników, gdyż malowniczo upowszechnił ją Henryk Sienkiewicz w Ogniem i mieczem.

Czy odpowiada ona rzeczywistemu przebiegowi zdarzeń? Chyba nie, gdyż przeczą jej niektóre fakty, chociażby ten, że starcia pod Żółtymi Wodami rozpoczęły się wcześniej, zanim rejestrowi dopłynęli do Kamiennego Zatonu lub leżącego nieopodal Mykitnego Rogu, Chmielnicki nie mógł więc obozować w pobliżu tych miejsc i osobiście pertraktować z Krzeczewskim. Inną wersję wydarzeń przedstawia w swym liście Krzysztof Korycki. Według niego Kozacy, po dopłynięciu na początku maja do Kamiennego Zatonu, rozdzielili się. Kilkusetosobowy oddział pod dowództwem pułkownika Krzeczewskiego i esauła Barabasza powędrował w kierunku Tomakówki, będącej uprzednio bazą Chmielnickiego, i zajął ją, gdyż 50-osobowa załoga nie stawiała oporu, a następnie, po zabraniu amunicji, broni i żywności, zniszczył istniejące fortyfikacje. Oczywiście, musieli poświęcić na to kilka dni, a w czasie nieobecności obu dowódców wśród pozostałych Kozaków wybuchł bunt, prawdopodobnie od dawna już przygotowywany przez emisariuszy Chmielnickiego. Z inicjatywy kilku spiskowców (prawdopodobnie Filona Dziadziały, Topicha i Krywuli oraz Iwana Gandży), 3 lub 4 maja zwołano radę czerniacką, na której postanowiono wypowiedzieć posłuszeństwo

Rzeczpospolitej i przejść na stronę  
Chmielnickiego.

Rady czerniackie miały, jak już wspominaliśmy,  
długą tradycję w historii

Kozaczyzny i były istotnym, trwałym elementem  
swoistej, kozackiej demokracji.

Dzięki nim prości, szeregowi Kozacy mogli narzucać  
swoją wolę przywódcom,

niekoniecznie w drodze głosowania, gdyż  
rozjuszony, często podniecony wódką tłum

po prostu mordował swych oponentów. Nic więc  
dziwnego, że starszyzna kozacka na

ogół bała się tych narad, a władze Rzeczpospolitej  
zabraniały ich zwoływania.

108

Tym razem również nie obeszło się bez gwałtu, gdyż  
tłum kozacki pobił i uwięził

esauła Eliasza Karaimowicza, który przy pomocy  
rusznicy próbował przywrócić

dyscyplinę. Wraz z nim uwięziono pozostałych  
oficerów i towarzyszących im

polskich (niemieckich?) dragonów. Dwóm z nich  
udało się, notabene, zbiec i

poinformować dowódcę twierdzy Ku-dak, Krzysztofa  
Grodzickiego, o zdradzie

rejestrowych. Zbuntowani wyprawili się na  
spotkanie powracających z Tomakówki

Krzeczewskiego i Barabasza. Barabasza zginął z rąk  
Kozaków, a Krzeczewskiego i

pozostałych jeńców przekazano „w prezencie”  
Tatarom. Krzeczewskiego wykupił

później z niewoli jego kum, Chmielnicki, i  
przywrócił do godności pułkownika w

swjej armii, odwdzięczając mu się w ten sposób za  
uratowanie go ongi z rąk

Konieczpolskiego i Czaplińskiego.

Za K. Koryckim wersję tę powtarza kanclerz A.

Radziwiłł w swoim pamiętniku o

dziejach w Polsce. Czy możemy uznać ją za wiarygodną? W tej części, w której opisuje ona przebieg wydarzeń pod Kamiennym Zatonem, zapewne tak, gdyż w ogólnych zarysach potwierdza ją również relacja K. Grodzickiego. Wątpliwości budzi natomiast wyprawa Krzeczewskiego i Barabasza przeciwko Tomakówce<sup>16</sup>. Nie miała ona bowiem głębszego uzasadnienia militarnego, a była posunięciem nader ryzykownym i, prawdę mówiąc, lekkomyślnym z punktu widzenia losów całej wyprawy. Jeśli bowiem nawet założymy, że dowództwo rejestrowych nie miało zielonego pojęcia o nastrojach panujących wśród podkomendnych i „kreciej robocie” wysłanników Chmielnickiego, to i tak, po przybyciu na miejsce, powinno przede wszystkim zorientować się w sytuacji i nawiązać kontakt z dowództwem dywizji lądowej. Tymczasem nic takiego nie zrobiono, nie wysłano żadnych podjazdów ani też posłańców z listami, podjęto natomiast zupełnie niepotrzebną, kilkudniową wyprawę na nieodgrywającą w tym momencie żadnej roli Tomakówkę, co spowodowało oddalenie się na kilka dni od sił głównych jednego z trzech, a kto wie czy nawet nie najważniejszego wodza wyprawy. Taka niefrasobliwość musi co najmniej dziwić. Dość interesujące i ze wszech miar uzasadnione wątpliwości zgłasza zwłaszcza W. Serczyk, który słusznie dziwi się, że oddział Krzeczewskiego, maszerując w kierunku Tomakówki, nie napotkał czambułów tatarskich, kontrolujących ten rejon. Moim zdaniem, prof. Serczyk, wybit-

16 W. Serczyk, *Na płonącej Ukrainie*, op. cit., s. 67 i n.

109

ny badacz dziejów Ukrainy i Kozaczyzny, ma rację, przypuszczając, że celem wyjścia Krzeczewskiego z obozu nie było zdobycie starego obozu Chmielnickiego, lecz tajemne spotkanie z samym hetmanem. Niewykluczone, że Krzeczewski, orientujący się, przynajmniej ogólnie, w nastrojach podkomendnych, zdawał sobie sprawę z faktu, że rejestrowych utrzymuje w posłuszeństwie i wierności wobec Rzeczpospolitej nie tyle świeża przysięga, co strach przed represjami, malejący jednak wraz ze wzrostem odległości czółen kozackich od obozów koronnych. Być może też uznał, że podejmowanie walki z Chmielnickim na czele tak niepewnych żołnierzy może zakończyć się katastrofą i postanowił na własną rękę poszukać wyjścia z tej matni, w jakiej się znalazł. Porozumienia z Chmielnickim mógł być pewnym, gdyż przywódca powstania zawdzięczał mu wiele, kto wie czy nie życie, a ponadto był z nim powiązany bliżej nam nie znanymi więzami rodzinnymi. Jeśli tak to wszystko się rzeczywiście odbyło, to zapewne powracający nad Kamienny Zatoń Krzeczewski został niemile zaskoczony tym, że bunt wśród jego podwładnych wybuchł bez jego udziału i inspiracji, a nawet, przynajmniej w pierwszym momencie, skierował się przeciwko niemu. Obraz ten psuje nieco postać Barabasza, towarzyszącego Krzeczewskiemu w

wyprawie przeciw Tomakówce. Barabasza przeszedł do historii jako najwierniejszy wśród Kozaków przyjaciel Rzeczypospolitej, w odwecie za to bezpardonowo zamordowany przez zbuntowanych rejestrowych. Człowiek tego pokroju, chyba szczerze zainteresowany utrzymaniem pokoju na Ukrainie i ponoć z tego właśnie powodu ukrywający królewskie przywileje, wykradzione następnie przez Chmielnickiego, nie powinien brać udziału w knowaniach swego dowódcy, pułkownika Krzeczewskiego. Może więc ma rację Korycki, że Krzeczewski faktycznie opuścił swą dywizję po to, aby zdobyć nikomu już nie potrzebną Toma-kówkę? A może pojechał w stepy, aby namówić Chmielnickiego do poddania się? Wątpliwości tych rozstrzygnąć już się nie da z przyczyn, o których wspominałem już wcześniej. Możemy zresztą szczegółowy przebieg buntu rejestrowych uznać za sprawę uboczną; istotne bowiem jest jedynie to, że rejestrowi zbuntowali się i 13 maja przybyli do obozu Chmielnickiego pod Żółtymi Wodami. Zmieniło to oczywiście radykalnie stosunek sił na korzyść oblegających i wywarło wręcz piorunujący wpływ na rejestrowych i przebywających

110

w obozie koronnym Ukraińców, którzy teraz, zarażeni przykładem swych braci, zaczęli gremialnie przechodzić na stronę Chmielnickiego. Już 14 maja obóz koronny opuściło 1200 Kozaków rejestrowych (a właściwie już eksrejestrowych), zabierając ze sobą część wozów taborowych. Powstała w ten sposób znaczna luka, w

którą natychmiast wdarli się Kozacy wspierani przez Tatarów, ale atak, z dużymi wprawdzie stratami, został jednak odparty. W następnych dniach dezercje trwały nadal, choć oczywiście już nie były tak masowe, wszelako dywizja koronna dość szybko zmalała do mniej więcej 1000 żołnierzy. Cały czas trwały też szturm na uszczuplony znacznie i zmniejszony obóz polski, jednak na ogół bez powodzenia. W przerwach między szturmami prowadzono ciągłe pertraktacje, w których strona polska chciała uzyskać prawo swobodnego i bezpiecznego powrotu na Ukrainę. Dość szybko jednak stało się jasne, że nieprzyjaciel nie ma zamiaru dotrzymywać żadnych obietnic, czego dowodem było chociażby zatrzymanie oficerów polskich, przybyłych do obozu Chmielnickiego w celu prowadzenia pertraktacji. Mimo to rokowań nie przzerwano, a nawet strona polska zgadzała się na coraz twardsze warunki, stawiane przez Chmielnickiego i Tuhaj-beja, np. na wydanie armat. Nie można się temu dziwić, gdyż w sytuacji gdy nie można już było liczyć na wsparcie ze strony armii głównej, o czym za chwilę, jedynie pertraktacje dawały - złudną, bo złudną - ale jednak nadzieję na ocalenie resztek dywizji. W wyniku dezercji i strat ponoszonych przy odpieraniu nieustannych szturmów, siły koronne stopniały w końcu do około 400-600 żołnierzy, postanowiono więc zrezygnować z obrony całego obozu i ograniczyć się do walki w dwóch odosobnionych szańcach. Nie do końca wiadomo, kto sprawował w nich dowództwo,

możemy jedynie domyślać się, że jednym dowodził  
głównodowodzący całą wyprawą  
Stefan Potocki, a drugim J. Szemberk. Nie był to,  
jak się już wkrótce przekonano,  
dobry pomysł, gdyż Kozacy, dysponując ogromną  
przewagą liczebną, mogli skierować  
uderzenia na każdy z szanćów, uniemożliwiając  
jakikolwiek współdziałanie  
odosobnionych oddziałów. Rychło też zrezygnowano z  
tego i, korzystając z przerwy  
w walkach, oddział Szemberka przebił się do szanca  
Potockiego<sup>17</sup>.

17 Zob. W. Biernacki, Żółte Wody - Korsuń, op.  
cit., s. 118.

111

W nocy z 15 na 16 maja oddział koronny podjął  
rozpaczliwą, desperacką próbę  
przebicia się pod osłoną niewielkiego taboru, do  
którego zaprzęgnięto pozostałe  
konie, przez otaczające go oddziały kozackie i  
tatarskie, a następnie wycofania  
się w stronę Kryłowa. Próba powiodła się jedynie  
częściowo, gdyż wprowadzie  
Polakom udało się wymknąć z okrażenia, ale  
powiadomiona orda ruszyła w pościg i  
zdażyła zablokować im drogę w Kniażych Bajrakach.  
Tu rozpoczął się ostatni akt  
dramatu Stefana Potockiego i jego dywizji.  
Nacierający Tatarzy starali się  
wprawdzie nie zabijać polskich żołnierzy i  
atakowali przede wszystkim konie  
taborowe, gdyż dla nich wojna była jedynie  
„przedsięwzięciem gospodarczym”,  
obliczonym głównie na zysk, a ten gwarantowali  
jeńcy należący w większości do  
szlachty i magnaterii; niemniej jednak skutecznie  
przyhamowali tempo odwrotu. W

tych warunkach tabor zdołał przejść ledwie dwie mile w kierunku Kryłowa, gdy został dogoniony przez Kozaków prowadzących artylerię. W trakcie walk w pobliżu Zielonej Bałki poważnie ranny został Stefan Potocki, a dowództwo po nim, jak to wynika z zachowanych relacji, objął Jan Sapieha. W wyniku ponawianych ataków tabor polski został w godzinach nocnych rozerwany.

Niedobitki dywizji (zapewne około 300 ludzi) broniły się jeszcze przez kilka godzin i złożyły broń dopiero 16 maja około południa<sup>18</sup>. Liczba pozostałych przy życiu i wziętych do niewoli żołnierzy byłaby zapewne jeszcze mniejsza, gdyby nie Tatarzy, którzy z przyczyn podanych powyżej powstrzymywali swych kozackich sprzymierzeńców przed zbyt intensywnym ostrzałem cofającego się taboru. Wszyscy jeńcy, zgodnie z wcześniejszym porozumieniem, dostali się oczywiście Tatarom, którzy odprowadzili ich na Krym. Natomiast dowódca dywizji Stefan Potocki, również wzięty do niewoli, zmarł 19 maja na skutek odniesionych ran.

Kłęska wojsk koronnych pod Żółtą Wodą i Kniażymi Bajrakami wstrząsnęła opinią publiczną i odbiła się szerokim echem w całej Rzeczypospolitej. W ówczesnych relacjach wyolbrzymiano siły nieprzyjaciela i rozmiary strat - twierdzono ??., że Kozacy zamordowali komisarza J. Szemberka i obcięli mu głowę, którą następnie nosili przez kilka dni przed swymi oddziałami. W rzeczywistości Szemberk, wraz z innymi oficerami, dostał się do niewoli i, tak jak inni, został odprowadzony na Krym, a następ-



18 A. Radziwiłł, Pamiętnik o dziejach w Polsce, op. cit., s. 75.

112

nie wykupiony. Tatarzy po prostu nie tolerowali takiej „rozzzutności”, jak pozbawianie życia cennych jeńców.

Trudno dziwić się panice, jaka zapanowała zwłaszcza na Ukrainie. Już sam wybuch buntu był dla Rzeczypospolitej, a zwłaszcza dla szlachty i Żydów mieszkających na Ukrainie, niewątpliwym nieszczęściem. Do tego doszła jeszcze przerażająca informacja o sojuszu powstańców z Tatarami, a totalna klęska i zagłada wyborowej dywizji koronnej uzmysłowiła współczesnym siłę tego sojuszu.

Spróbujmy obecnie dokonać oceny działań pod Żółtą Wodą. Według mnie, powinna ona wypaść na korzyść dywizji Potockiego. Mimo znacznej przewagi przeciwnika, potrafiła ona skutecznie bronić się od 29 kwietnia do 16-17 maja, a więc bardzo długo, mimo że po przejściu Kozaków rejestrowych i Ukraińców służących w nadwornych chorągwiach dra-gońskich na drugą stronę, jej liczebność dramatycznie zmalała. W tych warunkach ostateczna klęska była oczywiście nieunikniona, ale nawet w ostatniej fazie, w trakcie walk pod Zieloną Bałką, mając bardzo ograniczoną możliwość manewru, gdyż po obu stronach polskich pozycji wznosiły się strome zbocza jarów, a przód i tył blokowały czambuły tatarskie i pułki kozackie, żołnierze koronni stawiali zacięty opór i skapitulowali dopiero wówczas, gdy padający deszcz zmoczył proch strzelniczy. Nie można też stawiać poważniejszych

zarzutów dowództwu dywizji. Wręcz przeciwnie, należy podkreślić, że mimo katastrofalnej sytuacji, w jakiej dywizja się znalazła, potrafiło ono utrzymać do końca dyscyplinę, nie dopuściło do wybuchu paniki (takiej, jaka miała miejsce choćby ongi pod Cecora, a także, jeszcze w tym samym 1648 roku pod Piławcami). Wykorzystano też chyba wszystkie możliwości uratowania przynajmniej resztek wojska, podejmując - nieudane nie z winy polskiego dowództwa -pertraktacje, a także próbę wymknięcia się z oblężenia. W tej sytuacji jedynym człowiekiem, którego można winić za klęskę i zaturę całej dywizji, był hetman wielki Mikołaj Potocki, twórca fatalnego planu podzielenia podległej mu armii na trzy części. On też, mimo istniejących możliwości, nie zdecydował się na przyście z pomocą własnemu synowi i jego ginącej dywizji. Trudno natomiast coś istotnego powiedzieć o zwycięskiej armii koalicyjnej. W myśl starej jak świat maksymy, że zwycięzców się nie sędzi, można by uznać, że spełniła ona swoje zadanie i rozgromiła wysuniętą forpocztę armii koronnej. Jednakże ocenę działań Kozaków i Tatarów

113

oraz ich dowództwa, a więc Chmielnickiego i Tuhajbeja, w tej fazie konfliktu znacznie obniża - w moim przekonaniu - fakt, że mimo tak ogromnej przewagi ilościowej i psychologicznej, działając całością swych sił przeciw tak słabemu pod względem ilościowym przeciwnikowi, przez tak długi okres (17-18 dni) nie

mogli zapewnić sobie ostatecznego zwycięstwa,  
ponosząc w bezpośrednich szturmach  
porażki i spore straty. Nawet ostateczny sukces,  
odniesiony nad resztkami  
wycofującej się dywizji, został w znacznym stopniu  
ułatwiony (jeśli nie wręcz  
spowodowany) niekorzystnymi warunkami  
atmosferycznymi. Wprawdzie deszcz  
jednakowo zmoczył proch po jednej i po drugiej  
stronie, ale niewątpliwie ułatwił  
atak jazdy tatarskiej, która i tak nie posługiwała  
się bronią palną, a w starciu  
na broń białą szczuplutkie niedobitki polskiej  
dywizji nie miały żadnych szans...

Korsuń

Przygotowania do starcia

O tym, że dywizja jego syna weszła w kontakt z  
nieprzyjacielem, hetman wielki  
dowiedział się już 1 maja, w tym dniu bowiem do  
Czerkas, głównego obozu armii  
koronnej, dotarł Kozak rejestrowy z dywizji  
Stefana Potockiego, który 29  
kwietnia został wraz z 12 innymi towarzyszami  
wysłany na polowanie. Grupa ta,  
jak pamiętamy, została pochwycona przez jeden z  
czambułów straży przedniej armii  
kozacko-tatarskiej, ale jednemu z „myśliwych”  
udało się wymknąć Tatarom i  
dotrzeć do obozu koronnego. Nie dostarczył on  
zapewne polskiemu dowództwu zbyt  
obfitych informacji o nieprzyjacielu, gdyż na  
pewno sam niewiele wiedział, nie  
mniej jednak od niego po raz pierwszy hetman  
wielki uzyskał pewną informację, że  
dywizja jego syna została pod Żółtymi Wodami  
osaczona i zaatakowana nie tylko  
przez Kozaków, ale również przez Tatarów, których  
liczbę informator bardzo

przesadnie oszacował na 20 000.

Jest rzeczą niewątpliwą, że gdyby Mikołaj Potocki wykorzystał otrzymaną tak wcześnie informację i ruszył natychmiast, z całą armią, szybkim marszem, pod Żółte Wody, to zdążyłby przybyć tam przed nadejściem zbuntowanych rejestrowych {notabene Kamienny Zatoń dzieli od Żółtych Wód około 120 km, więc do dziś pozostaje zagadką, dlaczego rejestrowi potrzebowali na przebycie tej odległości aż 7 dni i pod Żółte

114

Wody przybyli dopiero 13 maja), a wówczas sytuacja uległaby radykalnej zmianie na korzyść wojsk koronnych i to raczej Chmielnicki z Tuhaj--bejem znaleźliby się w opałach, zmuszeni do walki na dwa fronty.

Mikołaj Potocki nie wykorzystał jednak szansy na zwycięskie zakończenie batalii i przez kilka bezcennych dni maja tkwił beczynnym w Czerkasach.

Przyczyną tej opieszałości było, moim zdaniem, zaskoczenie. Jak wiemy, Michał

Potocki, podejmując plan podzielenia wojska, nie wiedział o sojuszu kozacko-tatarskim. Sądził zapewne, że jego przeciwnikiem będą jedynie Kozacy

Chmielnickiego, a tych, jak wiemy choćby z listów do króla, raczej lekceważył,

obawiając się jedynie ich wpływu na ludność ukraińską i wybuchu ogólnego

powstania. Nic więc dziwnego, że po wymarszu dywizji Stefana Potockiego, w

głównym obozie koronnym panował wyśmienity, wesoły nastrój. Myśl o ewentualnej

klęsce nikomu nawet nie powstała w głowie, a pewność sukcesu była tak duża, że

żartowano ponoć przy kielichach, iż po rozbiciu Chmielnickiego młody Potocki wraz z towarzyszami zabawi się w stepach polowaniem.

Czy tak było naprawdę, czy też jest to tylko anegdota, wymyślona później, bo Mikołaj Potocki raczej nie cieszył się sympatią „szlacheckiego narodu”, to już mniej istotne. Ważne, że ta opowiadka dobrze oddaje nastrój, jaki w polskim dowództwie i w ogóle w polskim wojsku panował w ostatnich dniach kwietnia. Można więc sobie łatwo wyobrazić, jakim szokiem musiała być pierwsza informacja o tym, że przeciwnikiem het-manowicza są nie tylko Kozacy, ale również Tatarzy, i to nie nieliczne, słabe czambuliki typowych rabusiów, których zawsze mnóstwo włóczyło się po stepie, ale duża orda, której liczebność w dodatku mocno wyolbrzymiano.

W następnych dniach było jeszcze gorzej. 4 maja - jak podaje anonimowy autor Listu spod Czerkas - do obozu hetmańskiego dotarł Kozak, którego imienia i nazwiska niestety nie znamy, a który „uczęstował” hetmana informacją, że pod Żółtymi Wodami jest nie 20 000, a 50 000 Tatarów! Nic więc dziwnego, że - jak pisze

Paweł Jasienica w swej Rzeczpospolitej Obojga Narodów - „(...) z pychy płynąca pewność siebie ustąpiła miejsca panice”.

Powróćmy jednak na chwilę do tego Kozaka, który przyniósł owe hiobowe wieści.

Opowiedziana przez niego historyjka jest, prawdę mówiąc, bardzo dziwna i budzi - przynajmniej w moim przekonaniu - poważne wątpliwości. Otóż, jak wynika z

posiadanych informacji, był to

115

jeden z Kozaków służących w którymś z pułków rejestrowych, wchodzących w skład dywizji Stefana Potockiego. Kozak ten podobno „przedał się był Chmielnickiemu” zaraz po zetknięciu się obu wojsk pod Żółtymi Wodami. Z faktu, że zdążył on dotrzeć do Czerkas już 4 maja, można wyciągnąć wniosek, że był to jeden z pierwszych dezertersów z dywizji Stefana Potockiego.

Chmielnicki nie zatrzymał go w obozie, lecz prawie natychmiast (inaczej nie zdążyłby dotrzeć do hetmańskiego obozu 4 maja) wysłał z niewielkim, 50-osobowym podjazdem tatarskim pod Czehryń, podobno w celu zdobycia żywności dla wojska. Po przybyciu na miejsce Kozak ten, z nieznanych bliżej przyczyn, powrócił na drogę cnoty, czyli zdradził tym razem Chmielnickiego i udał się do Czerkas, do hetmana Potockiego, aby mu zrelacjonować sytuację pod Żółtymi Wodami. A relacjonował ją tak dokładnie, że liczbę Tatarów obecnych pod Żółtymi Wodami pomnożył przez co najmniej 10!

Pomijając moją nieufność wobec takich „wędrowniczków” z obozu do obozu, to opowieść ta rodzi przynajmniej dwa pytania, na które nie potrafię znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi (co pogłębia moją nieufność). Pytanie pierwsze dotyczy motywów postępowania tego Kozaka. Jeśli chodzi o przyczyny przejścia z obozu koronnego do Chmielnickiego, to jestem w stanie je zrozumieć. Mogła to być

np. wrogość w stosunku do Rzeczypospolitej, dość powszechna, jak wiemy, wśród Kozaków, również rejestrowych. Mogło to być również poczucie wspólnoty interesów z braćmi Niżowcami i niechęć do walki z nimi. Wpływ na tę decyzję mogło mieć też przekonanie, że szczupłe siły polskie ulegną w starciu z Tatarami, a więc strach przed konsekwencjami przewidywanej klęski. Co jednak mogło tegoż Kozaka skłonić do kolejnej zmiany frontu po przybyciu wraz z Tatarami w okolice Czehrynia? Przyznam, że nie potrafię w tym przypadku znaleźć odpowiednio ważkich motywów, a ludzie zazwyczaj, czy to XVII czy XXI wieku, starają się postępować racjonalnie, zwłaszcza w tak ważnej, wręcz „gardłowej” sprawie, jaką jest kwestia „podwójnej zdrady”. Mówiąc po prostu, jeśli zmieniają barwy, a potem wracają do obozu tych, których poprzednio zdradzili, to robią to z jakichś ważnych, konkretnych powodów, czasem z konieczności, czasem dla osiągnięcia konkretnych korzyści itd. Tymczasem o żadnych takich przyczynach w tym wypadku nie wiemy, bo chyba trudno za takie uznać tłumaczenie pojawiające się w dokumentach

źró-

116  
dłowych, jakoby w obozie Chmielnickiego brakowało żywności. Przecież właśnie po żywność wysłano go z Tatarami, więc na tak dojmujący głód chyba nie cierpiał! Nie mogę również znaleźć zadowolającej odpowiedzi na pytanie, skąd wzięła się tak bardzo zawyżona liczba Tatarów, jaką Kozak ów podał polskiemu dowództwu?

Przecież, jak wiemy, było ich pod Żółtymi Wodami  
raptem około 4000-5000,  
najwyżej 5500, dlaczego więc tak magicznie  
rozmnożyli się oni w oczach tego  
informatora?

Przyznaję, że w większości relacji XVII-wiecznych  
(a i wcześniejszych również)  
liczba nieprzyjaciół, odnotowywana w pamiętnikach,  
listach i innych tego typu  
przekazach, bywała dość często zawyżana. Po prostu  
taka obowiązywała wówczas  
moda. Najczęściej, jak sądzę, pod-kolorowywano  
rzeczywistość z niewiedzy. Czasem  
też dlatego, aby tym jaśniej zaświeciło męstwo i  
sprawność własnych żołnierzy,  
którzy, mimo że tak nieliczni, potrafili stawić  
czoła liczniejszemu  
nieprzyjacielowi i pokonać go albo przynajmniej  
zmusić do odwrotu.

W tym przypadku było jednak inaczej, relację  
składał bowiem człowiek, który  
przynajmniej dzień lub dwa przebywał wśród  
rebeliantów i na własne oczy oglądał  
Tatarów, powinien więc, przynajmniej w  
przybliżeniu, znać ich liczbę. A jeśli  
nawet sam nie mógł tego stwierdzić, to mógł się o  
tym dowiedzieć od kolegów

Kozaków, towarzyszących i Chmielnickiemu, i  
Tatarom od początku wyprawy. A oni  
raczej nie mogli mylić się co do liczby  
sprzymierzeńców, przynajmniej nie aż tak  
bardzo. Trudno więc w tym przypadku zrzucić winę  
na karb zwykłej pomyłki;  
zresztą, jak można pomylić 4500-5000 ludzi z 50  
000? Gdyby więc Kozak ten liczbę  
ordyńców określił na 10 000-15 000, to można by to  
jeszcze jakoś zrozumieć i



zaakceptować. Ostatecznie zdarza się podobno, że człowiek, w pewnych warunkach, widzi podwójnie, a nawet i potrójnie, ale dziesięciokrotnie?! To już lekka przesada!

Może więc rzecz cała wyglądała inaczej? Może mamy do czynienia z XVII-wiecznym, kozackim pierwowzorem Hansa Klossa alias J-23? Spróbujmy spojrzeć na tę sprawę pod tym kątem.

Nie ulega wątpliwości, że Chmielnicki, przystępując do walki z Rzeczpospolitą, bał się siły wojska koronnego i starał się nie zaniedbać niczego, co mogłoby zwiększyć szanse na zwycięstwo. Jego główną „tajną bronią” był oczywiście sojusz z Tatarami, ale ostrożny, chytry i przezorny wódz (a takim był Chmielnicki na pewno) nie zaniedbał również innych

117

sposobów, dzięki którym mógł zwiększyć swoje szanse. Jednym z nich było wysyłanie do braci rejestrowych emisariuszy, którzy mieli przeciągnąć ich na swoją stronę, a także do wsi ukraińskich, aby tam podburzali ludność i zbierali wiadomości o ruchach wojsk koronnych. To dzięki nim Chmielnicki już na samym początku kampanii wygrał - jak się o tym przekonamy - batalię o informacje. Czy tak trudno wyobrazić sobie, że zlecał on swym wysłannikom także zadania dezinformowania przeciwnika? To przecież stary jak świat i jak historia wojen sposób na ich wygrywanie. Podział armii koronnej był Chmielnickiemu bardzo na rękę, gdyż pozwolił mu

skutecznie osaczyć w stepach słabą dywizję Stefana Potockiego. Ułatwiał też pracę jego wysłannikom do rejestrowych. Ale zarówno likwidacja osamotnionej dywizji Potockiego, jak i praca spiskowa wśród „grupy wodnej”, wymagały czasu i w interesie hetmana zaporoskiego leżało, aby hetman jak najdłużej pozostawał „na włości” i nie udzielał pomocy synowi. Wiemy, że Chmielnicki wysłał wielu emisariuszy, zarówno wówczas, gdy jeszcze tkwił na Siczy jak i później, gdy już wyruszył na spotkanie z wojskiem koronnym. Może więc jednym z takich wysłanników był nasz bezimienny bohater, o którego późniejszych losach zupełnie nic nie wiemy? Może dlatego właśnie pod Żółtymi Wodami przeszedł on na stronę wojsk koalicyjnych, aby przekazać Chmielnickiemu istotne informacje o składzie dywizji, o nastrojach panujących wśród Kozaków i Ukraińców, a następnie zostać wysłanym z Tatarami pod Czeh-ryń, aby po raz drugi zdezerterować, wrócić pod w miarę wiarygodną „przykrywką” do obozu wojsk koronnych i przekazać tam informację o 50 000 Tatarów?

Relacja taka musiała brzmieć wiarygodnie w uszach Polaków, bo przecież składał ją człowiek, który widział wszystko na własne oczy i mylić się, przynajmniej aż tak bardzo, raczej nie powinien. Wiemy zresztą, że wywiad i kontrwywiad polski w kampanii 1648 roku działał fatalnie (co notabene obciąża konto Michała Kalinowskiego, gdyż to do zadań hetmana polnego należało zorganizowanie jego

pracy), w związku z czym każdą docierającą do sztabu wiadomość traktowano jak prawdziwy dar niebios. Anie trzeba było być szczególnie przenikliwym człowiekiem, aby założyć, że wizja starcia z tak potężną armią tatarską przerazi Potockiego i spowoduje, że zamiast maszerować od razu na pomoc synowi,

118

będzie raczej czekał na posiłki w postaci „panięcych pocztów” i pospolitego ruszenia. W ten sposób Chmielnicki zyskiwał tak bardzo mu potrzebny czas, aby przeciągnąć na swoją stronę rejestrowych i rozprawić z dywizją Stefana Potockiego. Obydwa zadania udało się Chmielnickiemu zrealizować, choć, zwłaszcza to drugie, nie bez pewnych trudności. A co by było, gdyby nastąpiła szybka interwencja armii głównej? O tym już wspominaliśmy. Dla formalności podkreślam jednak, że jest to wyłącznie moja hipoteza, oparta, prawdę mówiąc, jedynie na logicznym rozumowaniu; czy jest ona prawdziwa i czy tak było istotnie, tego się już prawdopodobnie nigdy nie dowiemy. Niewątpliwie po otrzymaniu tych pierwszych wiadomości o sytuacji pod Żółtymi Wodami Potocki zrozumiał, że popełnił tragiczny błąd, wysyłając syna z tak słabymi siłami przeciw nierozpoznanemu zupełnie przeciwnikowi. Jednakże, jak większość ludzi mających zbyt wysokie mniemanie o swej wartości, a w dodatku upartych, winą obarczał nie siebie, lecz swych doradców. Zapewne też zdawał sobie sprawę z faktu, że powinien szybko podjąć jakąś decyzję,

ale, zaskoczony nieoczekiwaną sytuacją, nie umiał się na nic zdecydować. Wahał się, wielokrotnie zmieniał zdanie, a w konsekwencji tkwił w miejscu i czekał. Paraliż decyzyjny w wojsku koronnym minął dopiero po 4 maja, kiedy to hetman wielki wydał wreszcie rozkaz koncentracji wojsk koronnych wokół Czerkas. Rozkaz o co najmniej cztery dni spóźniony, a niestety, na wojnie rzadko sprawdza się stare porzekadło, że „lepiej późno niż wcale”; o wiele częściej okazuje się, że straconych okazji i możliwości nie sposób już odzyskać.

Obserwując działalność hetmana w dniach 4-5 maja, można odnieść wrażenie, że odzyskał on wreszcie nieco wigoru i energii, gdyż w ślad za wspomnianym już rozkazem koncentracji poszły również uniwersały informujące senatorów i urzędników królestwa o sytuacji na Ukrainie, a zwłaszcza o sojuszu kozacko-tatarskim i wzywające magnatów ukra-innych, aby stawili się wraz ze swymi prywatnymi oddziałami do dyspozycji hetmana. Wysłano również wodą rozkaz do grupy Kozaków rejestrowych (o ich zdradzie i przejściu na stronę Chmielnickiego Potocki jeszcze nie wiedział, bo wiedzieć nie mógł), aby „wpadli w Krym i plądrowali, palili, jako i lepiej, gdyż po temu czas, bo tam teraz pustki, wszystka Orda wy-

119

szła do Chmielnickiego i co dalej to więcej jej przybywa”<sup>19</sup>. Wydanie tego rozkazu oznacza, że Mikołaj Potocki uwierzył bez zastrzeżeń w informację o 50

000 Tatarów atakujących pod Żółtą Wodą dywizję syna i zamierzał wykorzystać opustoszenie Krymu dla dywersyjnego uderzenia korpusu Kozaków rejestrowych, którym taka wojna mogła bardziej odpowiadać niż walka z pobratymcami niżowymi. No cóż, opierając się na fałszywych przesłankach (gdyż Krym bynajmniej jeszcze nie opustoszał, a chan Islam Gorej III z głównymi siłami jeszcze nie wyruszył na Ukrainę; zrobił to dopiero 11 maja), Potocki musiał dojść do fałszywych wniosków. To podstawowa reguła logiki. Rozkazu tego jednak nie można byłoby wykonać, nawet gdyby był oparty na prawdziwych przesłankach, gdyż Kozacy z „dywizji wodnej” nie dysponowali końmi. Ich wierzchowce szły, o czym hetman winien był pamiętać, razem z dywizją lądową i w sytuacji, gdy ta została osaczona w stepie i uwikłana w nierówną walkę, żadną miarą nie mogły być oddane do dyspozycji Kozaków. A pomysł pieszego marszu przez Dzikie Pola na Krym był z zupełnie innej bajki; prawdę mówiąc, mógł powstać jedynie w pijanym widzie. To zresztą nie wszystkie zastrzeżenia, jakie można mieć do tego rozkazu. Zastanawia jeszcze jedna sprawa, a mianowicie fakt, że wysyłając rejestrowych na Krym, hetman pozbawiał swego syna najbliższego wsparcia. A może wreszcie dotarła do niego oczywista prawda, że rejestrowi są bardzo niepewnym elementem i że nie należy trzymać ich w bezpośrednim sąsiedztwie buntowników? Powstaje w takim razie jednak pytanie, jak -zdaniem hetmana i ojca równocześnie - miał sobie poradzić pozbawiony

jakiegokolwiek wsparcia Stefan Potocki? Bo przecież na wsparcie ojca nie mógł liczyć, gdyż ten postępował bardzo opieszale. Koncentracja korpusu przebiegała raczej powoli i zakończyła się dopiero około 6 maja; 7 maja natomiast rozpoczął się wymarsz w kierunku Czehrynia. Po 3-4 dniach marszu, a więc około 11 maja, korpus przekroczył Taśminę i zaległ w stepach. W tym momencie od pola bitwy pod Żółtymi Wodami dzieliło go jakieś 15 mil, czyli około 107 km (mila staropolska liczyła 7146 m). Armia prowadząca wozy taborowe potrzebowała na przebycie tej odległości zapewne 3-4 dni, a idąc tzw. komunikiem (a więc bez taboru), mogła przebyć ten dystans w niecałe 2 dni. Mikołaj

" List spod Czerkas, zapewne z 5 maja. Cyt. [za:] W. Biernacki, Żółte Wody - Korsuń, op. cit, s. 194.

120

Potocki nie zdecydował się jednak na pokonanie tej, stosunkowo niewielkiej przecież, odległości, mimo że już za Taśminajego korpus został wzmocniony przez oddziały prywatne ks. Władysława Dominika Zasławskiego i hetman miał do dyspozycji około 5500-6000 żołnierzy. Spróbujmy teraz zastanowić się, jak wyglądałaby sytuacja pod Żółtymi Wodami, gdyby hetman wielki już 10 maja, natychmiast po przybyciu do Czehrynia, zdecydował się na dalszy marsz. Można założyć, że wiedząc o obecności Tatarów, nie zaryzykowałby ruszenia „komunikiem”, pod Żółte Wody pomaszerowałby więc zapewne ostrożnie, pod osłoną taboru. Na miejsce dotarłby prawdopodobnie około

14 maja, a więc już po przybyciu na pole walki (13 maja) zbuntowanych rejestrowych. Można natomiast przypuszczać, że wieść o zbliżaniu się głównej armii koronnej powstrzymałby rejestrowych, wchodzących w skład dywizji Stefana Potockiego, przed gremialną dezercją. Kozacko-tatarska armia koalicyjna liczyłaby więc około 15 000-16 000 żołnierzy, wliczając w to 3500 zbuntowanych rejestrowych. Natomiast Mikołaj Potocki miałby do dyspozycji około 8000 żołnierzy (5500 własnego korpusu i około 2500-2800 żołnierzy w dywizji syna). Przewaga ilościowa byłaby zatem nadal po stronie Chmielnickiego, nie zapominajmy jednak, że wojsko koronne, a przynajmniej stanowiące jego trzon oddziały kwarciane, składało się z doświadczonych, znakomicie wyćwiczonych żołnierzy i dysponowało dobrą, sprawdzoną w wielu bitwach kadrą oficerską. Wojska koronne były też raczej lepiej wyposażone i uzbrojone. Można więc bronić tezy, że wartością bojową korpus koronny górował nad przeciwnikami, zwłaszcza nad ordaTuhaj-beja, która -jak wynika ze źródeł, a nie mamy powodu, by im w tej sprawie nie wierzyć - była licha, niepozorna i „nieśmiała”, a w dodatku słabo uzbrojona, w większości bez szabel i łuków. Wartościową część wojska Chmielnickiego stanowili na pewno eks-rejestrowi, należycie wyekwipowani i uzbrojeni, niewiele natomiast wiemy o Kozakach, których Chmielnicki zabrał z Siczy, jednakże fakt, że nie potrafili oni przez tak długi

czas uporać się z dywizją Stefana Potockiego, nie pozwala na wystawienie im zbyt wysokiej oceny.

No i wreszcie rzecz niezwykle ważna, a mianowicie położenie obu wojsk. Wydając bitwę pod Żółtymi Wodami, hetman Potocki znalazłby się w korzystniejszej sytuacji taktyczno-operacyjnej, gdyż Chmielnicki byłby zmuszony walczyć z położenia środkowego przeciw dwóm woj-

121

skom, co zmusiłoby go do wydzielenia odpowiednio dużej części swych sił na

zablokowanie dywizji Stefana Potockiego.

Biorąc wszystko to pod uwagę można, jak sądzę, zaryzykować twierdzenie, że

szanse obu stron na sukces byłyby, w tym hipotetycznym naturalnie starciu,

wyrównane, a nawet, używając słownictwa walk bokserskich, ze wskazaniem na

wojska koronne.

Potocki nie zdecydował się jednak na marsz pod Żółte Wody, zatrzymał swój korpus

za Jaśminą, nieopodal Czehrynia, gdzie okopał się, zakładając silny obóz

broniony przez szanice i spięte łańcuchami wozy taborowe. Czy można mu z tego

powodu czynić zarzut? I tak, i nie.

Jak już miałem okazję wspomnieć, ocena działań tzw. postaci historycznych nie

jest sprawą łatwą, przede wszystkim dlatego, że często zapominamy o tym, iż

nasza wiedza o wydarzeniach i towarzyszących im uwarunkowaniach jest o wiele

bogatsza niż ta, którą oni dysponowali.

Zapominamy, że o wielu sprawach, które

nam są znane, oni nie mieli pojęcia, a w innych byli celowo dezinformowani.



Ponadto my znamy dokładnie skutki podejmowanych decyzji, łatwo nam więc wystawiać cenzurki, mówić o tym, co było słuszne, a co błędne, podczas gdy oni mogli jedynie skutki te przewidywać, trafnie lub nie. Wytykając im błędy, należy brać to pod uwagę i przynajmniej starać się popatrzeć na świat ich oczami. Poza tym nie należy zapominać, że na każdej wojnie są przynajmniej dwa plany, własny i przeciwnika, który trzeba starać się odgadnąć, przewidzieć, a przewidywania, zwłaszcza jeśli nie są oparte na rzetelnych, obiektywnych przesłankach, mogą czasami, niestety, przypominać wróżenie z fusów.

Pamiętając o tym wszystkim, spróbujmy ocenić działania Mikołaja Potockiego w tej fazie owej nieszczęsnej kampanii wiosennej 1648 roku. My wiemy, że pod Żółtymi Wodami Tatarów było nie więcej niż 5000 i to raczej pośledniej podobno jakości, ale hetman wielki wierzył - i ostatecznie mógł w to wierzyć - że jest ich ponad 50 000. W dodatku 11 maja dowiedział się o zdradzie Kozaków rejestrowych, mógł więc zasadnie sądzić, że pod Żółtymi Wodami przyjdzie mu się zmierzyć z armią liczącą ponad 65 000, złożoną z Kozaków i Tatarów, a więc dysponującą dobrą piechotą i doskonałą jazdą. W tych okolicznościach mógł się rzeczywiście zawahać.

Po prostu nie chciał kusić licha, maszerując na pomoc synowi. Na pewno nie była to decyzja wzbudzająca podziw, szacunek

122

czy uznanie, ale ostatecznie można zrozumieć jej przyczyny. Choć trochę racji ma

niewątpliwie Rawita-Gawroński, który zdecydowanie ją skrytykował, twierdząc, że siedzenie w okopanym obozie i czekanie nie wiadomo na co też nie miało wiele sensu<sup>20</sup>.

Inna sprawa, czy hetman wielki koronny musiał być skazany na informacje dostarczane mu przez różnych uciekinierów, być może, przynajmniej w części, preparowane i służące raczej dezinformacji? Czy nie mógł ich zweryfikować, starać się zdobyć wiedzę odzwierciedlającą przynajmniej częściowo stan rzeczywisty i na tej podstawie odsiewać ziarno od plew? Oczywiście mógł i nawet starał się o to, tyle że robił to jakoś tak nieporadnie, jak zresztą wszystko, w tej kampanii.

Najpopularniejszym niewątpliwie w owym czasie sposobem zdobywania informacji wojskowych było swoiste „rozpoznanie walką”, czyli wysyłanie podjazdów z zadaniem nawiązania kontaktu bojowego z przeciwnikiem i zdobycia tą drogą, języka”, czyli jeńców, którzy byli następnie indagowani przy użyciu wszelkich dostępnych metod, z przypalaniem pięt, biciem, wkręcaniem palców w kurki muszkietów i innymi torturami na czele. Sposobu tego próbował również Potocki, wysyłając liczne podjazdy zarówno w trakcie drogi pod Czehryń, jak i później, już z obozu za Taśminą, ale czynił to bardzo nieskutecznie, gdyż były to na ogół chorągwie jazdy wołoskiej, liczące po około 100 żołnierzy.

Podjazdy te zderzały się jak z murem z osłonowym kordonem tatarskim, który

Tuhaj-bej utworzył w odległości kilkunastu kilometrów od Żółtych Wód na wszystkich szlakach prowadzących na Ukrainę, zwłaszcza pod Kniażymi Bajrakami, a więc na trasie do Kryłowa, skąd dowództwo armii koalicyjnej spodziewało się nadejścia głównego korpusu koronnego. Kordon ten tworzyły silne czambuły i polskie oddziały odbijały się od nich jak od ściany, gdyż były za słabe, by podjąć skuteczną walkę, w trakcie której mogłyby ewentualnie przebić się przez kordon i dotrzeć do polskiego obozu pod Żółtymi Wodami (rzecz na pewno trudna, ale możliwa do wykonania) lub przynajmniej pojmać jeńców; zara-

20 W swej biografii Bohdana Chmielnickiego pisze on: „Zamiast się tedy ruszyć z całą potęgą ku Kudakowi i spotkać nieodmiennie z Chmielnickim, Hetman W. K. siedział w okopanym taborze i rozsyłał podjazdy na wszystkie strony”. Zob.: F. Rawita-Gawroński, Bohdan Chmielnicki, Lwów 1906, s. 198.

123

zem były one zbyt liczne, by niepostrzeżenie przemknąć przez osłonę i w ten sposób osiągnąć swój cel, czyli zdobyć informacje. Po pierwszych nieudanych próbach hetman powinien natychmiast zmienić taktykę i zacząć wysyłać na rekonesans oddziały silniejsze, liczące po 200, 300 lub nawet więcej żołnierzy. Na to jednak Potocki się nie zdecydował i to spowodowało, że w tej, prawdę mówiąc decydującej, fazie kampanii 1648 roku przegrał z Chmielnickim wojnę o informacje. A przegrał ją, bo nie potrafił zrozumieć, że wojna 1648 roku

diametralnie różni się od wojen poprzednich, toczonych na Ukrainie, właśnie z powodu sojuszu kozacko-tatarskiego, a w związku z tym metody skuteczne w trakcie powstań lat ubiegłych, w 1648 roku zawodziły zupełnie, niezależnie od tego, jak liczna była orda i czy była ona wyborowa, czy też licha i „nieśmiała”.

Wystarczyło to, że była i że czambuły nic nie straciły ze swej szybkości działania. Innymi słowy, Potockiego zgubiła najmniej w tym momencie potrzebna rutyna!

W obozie nad Taśminą korpus polski pozostał przez dwa dni, tj. do 13 maja, a następnie zaczął odpływać na stare pozycje. Właśnie 13. (a więc wówczas, gdy pod Żółtymi Wodami zbuntowana „grupa wodna” Kozaków zasiliła armię Chmielnickiego) przeprowadzono się ponownie przez Taśminę. Tu, nieopodal Czehrynia, znów zatrzymano się na postój, wysyłając w stronę nieprzyjaciela kolejny, liczący około 150 koni, podjazd pod dowództwem Jana Odrzywolskiego. Był on więc nieco silniejszy od poprzednich, ale i tak zbyt słaby, by przebić się przez kordon, więc tak jak poprzednie, wrócił po kilku dniach i stracie dwóch żołnierzy, po prostu z niczym. Notabene ta nieudolność w zdobywaniu jeńców została skwitowana przez autora jednego z anonimowych listów ironiczną uwagą: „Jako widzę, że radzi szukają Tatarów po polach, kiedy ich nie masz, ale ich teraz siła”<sup>21</sup>. Była to niedwuznaczna, kpiąca aluzja do tak niedawnych wypraw księcia Jeremiego

Wiśniowieckiego i chorążego koronnego Aleksandra Koniecpolskiego,, junaczących się" w pustych stepach, z których Tatarzy przezornie się wycofali, nie chcąc dawać Władysławowi IV pretekstu do ataku na Krym. 15 maja Mikołaj Potocki wydał decyzję wycofania się w kierunku Czerkas i Korsunia. Nie była to jeszcze decyzja ostateczna, hetman bo-

21 List anonimowego wyższego oficera z 9 maja 1648 roku, cyt. [za:] W. Biernacki, Żółte Wody - Korsuń, op. cit, s. 194.

124

wiem wciąż nie mógł się zdecydować, czy iść na pomoc synowi, czy wycofać się „na włość". Dlatego też pozostawił pod Czehryniem silny, liczący około 2000 kawalerzystów oddział jazdy, który pod dowództwem Samuela Kalinowskiego, syna drugiego hetmana, miał ponoć 16 maja ruszyć „komunikem" pod Żółte Wody. Ostatecznie jednak nic z tego nie wyszło, gdyż 16 maja Potocki ściągnął te chorągwie do Borowicy, pod którą zatrzymał się na chwilowy postój, a następnego dnia wydał całej armii rozkaz powrotu do Czerkas. Trudno zgadnąć, co spowodowało taką nagłą zmianę decyzji. W. Biernacki twierdzi, że wpływ na to miała informacja, przyniesiona właśnie przez Jana Odrzywolskiego dowódcy wspomnianego już podjazdu. Doszedł on do Książych Bajraków, a więc w pobliżu Żółtych Wód, został odparty przez Tatarów, nie zdobył jeńców i powrócił do obozu 16 maja z informacją o „potężnym strzelaniu", którego odgłosy docierały do niego z okolic Żółtych Wód<sup>22</sup>.

Przyznam, że argument ten nie przemawia do mnie, gdyż, prawdę mówiąc, jest sprzeczny z logiką. Przecież Potocki podobno po to wyruszył ze swym korpusem z Czerkas do Czehrynia i dalej, aż za Jaśminę, aby przyjść z pomocą synowi, dlaczego więc informacja o tym, że jego dywizja jeszcze stawia opór, miałyby spowodować taką nagłą zmianę planów i ostateczną decyzję o odwrocie w głąb Ukrainy? Chociaż, kto wie? Nie byłaby to ostatecznie ani pierwsza, ani też, co gorsza, ostatnia decyzja Potockiego, podjęta wiosną 1648 roku, która wydaje się być na bakier nie tylko z logiką, ale wręcz ze zdrowym rozsądkiem. Odnoszę wrażenie, że hetman zagubił się, beznadziejnie i nieodwołalnie, mniej więcej w marcu tegoż roku i wszystko to, co czynił później, przypomina mi rozpaczliwe szamotanie się muchy w sieci. Takie też wrażenie robi cała „peregrynacja” z Czerkas do Czehrynia i z powrotem, może więc i tę, na pewno najbardziej dramatyczną decyzję w swym życiu o pozostawieniu własnemu losowi resztek dywizji i własnego syna, hetman podjął bez zastanowienia, pod wpływem nagłego impulsu? Hysterycy, a Potocki był nie tylko alkoholikiem, ale i histerykiem, mają tendencję do takich niczym nie uzasadnionych decyzji.

18 maja wojska koronne dotarły w pobliże Czehrynia i tu dowiedzieli się od żołnierzy z kolejnego podjazdu, że los dywizji Stefana Potockiego,

22 Ibidem, s. 138.

Stefana Czarnieckiego i J. Szemberka się dopełnił, gdyż pod Żółtymi Wodami nikt już nie strzela, panuje głucha cisza. Podobno Potocki w klęskę syna uwierzył dopiero 20 maja, gdy otrzymał wiadomość, że maszerujący na Ukrainę Chmielnicki jest już w okolicy Kryłowa. Wstrząsnęło nim to tak bardzo, że błyskawicznie podjął decyzję o pośpiesznym wycofaniu się w kierunku na Korsuń. Uniknął dzięki temu starcia z armią Chmielnickiego, która po krótkim odpoczynku pod Żółtymi Wodami ruszyła w głąb Ukrainy. Czy była to słuszna decyzja? Część sztabu armii koronnej namawiała hetmana na stoczenie decydującej bitwy. Zwolennicy natychmiastowej konfrontacji argumentowali, że w interesie polskim leży zagrodzenie drogi Chmielnickiemu, zanim wejdzie on na Ukrainę i poderwie lud ukraiński do buntu, gdyż to zwielokrotni jego siły.

Potocki nie zdecydował się na to i byłoby dziwne, gdyby podjął teraz inną decyzję, skoro nie odważył się na ofensywę wówczas, gdy polski obóz pod Żółtymi Wodami jeszcze się bronił. Ale argumenty zwolenników wydania Chmielnickiemu bitwy, zanim wejdzie on „na włość”, były niebagatelne, a najbliższa przyszłość pokazała, że to raczej oni mieli rację. W miarę posuwania się w głąb Ukrainy, armia kozacka powiększała się bardzo szybko. Wprawdzie na teren Ukrainy nie przybył jeszcze chan Islam Girej III, który z Bachczysaraju wyruszył dopiero 11 maja, ale za to do obozu Chmielnickiego garnęli się pozostający poza rejestrem

Kozacy, no i „czerń”, czyli chłopci ukraińscy, tak że wkrótce oddziały kozackie powiększyły się, według bardzo ostrożnych szacunków, o około 6000 ludzi, a to oznacza, że hetman kozacki miał już do dyspozycji co najmniej 22 000-23 000 ludzi.

Są to oczywiście jedynie szacunki, gdyż ocena liczebności armii kozackiej w tym okresie kampanii jest bardzo trudna. Nie dysponujemy przecież żadnymi wiarygodnymi źródłami na ten temat, a w dodatku armia ta rosła dosłownie z dnia na dzień, gdyż sukcesy powstańców spowodowały ogromne poruszenie i podniecenie we wsiach i miastach ukraińskich. Przekonał się o tym na własnej skórze sługa ks.

Jeremiego Wi-śniowieckiego, Bogusław Maskiewicz, wysłany przez swego pana do hetmanów z pytaniem, gdzie ma się stawić ze swoją dywizją. Goniąc wycofujące się szybko oddziały koronne, natrafił on w miejscowości Sie-kierna koło Czerkas na gromadę chłopów, zapewne zastanawiających się, czy już iść do obozu kozackiego.

Zachowywali się bardzo agresywnie, tak że poseł groźnego „Jaremy” musiał salwować się ucieczką przez

126

dziurę w płocie, w przeciwnym razie straciłby zapewne życie. A działo się to przecież w okolicy Czerkas, a więc w bezpośredniej bliskości wojsk koronnych! Na terenach dalszych, opuszczonych już przez oddziały Potockiego, było jeszcze gorzej. Chłopci powszechnie chwyтали za broń, a tej przecież po wsiach



ukraińskich, nękanych ustawicznie przez Tatarów, nigdy nie brakowało. Rozpoczęły się napady na dwory, mordowanie szlachty, zwłaszcza pochodzenia polskiego. Jednym słowem, zaczął się spełniać czarny scenariusz wydarzeń, którego tak bardzo obawiał się Mikołaj Potocki i którego zresztą w pewnym sensie był współautorem. Jeszcze raz okazało się, jak bardzo nierealne jest odwieczne marzenie wszystkich łakomczuchów, aby „zjeść ciastko i mieć ciastko”. Mówiąc inaczej, nie można było równocześnie rozgromić Chmielnickiego i utrzymać Ukrainy w ryzach. Na to siły polskie były po prostu za słabe, należało więc raczej skoncentrować wszystkie siły i rozgromić Chmielnickiego z Tatarami, zanim powstanie Ukraina, a potem szybko powrócić „na włość”.

W ostatecznym rozrachunku Potocki ani ciastka nie zjadł, ani go nie miał, znalazł się natomiast między młotem a kowadłem, mając przed sobą potężniejszego z każdą chwilą Chmielnickiego, a dookoła rozlewający się bunt chłopów.

Bitwa

Wszystko wskazuje na to, że Potocki, przerażony rozwojem sytuacji, zamierzał opuścić rejon Czerkas i Korsunia, by w ten sposób oderwać się od przeciwnika, wycofując się za Białą Cerkiew, a być może nawet dalej, za Teterew lub nawet Słucz, aby tam, na terenach spokojniejszych, poczekać na nadejście Władysława IV. Czy jednak hetmanem kierował jedynie strach? Warto w tym miejscu przypomnieć

sobie, że w trakcie nocnego spotkania z delegacją kozacką w kwietniu 1646 roku, Władysław IV wydał ponoć Kozakom przywilej zabraniający chorągwiom koronnym posuwania się dalej niż za Białą Cerkiew. Mamy więc w tym przypadku do czynienia ze zbieżnością kierunku i celu odwrotu hetmana z ową królewską decyzją (przypomnijmy, że w świetle praw Rzeczypospolitej, całkowicie bezprawną). Nie można więc -jak mi się zdaje -wykluczyć, że hetman, mający pewną wiedzę o tej decyzji, postanowił

127

wycofać się za ową „linię demarkacyjną”, aby ułatwić królowi ewentualne negocjacje z powstańcami. Może też wierzył w to, że zwycięski Chmielnicki nie pójdzie za nim za Białą Cerkiew? Niezależnie zresztą od motywów, jakimi kierował się Potocki, w świetle jego subiektywnej wiedzy - hetman nie wiedział i wiedzieć jeszcze wówczas nie mógł o śmierci monarchy w dniu 20 maja 1648 roku - decyzję o wycofaniu się po to, by uniknąć bezpośredniej konfrontacji w nader niekorzystnych dla strony polskiej warunkach, można uznać za w pewnym sensie uzasadnioną. Oddawała ona wprawdzie ogromne połacie Ukrainy we władanie powstańców, ale dawała również szanse na koncentrację sił, powołanie pospolitego ruszenia, a tym samym na odniesienie sukcesu militarnego w późniejszym czasie i odzyskanie utraconych terenów. Decyzja Potockiego dawała też możliwość podjęcia akcji dyplomatycznej w celu

rozerwania groźnego dla Polski sojuszu Kozaków z Tatarami. Akcja taka mogła przynieść pozytywne skutki, gdyż Tatarzy nie zaliczali się na ogół do zbyt lojalnych sojuszników i dbali przede wszystkim o doraźne korzyści, a poza tym Turcja, która miała przecież decydujący wpływ na politykę Bachczysaraju, bynajmniej nie była zachwycona decyzją najazdu na Polskę, podjętą przez chana bez porozumienia z rządem tureckim. Trwała przecież wciąż trudna wojna z Wenecją i jakiegokolwiek napięcia na granicy z Rzeczpospolitą były Turcji bardzo nie na rękę.

Summa summarum, można więc decyzję hetmana o wycofaniu uznać za w granice rzeczy słuszną i uzasadnioną. Jednakże faktem pozostaje, że Mikołaj Potocki wiosną 1648 roku należał do najbardziej kapryśnych i zmiennych w swych postanowieniach ludzi na Ukrainie, nic więc dziwnego, że prawie natychmiast po podjęciu tej decyzji ogarnęły go wątpliwości, a po przybyciu do Korsunia w dniu 23 maja znów zmienił zdanie i postanowił bronić się w rozłożonym tam obozie.

Wspomniany tu już kilkakrotnie Wacław Biernacki przypuszcza, że wpływ na nagłą zmianę decyzji hetmana Potockiego mogło mieć przybycie Bogusława Maskiewicza, wysłannika ks. J. Wiśniowieckiego, o którego niezbyt miłej przygodzie miałem już okazję wspomnieć. J. Wiśniowiecki oddawał do dyspozycji hetmana swoją prywatną dywizję- a była to siła niemała, bo licząca około 6000 dobrych żołnierzy:

piechoty, jazdy i dragonii wzmocnionej artylerią-  
i pytał, gdzie ma się wraz z  
nią stawić.

128

Mikołaj Potocki, generał podolski, hetman wielki  
koronny

' ;X  
i •W •  
~ , ff\M^rW^ ?''  
Herb hetmana Chmielnickiego  
X? ^?" ?? 5? ?^> Z3  
?" ? "~\*  
\*- ' ??" ?' ?  
? ? ? %? %? =>? % śj ?=. ? ? &?-  
, t? ?? ? - • % ? . 0

3 b' vr » ?  
^ rT 3 ^  
o  
j ? R ? ? N « ? n Or^  
??'-s ? if.^ i 9 - \$  
S. ? sr \_ S^^S 3 I o =  
\* .??  
t/l \_ .  
N  
t~J 3 \_?? ? "U  
W 0 'g. N 0  
-? C/l- "" ? 71-•3 -i °  
Cl. 3 O  
" g ?? ?- SE-  
3. O <- O\*  
N 3 N  
?  
? ? ? ?? ?  
? «' ? fi? \_ -- <?> ? . " . ?  
\$? ? ^ ?- ? . =•• S ? 5' N' - ^J? ^  
N <?  
? 3 ?

2 ?  
?? , ^  
?  
» ^ ~ 1 ? 8 ? % » Śa „S o-o

7Ń ?  
3 E  
3fi «O fi> 01 1? N  
o =t \_ . w n-  
o » ? . ?- M

Dalsze wycofywanie się na zachód mogło, zdaniem W. Biernackiego, połączenie to utrudnić, jeśli nie wręcz uniemożliwić. Osobiście nie do końca jestem o tym przekonany. Wiemy skądinąd, że Maskiewicz rozmawiał z hetmanami w dniu 22 maja, a książę J. Wiśniowiecki, nie mogąc się doczekać ani wysłańca, ani dyspozycji hetmańskich, wyruszył 25 maja z Pryłuki, wokół której to miejscowości skoncentrowana była jego dywizja, w kierunku na Perejasław, mógł więc równie dobrze maszerować na Korsu, jak i na Białą Cerkiew. Pozostaje również sprawą otwartą, czy Potocki rzeczywiście marzył o połączeniu się obu wojsk. W okolicy Korsunia, na zachód od miasta, znajdowały się fragmenty starych wałów obronnych, w związku z czym hetman podjął decyzję o ich odbudowie i uzupełnieniu nowymi umocnieniami. Miejsce było wybrane nieźle, gdyż tyły obozu dochodziły do rzeki Roś, w tym miejscu dość szerokiej (w niektórych miejscach na 100, a nawet 150 m) i głębokiej (około 2 m). Obóz usytuowano najprawdopodobniej w zakolu rzeki, dzięki czemu chroniła ona nie tylko tyły, ale i jego boki, pozwalając

gros sił przeznaczyć na obronę wałów i szańców, skierowanych w stronę, gdzie rozpościerał się w miarę równy i otwarty teren. Umożliwiał on przeprowadzanie skutecznych szarż kawalerii, a ponadto strona polska miała stamtąd dobry punkt obserwacyjny manewrów przeciwnika, który z konieczności musiał tam właśnie się koncentrować.

Prace nad zatoczeniem obozu rozpoczęto, być może, już wieczorem 23 maja, a na pewno były one intensywnie prowadzone przez cały następny dzień i noc.

Poprawiono stare wały, usypano nowe, a także wykonano pięć szańców, które zostały obsadzone przez piechotę, dragonie i artylerię.

Zajmując stanowisko pod Korsuniem, Potocki wydał swoim żołnierzom polecenie obrabowania samego miasta. Przyczyn wydania tej decyzji było zapewne kilka.

Mieszczanie korsuńscy dysponowali podobno sporymi zapasami żywności i wydając rozkaz zabrania jej, hetman z jednej strony poprawiał zaopatrzenie swego wojska (a z tym w owych czasach zawsze były kłopoty), a zarazem pogarszał w tym względzie możliwości przeciwnika. Niewykluczone też, że Potockim kierowała zwykła chęć zemsty za napady na dwory szlacheckie. Niestety, wykonawcy hetmańskich poleceń, zapewne przez przypadek, spowodowali wybuch pożaru, w którym z dymem poszły nie tylko zabudowania, ale również zapasy żywności, podstawowy cel operacji nie został więc osiągnięty.

Tak przynajmniej wynika z informacji zawartych w zachowanych pamiętnikach<sup>23</sup>. Z pożaru ocalał jedynie zameczek w Korsuniu i cerkiew.

Forpoczty nieprzyjaciela pojawiły się nad Rosjajuz wieczorem, 24 maja, a główne siły nadciągnęły rano, 25 maja. Armia sprzymierzonych przekroczyła Roś i zajęła stanowiska od strony północnej i północno-wschodniej, otaczając obóz koronny, natomiast oddział wydzielony Maksyma Krzywonosy pozostał po drugiej stronie Rosi, niedaleko miejscowości Steblów. Obie armie stanęły więc wreszcie „oko w oko”, gotowe do stoczenia decydującej bitwy. Czym dysponowały w tym momencie obie strony? Otóż wzięci do niewoli jeńcy, Kozacy i Tatarzy, poinformowali dowództwo polskie, że pod Korsuniem Chmielnicki i Tuhaj-bej mają do dyspozycji blisko 47-tysięczną armię, w której Kozaków miało być 15 000-17 000, a Tatarów aż lub nawet ponad 30 000.

Były to liczby celowo zawyżone, trudno bowiem przypuszczać, że sami Tatarzy nie wiedzieli, ilu ich jest, a było ich naprawdę mniej więcej tylu, co pod Żółtymi Wodami, gdyż chan, dążący, jak wiemy, z Krymu, nie dołączył jeszcze do armii koalicyjnej. Nawiasem mówiąc, zastanawiające jest to uporczywe zawyżanie liczby ordyńców w armii koalicyjnej, zwłaszcza że na ogół liczbę Kozaków informatorzy podawali w miarę rzetelnie, a jeżeli nawet ją zawyżali, to w granicach dopuszczalnego błędu. Osobiście nie mam wątpliwości, że chodziło o dalszy ciąg

akcji dez-informacyjnej, prowadzonej przez Chmielnickiego w celu utrwalenia w dowództwie polskim przekonania, że przyjdzie mu się zmierzyć z ogromną orda. Dla nikogo bowiem nie było tajemnicą, że przed Tatarami i dowództwo, i żołnierze polscy czuli spory respekt. Sugestie, jakoby była to celowo prowadzona akcja dezinformacyjna, pojawiły się już w relacjach współczesnych.

My natomiast znajdujemy się w odwrotnej sytuacji. Potrafimy mianowicie dość precyzyjnie określić liczbę Tatarów Tuhaj-beja, natomiast znacznie większe trudności mamy z określeniem liczebności armii ko-23 Tak przynajmniej sprawę tę przedstawia W. Kochowski w Pamiętnikach do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza, przeł. K. Wójcicki, Warszawa 1846, s. 283. Możliwe jednak spotkać i inne wersje tego wydarzenia.

Według jednej z nich, z chwilą gdy oddziały kozackie weszły do Korsunia, hetman kazał podpalić folwark leżący blisko miasta. Ogień przeniósł się na zabudowania miejskie, niewątpliwie drewniane, i miasta spaliło się do cna.

130

zackiej. Jej szeregi rosły lawinowo, z dnia na dzień, gdyż do obozu wracali, jak wiemy, „wypiszczycy”, garnęła się też „czerń”, czyli chłopcy, których nikt przecież nie rejestrował. Chmielnicki mógł mieć więc do dyspozycji 15 000, ale równie dobrze i 20 000, a nawet więcej żołnierzy pod bronią. Można więc przyjąć, że armia kozacko-tatarska liczyła w dniu 25 maja łącznie około 22 000-25 000



Kozaków, „czerni” i Tatarów. Są to jednak tylko przypuszczenia.

Nie mamy natomiast większych problemów z ustaleniem liczebności strony polskiej.

Hetmani koronni Mikołaj Potocki i Michał Kalinowski mieli do dyspozycji pod

Korsuniem około 5800-6000 żołnierzy, w tym 2600 żołnierzy kwarcianych i około

3200-3400 żołnierzy w chorągwiach nadwornych panów ukraińskich. Wojsko kwarciane

składało się z chorągwi husarskich, pancernych, jazdy lekkiej (typu wołoskiego), dragonii i piechoty typu polsko-węgierskiego.

Łącznie w obozie hetmańskim było

nie więcej niż 2800 jazdy różnych typów i około 3100 dragonii i piechoty<sup>24</sup>.

Armia ta nie była jednolita, jeśli chodzi o

wartość bojową. Najlepiej pod tym

względem prezentowali się żołnierze kwarciani, gdyż była to, jak już

wspominaliśmy, armia kadrowa, a służący w niej kawalerzyści i piechurzy byli

typowym „starym wojskiem”, ludźmi doświadczonymi, dobrze wyszkolonymi, a co

najważniejsze „ostrzelanymi” w różnych starciach i bitwach, również z Tatarami.

Znacznie gorzej natomiast prezentowali się żołnierze z chorągwi nadwornych.

Wojska te składały się głównie z piechoty i dragonii, zdaniem Wespazjana

Kochowskiego wywodzących się ze świeżego zaciągu, przeprowadzanego na ogół wśród

poddanych chłopów i mieszczan. Wartość bojowa tych oddziałów była więc raczej

niska. Armia koronna dysponowała również artylerią, składającą się

najprawdopodobniej jedynie z 12 armat tzw. regimentowych, tj. 3-funtowych. Mogły

one strzelać tzw. kartaczami, tj. pociskami rozpryskowymi, szczególnie skutecznymi w odpieraniu ataków jazdy. Armia sprzymierzona kozacko-tatarska górowała więc zdecydowanie nad wojskami koronnymi pod względem ilościowym, można jednakże przyjąć, że pod względem walorów bojowych ustępowała oddziałom kwarcianym, a także, choć zapewne w mniejszym stopniu, żołnierzom oddziałów nadwornych. Dotyczy to zwłaszcza oddziałów chłopskich.

24 Podaję [za:] W. Majewski, *Żółte Wody 1648*, op. cit., s. 37.

131

Wprawdzie chłopci ukraiński na ogół umieli nieźle obchodzić się z bronią, gdyż praktyki w tym względzie dostarczały im liczne starcia z Tatarami; byli też odważni i zdeterminowani (w razie klęski represje spadłyby głównie na nich i na ich rodziny), ale pod względem doświadczenia, a zwłaszcza dyscypliny, ustępowali oni zawodowym żołnierzom, z których w większości składały się oddziały koronne. Były jednakże w składzie armii Chmielnickiego również oddziały, które dorównywały lub przynajmniej niewiele ustępowały najlepszym chorągwiom kwarcianym. Mam tu na myśli Kozaków rejestrowych, którzy przeszli na stronę Chmielnickiego, oraz Tatarów. Orda przecież składała się z zaprawionych w bojach wojowników, dla których wojna była chlebem powszednim, mających za sobą wiele wypraw, przeważnie łupieżczych, i wzbudzała strach w polskim dowództwie, a

respekt wśród żołnierzy. Ten aspekt psychologiczny miał, jak się przekonamy, niebagatelny wpływ na decyzje polskiego dowództwa, zwłaszcza że sądziło ono, iż ordyńców pod Korsuniem jest znacznie więcej niż było ich istotnie.

Armię kozacką wspierała artyleria licząca 26 dział o różnych wago-miarach, zapewne jednak w większości lekkich, zdjętych z czółen, którymi płynęła „grupa wodna”. Również więc i pod tym względem przewaga leżała po stronie Chmielnickiego.

Oceniając szanse obu stron i postępowanie polskiego dowództwa w zbliżającej się walce, nie można również zapominać o tym, że nie wypracowało jeszcze metody walki z połączonymi wojskami kozackimi i tatarskimi, o czym była już mowa.

Przywiązanie do dawnego stylu walki w oddziałach koronnych było tak duże, że musiały upłynąć aż trzy lata, zanim wreszcie udało się wypracować nowy sposób rozgrywania bitew, dzięki któremu udało się zniwelować przewagę taktyczną

połączonych wojsk kozacko-tatarskich<sup>25</sup>. W czasie tych trzech lat siły

Rzeczypospolitej albo ponosiły zdecydowane klęski, albo jedynie z trudem broniły

się zza wałów i szańców obronnych obozów. Nie zapominajmy o tym, oceniając

postępowanie Mikołaja Potockiego pod Korsuniem, a zwłaszcza jego obawy przed

stoczeniem walnej bitwy. Choć, jak się za chwilę przekonamy, nie wszystkie jego

błędy dadzą się racjonalnie wytłumaczyć i usprawiedliwić.

25 Stało się to dopiero w 1651 r. w bitwie pod Beresteczkiem, w której armią koronną dowodził król Jan Kazimierz.

132

Obawiając się starć chorągwi jazdy z czambułami tatarskimi, hetman Potocki postanowił stoczyć bitwę obronną i odpierać ich ataki ogniem piechoty i dragonii.

Formacje te miały więc odegrać główną rolę, obsadzając szançe i wały. Natomiast stojąca pod ich osłoną jazda miała jedynie kontratakować w dogodnych momentach, nie oddalając się jednak zbyt od własnego obozu, aby nie dopuścić do okrążenia i odcięcia od szanćców.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że ówczesne działa regimentowe mogły prowadzić skuteczny ogień kartaczowy mniej więcej na odległość 300 m. Zasięg ognia z muszkietów był jeszcze krótszy. Wynika z tego, że dowódcom chorągwi polecono prowadzić szarże kawaleryjskie na odległość nie większą niż 150-200 m od szanćców.

To niewątpliwie bardzo ograniczało możliwości działania tej broni.

W konsekwencji takiego planu przyszłej bitwy usypane szançe zostały obsadzone przez regimenty piechoty i chorągwie dragonii.

Szaniec pierwszy zajęły cztery chorągwie, wzmocnione czterema działami. Dowództwo nad nim objął płk Henryk

Denhoff. W szanću drugim umieszczono trzy chorągwie dragonii, również z czterema działami. Dowództwo nad nim sprawował prawdopodobnie Andrzej Koniecpolski<sup>26</sup>.

Szaniec trzeci obsadziła dragonia Mikołaja Bieganowskiego, pozbawiona wsparcia

artyleryjskiego, natomiast szanica czwartego  
broniła piechota i dragonia pod  
dowództwem starosty lwowskiego, rotmistrza Adama  
Sieniawskiego, wsparta jego  
własnymi czterema armatami. Wreszcie w szanicy  
piątym, umiejscowionym najbliżej  
taborów, ustawiono piechotę i dragonie nadworną  
ks. Dominika Ostrońskiego-  
Zasławskiego, zapewne pod dowództwem pułkownika  
Krzysztofa Koryckiego<sup>27</sup>.

Nie wiemy natomiast, w jaki sposób ustawił M.  
Potocki chorągwie jazdy. Być może  
zostały one ustawione w tradycyjnym szyku, w trzy  
linie (tak przynajmniej sądzą  
W. Biernacki i W. Majewski). Osobiście jestem  
przekonany, że tak bardzo  
obawiający się starć z Tatarami Potocki nie  
zaryzykował wyprowadzenia kawalerii  
w pole. Sądzę, że usta-

26 W. Serczyk twierdzi, że szanicą tym dowodził  
Aleksander Koniecpolski, ale to  
chyba błąd, gdyż skądinąd wiadomo, że chorążego  
wielkiego koronnego nie było pod  
Korsuniem, gdyż leżał w tym czasie chory. Tak  
przynajmniej twierdzi W. Kochowski  
w swych Pamiętnikach o panowaniu...

27 Jakuba Michałowskiego..., op. cit, s. 20 i n.  
133

wił je pod osłoną szanic, tak aby chronione  
ogniem artylerii, piechoty i  
dragonii, mogły bezpiecznie czekać na stosowny do  
kontrataku moment. Wniosek  
taki można wysnuć chociażby z przebiegu walk na  
polskim lewym skrzydle, gdzie  
dowodził doświadczony oficer Jan Odrzywolski.  
Pozycje te zaatakował liczący  
kilkaset osób czambuł tatarski, który przemknął  
obok polskich stanowisk.

Przywitani jednakże „rzęsiwym” ogniem ordyńcy ponieśli niewielkie straty i odskoczyli w stronę własnych pozycji. Ponawiane jeszcze kilkakrotnie ataki na lewe skrzydło załamywały się w ogniu polskiej artylerii i piechoty, a także w kontratakach jazdy prowadzonej przez Odrzywolskiego. Tatarzy oczywiście, swoim zwyczajem, pozorowali gwałtowną ucieczkę, pragnąc sprowokować Polaków do pościgu i ściągnąć ich tym sposobem pod ogień kozackiej piechoty, ale na to Odrzywolski był zbyt doświadczonym dowódcą. Podobno doszło też do jakichś poważniejszych starć z Kozakami na polskim prawym skrzydle, gdzie dowodził hetman polny Kalinowski (Mikołaj Potocki kierował walką, stojąc w centrum), ale, prawdę mówiąc, niewiele o nich wiemy. Tak czy inaczej, poważniejsze walki ustały mniej więcej koło południa, a później dochodziło jedynie, ówczesnym zwyczajem, do pojedynczych starć polskich, kozackich i tatarskich harcowników. Takie pojedynki należały do głęboko zakorzenionej tradycji wszystkich trzech wojsk, biorących udział w tej bitwie, i dawały pole do popisu najlepszym „pojedynkowiczom” po obu stronach. Lubiła je zwłaszcza szlachta polska, nieźle na ogół wyćwiczona w szermierce na szable (broń ta, wywodząca się z tatarsko-tureckiego kręgu, została przejęta przez Polaków), ale nie gardzili nią także Tatarzy. W takiej walce można było zabłysnąć, a nazwiska co słynniejszych wojowników pamiętano na ogół długo i opowiadano o nich i ich „przewagach” nieraz

przez kilka lat.

Analiza tego pierwszego dnia bitwy korsuńskiej - mimo raczej fragmentarycznych relacji - pozwala na wysnucie wniosku, że było to klasyczne „rozpoznanie walką”.

Zarówno Chmielnicki, jak i Tuhaj-bej wyprowadzili jedynie niewielką część swych sił, w związku z tym ich ataki miały raczej na celu rozpoznanie silnych i słabych punktów polskiej armii, aniżeli przełamanie frontu. Oczywiście, gdyby któryś z tych ataków zakończył się poważniejszym sukcesem, z pewnością, do akcji włączyłyby się następne oddziały w celu rozwinięcia powodzenia. Nic takiego

134

jednak nie nastąpiło, a w polskich szeregach nie pojawiły się nawet najmniejsze oznaki paniki, obaj wodzowie armii koalicyjnej wycofali więc swe oddziały, przygotowując się zapewne do poważniejszych, może nawet decydujących szturmów nazajutrz.

Wieczorem w obozie polskim odbyła się rada wojenna, w której, jak donoszą źródła, wzięli udział zarówno wszyscy oficerowie, jak i doświadczeni w wojennym rzemiośle ludzie niepełniący w owym czasie funkcji oficerskich. W. Serczyk pisze, że w trakcie tej narady zgodnie podjęto decyzję o opuszczeniu pozycji pod Korsuniem. Wydaje się jednak, że to stanowczo zbyt optymistyczna wizja wydarzeń, jakie miały miejsce w namiocie hetmańskim. Naprawdę doszło tam bowiem do gwałtownego sporu między zwolennikami koncepcji stoczenia bitwy w otwartym polu,

którym przewodzili Mikołaj Kalinowski, a wspierał, choć z pewną rezerwą, Jan Odrzywolski, oraz zwolennikami wycofania się z pozycji pod osłoną taboru w głąb Rzeczypospolitej. Jak prezentowały się argumenty obu stron?

Kalinowski i Odrzywolski uważali, że należy wydać walną bitwę i pokonać przeciwnika, zanim się jeszcze bardziej wzmocni i rozzuchwali. Kalinowski podobno uważał, że należy jak najszybciej rozbić Tatarów atakiem jazdy, a potem rozprawić się z osamotnionymi Kozakami. Ciekawe, czy opinię tę podzielał tak doświadczony i utalentowany dowódca, jak Odrzywolski, bo, prawdę mówiąc, była ona zupełnie nierealna, już chociażby dlatego, że zakładała, iż Kozacy będą się beczynnie przyglądali walce polskiej jazdy z Tatarami. Przypominało to trochę znane na Ukrainie porzekadło: „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”, z tą jedynie małą poprawką, że tym razem do łapania Tatarzyna przymierzał się Polak. Skutek jednakże mógł być ten sam, bo Tatarzy byli bardzo trudni do łapania. Koncepcja ta jednak, w ogólnych zarysach, odpowiadała sposobowi myślenia w polskim obozie, w którym, jak już wspomniałem, znacznie więcej uwagi poświęcano Tatarom niż Kozakom. Wydaje się jednak, że Odrzywolski bardziej realistycznie patrzył na świat, niż lekkomyślny i porywczy Kalinowski. Dlatego można domniemywać, że optował on za obroną w obozie, który był nieźle zaopatrzony w żywność i amunicję i w którym z



powodzeniem można było stawiać opór, czekając na przybycie z pomocą.

Wiśniowieckiego, a w dalszej perspektywie wojsk zebranych w Rzeczypospolitej i pospolitego ruszenia.

135

Potocki natomiast bardzo zdecydowanie opowiadał się za wycofaniem wojsk spod Korsunia. W tych planach popierał go Bieganowski, a zapewne i sporo innych oficerów oraz „klientów domu Potockich” wśród szlachty. Szermowali oni argumentem, że w obozie może zabraknąć paszy dla koni, o zgromadzenie której nie zadbano, a koni na łąki nie można było wypędzać, gdyż obóz ze wszystkich stron był otoczony oddziałami tatarskimi. Zwolennicy rejterady wysuwali też argument braku wody. Podobno Kozacy Krzywonosy, stacjonujący pod Steblowem, rozpoczęli prace nad przegrodzeniem koryta Rosi i skierowania rzeki w inną stronę, a to groziło odcięciem armii koronnej od wody pitnej. To był rzeczywiście poważny argument (jeśli był prawdziwy), choć nie sądzę, aby Kozakom, znanym wprawdzie z umiejętności prowadzenia prac ziemnych, udało się doprowadzić do końca w ciągu 2-3 dni. W toku dyskusji doszło do ostrego sporu Potockiego z Kalinowskim, w trakcie którego hetman wielki miał podobno wygłosić przytaczane tu już powiedzenie, że „gdy proboszcz w domu, wikarego o zgodę nie pytają”, co pewnie miało znaczyć, że hetman polny ma słuchać, a nie wyrywać się ze swoim zdaniem i sprzeciwiać swemu dowódcy. Swoją drogą ciekawe, czy uczestnicy tej narady, a zwłaszcza Mikołaj

Potocki, byli w tym momencie zupełnie trzeźwi. Maskiewicz twierdzi, że nie, dodając: „I diabła tam, miał być dobry rząd, kiedy pan krakowski, hetman wielki koronny, Mikołaj Potocki ustawnie się opił gorzałką”<sup>28</sup>. Odnoszę wrażenie, że stało się tak i tym razem, albo przed naradą, albo w jej trakcie, gdyż jedynie wpływem alkoholu można tłumaczyć tak butne i aroganckie zachowanie się hetmana. Nie wiemy, jak po tej reprimendzie zachował się Kalinowski, ale Od-rzywolski nie ustąpił i nadal sprzeciwiał się rejteradzie spod Korsunia. Nic to jednak nie dało, gdyż hetman ostatecznie przeciął wszelkie dyskusje i zdecydował o wycofaniu się armii w kierunku Bohusławia, Białej Cerkwi, a potem aż za Słucz. Jak zwykle, obiektywna ocena poszczególnych stanowisk i decyzji z pozycji badacza historii jest trudna, gdyż on JUŻ wie, jak się to wszystko skończyło, a to, siłą rzeczy, musi rzutować na jego opinię, niemniej jednak warto przynajmniej podjąć taką próbę.

<sup>28</sup> Pamiętniki Samuela i Bogusława Kazimierza Maskiewiczów, Wrocław 1961, s. 241.

136

Tak się składa, że oceniając postępowanie Mikołaja Potockiego w kampanii 1648 roku, rzadko miałem okazję wyrażać aprobatę dla jego poczynań. Tym razem jednak muszę przyznać, że odrzucenie planu Kalinowskiego było posunięciem słusznym, gdyż był to plan nieprzemyślany, nie tyle nawet ryzykowny, co wręcz ryzykancki. Co gorsza, Potocki przeforsował swój plan odwrotu pod osłoną taboru aż za Słucz,

choć on również nie dawał wielkiej nadziei na powodzenie. Marsz musiałby się bowiem odbywać w trudnym terenie, praktycznie po bezdrożach, przez liczne w tym rejonie jary, lasy i niewielkie rzeczki. Oddziały poruszałyby się w bezpośredniej bliskości atakującego nieprzyjaciela, bez szans na oderwanie się od niego, gdyż lotne czambuły tatarskie w każdej chwili mogłyby tabor dogonić, osaczyć i zatrzymać aż do nadejścia piechoty zaporoskiej.

Stwierdziłem już poprzednio parokrotnie, że w tej kampanii hetman Potocki zagubił się kompletnie, że prowadził ją, oględnie mówiąc, bez ładu i składu, przerzucając się od jednej koncepcji do drugiej, bez chwili zastanowienia się. W jego poczynaniach trudno dopatrzeć się nie tylko jakiejś szerszej wizji, planu działań, ale czasami wręcz sensu. Doskonale uwidaczniają to decyzje, jakie podjął na przestrzeni pięciu ostatnich dni. Najpierw, gdy dowiedział się, a raczej gdy już ostatecznie potwierdziła się wiadomość o klęsce syna i szybkim zbliżaniu się nieprzyjaciela, podjął decyzję o wycofaniu się za Białą Cerkiew, a najprawdopodobniej aż za Słucz. Wówczas mógł tego dokonać bez przeszkód, w warunkach wręcz „komfortowych”, gdyż Chmielnicki dopiero zajmował Czehryń i zapewne napawał się tryumfem, wracając do miasta, z którego tak niedawno umykał chyłkiem jako banita.

Armię koronną dzieliły więc w tym momencie od nieprzyjaciela dwa, może trzy dni

marszu i prawdopodobieństwo, że polski tabor zostanie dogoniony i zmuszony do walki po drodze, było niewielkie. Mogli wprawdzie dokonać tego Tatarzy, ale bez wsparcia piechoty kozackiej, która żadną miarą nie mogła dotrzeć im kroku, byłiby zbyt słabi, aby pokonać armię koronną. Tymczasem po przybyciu do Korsunia wysłannika Wiśniowieckiego i spotkaniu z nim, hetman zmienił decyzję i postanowił bronić się na miejscu, czekając na dywizję księcia. Okopał się, obóz założył w dobrym, z natury obronnym miejscu, należycie, jeśli wierzyć Odrzywolskiemu, go ufortyfikował i zaopatrzył. I nagle, ni stąd, ni zowąd, po pierwszym dniu

137

walki, w którym, prawdę mówiąc, nic wielkiego się nie działo, w którym żadna ze stron nie poniosła większych strat i nie zaakcentowała swej przewagi, Potocki postanowił powrócić do swojego pierwotnego pomysłu wycofania się za Słucz. Tyle że to, co było możliwe jeszcze dwa, trzy dni temu, teraz, w bezpośrednim kontakcie z nieprzyjacielem, stało się nader trudne i ryzykowne.

Rozpoczynając wieczorną naradę 25 maja, hetman postawił ponoć oficerom pytanie: czy należy pozostać na miejscu i bronić się z okopów, czy wycofać się, szukając bezpieczniejszego miejsca? Następnie, wbrew radom znacznej części zebranych, uznał, że takim bezpiecznym terenem są ziemie za Słuczą. Dlaczego? Nie czekały tam przecież na niego żadne wojska, żadna armia odsieczowa. Jedyne

wsparcia w trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł, mógł mu udzielić Wiśniowiecki ze swoją dywizją, ale Wiśniowiecki, zgodnie z dyspozycją hetmańską, właśnie... maszerował pod Korsuń! Oceniając decyzję Potockiego od tej strony, warto zauważyć, że była ona wręcz nieuczciwa, gdyż pozostawiała księcia i jego dywizję na łasce losu i nieprzyjaciela, i to w sytuacji, gdy był on w trakcie realizacji rozkazu hetmańskiego.

Można oczywiście twierdzić, że hetman załamał się z powodu straty syna i dlatego popełniał tyle błędów, można nawet współczuć Potockiemu, ale nie wolno zapominać, że to on sam ponosił winę za to, co stało się pod Żółtymi Wodami, że zagłada całej dywizji była wynikiem jego błędu i jego, w gruncie rzeczy egoistycznej i bezlitosnej, decyzji pozostawienia ginących pod Żółtymi Wodami oddziałów własnemu losowi, mimo że zarówno syn, jak i pozostający pod jego rozkazami żołnierze mieli pełne prawo liczyć na pomoc hetmana.

Prawdę mówiąc, będąc wciąż jeszcze pod Korsuniem, hetman postanowił postąpić równie bezwzględnie i egoistycznie, wystawiając na ryzyko zagłady 6000 ludzi maszerujących, zgodnie z jego poleceniem, na pomoc dowodzonej przez niego armii.

To nie wystawia mu najlepszego świadectwa. Można zrozumieć, że był kiepskim wodzem, bo brakowało mu talentu, a za brak talentu nie można nikogo winić, gdyż jest to kwestia układu genetycznego. Trudno jednak wybaczyć mu to, że okazał się po prostu złym człowiekiem.

W sytuacji, jaka zaistniała 25 maja 1646 roku, najrozsądniej oczywiście byłoby postąpić tak, jak radził Odrzywolski: zamknąć się w obozie i czekać na nadejście odsieczy. Już samo pojawienie się księcia z jego 138

6-tysięczną dywizją, dobrze wyposażoną i wyćwiczoną, zmieniłoby przecież radykalnie układ sił, zwłaszcza że Jeremi, obok wielu wad, miał jedną nader istotną w tej sytuacji zaletę-był dobrym i odważnym wodzem. Może więc tu był pies pogrzebany? Może Potocki obawiał się, że jeśli po serii niepowodzeń połączone wojska odniosą wreszcie sukces, zostanie on przypisany nie jemu, a Wiśniowieckiemu? Może znów, jak wiele razy w naszych dziejach, górę wzięła prywata? Jeśli tak było istotnie, to jest to kolejna czarna kreska na wizerunku hetmana.

Na koniec warto zwrócić uwagę na fakt, że spory co do dalszych planów prowadzenia walki bynajmniej nie ustały po podjęciu przez hetmana kolejnej decyzji. Wręcz przeciwnie, trwały nadal, już po zakończeniu narady, a to świadczy o tym, że Potocki co najwyżej zdołał „przekonać przekonanych”.

Przeciwnicy jego koncepcji pozostali przy swoim zdaniu, a spory i właśnie toczyły się jeszcze długo po wyjściu z namiotu hetmańskiego. Widocznie autorytet hetmana, mocno już nadszarpnięty niepowodzeniami, jakie sprokurował w trakcie kampanii, a i argumenty, jakie przedstawił, nie były najwyższej próby.

Przygotowania do wymarszu przeprowadzono w nocy. W związku z tym, że armia miała wycofać się pod osłoną taboru, wymagały odpowiedniego jego zestawienia. Zapewne więc ustawiano wozy w rzędy, na wewnętrzne rzędy ładowano zapasy żywności, broń i amunicję, a na zewnętrzne, być może, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, ziemię lub kamienie, aby stanowiły lepszą osłonę dla piechoty i dragonii.

Okazało się, że wozów towarzyszących armii jest zbyt wiele, postanowiono więc pozostawić na miejscu najcięższe z nich, gdyż trakt, po którym miał się odbywać marsz, był błotnisty i ciężkie wozy mogły znacznie opóźniać tempo. Tabor zresztą zawsze był machiną ciężką i mało ruchliwą, a zbyt duża liczba wozów dodatkowo zmniejszała jego możliwości manewrowe. Ostatecznie, po wyeliminowaniu wszystkich wozów ciężkich i karet, tabor polski liczył około 1400 pojazdów, a więc i tak bardzo dużo. Ustawiono je w osiem rzędów, jeden za drugim, w tak bliskiej odległości od siebie, że konie bez mała dotykały łbami tyłów poprzedzających je wozów. Aby wzmocnić szyk i utrudnić jego rozerwanie, połączono je łańcuchami<sup>29</sup>.

29 A. Radziwiłł, Pamiętniki..., op. cit, s. 77.

139

Prace te zajęły wiele godzin, tak że całą operację zakończono dopiero przed świtem 26 maja. Armię podzielono na trzy grupy. Grupą czołową, prawdopodobnie najliczniejszą, dowodził sam hetman wielki. Funkcję awangardy pełniła piechota i dragonia, która w czasie marszu miała dodatkowo wykonywać zadania wojsk

inżynieryjnych, do niej bowiem należało równanie traktu, ścinanie drzew i krzaków itp. Reszta sił tej grupy, a więc chyba głównie spieszona jazda, osłaniała czołową część taboru. Grupę hetmana uzupełniała bateria złożona z czterech dział.

Grupą środkową dowodził przeciwnik planu wymarszu, Jan Odrzy-wolski, mający do dyspozycji zapewne nieco mniejsze siły, również wzmocnione czterema działami.

Ariergarda, którą dowodził hetman polny Mikołaj Kalinowski, również dysponowała czterema działami.

Podjęwając decyzję o wycofaniu się taborem z pozycji pod Korsu-niem, Potocki wydał, jak już wspomniałem, rozkaz spieszenia jazdy! Było to posunięcie nader kontrowersyjne, gdyż w ten sposób Potocki dobrowolnie pozbawił się wartościowych chorągwi kawalerii, mogących służyć do przełamywania szyków nieprzyjaciela, w zamian za co zyskał wątpliwej wartości piechurów. Można by rzec, że podejmując tę decyzję, hetman stawiał swoją armię w podobnej sytuacji do tej, w jakiej znajdowali się wszyscy wodzowie wszystkich pokonanych powstań kozackich - skazywał się na walkę w taborze, mając przeciw sobie przeciwnika dysponującego i silną, wartościową jazdą, i piechotą. Z tym jednak, że Kozacy walczyli tak, bo musieli, a hetman koronny dlatego, że chciał. Potocki nie był tu oczywiście prekursorem; wodzowie polscy czasami, nader jednak rzadko, nakazywali swej jeździe zsiąść z koni i walczyć pieszo. Czynili to jednak na



ogół wówczas, gdy trzeba było atakować umocnienia nieprzyjaciela, których szarżę nie można było zdobyć. Nigdy jednakże nie czyniono tego, gdy walka miała toczyć się w polu, nawet jeśli przewidywano konieczność stoczenia walki obronnej, gdyż pozbawiając się jazdy, pozbawiano się równocześnie możliwości manewru, odrzucania przeciwnika kontratakami kawalerii, przełamywania jego szyków itp. Nawet więc w takich przypadkach taboru broniły piechota i dragonia, a jazda pozostawała j azdą. Rzecz w tym, że w taborze można bronić się długo, ale walki wygrać się nie da, jeśli strona przeciwna ma do dyspozycji dobrą, ruchliwą jazdę, która zawsze, nawet jeśli tabor zdoła odeprzeć ataki i wymknąć się, zdoła go dogonić i osaczyć do czasu, gdy nadciągną siły piesze i artyleria.

140

Taką właśnie doskonałą jazdą dysponował Tuhaj-bej, sprzymierzeniec Chmielnickiego. A był przecież jeszcze chan, który już 23 maja dotarł do Dniepru i rozpoczął przeprawę. Dysponując sprawną, gotową do użycia jazdą, można było do tego nie dopuścić. Wypada też wspomnieć o tym, że jazda była - jakkolwiek by na to patrzeć - typowo polską formacją, w gruncie rzecz wciąż jeszcze najwartościowszą w polskiej armii. Potocki, zmieniając swych jezdnych w piechurów, chciał zwiększyć siłę ognia, a przy okazji chronić ich przed walką z Tatarami, których bardzo się obawiał. Był to więc kolejny przykład istniejącej w polskim dowództwie tendencji do

przeceniania znaczenia ordy w armii  
sprzymierzonych i niedocenywania Kozaków. Już  
niedługo miało się to srodze zemścić!  
W konsekwencji tego rozkazu, wzdłuż wozów, po  
zewewnętrznych stronach rzędów,  
maszerowały oddziały piechoty obok chorągwi  
dragońskich i jazdy - lekkiej,  
husarii i pancernych. Konie natomiast umieszczono  
wewnątrz taboru. Wszyscy  
żołnierze nieśli broń palną na ramionach, a  
husarze i pancerni dodatkowo byli  
obciążeni zbrojami. Zapamiętajmy ten szczegół, bo  
on też miał wpływ na  
ostateczny rezultat bitwy, gdyż dzień był gorący i  
parny; nic dziwnego, że  
kawalerzyści w zbrojach szybko się zmęczyli.  
Wymarsz oddziałów nastąpił, jak odnotowali  
uczestnicy operacji, tuż przed  
wschodem słońca. Trasa odwrotu miała prowadzić  
wzdłuż rzeki Roś, przez Bohusław  
- Rokitno - Mołodyczkę, do Białej Cerkwi. Jeżeli  
Potocki miał nadzieję zaskoczyć  
przeciwnika i wymknąć mu się niepostrzeżenie, to  
spotkał go srogi zawód.  
Wychodzących Polaków oczekiwały stojące na  
planowanej trasie przemarszu oddziały  
tatarskie i kozackie. „Szli nasi w oczy  
nieprzyjacielowi. Kiedy słońce  
wschodziło, na samym dochodzonem rozstąpili się  
Tatarowie i Kozacy pospołu. Z  
obydwu stron było cichusieńko" '30.  
To bardzo filmowa, pełna napięcia scena. Łatwo  
sobie wyobrazić ten długi,  
niekończący się szereg wozów, z wolna wysuwających  
się z za wałów obozu. Obok  
nich maszerują w głębokich szykach żołnierze. W  
promieniach wschodzącego słońca

błyszczą zbroje jazdy, hełmy, metalowe części broni... Otwierająca pochód piechota i dragonia niesie dodatkowo łopaty i siekiery.

30 Jakuba Michałowskiego..., op. cit, s. 40.

141

Naprzeciw tej wolno pełznącej masy wozów, koni i ludzi, przypominającej ogromne cielsko jakiegoś prehistorycznego stwora, stoi inna, równie groźna masa -

Tatarzy na koniach i Kozacy - zapewne w grupach konnych i pieszych. Stoją w

milczeniu, stąd pewnie współczesny wydarzeniom kronikarz zanotował, że „było

cichusieńko”, ale to nie mogła być prawda;

harmider musiał panować niezły, bo

przecież wozy - prymitywne i byle jak sklecone - musiały skrzypieć i piszczeć.

Turkotały armaty, z trudem poruszające się po na pewno nierównym trakcie,

pokrzykiwali woźnice, rżały konie itp. To wszystko musiało dawać mnóstwo hałasu.

Ale rozumiem autora tego zapisu, bo to określenie „cichusieńko” odnosi się do

głównych bohaterów sceny - żołnierzy jednej i drugiej armii. To oni z jednej

strony szli, a z drugiej stali, w milczeniu oczekując na mające lada moment

nastąpić zderzenie. A ponadto jakżeż to podnosi dramatyzm tej sceny!

Do zderzenia jednak nie doszło; szeregi Tatarów i Kozaków rozstały się i

polski tabor wmaszerował w tę, na jego przyjęcie utworzoną, ulicę. Ciekawe, co w

tej chwili myślał Potocki? Współcześni oskarżają go, że pijany jechał w

karecie<sup>31</sup>. Być może tak było, ale pijany pewnie już nie był, raczej mocno

zmęczony i skacowany, choć to jeszcze gorzej. Po przepiciu człowiek na ogół znajduje się w fatalnym nastroju, a i z myśleniem nie jest u niego wówczas najlepiej, a raczej bardzo źle. Ciekawe więc, czy odebrał owo rozstąpienie się „nieprzyjacielskiego morza” jako dobrą prognozę czy raczej wręcz przeciwnie? A może poczuł się kimś a la Mojżesz, przed którym rozstały się nawałnice morskie? Hetman byłby zapewne bardzo niemile zaskoczony, wręcz przerażony, gdyby ktoś mu doniósł, że przeciwnik już od kilku godzin znał nie tylko jego plan odwrotu, ale nawet dokładnie trasę, po jakiej będzie on przebiegał, i doskonale się do nich przygotował. Dlatego nie zaryzykował starcia pod obozem, bo w razie niepowodzenia Polacy mogli jeszcze wrócić i schronić się z powrotem za wałami. Powróćmy jednak do naszej sceny dramatycznego exodusu sił polskich z obozu pod Korsuniem. Już wkrótce po opuszczeniu obwałowań, polski tabor wmaszerował na trakt do Bohusławia, ciągle otoczony przez oddziały nieprzyjaciela, który jednak nie atakował i cały czas trzymał się w znacznym oddaleniu. Napisałem, że to piękna, filmowa scena, warto

31 B. Maskiewicz, Pamiętniki..., op. cit, s. 241.  
142

jednak zauważyć, że brak w niej czegoś niezwykle ważnego - mianowicie jakiegokolwiek ubezpieczenia maszerującego taboru i wojska. Każdy, kto choć cokolwiek miał do czynienia z wojskiem, a zwłaszcza z historią wojskowości, wie,

że nawet małe oddziały wojska nigdy nie poruszają się bez ubezpieczenia, zwłaszcza gdy operują w styczności z nieprzyjacielem. Tymczasem hetman Potocki wyruszył na trasę odwrotu bez straży przednich i tylnych, bez jakiegokolwiek rozpoznania terenu. To ogromny błąd jeden z najistotniejszych jakie popełnił w tej nieszczęsnej kampanii. Błąd, którego nic nie usprawiedliwia, nawet to, że tereny, po których miała się poruszać polska armia, były doskonale znane jej dowództwu, gdyż tu właśnie dziesięć lat wcześniej toczyły się walki z powstańcami Pawluka.

Ubezpieczenie wysyła się nie tylko po to, by rozpoznało ono teren, ale również, a może raczej przede wszystkim po to, by ostrzegało przed manewrami przeciwnika, ewentualnymi zasadzkami itp. Błąd ten hetmanowi wytknięto już wówczas. B.

Maskiewicz pisał w swych Pamiętnikach...: „(...) takie zaślepienie pańskie było, że wprzód nie posłali chorągwi jakiej, ale zaraz piechota szeregiem przed armatą szła, armata za nimi, wozy za armatą”<sup>32</sup>.

Było to niedbalstwo niedopuszczalne, karygodne, zwłaszcza że armia miała się poruszać po tak trudnym, pełnym jarów, wzgórz, wąwozów i lasów terenie, a w dodatku mieć do czynienia z nieprzyjacielem znanym ze stosowania różnego rodzaju pułapek, zasadzek itd. Trudno zgadnąć, co zaślepiło nie tylko Potockiego, który w tym momencie wyczerpał już „limit pomyłek”, ale nawet tak doświadczonego oficera, jak Jan Od-rzywolski. Chyba że była to znów autorytarna decyzja

hetmańska, podjęta w „pijanym widzie” w czasie wieczornej narady lub po niej.

Wykluczyć tego, rzecz jasna, nie można.

Oczywiście, słów Maskiewicza nie należy brać dosłownie, w tym bowiem akurat wypadku nie wystarczyłaby „chorągiew jaka”; tam był potrzebny silny oddział jazdy, najlepiej pancерnej, wspartej ewentualnie, jak słusznie zauważa W.

Biernacki, dragonami, gdyż otaczający maszerującą armię nieprzyjaciel byle jaką chorągiew na pewno by zlikwidował. Ale to nie zmienia postaci rzeczy i nie osłabia bynajmniej siły postawionego zarzutu.

32 B. Maskiewicz, Pamiętniki..., op. cit., s. 241. 143

Do pierwszego kontaktu bojowego doszło dopiero po przejściu przez polski tabor około pół mili. Zaatakowano oddziały tyłowe maszerującej armii, a więc te pozostające pod bezpośrednim dowództwem hetmana Kalinowskiego. Atak został odparty ogniem broni palnej, armatniej i ręcznej. Po tej nauczce główne siły nieprzyjaciela wycofały się poza odległość skutecznego strzału armatniego, walka jednakże zupełnie nie ustała, gdyż zarówno Tatarzy, jak i Kozacy atakowali maszerujące polskie szyki niewielkimi oddziałkami, zasypując je gradem kul i strzałów. W trakcie tych utarczek (które pewnie nie przysparzały żadnej ze stron większych strat i miały znaczenie raczej psychologiczne niż militarne, gdyż wyczerpywały broniące się oddziały, zmuszone do ciągłej czujności) polski tabor wmaszerował w gęsty, młody, dębowy las, zwany Grochową Dębiną. Nie wiemy, jak wyglądał

gościnniec biegnący przez tę dąbrowę, zwał się czy też nie, a w związku z tym, nie wiemy, czy musiano tam zwęzić szerokość taboru, zmniejszyć liczbę rzędów wozów itd. Wiemy natomiast z relacji współczesnych obserwatorów, że przez kilka dni poprzedzających wymarsz padały w tym rejonie obfite deszcze i ziemia była nasiąknięta wodą, a sam trakt bardzo błotnisty. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na fakt, że Ukraina to nie Mazowsze z jego lekkimi, piaszczystymi glebami, doskonale przepuszczającymi wodę. Na Ukrainie dominują gleby ciężkie, „gęste”, gliniaste. Aż trudno uwierzyć, że tego również nie wzięto pod uwagę, podejmując decyzję o odwrocie; przecież dla ludzi znających Ukrainę, a innych w polskim obozie nie było, nie mogło być tajemnicą, w co ten trakt się zmieni w tych warunkach, po przejściu tysięcy nóg, kół wozów i armat, no i, oczywiście, kopyt końskich.

Czołowe oddziały Mikołaja Potockiego maszerowały w jeszcze jako tako znośnych warunkach, ale broniące tyłów oddziały Kalinowskiego miały już ogromne trudności. Wozy ześlizgiwały się z pochyłości, wpadały na siebie, przewracały się i grzęzły „w kale”, jak określił tę breję, w której poruszał się polski tabor, jeden z relacjonujących wydarzenia uczestników. Tabor uległ więc rozczłonkowaniu. Czołowa grupa wysforowała się do przodu, odrywając się od grupy Odrzywolskiego, a ta z kolei straciła łączność z grupą Kalinowskiego. Wykorzystał to natychmiast

Chmielnicki, który podciągnął armaty i rozpoczął silny ostrzał oddziałów Kalinowskiego, zadając im duże straty, zwłaszcza wśród koni ciągnących armaty i wozy.

144

To był dobry pomysł, gdyż znacznie opóźniło to marsz. Zabite konie trzeba było wyprzęgać, zakładać nowe; jednym słowem tracić czas, a o czas głównie, jak się wkrótce przekonamy, Chmielnickiemu chodziło. Wreszcie, po tym „przygotowaniu ogniowym”, nastąpił atak połączonych sił kozackich i tatarskich, które, nie zważając na silny ogień piechoty, dragonii i jazdy polskiej, dotarły do linii wozów. Doszło do zaciętych walk na białą broń, mimo jednakże przewagi liczebnej przeciwnika, broniący się z za wozów szablami Polacy uderzenie to zdołali odeprzeć i tabor pełzł dalej.

Nie mamy wprawdzie opisu tego heroicznego przemarszu taboru przez młody, gęsto posyty las, łatwo jednak możemy go sobie wyobrazić. Oto wśród drzew, przez zarośla i wertepy toczą się dziesiątki i setki wozów, grzęznąc w lepkiej mazi. Idąca przodem piechota próbuje równać jako tako gościniec, rąba drzewa, aby go poszerzyć, wycina krzaki i zasypuje doły. Dzięki jej wysiłkom, tabor wolno sunie do przodu, pozostawiając po sobie gigantyczny ślad. Za ostatnimi wozami uwijają się czambuły tatarskie i konne sotnie kozackie. Nieustannie grzmia armaty, muszkiety, rusznice i samopały; wozy spowijają gęste chmury dymu prochowego, w



których słyhać świst setek tatarskich strzał. Strzały padają nie tylko od strony traktu, na którym Kozacy ustawili armaty, ale również spoza drzew, z bardzo bliskiej odległości - „na odległość kopii” -jak zanotował kronikarz.

Dzień był wprawdzie słoneczny, ale momentami wszystko ginęło z oczu, przesłonięte dymem, z którego co chwila wyłaniali się jeźdźcy tatarscy i szeregi krasnych mołojców, mimo gęstego ognia z determinacją rzucające się na wozy, spoza których bronili się coraz bardziej zmęczeni żołnierze polscy. Staczano pojedynki ogniowe, a także na broń białą: szable, piki, berdysze.

W tego typu starciach traci na znaczeniu centralne dowództwo, a wzrasta rola dowódców niższego szczebla, a nawet pojedynczych żołnierzy. Wynik takich starć zależy w głównej mierze od indywidualnej sprawności walczących, ich refleksu i determinacji. W takich właśnie walkach najlepiej można ocenić wartość bojową wojska. Jak ten test zdały obie armie? Kozacy i Tatarzy bardzo dobrze. Dla nich przecież walka w takich warunkach była chlebem powszednim. A Polacy? No cóż, armia polska pod względem przygotowania bojowego nie była jednolita. W jej szeregach, zwłaszcza w oddziałach prywatnych, było sporo niedoświadczonych, „zielonych” żołnierzy. Natomiast wartość najlepszej jej części,

145

czyli wojsk kwarcianych, została obniżona nierozsądnym - oględnie mówiąc -

rozkazem hetmana o spieszeniu kawalerii. Kawalerzyści, z konieczności walczący jako piechota, czuli się na pewno nie najlepiej, zwłaszcza że ich ruchy krępowały niewygodne w tej sytuacji i ciężkie zbroje. A mimo to nie dali się pokonać przeważającemu liczebnie przeciwnikowi, co na pewno dobrze o nich świadczy.

Atak przyniósł więc Kozakom i Tatarom jedynie częściowy sukces. Zadali wprawdzie obrońcom spore straty w ludziach, udało im się też zniszczyć część wozów taborowych, ale zamierzonego, najważniejszego celu, czyli rozerwania tylnej części polskiego taboru na mniejsze, izolowane grupki wozów, nie osiągnęli.

Stronie polskiej udało się też zachować całą artylerię, co należy uznać za bezsprzeczny sukces, bo właśnie polskie działa były głównym celem ataku.

Wreszcie, wśród nieustających ataków i ciągłej strzelaniny, polski tabor, zmniejszony, rozciągnięty na dużej przestrzeni i podzielony na trzy części, wydobył się z matni, jaką stanowiła dla niego dąbrowa. Nie oznaczało to jednakże wyjścia na otwartą, w miarę równą przestrzeń, gdyż zaraz za lasem droga dość ostro schodziła w dół, na dno jaru zwanego Kruta Bałka (bałka - wąwóz, jar).

Wchodząc w niego, czołowe oddziały polskie wkrótce natknęły się na głęboki rów, przecinający cały trakt od jednej ściany jaru do drugiej. Przeciwległy brzeg rowu, umocniony wałem, obsadziła piechota kozacka pod dowództwem pułkownika

Maksyma Krzywonosą, wzmocnioną silną baterią armat. Mniejsze oddziały kozackie zajęły stanowiska na brzegach wąwozu, atakując boki taboru, natomiast na jego tyłach pojawiły się silne czambuły tatarskie, które rzuciły się do gwałtownej szarży. Koalicyjne wojska otoczyły tabor i uniemożliwiły mu wykonanie jakiegokolwiek manewru. Nie można było iść do przodu, gdyż drogę blokował rów i szaniec obsadzony armatami i mołojcami Krzywonosą. Nie można też było obejść tej pozycji, gdyż flankowały je ściany wąwozu, również obsadzone Kozakami, którzy umocnili swe stanowiska szanćcami, podczas gdy Tatarzy uniemożliwiali jakąkolwiek próbę odwrotu. Mówiąc krótko, cała armia koronna znalazła się w potrzasku!

Ciekawe, czy wówczas polscy dowódcy pojęli, jak wielki popełnili błąd, rezygnując z wysłania przodem silnej straży przedniej i zwiadowców? Przecież gdyby zostali odpowiednio wcześniej uprzedzeni o zasadzce, to zapewne nie wpadliby w zastawione sidła, mieliby bowiem czas na pod-

146

jęcie decyzji i pole manewru, aby ją wykonać. Można było np. wozy skierować na inny trakt, podjąć decyzję o zatrzymaniu się w miejscu i ataku na blokujące szanćce, a nawet powrócić na stare pozycje pod Korsu-niem.

Pozostawmy jednakże te rozważania i przyjrzyjmy się, jak doszło do skonstruowania tej gigantycznej pułapki, która właśnie zatrzasnęła się z hukiem,

beznadziejnie uwięziwszy całą armię?  
Decyzja w sprawie polskiego odwrotu zapadła, jak pamiętamy, w godzinach wieczornych 25 maja, a dyskusje na ten temat między uczestnikami narady - zwolennikami i przeciwnikami koncepcji hetmana - trwały jeszcze długo po jej zakończeniu i dotarły do wielu powołanych i... niepowołanych uszu. Przygotowania do wyprawy trwały przez całą noc i w obozie polskim panował zapewne niemały bałagan, jak zwykle przy tego rodzaju operacjach, zwłaszcza w ówczesnych armiach, które nie przeprowadzały standardowych obecnie ćwiczeń i manewrów, pozwalających na zautomatyzowanie pewnych operacji. Panowały więc wręcz idealne warunki dla „oczu i uszu” Chmielnickiego, a miał on ich mnóstwo, gdyż pracowała dla niego zdecydowana większość ludności pochodzenia ukraińskiego, a w obozie koronnym ich nie brakowało. Najczęściej była to tzw. czeladź: pachołkowie, koniuchy, woźnice itp. Wielu Ukraińców służyło też w piechocie i dragonii. Kilku z nich, dowiedziawszy się o planach polskiego dowództwa i korzystając z rozgardiaszu, wymknęło się z obozu i o wszystkim doniosło Chmielnickiemu. Reakcja wodza kozackiego była natychmiastowa. Rozkazał pułkownikowi Maksymowi Krzywonosowi (z nazwiskiem tym spotkamy się jeszcze wielokrotnie, gdyż zaliczał się on do wyróżniających się kozackich dowódców), aby na czele pułku korsuńskiego i pewnie kilku sotni z dwóch innych pułków zablokował trasę

planowanego przemarszu armii koronnej. Krzywonos przegrodził trakt do Bohusławia w wąwozie Kruta Bałka, szerokim i głębokim rowem, wzmocnionym szańcami, na których ustawiono artylerię. Szańcami umocniono również zbocza wąwozu, a także odchodzące w bok od głównego traktu drogi do Grochowie (od nazwy tej miejscowości pochodziła nazwa dąbrowy, przez którą musiał przedzierać się polski tabor - Grochowa Dąbrowa) i Samorodni. Zarówno rów, jak i szance obsadzono silną artylerią (podobno aż 10 dużymi armatami) oraz Kozakami Krzywonosa.

147

Nie wiemy, kiedy dokładnie Krzywonos ze swoimi mołojcami zajął pozycją i rozpoczął prace ziemne ani też ile czasu mu to zajęło, można jednak przypuszczać, że były one kontynuowane już po wyjściu Polaków z obozu, dlatego pozwoliłem sobie uprzednio wyrazić opinię, że głównym celem działania Chmielnickiego i Tuhaj-beja w pierwszej fazie bitwy, a zwłaszcza po wejściu taboru w dąbrowę, było zwalnianie tempa jego marszu. Była to więc głównie walka o czas. Później, gdy dowództwo sprzymierzonych otrzymało sygnał, że umocnienia są już gotowe, Chmielnicki zaczął przemieszczać swe oddziały, wzmacniając nimi oddział Krzywonosa, natomiast na tyłach taboru polskiego pozostali głównie Tatarzy. Armia koronna znalazła się w matni. Czoło taboru dotarło do rowu i próbowało zatrzymać się, jednakże na stromej, błotnistej i śliskiej drodze wozy

ześlizgiwały się, przewracały się, wpadały na siebie, „(...) jeden drugiego mijając, przewracali się z wozami i końmi” - pisze kronikarz, przekazując nam obraz zupełnego chaosu. W tę gmatwaninę wozów, koni i ludzi biły gwałtownie działa kozackie. Dobrze ukryta w szańcach i za drzewami piechota zaporoska strzelała - w praktyce bezkarnie - z rusznic i samopałów, z tak bliskiej odległości, że prawie każdy strzał musiał być celny. W tym momencie też ujawnił się, chciałoby się rzec „w pełnej krasie” - błąd polegający na spieszeniu jazdy. Rozpaczliwie broniąca się armia koronna ponosiła olbrzymie straty od kul zaporoskich i strzał szarżujących z tyłu Tatarów, a z pułapki wyrwać się nie mogła. Przyzwyczajeni do walki na koniach, do gwałtownych szarż kawalerzyści nie umieli walczyć pieszo. Oddziały Mikołaja Potockiego próbowały przebić się przez rów, a Jana Odrzywolskiego przez szańce blokujące drogę w kierunku na Samorodnie, jednakże oba ataki zostały odparte ogniem artylerii i piechoty kozackiej. Zdając sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, część dowódców jazdy domagała się od hetmana rozkazania jeździe, by siadła na koń i podjęła próbę przebicia się. Była to rozsądny plan, zważywszy na to, że kawaleria nie sprawdzała się w roli piechoty, co było zresztą do przewidzenia, a w historii polskiej wojskowości nie brakowało przypadków, gdy dobrze operujący jazdą dowódcy

zdobywali szarżą nieprzyjacielskie umocnienia. Hetman Potocki udowodnił jednak, że jest człowiekiem niezwykle upartym, i nie wyraził na to zgody. Wówczas Krzysztof Korycki, nie zważając na ten zakaz, polecił swoim kawalerzystom wsiąść na koń

148

i w gwałtownej, desperackiej szarży zdobył szaniec blokujące drogę na Samorodnie, a następnie umknął z pola bitwy. Wprawdzie później jego chorągwie zostały dogonione i rozproszone przez Tatarów, ale i tak większość jego żołnierzy uratowała się.

Przykład Koryckiego świadczy o tym, że koncepcja sformowania silnej, złożonej ze wszystkich chorągwi grupy kawaleryjskiej była jak najbardziej słuszna. Korpus ten mógłby się przebić przez zapory kozackie, podobnie jak to uczynił Korycki, a następnie skutecznie odpierać kontrataki czambułów tatarskich. Można być prawie pewnym, że udałoby się w ten sposób przynajmniej część, zapewne znaczną, armii uratować od zupełnej zagłady.

W czasie gdy jezdni Koryckiego ścigali się z goniącymi ich Tatarami, rozstrzygnął się ostatecznie los pozostałych na placu boju oddziałów. Gros sił tatarskich uderzyło na zajmujące pozycje z tyłu chorągwie Adama Sieniawskiego. W sumie nie bardzo wiadomo, dlaczego w pewnym momencie bitwy oddziały te znalazły się w pewnym oddaleniu od taboru i maszerowały osobno, bez osłony wozów. Doszło do walki na białą broń, w której broniący się rozpaczliwie Polacy ulegli

przewadze przeciwnika.

Ustąpiły również placu piechota i dragonia, broniące czoła pochodu. Oddziały te poniosły wcześniej znaczne straty na skutek ostrzału artyleryjskiego, a poza tym były bardzo zmęczone (nie zapominajmy, że zanim doszło do walki, do tych żołnierzy należało ścinanie drzew, równanie drogi itd.), więc nie wytrzymały gwałtownego natarcia Kozaków i schroniły się za zachowane szczątki taboru.

Natarcia Kozaków nie udało się jednak powstrzymać; tabor został ostatecznie rozerwany, a w lukę wdarły się czambuły tatarskie. Można uznać, że los armii koronnej dopełnił się, choć walka jeszcze przez jakiś czas trwała. Stawiały jeszcze opór chorągwie Kalinowskiego, które skapitulowały dopiero na skutek kombinowanych ataków jazdy tatarskiej i piechoty kozackiej oraz silnego ostrzału artyleryjskiego. Długo też broniły się chorągwie ze środka taboru. Piechurzy i dragoni uczynili sobie szançe z poprzewracanych wozów i ostrzeliwali się tak długo, aż zostali zaatakowani od tyłu przez powracających z pościgu za Koryckim Tatarów.

Pogrom korsuński spowodował, że zagładzie uległa cała armia koronna, a więc najpoważniejsza, zorganizowana, państwowa siła zbrojna w Koronie. Skutki klęski były zresztą jeszcze bardziej dalekosiężne, gdyż

149  
za jednym zamachem przestały istnieć również kadry dla przyszłych oddziałów suplementowych, a więc tych, które na mocy uchwał sejmowych powoływano dla



powiększenia sił zbrojnych w okresie działań wojennych.

Dzisiejsi historycy mają ogromne problemy z dokładnym ustaleniem strat, jakie w tej katastrofalnej bitwie strona polska poniosła w zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Jedyne właściwie zachowane źródło twierdzi, że na polu walki zginęło podobno jedynie około 500 żołnierzy. Osobiście jestem przekonany, że straty bezpośrednie były większe, nie ma to jednakże większego znaczenia dla oszacowania rozmiarów polskiej klęski, gdyż z powodu otoczenia oddziałów polskich w wąwozie Kruta Bał-ka, zdecydowana większość żołnierzy, zarówno tych, którzy wyszli bez szwanku, jak i rannych, dostała się do niewoli kozackiej lub tatarskiej, co zresztą w tym wypadku wychodziło na jedno, gdyż Kozacy wszystkich swoich jeńców przekazywali Tatarom. Ofiar bezpośrednich byłoby zresztą zapewne o wiele więcej, na szczęście jednak dla strony polskiej Tatarzy, mający cały czas na względzie własny interes, starali się oszczędzać swych przeciwników, nie dobijali więc na ogół rannych (co w tamtych czasach było powszechną praktyką) i oszczędzali tych, którzy sami oddawali się do niewoli; był to rezultat nader przytomnej kalkulacji, że każdy jeńiec więcej oznaczał powiększenie zysku. Do niewoli dostali się również obaj hetmani. Mikołaj Potocki próbował w ostatniej fazie bitwy wymknąć się na czele niewielkiego oddziałku, ale został dogoniony i ujęty, natomiast dwukrotnie ranny Mikołaj Kalinowski dostał się w

ręce nieprzyjaciół w czasie obrony taboru. Okazało się więc, że wprawdzie dowódcą był raczej miernym, ale za to żołnierzem ofiarnym i odważnym.

Razem z obu wodzami w ręce nieprzyjaciół dostała się również większość doświadczonych oficerów, m.in. Jan Odrzywolski, starosta lwowski Adam Sieniawski, wspomniany już oboźny wojskowy Mikołaj Bieganski i wielu innych.

Zakrawało to na paradoks, ale w gorszej sytuacji niż jeńcy znaleźli się wszyscy ci żołnierze, którym udało się wymknąć z oblężonego obozu, a było ich podobno wcale nie mało. W ślad za Koryckim, który, jak pamiętamy, w brawurowej szarży przerwał kordon kozacki i umknął w kierunku Samorodni, poszły bowiem całkiem spore grupy kawalerzystów, dragonów, piechurów, a także zwykłej czeladzi. Część umknęła na ko-

150

niach, a część pieszo. Wielu z nich jednakże wpadło z deszczu pod rynnę. Pół biedy jeszcze, jeśli dostali się w ręce goniących ich Tatarów, gdyż to gwarantowało im przynajmniej życie. W niewoli, bo w niewoli, aleć zawsze przecież istniała nadzieja na wykup lub ucieczkę. Natomiast na tych uciekinierów, którzy umknęli pościgowi, polowały grupy chłopstwa po wsiach, na gościńcach i lasach, a z ich rąk nikt żywy nie uszedł. Toteż podobno z pogromu uratowało się i przedostało na bezpieczne tereny zaledwie 1500 ludzi, w większości zresztą nie żołnierzy, lecz służby obozowej, czyli wzmiankowanych już ciurów. Uratował się

również pomysłodawca szarży, Korycki, który po różnych tarapatach dotarł na czele 90 kawalerzystów do Kijowa. Pogrom taboru polskiego w wąwozie Kruta Bałka zakończył kampanię wiosenną 1648 roku. Dokonywana tu systematycznie ocena poszczególnych jej faz zwalnia niejako z obowiązku całościowego podsumowania, zwłaszcza że z konieczności musiałoby się ono koncentrować na błędach polskiego dowództwa, a ściślej rzecz ujmując: na błędach jednego człowieka - hetmana wielkiego koronnego Mikołaja Potockiego. Na zakończenie nie można pominąć jednak jeszcze jednej kwestii, a dokładniej jeszcze jednego jego błędu, kto wie, czy nie jednego z najpoważniejszych. Chodzi o to, że zajęty zupełnie bezsensownym miotaniem się po Ukrainie hetman wielki karygodnie zaniedbał możliwość wzmocnienia swych sił armią rosyjską. Wszak 27 września 1647 roku Rzeczpospolita i Państwo Moskiewskie zawarły antytatarskie przymierze, które zobowiązywało obu partnerów do udzielania sobie nawzajem pomocy w razie napaści ordy. Przymierze kozacko-tatarskie i wejście Tuhaj-beja w granice Rzeczpospolitej stanowiło więc wystarczający powód do interwencji moskiewskiej i, co ważniejsze, Moskwa była gotowa ją podjąć, wypełniając swe zobowiązania sojusznicze. Już od marca-kwietnia 1648 roku w Putywlu stała 6-tysięczna armia, a jej wojewoda deklarował w listach do Adama Kisiela i ks. Jeremiego, że czeka na wezwanie Mikołaja Potockiego. Natomiast w maju 1648 roku

car polecił wszystkim wojewodom pogranicznym, aby skoncentrowali swe wojska i udzielili pomocy Rzeczypospolitej. Polecił też, co niewątpliwie warte jest podkreślenia, aby dowódcy oddziałów nie rekwirowali żywności, za wszystkie dostawy płacili gotówką i powstrzymali zdecydowanie swych żołnierzy przed dokonywaniem jakichkolwiek rozbojów i gwałtów. Znając żelazną dyscyplinę w armii carskiej, można wierzyć, że rozkaz ten byłby zrealizowany.

151

Koniec końców, zgromadzono na granicy 40-tysięczną armię, która beczynnie czekała na wezwanie i obserwowała rozwój wypadków na Ukrainie, a po ostatecznej klęsce wojsk koronnych powoli zaczęła odpływać w głąb kraju. Rozpoczęło się również systematyczne „schładzanie” stosunków między Moskwą a Warszawą. Gdy więc strona polska, zszokowana klęskami na Ukrainie i rozwojem powstania, zaczęła wreszcie naciskać Moskwę, żądając realizacji zobowiązań, wojewodowie pograniczni odpowiedzieli bardzo grzecznym, ale i bardzo wymijającym listem z 17 lipca, a w sierpniu car formalnie i ostatecznie zabronił utrzymywania bez jego wiedzy dalszej korespondencji z polskimi możnowładcami, zwłaszcza z Kisielem i Wiśniowieckim.

Jest takie powiedzenie, że niewykorzystane w życiu okazje wcześniej czy później się zemszczą i Rzeczypospolita już wkrótce miała się przekonać o jego prawdziwości. Zignorowanie moskiewskiej oferty pomocy przyczyniło się do zagłady

armii koronnej, a ta z kolei obnażyła zupełną bezradność, a właściwie bezsilność Rzeczypospolitej. Nic dziwnego, że w głowach cara oraz bojarów moskiewskich zaczęła, na razie powoli, ale, niestety, skutecznie i trwale, kiełkować myśl o możliwości rewanżu za nasze poczynania na terytorium Rosji w okresie tzw. wielkiej smuty i przekreślenie postanowień traktatu Polanowskiego, o którym nasz historyk, Wiktor Czermak, pisał, że „(...) ciążył dumnej sąsiedzie Polski, niby kamień na piersiach złamanego chorobą człowieka”. Rosjanie mają długą i dobrą pamięć historyczną, o czym świadczy chociażby ostatnia decyzja prezydenta Putina o ustanowieniu święta narodowego Rosji w dniu, w którym rosyjskie pospolite ruszenie uwolniło Kreml i Moskwę z rąk polskiej załogi. Na szczęście dla naszych przodków i dziejów naszego państwa, zamieszki w miastach rosyjskich odsunęły w czasie (aż do wiosny 1654 roku) możliwość interwencji moskiewskiej, tym razem jednak po stronie kozackiej i ukraińskiej. Nie tylko zresztą kłopoty wewnętrzne spowodowały tak długie, bo aż sześćioletnie wahania cara Aleksego Michajłowicza, kwestią tą zajmiemy się jednak już w drugiej części naszej opowieści. Strach jednak pomyśleć, co by się stało, gdyby już w 1648 roku 40-tysięczna armia, zamiast odpływać wstecz, pomaszerowała najpierw na Ukrainę jako sojusznik Chmielnickiego, a potem, razem z nim, dalej, na Warszawę i Kraków...

152

?

Wojna czy pokój?

Bitwa pod Korsuniem, której tragiczny finał nastąpił w wąwozie Kru-ta Bałka, trwała zaledwie kilka godzin, ale jej skutki dla Rzeczypospolitej okazały się jeśli nie katastrofalne, to na pewno bardzo groźne. Nie bez powodów też porównywano ją czasami do bitwy Hannibala z Rzymianami pod Kannami. Trzeba przyznać, że to dość trafne porównanie! Oczywiście nie z uwagi na zastosowane rozwiązania taktyczne, gdyż pod tym względem bitwa ta niczym specjalnym się nie wyróżniała, a już w żadnym razie nie przypominała wspaniałego manewru genialnego Kartagiń-czyka, lecz ze względu na jej skutki. Podobnie jak w wypadku pierwowzoru, również i tym razem zagładzie uległa cała armia i, podobnie jak w 216 roku p.n.e. Rzym, tak w 1648 roku Rzeczpospolita pozostała w zasadzie bez rządu, a przynajmniej bez naczelnego dowództwa. Podobna była też reakcja ludności państwa. Zarówno starożytnych Rzymian, jak i XVII-wiecznych Polaków ogarnęła powszechna panika i obawy, że przeciwnicy wykorzystają swoje zwycięstwo i pokuszą się o zdobycie stolicy. W starożytnym Rzymie okrzyk Hannibal ante portas przez długi czas spędzał sen z powiek obywatelom i władzom Republiki Rzymskiej, a w Rzeczypospolitej kanclerz litewski A. Radziwiłł zanotował w swym Pamiętniku: „I z całą pewnością, gdyby nie zostali powstrzymani (Kozacy i Tatarzy - przyp. autora) siłą Bożą i wstawiennictwem Bogarodzicy, mogli kusić

się o sam Kraków i Warszawę bez niczyjzego oporu"<sup>33</sup>.

Pozostawmy jednak te analogie, które, jak zwykle, nieco kuleją, bo w historii nigdy nic się dokładnie nie powtarza i dlatego jest ona taką nieskuteczną nauczycielką życia, i powróćmy do wydarzeń, jakie miały miejsce w maju 1648 roku na Ukrainie, w Rzeczypospolitej, a także w państwach ościennych. Pogrom korsuński obrócił w gruzy cały system obronny Ukrainy i granic ukraińskich. Na tym terenie w rękach polskich pozostało jedynie kilka twierdz, takich jak Kudak i Kamieniec Podolski, oraz umocnionych miast, takich jak Bar, Brody itp. Można jednak było mieć pewność, że twierdze te, pozbawione wsparcia z zewnątrz i w większości nie najlepiej utrzymane i zaopatrzone, prędzej czy później wpadną w ręce powstańców, a wraz z nimi większość terenów Ukrainy.

33 A. Radziwiłł, Pamiętnik..., op. cit., s. 77.  
153

Wprawdzie na Zadnieprzu pozostał ks. Jeremi Wiśniowiecki ze swoją liczącą około 6000 żołnierzy dywizją, ale w obecnej sytuacji, osamotniony i odcięty od reszty kraju, sam znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie.

Książę dość szybko otrzymał od zbiegów z terenów objętych już powstaniem informację o klęsce wojsk koronnych, ale, mimo licznych i zgodnych relacji, nie od razu w nią uwierzył. Później, gdy już ostatecznie przekonał się, że wojska koronne poniosły zupełną klęskę, próbował przeprowadzić się na prawy brzeg Dniepru,

sądząc, że uratowane z pogromu resztki wojska zasilające dywizję i pozwolona podjęcie dalszej walki, musiał jednak z tego zamiaru zrezygnować, gdy okazało się, że Kozacy zdążyli go uprzedzić i ściągnąć lub zatopić promy na Dnieprze.

Książę zaliczał się niewątpliwie do najzdolniejszych wodzów, jakimi Rzeczpospolita dysponowała w tym momencie, ale w zaistniałej sytuacji miał raczej niewielkie pole manewru. Gwałtownie rozszerzające się powstanie mogło lada moment przerzucić się, jak iskra na prochu, na jego „Zadnieprzańskie Państwo”, a wówczas znalazłby się w samym oku cyklonu, mając przeciw sobie Chmielnickiego z Kozakami i powstańcami z prawobrzeża, Tatarów Tuhaj-beja i chana, który, wolno, bo wolno, ale konsekwentnie, zbliżał się do terenu działań, a także własnych, zbuntowanych poddanych. W tych warunkach pozostanie na Zadnieprzu i kontynuowanie walki byłoby równoznaczne z samobójstwem, zwłaszcza że w oddziałach księcia było sporo ludzi pochodzenia ukraińskiego i książę nie mógł być całkowicie pewien ich lojalności (przyszłość pokazała, że obawy te - jeśli rzeczywiście gnębiły Jeremiego - były zupełnie bezpodstawne, gdyż mimo zmiennych kolei losu, jego prywatne wojsko pozostało mu wierne). Pozostawał więc odwrót na północ, w kierunku na Czernichów, aby tam, w kraju jeszcze w miarę spokojnym, przeprowić się na prawy brzeg Dniepru. Wraz z jego wojskiem z Ukrainy uchodziło mnóstwo drobnej szlachty i dzierżawców z Zadnieprza i innych stron



kraju, a także Żydów, których los był opłakany, nawet gorszy niż polskiej szlachty. Żydzi odwdzięczyli się księciu za pomoc i opiekę, głosząc jego sławę we wszystkich zakątkach Rzeczypospolitej i nie tylko. Żydowski kronikarz Natan Hannover pisał, że książę był dla Żydów „(...) ostoją w wichurze (...). I niósł ich na skrzydłach orlich, aż ich przyprowadził, dokąd chcieli. Gdy im groziło niebezpieczeństwo z tyłu, kazał im iść przed sobą, a gdy im groziło z przodu, wówczas on maszerował przed nimi, jako tar-  
154

cza i puklerz, a oni za nim kładli się obozem”<sup>34</sup>. Wynika z tego opisu, że Jeremi ogarniał i osłaniał swoje stadko jak dobry pasterz ogarnia owce atakowane przez watahę wilków.

Relacja Natana robi oczywiście wrażenie, rzeczą oczywistą jest jednak, że wiele osób, przeciw którym kierowało się ostrze powstania ukraińskiego, nie mogło uciec wraz z wojskami Wiśniowieckiego. Mimo licznych symptomów zbliżającej się burzy, w wielu dworach pozostała więc szlachta, zarówno ukraińska, wierna jeszcze swemu pochodzeniu i religii, jak i polska lub spolszczona. Pozostali też w wielu miejscach dzierżawcy majątków magnackich, no i rzesze pełniących różne funkcje dworskie i handlowe Żydów. Spośród tych grup w stosunkowo najlepszej sytuacji znalazła się szlachta pochodzenia ruskiego, gdyż chłopci ukraińscy nie występowali przeciw nim z taką nienawiścią i zaciekłością, jak przeciw Polakom czy Żydom. Spore jej grupy

przeszły zresztą na stronę powstańców. Natomiast los ludzi pochodzenia polskiego i żydowskiego był w zasadzie przesądzony, a jedyną ich szansą na ocalenie życia była ucieczka. Umykali zazwyczaj do miast, które jednak, jak się już wkrótce okazało, nie dawały pewnego schronienia, gdyż łatwo wpadały w ręce powstańców, często bez żadnego oporu poddawane oddziałom kozackim lub nawet grupom chłopskim przez mieszczan pochodzenia ruskiego. Natomiast ucieczka z ogarniętego pożogą kraju w głąb Rzeczypospolitej udawała się jedynie nielicznym, a to z powodu grup chłopskich, polujących zaciekle na wszystkich, którzy mieli jakikolwiek związek z polskim panowaniem na Ukrainie. Krew lała się więc na „bujnej i pięknej” Ukrainie szeroką i obfitą strugą. Osobiście nie uważam, że pisząc o dziejach tego powstania, należy epatować współczesnego czytelnika opisami okrucieństw, popełnianych zresztą nie tylko przez stronę kozacko-ukraińską, jednakże zupełnie tego tematu pominąć nie można, gdyż znacząco rzutował on na przebieg tej wojny i na szanse jej pokojowego zakończenia. A działy się wówczas na obszarach objętych powstaniem rzeczy naprawdę straszne. Wspomniany już Natan Hannover pisał między innymi: „(...) Z jednych zdarto skórę, a ciało rzucono psom na żer, innym

34 Jawnie Mecula tj. Bagno głębokie. Kronika zdarzeń z lat 1648-1652, napisana przez Natana Hannovera z Zastawia [w:] Sprawy i rzeczy ukraińskie. Materiały do dziejów Kozaczyzny i hajdamacczyzny, wydał F. Rawita-Gawroński, Lwów 1914, s. 22.

obcięto ręce i nogi, a tułów rzucono na drogę. (...) Dzieci zarzynano na łonie matek; wiele dzieci pocięto w kawały jak ryby. Kobietom ciężarnym rozpruwano brzuchy i wsadzano żywego kota do wnętrza i tak zostawiano przy życiu (...)"<sup>35</sup>. To tylko króciutki, niepełny, ale, jak sądzę, wystarczająco przemawiający do wyobraźni fragment opisów, które pozostawił nam kronikarz. Świadczy on o ogromnej nienawiści chłopów ukraińskich do szlachty polskiej, polskich dzierżawców, a przede wszystkim do służących im Żydów, bo o ich losach pisze głównie żydowski kronikarz. Pamiętajmy jednak, otrzásając się ze zgrozą i obrzydzeniem, że zbrodnie popełniały również oddziały polskie, pacyfikujące w latach poprzednich powstań wsie ukraińskie („wsławił się” tym zwłaszcza Mikołaj Potocki po powstaniu Pawluka i Łobody). Również w latach powstania Chmielnickiego strona polska nie postępowała lepiej, mordując Ukraińców wcale nie mniej „finezyjnie”. Kroniki i zapiski pamiętnikarskie donoszą o zbrodniach dokonywanych na rozkaz naszych dowódców: Stefana Czarnieckiego, Jeremiego Wiśniowieckiego i wielu innych. Jeden z naszych wodzów, Stanisław Lanckoroński, widocznie wrażliwszy od innych, doznał z tego powodu głębokiego załamania nerwowego, które objawiało się tym, że w biały dzień rozmawiał z upiorami. No cóż, takie to były czasy i taki konflikt, dlatego żadna ze stron nie ma

moralnego prawa do osądzania i potępiania drugiej. Pogrom korsuński nie był jedyną klęską, która tej feralnej wiosny 1648 roku spadła na Rzeczpospolitą. Równie groźną, a kto wie, czy nawet nie groźniejszą skutkach, była śmierć króla. Jak pamiętamy, Władysław IV zmarł 20 maja w Mereczu, pozostawiając kraj w rękach interreksa, którym był wówczas stary i schorowany Maciej Łubieński. Władysław IV był władcą kontrowersyjnym, który nie zawsze postępował zgodnie z polską racją stanu, to prawda, ale miał też kilka cech i atrybutów, które w tym momencie mogły bardzo się przydać Rzeczpospolitej. Na pierwszym miejscu należy wspomnieć o jego talentach militarnych nader istotnych w chwili, gdy państwo musiało stawić czoła groźnej i, co ważniejsze, zwycięskiej koalicji kozacko-ukraińsko-tatarskiej. Władysław miał również niezaprzeczalny urok osobisty i dar zjednywania sobie ludzi, dzięki czemu, mimo wielu potknięć w ostatnich latach

35 Jawnie Mecula tj. Bagno głębokie..., op. cit, s. 23.

156

panowania, był bardzo popularny w „szlacheckim narodzie”, mógł więc liczyć na przeforsowanie swoich koncepcji w sejmie, a zwłaszcza na skłonienie szlachty do otwarcia sakiewek i wyasygnowania pieniędzy na odtworzenie armii. No, i wreszcie – last but not least – kwestia jego osobistych, dobrych stosunków z Kozakami. Zasłużenie czy nie, Władysław cieszył się sympatią i szacunkiem bractwa

zaporoskiego, i był chyba jedynym człowiekiem w Rzeczypospolitej, który potrafiłby skłonić zwycięskich powstańców do tego, by zaprzestali działań i przystąpili do rokowań bez żadnych warunków wstępnych (o ile oczywiście takie rokowania były w tym momencie w ogóle możliwe). Zresztą nawet abstrahując od tych osobistych walorów Władysława, warto pamiętać, że zmiana władcy w każdym państwie o ustroju monar-chicznym dość często powoduje powstanie wielu problemów, zwłaszcza gdy następuje w momentach dla tegoż państwa przełomowych. Wiąże się bowiem z powołaniem nowej ekipy ministrów i doradców, powoduje zmianę kierunku działań, koncepcji, programów itd. W historii wielu państw nie brakuje bardzo spektakularnych przykładów na potwierdzenie tezy, że zmiana osoby panującej może pociągnąć za sobą głębokie zmiany w polityce państwa<sup>36</sup>.

Zmiana władcy w państwie o takim ustroju jak Rzeczpospolita powodowała jeszcze większe komplikacje niż w monarchiach dziedzicznych, gdyż wiązała się z koniecznością wyboru nowego króla, a na to trzeba było czasu. Elekcja Jana Kazimierza przeprowadzona została dość szybko i sprawnie, a mimo to na opuszczonym przez swego brata tronie zasiadł on dopiero niemal 7 miesięcy po śmierci Władysława IV. Przez tak długi więc czas państwo pozbawione było w praktyce naczelnego organu władzy wykonawczej, swojego centrum decyzyjnego. Można oczywiście twierdzić, że w Rzeczypospolitej władza królewska uległa

znacznemu osłabieniu na rzecz sejmu i naczelnych organów ów-

36 Takim przykładem mogą być wydarzenia, jakie miały miejsce po śmierci władczyni Rosji, Elżbiety, 4 stycznia 1762 roku. Była ona zdecydowaną przeciwniczką króla Prus, Fryderyka II, z którym, w sojuszu z cesarzową Austrii, Marią Teresą, prowadziła bezpardonową walkę, doprowadzając władcę Prus do progu zupełnej klęski. Po jej śmierci na tronie Rosji zasiadł Piotr III, zafascynowany Fryderykiem. Jego pierwszą decyzją było nie tylko zawarcie pokoju rosyjsko-pruskiego, ale również sojuszu wojskowego, dzięki któremu Fryderykowi udało się ostatecznie pokonać Austrię i wydrzeć jej Śląsk.

157  
czesnej administracji, urzędników królewskich, jak wówczas mówiono-kanclerzy, skarbników, hetmanów itd., pełniących swe funkcje dożywotnio, a więc jedynie formalnie podległych królowi i z tej racji cieszących się daleko idącą autonomią. Jest to jednak tylko część prawdy. W czasach dynastii Wazów pozycja króla w państwie była jeszcze stosunkowo silna, zwłaszcza jeśli porównamy ją z pozycją polskich monarchów z okresu saskiego czy ostatniego władcy - Stanisława Augusta. Nie wolno też zapominać o tym, że formalne rozwiązania ustrojowe to jedna kwestia, a faktyczny wpływ władcy na politykę państwa to kwestia druga, w znacznej mierze zależna od jego osobowości. Brak króla paraliżował zresztą w znacznym stopniu również pracę sejmu, gdyż to

głównie monarcha decydował o tematyce obrad; miał też na nie określony wpływ.

Nie zapominajmy, że parlament Rzeczypospolitej formalnie składał się z trzech izb:

posłów, senatu i króla, a każda z nich miała istotny wpływ na działania pozostałych.

Nie trzeba też, jak sądzę, szerzej omawiać wpływu samej elekcji króla na funkcjonowanie państwa, wiemy to bowiem z własnych doświadczeń. Wprawdzie

obecnie nie wybieramy królów, ale wybory posłów, senatorów i prezydenta równie skutecznie paraliżują organizm państwa. W XVII--

wiecznej Rzeczypospolitej sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej, gdyż kandydatami na „urząd króla”

mogli być obcokrajowcy, przygotowania do elekcji przebiegały więc zazwyczaj w

atmosferze ostrej walki między różnymi

stronnictwami, pośród mniej lub bardziej

jawnych ingerencji dyplomatycznych różnych dworów europejskich, intryg,

zakulisowych machinacji wywiadów, no i oczywiście licznych, jakbyśmy to dziś

nazwali, afer korupcyjnych. Zawsze też istniała groźba interwencji zbrojnej

(która czasem się urzeczywistniała; wystarczy choćby wspomnieć o bitwie pod

Byczyną czy też późniejszych interwencjach wojsk saskich, rosyjskich itp.). Jak

się zresztą przekonamy, również elekcja Jana Kazimierza w 1648 roku nie była tak

zupełnie „wolna”.

Czas elekcji był to zawsze czas groźny dla

Rzeczypospolitej, a w sytuacji

bezprecedensowej klęski na Ukrainie i zagrożenia dla ziem etnicznie polskich i

litewskich - wręcz tragiczny.

Śmierć władcy i prawie równoczesna klęska militarna to oczywiście sprawa przypadku, trudno jednakże nazwać przypadkiem wszystkie wynikające z tych faktów konsekwencje. Trafnie ocenił to jeden z naj-  
158

lepszych piewców naszej historii, Paweł Jasienica, pisząc: „Wkrótce wszystkim stało się jasne, że rozległe państwo polsko-litewskie to olbrzym o niedorozwiniętym kośćcu i systemie krwionośnym. Że mając wszystko, czego potrzeba mocarstwu, nadaje się to królestwo nie na wartościowego sprzymierzeńca czy na respekt zasługującego wroga nawet, lecz na łup dla sąsiadów”<sup>37</sup>.

To, że w 1648 roku Rzeczpospolita nie stała się, mimo ujawnionej słabości, takim łupem, zawdzięczała nie sobie, nie własnej zaradności, lecz korzystnej sytuacji międzynarodowej (do dobrych koniunktur międzynarodowych Polska miała szczęście od dawna, niestety, już wkrótce miało się to zmienić). Większość państw europejskich, w tym zwłaszcza Austria i Szwecja, były zniszczone i wycieńczone długim, trzydziestoletnim konfliktem, który miał charakter wojny europejskiej. Z kolei Rosja, pokonana w dwóch wojnach z Rzeczpospolitą, powoli leczyła rany po okresie Wielkiej Smuty i nie mogła angażować się w konflikt ukraiński, zwłaszcza że przeżywała kolejne, bardzo groźne wewnętrzne zamieszki na tle podwyżek cen soli. Ponadto Rosja nie chciała oficjalnie popierać Kozaków, przynajmniej tak



długo, jak długo ich sprzymierzeńcami byli  
odwieczni i wciąż dla państwa carów  
bardzo groźni Tatarzy. To też mogło się zmienić w  
przyszłości, gdyż prawie  
natychmiast po korsuńskim zwycięstwie Chmielnicki  
zaczął bardzo intensywnie  
kokietować Kreml. Zresztą z faktu, iż stacjonujące  
na granicy z Rzeczpospolitą,  
gotowe do interwencji na rzecz Rzeczpospolitej  
pułki carskiej cofnęły się na  
wieść o klęsce kor-suńskiej, można było wysnuć  
wynioskować, że Kreml zamierzał,  
na razie, pozostać w tym konflikcie neutralny. Z  
drugiej strony, stosunki z  
Rzeczpospolitą były dla Moskwy sprawą zbyt ważną,  
by uwierzyć, że zamierza ona  
pozostać jedynie biernym i bezstronnym  
obserwatorem wypadków ukraińskich. Rosja  
nigdy przecież tak naprawdę nie zarzuciła programu  
„zbierania” ziem ruskich, a  
Ukraina, jako faktyczna kolebka państwa ruskiego,  
była tego programu bardzo  
ważnym punktem. Wahadłowy ruch wojsk carskich miał  
więc swoją, groźną na  
przyszłość, wymowę.

Natomiast Turcji to, co wydarzyło się na Ukrainie,  
a zwłaszcza udział w tych  
wypadkach Tatarów, był wyraźnie nie na rękę.

Państwo to, za-

37 P. Jasienica, Rzeczpospolita Obojga Narodów,  
część pierwsza, Srebrny wiek,  
Warszawa 1982, s. 481.

159

angażowane w konflikt zbrojny z Wenecją,  
przeżywało wówczas okres wewnętrznego  
kryzysu i nie chciało ryzykować wojny na dwa  
fronty. Dlatego też inicjatywa

chana i jego sojusz z Chmielnickim spotkały się z bardzo negatywną reakcją Sambułu, a posłowie Islam Gereza, informujący o sukcesach jego wojsk na Ukrainie, zamiast spotkać się z uznaniem, zostali po prostu, na rozkaz wezyra, obici kijami. Jak widać, w stosunku do wasali władze Turcji nie bawiły się w subtelności dyplomatyczne!

Nie warto, oczywiście, snuć rozważań na temat tego, co by było, gdyby... bo takie spekulacje są może i ciekawe, ale w gruncie rzeczy zupełnie bezpłodne.

Jedno jednakże zdaje się nie ulegać wątpliwości - gdyby nie ta, w miarę sprzyjająca, koniunktura międzynarodowa, losy i Ukrainy, i całej Rzeczypospolitej już wówczas, po maju 1648 roku, zupełnie inaczej by się potoczyły.

Niestety, jak już wspomniałem, rok 1648 zapowiadał zmierzch towarzyszącej

Rzeczypospolitej od dawna, przez bez mała parę wieków, bardzo korzystnej

konfiguracji stosunków międzynarodowych. Już niebawem wszystko miało się zmienić

i na traktowane dotąd z respektem, a nawet strachem państwo polsko-litewskie

spadły armie, najpierw Rosji, potem Szwecji, a jeszcze później Turcji,

doprowadzając je na skraj przepaści i zupełnej zagłady, której uniknęło przede

wszystkim dzięki ogromnej mobilizacji sił i ofiarności całego społeczeństwa.

Można jednak zaryzykować twierdzenie, że bitwa pod Korsuniem, a także to, co się

potem wydarzyło, było przyczyną wszystkich wojen polskiego „potopu”, których

wspólną cechą było to, że wszyscy zewnątrzni najeźdźcy działali w porozumieniu i sojuszu z Chmielnickim, Kozakami i Ukraińcami. Przyszedł więc czas zapłaty za wszystkie błędy popełnione wobec Kozaków i Ukraińców od czasu zajęcia tego kraju najpierw przez Litwę, a następnie przez Koronę. Powróćmy jednakże do opisu dalszego ciągu wydarzeń. Wiadomość o klęsce pod Korsuniem dotarła do Warszawy w początkach czerwca, powodując szok i zamieszanie. Prawie też natychmiast ukształtowały się w stolicy, no i oczywiście w całym kraju, dwa stronnictwa - wojenne i ugodowe. Stronnictwu wojennemu patronował błakający się ciągle jeszcze po bezdrożach Ukrainy ks. Jeremi Wiśniowiecki, a należeli do niego najwybitniejsi magnaci ukraiński (Aleksander Koniecpolski i Stanisław Lubomirski), litewscy (hetman litewski Janusz Radziwiłł) oraz podkanclerzy 160 koronny, ksiądz Andrzej Leszczyński. Program tego stronnictwa był dość nieskomplikowany, można by rzec wręcz prosty - stłumić powstanie siłą, a wszelkie rozważania polityczne i systemowe pozostawić na potem. Myśl o jakimkolwiek porozumieniu z Chmielnickim, zanim zostanie on pokonany, odrzucano w tym gronie zdecydowanie, z odrazą, traktując ją wręcz jako zdradę interesów narodowych. Świadczą o tym nie tylko wystąpienia sejmowe przedstawicieli tego stronnictwa, ale przede wszystkim listy księcia Jeremiego. Jeszcze będąc na Ukrainie, w sumie nie do końca pewny swych losów, ks. J. Wiśniowiecki pisał m.in. do senatora

Adama Kisielea: „Jeżeli za zniesieniem wojska kwarcianego i pobraniem hetmanów do więzienia kontestacją otrzyma Chmielnicki i przy dawnych wolnościach zostawać będzie z tym hultajstwem, ja w tej ojczyźnie wolę nie żyć; i nam lepsza rzecz umierać, aniżeli by pogaństwo i hultajstwo miało nam panować”. Jemu też przypisuje się wspomnianą już poprzednio tezę, aby łaskę ofiarować dopiero pokonanym.

Stronnictwu ugodowemu przewodzili kanclerz koronny Jerzy Ossoliński i jedyny już w tym czasie prawosławny senator Rzeczypospolitej Adam Kisiel. Ku temu stronnictwu wydawał się również skłaniać formalny przywódca państwa w okresie bezkrólewia, prymas M. Łubieński.

W sytuacji, gdy osłabiony wiekiem i chorobami prymas Łubieński mógł jedynie nominalnie sprawować funkcję interreksa, pozycję dominującą w państwie zdobył kanclerz Jerzy Ossoliński. Ten bardzo zdolny, ale i kontrowersyjny polityk, przez całe lata bardzo zgodnie współpracował z Władysławem IV, którego wydatnie wspierał w staraniach o wzmocnienie władzy królewskiej i zmianę formy rządów z monarchii elekcyjnej na dziedziczną. Niestety, oprócz zalet kanclerz miał też i wady, wśród których wymienić można nadmierną pychę oraz pogardę w stosunku do drobnej, a nawet i średniej szlachty, a także, co ważniejsze i w konsekwencji groźniejsze - nieliczenie się z prawami kraju, którego polityką kierował.

Jak mało ten najwyższy urzędnik państwa liczył się z jego prawami, świadczy

choćby to, że po śmierci króla nadal sprawował swój kanclerski urząd, mimo że - zgodnie z ówczesnymi przepisami - jego kompetencje kanclerskie powinny ulec zawieszeniu aż do wyboru nowego władcy. Ale z takimi „drobiazgami” Ossoliński nie liczył się zupełnie!

Program stronnictwa ugodowego był o wiele bardziej skomplikowany niż stronnictwa „jastrzębi” i, co gorsza, dość niejednolity. Jego głównym

161

założeniem, co do którego zgadzali się obaj przywódcy, było zakończenie działań zbrojnych na Ukrainie i rozpoczęcie rozmów pokojowych z Chmielnickim. Celem tych rozmów miało być doprowadzenie do zerwania sojuszu Kozaków z Tatarami i

podpisanie ugody między Rzeczpospolitą a Kozakami w oparciu o ugodę kurukowską.

Aby to osiągnąć, obiecywano Kozakom zupełną amnestię, a właściwie zupełną bezkarność. W jednym ze swoich pierwszych listów, wystosowanych po bitwie pod

Korsuniem do Chmielnickiego, senator Kisiel pisał:

„(...) Niceś nie poczynał (Chmielnicki - przyp. autora) przeciwko JKMci i Rzeczpospolitej”. Przyznajmy, że

po tym, co zaszło (i nadal się działo) na Ukrainie, to nader zaskakujące i zdumiewające stwierdzenie. Chyba sam Chmielnicki lekko zdumiał się, czytając te słowa!

Zgodnie z koncepcją warszawskich statystów, Chmielnicki po zerwaniu z Tatarami miał powrócić na Zaporozże (a więc w domyśle: pozostawić chłopów ukraińskich

swemu losowi), przysłać swych posłów do Warszawy,  
a wreszcie podpisać traktat  
pokojowy, kończący ostatecznie konflikt. Aby to  
osiągnąć, obiecywano  
Chmielnickiemu i Kozakom, oczywiście po powrocie  
do posłuszeństwa  
Rzeczypospolitej, przywrócenie dawnych swobód  
kozackich oraz odtworzenie dawnej  
liczby Kozaków rejestrowych.  
Co dalej jednak? Czy miała to być kolejna ugoda,  
których podpisano już w  
przeszłości wiele i których skuteczność była nader  
iluzoryczna, czy też wstęp do  
poważniejszych decyzji ustrojowych? Wydaje się, że  
w tym miejscu drogi  
Ossolińskiego i jego głównego sojusznika, Adama  
Kisiela, rozchodziły się; takie  
przynajmniej można odnieść wrażenie, analizując  
postępowanie jednego i drugiego.  
Wydaje się, że Ossoliński snuł ambitne plany  
przecignięcia Chmielnickiego i  
jego Kozaków na swoją stronę i dokonania, w  
oparciu o ich siłę, wyboru  
popieranego przez siebie elekta, a był nim Jan  
Kazimierz, brat Władysława IV.  
Można jednak sądzić, że nie był to kres zamierzeń  
kanclerza. Wiele symptomów  
wskazuje na to, że w oparciu o Chmielnickiego i  
jego Kozaków Ossoliński  
zamierzał zrealizować plany zmarłego króla -  
przeprowadzić swoistą rewolucję,  
która spowodowałaby wprowadzenie w Rzeczypospolitej  
może nie aż ab-solutum  
dominium, o którym tak chętnie gardłowała polska  
szlachta, ale na pewno  
dziedzicznego tronu i silnej władzy królewskiej.  
Cel wyznaczono właściwy, bo

naprawa ustroju Rzeczypospolitej była niewątpliwie konieczna. Czy jednak mogła zostać dokonana w ten sposób?

162

Na warszawskiej Pradze jest ulica Cyryla i Metodego, na której znajduje się Komenda Dzielnicowa Policji i w związku z tym, w pewnych kołach praskich, zbliżonych do bazaru Różyckiego, funkcjonuje powiedzenie: „Cyryl jak Cyryl, ale te jego metody...”. Powiedzenie to można śmiało odnieść do zamierzeń kanclerza: „cel jak cel - bardzo słuszny -ale te jego metody...”. Nie ma sensu i potrzeby rozwijać tego tematu, bo, na szczęście, nie wyszedł on poza fazę nie do końca nawet ujawnionych projektów; można co najwyżej westchnąć z ulgą, że tak się stało, bo gdyby plany te urzeczywistniły się, to na Rzeczypospolitą spadłoby siedem plag egipskich, wśród których wojna domowa ogarniająca terytorium całego państwa, zajmowałaby pewnie poczesne miejsce. Wszystko to świadczy o tym, że Ossoliński, podobnie jak jego zmarły mocodawca, nie zauważał, że czasami lekarstwo może być dla pacjenta groźniejsze niż choroba.

Tych planów zapewne nie akceptował sojusznik Ossolińskiego, Adam Kisiel. Dla niego najistotniejszą kwestią było uspokojenie sytuacji na Ukrainie. Kisiel znajdował się zresztą w sytuacji dość osobliwej, a na pewno delikatnej i trudnej. Był on, jak już wspomniałem, jedynym prawosławnym dygnitarzem w Rzeczypospolitej i chociażby z tej racji poczuwał się do obowiązku obrony interesów swych

współbraci w wierze. Ale Kisiel był również magnatem, kolegą innych magnatów, i ukraińskich, i polskich, nie mógł więc spokojnym i chłodnym okiem obserwować poczynania powstańców, a zwłaszcza chłopów ukraińskich, rabujących bezwzględnie wszystko, co się zrabować dało, w tym również jego włości. Nie był on zresztą szczególnym zwolennikiem samych Kozaków, choć zdawał sobie sprawę, że rozwiązanie problemów bractwa wymaga posunięć nie militarnych, które na dłuższą metę do niczego nie prowadzą, ale politycznych, ustrojowych.

Kisiel znajdował się więc w nader trudnej i niewdzięcznej sytuacji jako z jednej strony rzecznik interesów rzesz prawosławnych obywateli Rzeczypospolitej, a zatem również Kozaków i powiązanych z nimi chłopów ukraińskich, a z drugiej - członek „narodu szlacheckiego”, magnat ukraiński, którego interesy, tak jak i innych magnatów, zostały zagrożone. Z tej dwuznaczności wynikały trudne czasem do zrozumienia meandry polityki senatora. Dostrzegali ją również współcześni, dlatego też ciosy i gromy spadały na pana Adama i z jednej, i z drugiej strony.

163

Powróćmy jednak do naszych rozważań i spróbujmy ocenić realność planów stronnictwa ugodowego. Rzeczypospolita od dawna wymagała reform strukturalnych, a mówiąc konkretnie, powinna być już dawno przekształcona w Rzeczypospolitą Trojga Narodów z Rusią (nie lubię określenia „Ukraina”, bo wywodzi się ono z określenia



okraina czyli skraj, peryferia czegoś większego i ważniejszego) jako trzecim, równorzędnym i równoprawnym narodem. Od dawna też należało rozwiązać problem kozacki, nadając członkom bractwa status zbliżony do statusu szlachty (może na wzór rosyjski, niższego szczebla niż szlachta właściwa, rodowa?). Przeprowadzenie tak głębokich zmian wymagało jednakże właściwego momentu, a takim był rok 1638, po zdławieniu kolejnego powstania. Uspokojona Ruś z wdzięcznością przyjęłaby dobrodziejstwa płynące z takich rozwiązań, a tym samym byłyby one trwałe i mogły w konsekwencji uzdrowić cały organizm państwowy, chociażby dlatego, że przestałby istnieć ropień, systematycznie zatruwający tenże organizm. Zamiast więc stosować ostry terror, oparty na barbarzyńskiej zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, i uznawać Kozaków za w „chłopy obrócone pospólstwo”, należało pokonanym zaoferować sensowne rozstrzygnięcia polityczne, które rozwiązałyby problem ukraiński z pożytkiem i dla kraju, i dla całej Rzeczypospolitej. Niestety, nie zrobiono tego wówczas i właściwy moment minął, prawdę mówiąc, bezpowrotnie. A jeśli nawet nie, to na pewno takim właściwym momentem nie był rok 1648, bo do takich głębokich zmian w tamtym czasie nie była gotowa ani Rzeczpospolita, ani Ukraina. Zwycięstwa Chmielnickiego pod Żółtymi Wodami i Korsuniem upokorzyły Rzeczpospolitą i wyraźnie nadszarpnęły jej międzynarodowy

prestież. Tego się tak łatwo nie zapomina, taka sytuacja budzi chęć rewanżu, zwłaszcza jeśli do tego rewanżu namawia potężne lobby wypędzonych magnatów i szlachty ukraińskiej. Za odwetem przemawiały też docierające z Ukrainy wieści o rzeziach, mordach i torturach, stosowanych wobec szlachty, księży i zakonników katolickich oraz Żydów. A proszę mi wierzyć, że wieści tych wcale nie trzeba było koloryzować, aby robiły wstrząsające wrażenie zarówno w dworach szlacheckich, jak i w murach miast. Te bardzo konkretne przyczyny powodowały dość powszechną niechęć do koncepcji układania się z powstańcami. A były jeszcze co najmniej dwie inne kwestie, równie konkretne i równie ważne.

164

Pierwszą z nich byli Tatarzy. Strona polska mogła przystąpić do rokowań z Chmielnickim jedynie pod warunkiem zerwania przez niego sojuszu z chanem i odprawienia jego wojsk na Krym. Był to warunek wstępny, od którego uzależniano rozpoczęcie jakichkolwiek rozmów. Trudno odmówić władzom polskim racji. Tatarzy byli odwiecznym wrogiem Rzeczpospolitej; wrogiem, który spowodował w przeszłości wiele klęsk i nieszczęść, zarówno w czasie trwania „oficjalnych” konfliktów (Cecora), jak i w dorocznych bandyckich napadach. Nie bez znaczenia były również kwestie religijne oraz ogólne pryncypia ówczesnej polityki europejskiej, w której wciąż żywa była idea antytureckiej krucjaty, a Tatarzy byli przecież wasalami Turcji.

Jeśli jednak spojrzeć na całą sprawę od strony interesów Chmielnickiego i Kozaków, wyglądała ona zupełnie inaczej. Chmielnicki tego warunku wstępnego po prostu nie mógł spełnić, gdyż wówczas wydałby się na łaskę i niełaskę Rzeczypospolitej. Mieliśmy już okazję wspomnieć, że jedyną szansą Chmielnickiego na sukces było umiędzynarodowienie konfliktu i uzyskanie wartościowego pod względem militarnym sojusznika. Tę szansę wódz kozacki wykorzystał, przeciągając na swoją stronę Tatarów. Czy mógł się go teraz pozbawić, przyjmując w zamian bardzo niepewne i, powiedzmy szczerze, bardzo niekonkretne obietnice, które, nawiasem mówiąc, wychodziły od człowieka nie do końca uprawnionego do składania jakichkolwiek deklaracji w imieniu państwa, gdyż Ossoliński nie miał prawa w tym momencie kierować polską polityką zagraniczną? A jaką wódz kozacki mógł mieć gwarancję, że przyszły władca polski i przyszłe sejmy zaakceptują propozycje kanclerza?

Podobnie rzecz wyglądała z kwestią drugą, czyli chłopami ukraińskimi. Z pewnością Chmielnickiemu nawet przez myśl nie przeszło przeprowadzanie rewolucji socjalnej i los chłopów niezbyt go obchodził. Układ pańszczyźniany był dobrze ugruntowany w świadomości siedemnastowiecznych ludzi i nikomu wówczas nie przychodziło do głowy dokonywanie gruntowniejszych zmian w istniejącym układzie stosunków.

Ten układ był szczególnie trwały w tej części Europy, bo na zachodzie kontynentu

wyglądało to trochę inaczej. Tam już pojawiły się elementy gospodarki wczesnokapitalistycznej, rozpoczął się żywiołowy rozwój miast, jak grzyby po deszczu rosły manufaktury zatrudniające rzesze robotników, a to wymuszało rezygnację z poddaństwa i, co za tym idzie, z obciążeń feudalnych. W XVII wieku Europa była już wyraźnie podzielona

165  
na uprzemysławiający się szybko Zachód i rolnicze, a co za tym idzie, pańszczyźniane Centrum i Wschód (proces ten rozpoczął się zresztą znacznie wcześniej, bo już w XVI wieku). Kozacy na ogół też nie utożsamiali się z chłopami i uważali siebie za elitę, za „szlachetnie urodzonych”. Pamiętamy przecież, że właśnie kozackie aspiracje, by być szlachcą lub przynajmniej kimś na kształt i podobieństwo szlachty, stanowiły jeden z głównych powodów buntów i powstań. Z tych też powodów Chmielnicki zapewne niezbyt przejmował się losem swych chłopskich sojuszników i, przynajmniej w początkowej fazie swej wojny z Rzeczpospolitą, walczył głównie w obronie interesów kozackich, mścił ich krzywdy i pragnął zapewnić im jak najdalej idącą autonomię. Może nawet powstanie Państwa Kozackiego na części terytorium Ukrainy? Ostatecznie to w jego przeciwieństwie imieniu Tuhaj-bej sondował opinię wziętego do niewoli hetmana wielkiego Mikołaja Potockiego w sprawie autonomii kozackiej na Ukrainie aż po Białą Cerkiew. Później program Chmielnickiego uległ pod tym względem wyraźnej radykalizacji;

pojawiły się plany uzyskania zupełnej niepodległości („Wybiję z niewoli lackiej cały naród ruski” - deklarował buńczucznie), ale skonkretyzowanych haseł socjalnych nie było w nim nigdy, zwłaszcza w kwestii zniesienia poddaństwa i pańszczyzny. Wręcz przeciwnie, czasem Chmielnicki karał swych chłopskich sojuszników, jeśli ich radykalizm poszedł zbyt daleko i był mu nie na rękę; wtedy starał się część z nich odesłać do prac na roli. Tak było np. w 1649 roku, po ugodzie Zborowskiej, kiedy to nawet zachęcał szlachtę do powrotu do majątków. Wszystko to prawda, ale ten medal, jak zresztą każdy inny, miał dwie strony. W tym wypadku tą drugą była postawa zwykłych ukraińskich chłopów pańszczyźnianych, którzy z tego wszystkiego na ogół nie zdawali sobie sprawy. Dla nich Kozacy byli tymi, którzy walczą za ich krzywdy, o ich wolność i swobodę. Dlatego też tak żywiołowo i masowo poparli i Chmielnickiego, i Kozaków w walce z wojskami Rzeczypospolitej. Z jednej więc strony chłopci, masowo wstępujący do Wojska Zaporoskiego, byli na pewno dla Chmielnickiego obciążeniem, gdyż stawiali go w niekorzystnej sytuacji wobec strony polskiej (a i moskiewskiej również), z drugiej jednak, obeznani z bronią i z walką, do której zmuszali ich Tatarzy, oswojeni z niebezpieczeństwami czyhającymi na każdym kroku, byli cennymi sojusznikami, których Chmielnicki nie mógł i nie chciał się

pozbywać. Tym bardziej że było ich tak dużo. Wiemy przecież, że rzesze tych chłopów zasiliły szeregi Wojska Zaporoskiego, a były podobno całe połacie kraju, gdzie we wsiach pozostali jedynie starcy, kobiety i niedorostki.

Aby dogadać się z Rzeczpospolitą, Chmielnicki musiałby zezwolić szlachcie i magnatom ukraińskim na powrót do ich majątków, taki był kolejny warunek wstępny wszelkich pertraktacji. Można przypuszczać, że Chmielnicki i jego Kozacy nie mieliby żadnych oporów ideowych przed takim rozwiązaniem, a może nawet, z pewnych względów, chętnie zapędziliby swoich sojuszników z powrotem do pługów.

Ostatecznie armia musiała coś jeść, a w roku 1649 stanęło przed Ukrainą widmo głodu, gdyż w zwycięskim, „dumnym i chmurnym” roku 1648 na roli pracowało niewiele. Tyle że w zaistniałej sytuacji po prostu nie mogli sobie na taki krok pozwolić.

Wciąż też pozostaje otwarte pytanie, czy zawarcie ugody z Rzeczpospolitą w ogóle leżało w planach Chmielnickiego. Odpowiedź na to pytanie jest trudna, gdyż, prawdę mówiąc, bardzo mało o tych planach wiemy. Można przypuszczać, że uciekając na Zaporozże i wiążąc się sojuszem z Krymem, Chmielnicki liczył oczywiście na sukces militarny, w przeciwnym razie nie rozpoczynałby przecież walki, ale... Nawet najambitniejszy zamiar ma swoje granice, osobiście jestem więc przekonany, że Chmielnicki liczył na to, iż po stoczeniu iluś tam bitew

zmusi Rzeczpospolitą do zawarcia korzystnej dla Kozaków ugody, i że to był pułap jego ówczesnych planów i zamierzeń. A może miał nadzieję na to, że do walki w ogóle nie dojdzie? Może liczył na zawarcie ugody, zanim poleje się krew? Czy były na to szanse? Tak, myślę, że Chmielnicki mógł zupełnie realnie na takie rozwiązanie liczyć! Kozacy dość powszechnie sądzili, że król im sprzyja, a Chmielnicki miał przecież okazję na własne uszy słyszeć opowieści Władysława IV o jego planach i zamierzeniach, również w sprawie Zaporozża i roli, jaką Kozacy mieli w tym wszystkim odegrać... Miał więc prawo liczyć na życzliwość i wsparcie, zarówno monarchy, jak i jego kanclerza (wiemy, że z polecenia Władysława IV Ossoliński był na Ukrainie po śmierci Stanisława Koniecpolskiego, ale nie wiemy, z kim i o czym rozmawiał ani też jaki był ostateczny rezultat tych rozmów). Może więc wódz kozacki liczył na to, że król zdaży przybyć na Ukrainę, zanim dojdzie do starcia? No i tu właśnie po raz kolejny pojawia się

167

problem Tatarów. Chmielnicki znał królewskie plany likwidacji Krymu i wojny z Turcją; uczestniczył przecież w tajnej naradzie na Zamku. Wiedział, że Władysław marzy o sprowokowaniu Tatarów do napaści na Rzeczpospolitą, aby potem wojnę obronną przekształcić w atak na Krym, a nawet dalej, na Turcję (wiemy, że Władysław tak naprawdę nigdy, aż do śmierci, nie zrezygnował ze swoich „planów

tureckich"). Wejście Tuhaj-beja, a potem samego chana z wojskiem w granice Rzeczypospolitej byłoby dla Władysława wymarzonym casus belli, którego nie udało się osiągnąć rok wcześniej, w trakcie „tajemniczych” wypraw Aleksandra Koniecpolskiego i Jeremiego Wiśniowieckiego w stepy.

Może więc Chmielnicki liczył na to, że król wykorzysta okazję, porozumie się z nim, spełni postulaty Zaporozców, powiększy liczbę Kozaków rejestrowych, a następnie, na czele powiększonej armii koronnej, wzmocnionej doborowymi chorągwiami ukraińskich królewiat - Wiśniowieckiego i Koniecpolskiego, no i oczywiście Wojskiem Zaporoskim, uderzy na chanat? Oczywiście, wymagałoby to od przywódcy kozackiego dokonania spektakularnego „odwrócenia sojuszy”, ale wydaje mi się, że to akurat nie spędzało mu snu z powiek. Chmielnicki zyskał sobie w historii dobrze ugruntowaną sławę człowieka, któremu takie „drobiazgi”, jak łamanie własnych przysiąg i zrywanie przymierzy nigdy nie sprawiało trudności, jeśli tylko przynosiło korzyści i prowadziło do celu.

Fantazja? Tak, być może, ale czy tak zupełnie pozbawiona realnych podstaw? Czy możemy być pewni, że podobne zamierzenia nie chodziły kozackiemu hetmanowi po głowie? Nie zapominajmy, że Chmielnicki był politykiem dalekowzrocznym, obdarzonym wyobraźnią, a ponadto jak mało kto lubiącem hazardowe gry polityczne.

Już wkrótce okazało się, że rzeczywistość wyróciła te zamierzenia „na nice”



(zakładając oczywiście, że one w rzeczywistości istniały). Mikołaj Potocki, wbrew zaleceniom Władysława, zbyt wcześnie rozpoczął działania zbrojne, bo jeszcze zanim król zdążył przybyć na Ukrainę. Doszło do bitwy pod Żółtymi Wodami i klęski młodego Potockiego, a potem fala poniosła i Chmielnickiego, i hetmana koronnego, i ich wojska. Bunt zaczął się rozszerzać na całą Ukrainę. Potocki, wbrew swym początkowym zamierzeniom, nie wycofał się poza Słucz i doszło do pogromu pod Korsuniem. I wreszcie, co najważniejsze, śmierć, nieoczekiwanie i chyba przedwcześnie, zabrała władcę Rzeczypospolitej, zanim mógł on cokolwiek przedsięwziąć.

168

Sukcesy militarne zapewne przerosły oczekiwania Chmielnickiego i, paradoksalnie, utrudniły mu rozmowy z Rzeczypospolitą, a prawdę mówiąc, postawiły pod znakiem zapytania możliwość zawarcia układu z Rzeczypospolitą. Mówiąc obrazowo, w 1648 roku kozacki hetman „nadepnął bezkarnie lwu na ogon”, ale przecież lwy z tego powodu nie umierają. Chmielnicki bardzo dobrze orientował się w potencjale państwa i zdawał sobie sprawę z faktu, że może ono łatwo nie tylko odbudować, ale wręcz zwielokrotnić swe siły zbrojne, a żołnierze polscy cieszyli się wówczas zasłużoną sławą jednych z najlepszych w Europie. Nie mógł więc wódz kozacki być pewny, czy propozycje, które płynęły do niego z Warszawy, nie są li tylko robieniem dobrej miny do złej gry i zwykłą próbą zyskania na czasie. Nie

mógł też być pewien, czy Rzeczpospolita, jeśli przetrwa kryzys i wybierze nowego króla, nie wystawi mu „rachunku krzywd” i nie zażąda zapłaty. A to wiązało mu ręce zarówno w stosunku do Tatarów, jak i chłopów, bo oznaczało, że samozwańczy (w oczach Rzeczpospolitej) hetman kozacko-ukraiński nie mógł spełnić obydwu wstępnych warunków, a bez tego nie można było przystąpić do pertraktacji.

W konsekwencji powstało więc swoiste błędne koło wzajemnych pretensji, urazów i nieufności, z którego ani Chmielnicki, ani Rzeczpospolita nie potrafili, a prawdę mówiąc nie mogli wyjść.

Nie zapominajmy też, że „apetyt rośnie w miarę jedzenia”, jak słusznie mówią Francuzi, i pierwotny program powrotu do sytuacji sprzed Ku-mejek mógł się po Żółtych Wodach i Korsuniu wydać hetmanowi zbyt skromny. A w gruncie rzeczy tylko to mogła mu zaofiarować Rzeczpospolita, nie dając w dodatku żadnych gwarancji, że będą to rozwiązania trwałe. Mówiąc inaczej, wiele wskazuje na to, że w roku 1648 opór przed zawarciem traktatu pokojowego istniał po obu stronach konfliktu, ale kto wie, czy po stronie kozackiej nie był on silniejszy.

Jak z tego wynika, po pogromie hetmanów i zajęciu większej części Ukrainy, Chmielnicki mógł szczerze pragnąć jedynie zawieszenia broni, bo jedynie ono nie przekreślało jego sojuszy, a dawało mu czas niezbędny do uporządkowania armii, wcielenia do niej luźnych gromad chłopskich i wdrożenia ich do dyscypliny, a

także, co również było istotne, na rozszerzenie powstania na pozostałe tereny Ukrainy.

Rozejm był Chmielnickiemu potrzebny także dlatego, że chwilowo był on pozbawiony wsparcia koalicjanta. Po zagarnięciu ogromnych łupów

169

i jeszcze większego jasyru, chan, a wraz z nim większość ordy, odeszli na Krym.

Na ich powrót trzeba było czekać, a bez nich hetman kozacki obawiał się starć z wojskami koronnymi. Konsekwentnie więc dążył do uspokojenia sytuacji. Słał do

Warszawy swoich posłów, którzy mieli tam przedstawiać zarówno rejestry

ukraińskich krzywd, jak i przypominać o obietnicach złożonych Kozakom przez

zmarłego króla. Zapewniał władze Rzeczypospolitej, a zwłaszcza Ossolińskiego i

Kisiela, o swoich dobrych, pokojowych intencjach, zgadzał się na rozmowy

pokojowe i obiecywał powściągnąć swych pułkowników. Ile jednak było w tym prawdy,

a ile kłamstwa obliczonego na wprowadzenie przeciwnika w błąd, wiedział tylko on

sam. A może i on nie był jeszcze wówczas całkiem pewien swych planów i zamierzeń?

I czy w takich warunkach możliwe było w ogóle szczerze i trwałe porozumienie?

Nie przerywając rozmów pokojowych, Chmielnicki próbował też neutralizować

operującego jeszcze na Ukrainie ks. Jeremiego Wiśniowiec-kiego, proponując mu

najpierw, tuż po Korsuniu, pozostanie na Zadnieprzu. Aby uprawdopodobnić swoją

dobrą wolę, posunął się nawet do pokazowego ukarania kilku uczestników szturm

na Lubnie - stolicę zadnieprzańskiego państewka Wiśniowieckiego. Dawał też, co prawda w sposób zawołowany, księciu do zrozumienia, że mógłby odegrać w tym konflikcie rolę mediatora. Wiśniowiecki okazał się jednak trudną muchą; na ten lep wziąć się nie dał i kontynuował odwrót z Zadnieprza, a za nim posuwały się silne grupy kozacko-chłopskie, z których najsilniejsza pozostawała pod dowództwem Krzywonosy. Miały one w gruncie rzeczy spełnić dwa zadania: rozszerzyć zasięg powstania i śledzić ruchy dywizji księcia, a w razie zaistnienia sprzyjających okoliczności - rozgromić go. A wszystko to rzekomo na własną rękę, bez zgody hetmana. Ot, zwykła samowolka niekarnych elementów, które zawsze mogą się znaleźć w powstańczej armii. W tym miejscu dochodzimy do jeszcze jednego, istotnego elementu politycznej układanki z roku 1648 roku, czyli do działań ks. Jeremiego. Zdaniem wielu historyków, to one były czynnikiem, który w sposób istotny zaważył na rozwoju ówczesnej sytuacji, a konkretnie: uniemożliwił zrealizowanie pokojowych programów i Ossolińskiego, i Chmielnickiego. Pretensje wielu badaczy XVII-wiecznej historii Ukrainy i Rzeczypospolitej spuentował znany historyk Władysław Konopczyński, pisząc o Jeremim, że „(...) pobić się nie dał, wojny też nie rozstrzygnął, a pokój

170

uniemożliwił". To na pewno kapitalne zdanie, tyle tylko, że nie do końca słuszne.

Spróbujmy więc dokonać jego logicznego rozbioru.

Po pierwsze - Wiśniowiecki musiał wycofać się z Zadnieprza, gdyż pozostawanie na tym terenie oznaczało, mówiąc wprost, samobójstwo. A chyba trudno mieć pretensje do księcia, że się w czasie tego odwrotu nie dał pobić! Tego chyba nie można było od niego wymagać, a pretensje można co najwyżej zgłaszać do tych, którzy próbowali go pobić.

Po drugie - zarzut, że wojny nie rozstrzygnął, też jest, delikatnie rzecz ujmując, mało uzasadniony, a raczej zupełnie niesprawiedliwy (przypomina pretensje do garbatego o to, że... jest garbaty). Jeremi latem 1648 roku dysponował doborową dywizją, liczącą około 6000 żołnierzy. Była to siła znaczna, która, być może, mogła zadecydować o wyniku bitwy pod Korsuniem, zbyt słaba jednak, by podjąć samodzielną walkę - i mieć szansę na sukces - z kozacko-chłopską armią Chmielnickiego, siłą, która po Korsuniu uległa znacznemu zwiększeniu i liczyła ponoć ponad 40 000 ludzi. Była to siła potężna, zwłaszcza że w każdej chwili mogła ulec wzmocnieniu poprzez wchłonięcie licznych band chłopskich.

No i wreszcie po trzecie - zarzut najpoważniejszy - uniemożliwienia pokoju. Otóż i w tym względzie nasz wybitny historyk i zwolennik koncepcji politycznych kanclerza Ossolińskiego nieco się, przynajmniej moim zdaniem, myli. O obiektywnych trudnościach w zawarciu trwałego pokoju, istniejących po obu stronach konfliktu, już wspominaliśmy. A jak na tym ogólnym tle rysuje się

działalność Jeremiego Wiśniowieckiego w lecie 1648 roku? Rzeczywiście, wycofując się z Zadnieprza i maszerując potem przez Ukrainę w kierunku na Wołyń, stoczył on szereg większych i mniejszych potyczek, z których istotne znaczenie można przypisać jedynie trzydniowej, nierozstrzygniętej bitwie pod Starym

Konstantynowem z atamanem Maksymem Krzywonosem, bo cała reszta były to drobne starcia lub wręcz propagandowe bajki<sup>38</sup>. Mogło to istotnie sprawić

38 Do takich należy zaliczyć choćby historię zdobycia przez księcia Niemirowa.

Przed jego przybyciem miasto zostało zajęte przez powstańców i oni też zostali w

większości skazani na śmierć po wkroczeniu

książęcych wojsk. Przy okazji książę

uratował sporo ludności żydowskiej, która zdażyła uciec z miasta i schronić się

w lasach. Odchodząc z miasta, Wiśniowiecki

pozostawił na miejscu liczący około

100 żołnierzy oddział własnej dragonii, mający za zadanie zgromadzenie

potrzebnej żywności. Jednakże mieszkańcy Niemirowa dali o tym znać kręcącym się

w pobliżu Kozakom, którzy obiegli miasto i po 4 dniach, gdy obrońcom zabrakło

kul i prochów, zdobyli je, wycinając w pień

171

wrażenie, że „uniemożliwił pokój”, że „tępiąc bez litości hultajstwo”<sup>39</sup>, stał

się kroplą, która przelała kielich. Z drugiej strony wiadomo przecież, że „do

tanga trzeba dwojga”, i że pod Machnówką, a

zwłaszcza pod Konstantynowem z

dywizją księcia nie walczyły luźne grupy

chłopskie, ale pułki kozackie!

Oznaczało to, że Chmielnicki zezwalał na rozszerzanie się powstania na tereny dotąd nim nieobjęte (tenże sam Konopczyński - zresztą przyznaje, że „(...) tymczasem bunt, nawet po odejściu Tatarów do Krymu, szerzył się dalej, więc i samoobrona nie mogła ustawać”, czyż więc Jeremi nie miał prawa włączyć się do tej samoobrony i „bronić na własną rękę fortun szlacheckich”? Zwłaszcza że o rozmowach w Warszawie i Białej Cerkwi nic, a przynajmniej niewiele wiedział. Wiedział natomiast, że Chmielnicki wysyłał setki emisariuszy na tereny jeszcze nieobjęte powstaniem, aby nakłaniali ich mieszkańców do przystąpienia do powstania. Wiedział również o podziale armii na trzy grupy, z których jedna, w sile około 10 000 Kozaków pod dowództwem Krzywonosy, posuwała się cały czas w ślad za jego dywizją i starała się zdobyć nieopanowane do tej pory miasta (22 lipca Krzywonos zdobył po kilkudniowym oblężeniu Połonne, wówczas ważne i silnie obwarowane miasto, a to trudno uznać za „pokojowy manifest”). Miał więc podstawy, aby sądzić, że wojna trwa i należy zwalczać nieprzyjaciela wszędzie, gdzie tylko się da.

Proszę mi wierzyć, że nie staram się bronić Wiśniowieckiego, który miał wiele zalet, ale i mnóstwo wad, nie sądzę wszelako, aby zasługiwał na jednoznaczne potępienie jako wyjątkowy warchoł (a tak często Jeremiego przedstawiano), który jedynie dla własnej korzyści uniemożliwił realizację rozumnego planu

Ossolińskiego. Po pierwsze, nie do końca jestem pewien, czy plan ten w 1648 roku nadawał się do realizacji, a więc cały oddział. Na podkreślenie zasługuje fakt, że dragonia ta składała się wyłącznie z Rusinów! Świadczy to wymownie o tym, że książę mógł liczyć na wierność własnych oddziałów niezależnie od narodowości służących w nich żołnierzy. Dowiedziawszy się o tej klęsce, Jeremi wysłał silny, liczący około 1500 żołnierzy oddział, z zadaniem zdobycia Niemirowa i ukarania mieszczan. Plan ten nie powiódł się jednak, gdyż Kozacy mocno i skutecznie się ufortyfikowali. Wszelkie zatem opowieści o wykluwaniu oczu, krzyżowaniu itd. mieszczan niemirowskich są tylko propagandą. Podaję [za:] M. Baliński, T. Lipiński, Starożytna Polska, t. 2, cz. 2 Warszawa 1845, s. 1377-1378. 39 W. Konopczyński, Dzieje Polski Nowożytnej, Warszawa 1986, s. 5. 172

czy był rzeczywiście rozumny, a po drugie... Taka po prostu była nasza ówczesna elita, a więc szlachta i magnateria, której wprowadzie „dobro Rzeczypospolitej” nie schodziło z ust, ale która zawsze oceniała je poprzez pryzmat własnych interesów. Pod tym względem Ossoliński i Kisiel niewiele, jeśli w ogóle, różnili się od Jeremiego. Czyż zresztą dziś jest inaczej, czy my, ludzie XXI wieku, tak bardzo się pod tym względem różnimy od ludzi z wieku XVII, że mamy moralne prawo ich krytykować? Wcale nie jestem tego pewny... Książę był na pewno postacią nietuzinkową znacznie wyrastającą ponad



przeciętność, toteż i jego wady, podobnie jak zalety, ponad tę przeciętność wyrastały. Może dlatego właśnie tak bardzo go w „narodzie szlacheckim” kochano i podziwiano, bo w Jeremim Wiśniowieckim, jak w soczewce, skupiały się cechy ówczesnej naszej szlachty - zarówno te dobre, jak i złe. Tak jak ona, był zdolny zarówno do największych poświęceń, jak i największego warcholstwa, ba, nawet łotrostwa, ale że i w jednym, i drugim, i trzecim znacznie przerastał zwykłego, szlacheckiego Kowalskiego, stał się więc jego idolem i z tego też powodu cały ogień dzisiejszej krytyki pod adresem XVII-wiecznej szlachty i magna-terii skupia się na księciu.

Odnoszę ponadto wrażenie, że działania Wiśniowieckiego i Krzywonosy (a i samego Chmielnickiego również) to jakby dwie strony tego samego medalu i świadczą dokładnie o tym samym. O tym, że obie strony konfliktu nie ufały sobie i nie miały wobec siebie szczerych intencji, i że po obu stronach istniały silne tendencje do kontynuowania wojny aż do zniszczenia przeciwnika. Moim więc zdaniem W. Konopczyński powinien swój zarzut o „uniemożliwienie pokoju” kierować pod adresem obu stron, zarówno Wiśniowieckiego, jak i Krzywonosy oraz stojącego za nim Chmielnickiego.

Trzydniowa bitwa pod Starym Konstantynowem między oddziałami Maksyma Krzywonosy a dywizją Jeremiego to pierwsze większe starcie między siłami - umownie nazwijmy je polskimi - a Kozakami, warto więc poświęcić mu nieco uwagi.

24 lipca Jeremi otrzymał informację od dowódcy oddziału gwardii królewskiej Samuela Osińskiego oraz dowódcy prywatnej piechoty ks. Dominika Zasławskiego, którzy stacjonowali w okolicy Konstantynowa, że oddziały Krzywonosy zamierzają zaatakować to miasto. Informacja zapewne nie zdziwiła księcia, gdyż o armii Krzywonosy, posuwającej się

173

cały czas jego śladem i zajmującej tereny nieobjęte do tej pory powstaniem, wiedział od dawna. Wiedział również o obecności obu oddziałów w okolicy miasta, bo już 20 lipca zwracał się do nich z propozycją połączenia obu ich oddziałów z jego dywizją, aby przejść do kontrofensywy i odrzucić Krzywonosy od Połonnego. Obaj dowódcy odmówili, zasłaniając się brakiem stosownych rozkazów, jednakże w zmienionej sytuacji, zagrożeni przez postępującego szybko Krzywonosy, zwrócili się do księcia z prośbą o pomoc. Po połączeniu dywizji księcia (wzmocnionej uprzednio szczupłym oddziałem wojewody kijowskiego Janusza Tyszkiewicza) z oddziałem gwardii Osińskiego liczącym około 1200 żołnierzy, oraz z piechotą Koryckiego, Jeremi Wiśniowiecki miał do swojej dyspozycji 7000-8000 żołnierzy. Bardzo trudne jest natomiast ustalenie, nawet w przybliżeniu, liczebności korpusu Krzywonosy. Z materiałów źródłowych wynika, że miał on pod swymi rozkazami około 50 000 Kozaków i „czerni” ukraińskiej, liczba ta wydaje się jednak wysoko zawyżona. Sądzę, że

korpus Krzywonosy nie mógł liczyć więcej niż 15 000-20 000 Kozaków i chłopów, w luźnych oddziałach idących razem z pułkami kozackimi. Oznacza to, że pułkownik kozacki dysponował sporą przewagą liczebną, zapewne ponaddwukrotną. Dla strony polskiej istotny był jednak fakt, że korpus kozacki nie miał wsparcia czambułów tatarskich.

Miało to chyba decydujący wpływ na decyzję Wiśniowieckiego o podjęciu walki mimo liczebnej przewagi przeciwnika, który w dodatku zajmował lepszą pozycję, gdyż obóz książęcy usytuowany był na lewym, niższym brzegu Słuczy, natomiast korpus Krzywonosy nadchodził od strony prawego brzegu, zdecydowanie górującego nad przeprawą. Wszystko wskazuje na to, dowódca kozacki zdawał sobie sprawę z możliwości takiego ukształtowania terenu, jak to, na którym miało dojść do starcia, gdyż wysunął do przodu jazdę kozacką, natomiast tabor, piechota zaporoska i oddziały chłopskie maszerowały z tyłu. Łatwo więc można było się domyślić, że zamierza sforsować Słucz siłami samej jazdy i odrzucić siły książęce poza miasto, które, gdyby ten manewr się powiódł, zostałyby następnie zdobyte przez piechotę zaporoską; pewnie bez większego wysiłku, gdyż wiemy skądinąd, że większość mieszczan konstantynowskich sprzyjała powstańcom.

Przewidując taki rozwój sytuacji, Wiśniowiecki postanowił utrudnić przeciwnikowi przeprawę przez rzekę. Konstantynów zajęła silna zało-

ga, złożona głównie z piechoty, natomiast chorągwie jazdy i dragonii oraz pozostałą piechotę polski dowódca ustawił rozwiniętym frontem wzdłuż rzeki Słuczy, obsadzając bród na niej dodatkowymi chorągwiami dragonii gwardii i artylerią.

Bitwa rozpoczęła się 26 lipca w godzinach popołudniowych. Jazda Krzywonośa spędziła wysłany na drugi brzeg oddział polskich harcowników i rozpoczęła forsowanie brodu. Jej atak załamał się jednak w ogniu polskich muszkieterów oraz kilku działek regimentowych, którymi dysponował Osiński, dowódca gwardii królewskiej. Do walki włączyła się również artyleria dywizji Wiśniowieckiego, ustawiona na prawym skrzydle. Kozacy nie wytrzymali zmasowanego ognia i przerwali natarcie.

Wówczas rozpoczął się kontratak polskiej jazdy, podjęty przez Gabriela Kasaka, dowodzącego 300-osobowym oddziałem. Za nim poszło kilka dalszych chorągwi, które uderzyły z takim impetem, że jazda kozacka zaczęła się mieszać i cofać w kierunku własnego taboru. Był to moment przełomowy bitwy, doskonale wykorzystany przez polskiego dowódcę; szarża pozostałych chorągwi polskiej kawalerii, prowadzona osobiście przez Wiśniowieckiego, odrzuciła jazdę kozacką od brzegu rzeki i zmusiła ją do ucieczki aż do taboru, który znajdował się około półtorej mili od brzegu Słuczy.

Na zdobywanie taboru samą tylko jazdą książe oczywiście się nie zdecydował,

obsadzono więc jedynie wzgórze, górujące nad kozackim obozem, i czekano na nadejście piechoty, która na placu boju pojawiła się dopiero pod wieczór. W tym momencie w polskim sztabie powstały wyraźne rozbieżności: Jeremi, mimo zapadających ciemności, chciał kontynuować walkę i atakować tabor natychmiast, natomiast Tyszkiewicz był temu zdecydowanie przeciwny i upierał się, aby poczekać z tym do rana. Ostatecznie przeważało ostrożne stanowisko wojewody kijowskiego i oddziały polskie wycofały się do obozu.

Pierwszy dzień bitwy zakończył się niewątpliwie sukcesem strony polskiej. Mimo przewagi liczebnej, Krzywonos nie zdołał zdobyć przeprawy na Słuczy, a od nieuniknionej klęski w przypadku rozerwania taboru przez polską piechotę uratowała go opieszałość tej formacji, która - jeśli się weźmie pod uwagę niewielkie przecieź odległości - maszerowała zadziwiająco wolno i przybyła dopiero wtedy, gdy dzień się kończył, a był to przecieź lipiec, czas długich dni i krótkich nocy. Kozacy ponieśli znaczne straty w ludziach; podobno stracili około 2000 ludzi, a także wiele

175

sztandarów, w tym sporo polskich, zdobytych pod Korsuniem, m.in. chorągiew hetmańską Calinowskiego.

Wśród jeńców, którzy wpadli w ręce polskie, znajdował się setnik kozacki Połujan. Miał on sporo informacji na temat Krzywonosa, posiadanych przez niego sił, jego

planów i zamierzeń. W trakcie przesłuchania zdradził też, że Chmielnicki z całą swoją armią idzie w ślad za Krzywo-nosem, który otrzymał zadanie zatrzymania księcia pod Konstantynowem do czasu nadejścia sił głównych. Wieść ta wywołała zrozumiałą nerwowość w polskim sztabie, gdyż, jak powiedział Osiński:

„Porachowaliśmy się z sobą, że Krzywonosą zatrzymać możemy, którego rachują na 50 000, ale Chmielnickiemu podołać niepodobna”. W tej sytuacji cały dzień następny w polskim obozie upłynął na niekończących się naradach, których głównym tematem było: czy realizować plan z dnia poprzedniego i mimo informacji Połujana zaatakować tabor (za czym optował Wiśniowiecki), czy też wycofać się na zachód i, po wzmocnieniu, „iść ku nieprzyjacielowi znowu w oczy”. Ostatecznie zwyciężyło zdanie oponentów z Tyszkiewiczem na czele.

Pod koniec dnia sztab polski otrzymał kolejne wiadomości, z których wynikało, że Krzywonos otrzymał posiłki w liczbie około 20 000 Kozaków i chłopów ukraińskich.

Liczba ta, jak wszystkie inne, dotyczące liczebności wojsk nieprzyjacielskich, była zapewne znacznie przesadzona. Wywarła jednak należyte wrażenie na sztabie polskim i przesądziła ostatecznie o decyzji wycofania się spod Konstantynowa w kierunku na Kołczyn.

Odwrót rozpoczęto w dniu następnym, tj. we wtorek, 28 lipca rano. Pierwszy, jak zwykle, wymaszerował tabor chroniony przez piechotę i artylerię. Nad brzegiem Słuczy pozostała natomiast cała jazda (wzmocniona dodatkowo gwardią Osińskiego),

stanowiąca zabezpieczenie przed ewentualnym uderzeniem nieprzyjaciela. Miała ona rozpocząć odwrót dopiero wówczas, gdy tabor, artyleria i piechota oddała się na dostateczną odległość. Ta ostrożność okazała się ze wszech miar uzasadniona, bo w chwili, gdy również reszta korpusu polskiego już miała wyruszyć za taborem, pozostawiając w pobliżu brodu, jako straż tylną, jedynie dragonie, na drugim brzegu rzeki pojawiły się oddziały kozackie. Oznaczało to, że Krzywonos, wzmocniony posiłkami i nadzieją na nadejście armii głównej, nabrał animuszu i postanowił jeszcze raz uderzyć na polskie oddziały, aby zadać znienawidzonemu księciu ostateczną klę-

176

skę. Wódz kozacki musiał jednak wyciągnąć wnioski z niepowodzeń pierwszego dnia bitwy, gdyż tym razem nie atakował już samą tylko jazdą. Wojska kozackie zostały ustawione szerokim frontem, razem z taborem, który zajął prawe skrzydło, jazdą na lewym skrzydle i artyleriaw centrum. Wiśniowiecki, widząc nadciągające wojska nieprzyjaciela, powstrzymał odwrót swojej jazdy i ustawił ją wzdłuż brzegu Słuczy. Prawe skrzydło zajęły oddziały wojewody Tyszkiewicza, w centrum, wzdłuż brodu na Słuczy, ustawiono dragonie gwardii pod dowództwem Osińskiego, natomiast na lewym skrzydle stanęła cała książęca jazda. Dowodzący bitwą Wiśniowiecki towarzyszył swojej jeździe na lewym skrzydle.

Bitwa przebiegała według dość dziwnego scenariusza. Rozpoczęła się od ostrzału

przez artylerię kozacką broniących brodu muszkieterów Osińskiego. Tym razem jednak puszkarze kozaccy nie potwierdzili swej na ogół bardzo dobrej opinii i fatalnie pudłowali. Mimo to jednak w pewnym momencie książę dał sygnał do odwrotu. Rozpoczęła go dragonia, a po chwili, w ślad za nią, ruch do tyłu rozpoczęły również oba skrzydła szyków polskich. Krzywonos, obserwujący manewry polskich oddziałów, wziął je prawdopodobnie za początek ogólnego odwrotu nieprzyjaciela i postanowił zaatakować, podobnie jak pierwszego dnia, samą jazdą. Można by rzec, że kozacki dowódca precyzyjnie realizował plan... Wiśniowieckiego, albowiem gdy już kilkanaście tysięcy jazdy kozackiej przekroczyło Słucz, oddziały polskie przerwały odwrót, zmieniły front i zaatakowały sotnie, które już zdążyły sforsować bród.

Szarża była tak gwałtowna, że po krótkim oporze jazda kozacka ustąpiła z pola i wycofała się pod osłonę artylerii i taboru, które znajdowały się wciąż po drugiej stronie Słuczy. Krzywonos wpadł więc w zastawioną na niego pułapkę i został dość mocno skarcony. Niczego go to jednak nie nauczyło i gdy chorągwie polskie, po wyparciu sotni kozackich, wycofały się na lewy brzeg Słuczy, zaatakował znów całą siłą swej jazdy. Skutek okazał się taki sam jak poprzednio. Sotnie kozackie znów zostały wyparte za rzekę, po czym chorągwie polskie wycofały się. Dowódca kozacki należał jednak do ludzi niezwykle upartych, gdyż po



uporządkowaniu swych oddziałów, nie bacząc na dwie dotychczasowe porażki, podjął jeszcze jedną próbę rozbicia szyków polskich. Tym razem jednak kontratak poprowadził osobiście J. Wiśniowiecki, a chorągwie 177

polskie po odparciu nieprzyjaciela nie zaprzestały pościgu i uderzyły w centrum ugrupowania kozackiego. Uderzenie było bardzo silne; wycięto wszystkich kozackich artylerzystów, a jeden z polskich dowódców, Osiński,, zanotował, że „(...) trup na trupie gęsto aż do przeprawy leżał, jako białym płótnem pole okrył”. Zdobyto również pięć dużych dział i cztery mniejsze. W ręce Polaków wpadły też 22 nowe chorągwie. Teraz nad Krzywonosem i jego korpusem naprawdę pojawiło się widmo klęski. W wyniku gwałtownego natarcia polskiej kawalerii lewe skrzydło i centrum frontu kozackiego przestały istnieć, a na placu boju pozostał jedynie, podobnie jak pierwszego dnia, tabor kozacki, obsadzony piechotą. Wiśniowiecki chciał, korzystając z ogólnego rozprężenia, a nawet wyraźnych objawów paniki w oddziałach kozackich, wykorzystać impet natarcia i zaatakować tabor siłami samej jazdy. Podobnie jak pierwszego dnia, i tym razem swojego zamiaru nie zrealizował, ulegając namowom i perswazjom wojewody Tyszkiewicza.

Atak siłami samej jazdy na tabor to oczywiście operacja bardzo ryzykowna, rzecz by można: pokerowa. Sądzić jednak należy, że tym razem racja leżała po stronie

księcia, gdyż oznaki paniki w obozie kozackim były wyraźne, a jak zeznali więci później do niewoli Kozacy, nastroje w taborze były tak fatalne, że Kozacy i czerń byli gotowi się poddać (podobno rozważali nawet możliwość wydania Polakom Krzywonos). Miał więc sporo racji kronikarz Maskiewicz, który skwitował całą sytuację zdaniem: „Prawie się to może rzec o nim (Tyszkiewicz -przyp. autora) dawne przysłowie: Książę złotem napisał, a wojewoda gównem przypieczętował”. Na tym w zasadzie bitwa pod Konstantynowem się zakończyła. Chorągwie polskie wycofały się w ślad za własną piechotą w kierunku na Kołczyn, natomiast Krzywonos, maszerując bardzo ostrożnie i cały czas pod osłoną taboru, który okopywano na każdym postoju wałami, doszedł do Konstantynowa i bez specjalnego oporu zajął miasto. Bitwa pod Starym Konstantynowem należy do tych bitew (a nie brakowało ich w historii), po zakończeniu których obie walczące strony ogłaszały się zwycięzcami i... miały rację. W przypadku Konstantynowa Krzywonos mógł uznać się za zwycięzcę, gdyż to on pozostał panem placu boju i, przynajmniej formalnie, osiągnął cel operacji, czyli zdobył Konstantynów. Nie osiągnął jednakże celu faktycznego i podstawowego, jakim było rozbitcie wojsk Wiśniowieckiego. Wręcz przeciwnie, mimo 178 sporej przewagi liczebnej, przegrał wszystkie bezpośrednie starcia, poniósł

znaczne straty w ludziach, (prawdopodobnie co najmniej 2000-3000 zabitych) i jedynie interwencji wojewody kijowskiego zawdzięczał, że jego korpus nie został zupełnie rozбитo.

Wiśniowiecki również mógł uważać się za zwycięzcę, gdyż skutecznie stawiał czoła co najmniej dwukrotnie (a w trzecim dniu bitwy przewaga liczebna wojsk kozackich była zapewne jeszcze większa) liczniejszemu przeciwnikowi i zadał mu poważne straty w ludziach, przy minimalnych stratach własnych. Maskiewicz podaje, że w trzecim dniu bitwy zginęło jedynie 100 żołnierzy polskich, natomiast straty kozackie w tym dniu ocenia na 1500 zabitych. Dane te można uznać za wiarygodne, gdyż w ówczesnych (a i wcześniejszych również) bitwach straty ponoszone przez obie strony w bezpośrednich starciach były stosunkowo niewielkie, a do prawdziwych rzezi dochodziło dopiero wówczas, gdy przeciwnik zaczął się wycofywać. Profesor psychologii w West Point twierdzi, że takie zachowanie stanowi wręcz regułę, zauważalną we wszystkich historycznych bitwach. Jego zdaniem wynika to z faktu, że człowiek ma wrodzoną awersję do zabijania, ale okazanie przez przeciwnika tchórzostwa skutecznie go od niej uwalnia. A wiemy z opisów bitwy, że zarówno w pierwszym, jak i w trzecim dniu bitwy Kozacy dość szybko uciekali z pola, może więc poniesione przez nich straty były nawet większe?

Prawdajest, że to korpus Wiśniowieckiego wycofał się z placu boju, a to - wedle

ówczesnych pojęć - uważane było za dowód poniesionej klęski. Pamiętajmy jednak, że uczynił to nie zmuszony rozwojem sytuacji na polu bitwy, ale informacjami o zbliżaniu się Chmielnickiego i głównych sił kozackich. Natomiast zniechęcony ostatecznie do walki Krzywonos nie próbował nawet pościgu za ustępującym przeciwnikiem, zadowolili się zajęciem Konstantynowa i natychmiast odszedł na Wołyń, tam szukając łatwiejszych sukcesów. Konkludując, można więc bitwę tę uznać za nierozstrzygniętą, był to wszelako remis ze wskazaniem na stronę polską. Jest to o tyle istotne, że było to pierwsze po Żółtych Wodach i Korsuniu poważniejsze starcie, w którym polskie oddziały podjęły skuteczną walkę i nie pozwoliły się pokonać, a nawet były bliskie odniesienia pełnego sukcesu. Bitwa ta była ważna jeszcze z jednego powodu. Oto pokazała ona, że jazda polska, byle umiejętnie dowodzona, nie straciła swych walorów i nadal górowała nad jazdą kozacką, która, dysponując nawet sporą prze-  
179  
wagą liczebną, nie potrafi skutecznie stawić jej czoła w polu. Potwierdziła ona również walory dowódcze ks. Jeremiego Wiśniowieckiego, któremu można właściwie zarzucić tylko jedno: brak odpowiedniej koordynacji między poszczególnymi formacjami w pierwszym dniu bitwy. Gdyby bowiem tego dnia piechota i artyleria nadeszły szybciej, to on mógłby przypuścić atak na obóz i umocnienia kozackie, a wówczas... No tak, ale w tej bitwie nie wszystko zależało od Wiśniowieckiego,

który tak naprawdę nie mógł rozkazywać ani Tyszkiewiczowi, ani Osińskiemu, ani też Koryckiemu, którzy jedynie dobrowolnie współdziałali z dywizją księcia i zupełnie, nawet w sensie taktycznym, mu nie podlegali. Nie mógł więc np. zmusić ich do udziału w ataku na tabor ani w drugim, ani też w trzecim dniu bitwy, mimo że, jak wykazały zeznania jeńców, jego diagnoza okazała się trafna i zwycięstwo było dosłownie na długość szabli. Nie odniósł go jednak, bo bitwa ta, niestety, ujawniła wszelkie, dobrze zresztą znane z historii wojen, negatywne cechy kolektywnego dowodzenia. Wszystkie te wady miały już niedługo ujawnić się ponownie w tragicznej bitwie pod Piławcami, po której powstało w Polsce ironiczne powiedzenie, że każdy panek to hetmanek...

Na razie jednak pod Konstantynowem Wiśniowiecki udowodnił, że jest dowódcą w owym czasie najlepszym w Koronie (Litwa miała wtedy swojego własnego, niezłego dowódcę, którym był Janusz Radziwiłł, wtedy jeszcze tylko hetman polny), zdecydowanie lepszym od Krzywo-nosa, który, prawdę mówiąc, dość prymitywnie kierował poczynaniami swego korpusu. Jego posunięcia, zwłaszcza w trzecim dniu, przypominały bicie głową w ścianę. Bitwa pod Konstantynowem potwierdziła również, że Kozacy przegrywają bitwy w otwartym polu z regularnymi wojskami polskimi, bo nie dysponują wartościową jazdą. Pozwala to na postawienie tezy, że sukcesy Kozaków pod Żółtymi Wodami i

Korsunem były możliwe jedynie dlatego, że w obu tych bitwach wspierała ich doskonała jazda tatarska.

Epizod konstantynowski rzeczywiście wojny nie rozstrzygnął, ale też nie uniemożliwił zawarcia pokoju. Można zresztą odnieść wrażenie, że w możliwość zawarcia pokoju szczerze wierzyli jedynie Ossoliński wraz ze wspierającym go Kisielem. Ale nawet oni nie mogli zupełnie zaniedbać działań, mających na celu odtworzenie sił zbrojnych Rzeczypospolitej. Byłoby to zresztą niemożliwe, gdyż w całym kraju panowały wyraż-

180

nie wojenne nastroje, a województwa wręcz prześcigały się w deklaracjach o gotowości wystawienia oddziałów zbrojnych. Pod nieobecność hetmanów należało jednakże wyznaczyć dowódcę tychże sił. Nie była to sprawa prosta, gdyż funkcja hetmańska, podobnie jak i inne naczelne urzędy administracyjne, była dożywotnia, dopóki więc hetmani żyli, nie można było mianować nowych. Nie było zresztą króla, do którego prerogatyw należało dokonywanie takich nominacji.

Sytuację komplikowało to, że w przepisach ustrojowych Rzeczypospolitej nie przewidziano takiej sytuacji, gdy równocześnie zabrakło i obu hetmanów, i króla, który mógł na czas ich nieobecności zatrzymać naczelne dowództwo armii w swoich rękach. Utarła się jednakże tradycja, że nieobecnych (lub nieżyjących) hetmanów koronnych zastępowali hetmani litewscy i odwrotnie. Tak było chociażby pod

Chocimiem. Ossoliński z siebie tylko znanych powodów złamał tę tradycję. Pominięcie hetmana wielkiego Janusza Kiszki można było jeszcze tłumaczyć jego wiekiem i licznymi, trapiącymi go chorobami. Dlaczego jednak nie powołano młodego, energicznego i zdolnego Janusza Radziwiłła? Zamiast nich Ossoliński przeforsował na posiedzeniu senatu w czerwcu 1648 roku postawienie na czele armii trzech regimentarzy - podeszłego wiekiem wojewodę sandomierskiego, księcia Dominika Zasławskiego--Ostrogskiego, podczaszego koronnego, intelektualistę i uczonego Mikołaja Ostroroga oraz chorążego koronnego Aleksandra Koniecpolskiego, syna wielkiego hetmana Stanisława Koniecpolskiego, przedwcześnie -jak pamiętamy - zmarłego z powodu nadmiernych miłosnych zapałów do nowo poślubionej, młodziutkiej małżonki. Była to fatalna decyzja. Już sam fakt wyznaczenia aż trzech równorzędnych wodzów należy uznać za błąd. Skuteczne prowadzenie wojny bowiem, obok jednoosobowej odpowiedzialności, wymagają jednoosobowych decyzji. A decyzje na wojnie muszą być szybko, stosownie do rozwoju sytuacji podejmowane i równie szybko realizowane. Nie ma wówczas czasu na dyskusje, szukanie kompromisów, dochodzenie do consensusu itd. W przypadku dowództwa wieloosobowego jest to na ogół niemożliwe, a przynajmniej bardzo utrudnione. Jak w przypadku każdego ciała kolegialnego, proces decyzyjny trwa tam długo, odpowiedzialność rozmywa się, a wykonywanie

rozkazów w sposób widoczny szwankuje. Wielowiekowa tradycja pokazuje, że taki tryb postępowania w wojsku się po prostu nie sprawdza, a w czasie wojny może wręcz spowodo-

181

wać opłakane skutki. Mieliśmy zresztą okazję przekonać się o tym, analizując przebieg bitwy pod Starym Konstantynowem. Sejm konwokacyjny, który miał zatwierdzić decyzje senatu w sprawie regimentarzy, sprawę jeszcze pogorszył. Posłowie na ogół nie ufali Ossolińskiemu. Nie byli też zachwyceni doborem wodzów. Dyskutowano więc nad powierzeniem dowództwa hetmanom litewskim. Znaczna część posłów była skłonna naczelne dowództwo powierzyć Wiśniowieckiemu. Ostatecznie jednak zaakceptowano pomysł Ossolińskiego, aby trzem, mianowanym przez niego regimentarzom, dodać... 32 komisarzy. Wśród nich znalazł się oczywiście Jeremi Wiśniowiecki oraz kilku faktycznie niezłych dowódców, jak chociażby Stanisław Rewera-Potocki, późniejszy hetman wielki koronny, kasztelan Stanisław Witowski, Janusz Tyszkiewicz, Andrzej Firlej, a także... sam Adam Kisiel.

Nieszczęsny pomysł z powołaniem komisarzy zawdzięczamy więc kanclerzowi, który na zarzut posłów, że pominięci w nominacjach magnaci mogą być niezadowoleni, zaproponował im: „Podzielmy urząd, a nikomu nie damy powodu do obrazy”. Szkoda tylko, że nie zaproponował równocześnie określenia kompetencji komisarzy, w związku z czym do dziś nie wiadomo, jaką rolę mieli oni odgrywać w armii, jak



miały wyglądać relacje między regimentarzami a nimi, co było im wolno, a czego nie itd.

Ostatecznie więc na czele wojska stanęło, z woli Ossolińskiego, nie 3, ale 35

wodzów. Jak słusznie skonstatował Ludwik Kubala: „To wystarczyło, aby niejedną, ale 35 bitew przegrać”.

Tymczasem jeśli wziąć pod uwagę kompetencje trzech głównych wodzów, to

należałoby uznać, że są to zbyt optymistyczne szacunki. Książę Dominik

Zasławski-Ostrogski, ustanowiony generałem regimentarzem, uchodził w owym czasie

za najbogatszego człowieka w Rzeczypospolitej, ale była to ponoć jego jedyna

„zaleta”. Brakowało mu nie tylko wiedzy i doświadczenia wojskowego, ale w ogóle

jakichkolwiek zdolności i talentów. Powszechnie też uważano go za kompletne zero!

Był do tego stopnia pozbawiony woli, energii, rozsądku i inteligencji, że -jak

utrzymywano - „ilekroć co niedorzecznego zrobił, niedołęstwo samo go

usprawiedliwiało”. W dodatku jego przywiązanie do wygod, luksusów i rozkoszy

stołu, nawet na tle ówczesnych, ogólnie rozpasanych obyczajów raa-gnaterii,

budziło zdumienie i niechęć.

Z punktu widzenia Ossolińskiego był on jednak kandydatem wręcz doskonałym, gdyż

nie tylko pozwalał sobą do woli sterować, ale ponadto

182

był wrogo nastawiony do księcia Jeremiego

Wiśniowieckiego, z którym ongi - bez

powodzenia - konkurował o rękę kanclerzanki

Gryzeldy Zamojskiej.

Innego pokroju człowiekiem był podczaszy Mikołaj Ostroróg - wykształcony, z pewnym zacięciem naukowca, a przy tym wszystkim doświadczony mąż stanu; wielu historyków uważa nawet, że jeden z najlepszych, jakich wówczas mieliśmy.

Niestety, i on nie miał właściwie żadnej wiedzy ani doświadczeń wojskowych. W praktyce jego kontakt z wojną ograniczył się do tego, że towarzyszył hetmanowi Stanisławowi Koniec-polskiemu w bitwie z Tatarami pod Ochmatowem, nie pełniąc zresztą wówczas żadnej funkcji. Pojechał tam po prostu jako obserwator.

Trzecim regimentarzem został młody Aleksander Koniecpolski. Nominacja ta wzbudzała zapewne najmniej kontrowersji, gdyż syn niedawno zmarłego hetmana odziedziczył po ojcu przynajmniej część sympatii i autorytetu, jakim cieszył się on wśród szlachty. Miał też najlepsze wśród regimentarzy wykształcenie wojskowe, o które zadbał ojciec. Była to jednak nominacja „na wyrost”. Młody, mało doświadczony Koniecpolski powinien dopiero zdobywać szlify wojskowe u boku doświadczonych i utalentowanych dowódców, a nie sprawować samodzielne stanowisko, w dodatku w towarzystwie takich „antywodzów”, jak Zasławski czy Ostroróg.

Warto oczywiście zastanowić się nad motywami, którymi kierował się Ossoliński, forsując, wbrew stanowisku wielu posłów i, co najważniejsze, wbrew interesowi państwa, tego typu ludzi na tak ważne, zwłaszcza w tym momencie, funkcje.

Przyczyny doszukiwałbym się w swoistej schizofrenii politycznej, na jaką wiosną

i latem 1648 roku cierpiał Ossoliński. Z jednej strony był on przekonany o możliwości, a nawet o konieczności zawarcia ugody z Chmielnickim. Z drugiej - nie mógł zupełnie zlekceważyć nastrojów prowojennych wśród szlachty. Chcąc nie chcąc, musiał zaakceptować uchwały sejmików i sejmu w sprawie odbudowy państwowych sił zbrojnych. Jednocześnie nie chciał drażnić Chmielnickiego i, wierząc w powodzenie misji Adama Kisiela, o której za chwilę, nie miał zamiaru komplikować całej sytuacji. Dlatego na czele gromadzących się wojsk postawił ludzi, których mógł być pewny i którzy gwarantowali, że nie zrobią nic nieprzewidzianego, a najpewniej nie zrobią nic. Swoją drogą ciekawe, czy w ogóle brał pod uwagę możliwość niepowodzenia na polu dy-

183

plomatycznym i klęski militarnej? Czy też może, zapatrzony we własną wizję,

hołdował zasadzie: „im gorzej, tym lepiej”? Nie mniejsze znaczenie miała zapewne również osobista sytuacja kanclerza.

Ossoliński nigdy nie cieszył się sympatią i zaufaniem szlachty, która miała mu za złe jego dążenie do wzmocnienia władzy królewskiej, jego wielkopańskość i arogancję, z jaką traktował swych stanowych „braci”, wciąż jeszcze wierzących w hasło „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”.

Po wybuchu powstania kozackiego zaczęto podejrzewać go również - może i nie bez racji - o przyczynienie się do wywołania „kozackiej rebelii”.

Gdyby w tej sytuacji na czele wojska stanął energiczny, utalentowany, a w

dotadku popularny wśród szlachty dowódca, jak choćby Wiśniowiecki, łatwo mogłoby się okazać, że kanclerz został odsunięty na boczny tor i utracił realny wpływ na bieg wydarzeń.

To jeszcze nie wszystko. Nie ulegało wątpliwości, że ks. Jeremi, zostawszy wodzem naczelnym armii koronnej, będzie działał energicznie i przejdzie do ofensywy najszybciej, jak tylko będzie to możliwe, a więc natychmiast po skoncentrowaniu wojsk. Przemawiał za tym nie tylko interes państwa, ale także interes samego Wiśniowieckiego, gdyż zwycięstwo pozwoliłoby mu mieć nadzieję, że wróci na ukochane Zadnie-prze.

Trudno, oczywiście, przewidywać, jakie byłyby ostatecznie skutki tej ofensywy, czy książę zdołałby pokonać Chmielnickiego i stłumić powstanie. Można było jednak, bez ryzyka popełnienia większego błędu, założyć, że odniesie kilka liczących się zwycięstw, jeśli nie nad samym Chmielnickim, to nad jego atamanami, i przynajmniej zahamuje rozwój buntu.

Niewykluczone zresztą, że zmusiłby wodza kozackiego do przejścia do defensywy, nie zapominajmy bowiem, że chwilowo Tatarów na Ukrainie nie było, a sami Kozacy w otwartym polu nadal nie radzili sobie z polską kawalerią. Już takie zwycięstwo z popularnego dotad księcia zrobiłoby absolutne bożyszczce szlachty. Dla Ossolińskiego mogło to mieć wręcz katastrofalne skutki i to z prostego powodu. Jak wiemy, Rzeczpospolita czekała elekcja nowego władcy, zależna w

ostatecznym rozrachunku od głosów szlachty. W konsekwencji oznaczałoby to, że zwycięski i popularny Wiśniowiecki bez żadnego trudu przeforsuje swego kandydata - początkowo był nim książę Siedmiogrodu Jerzy I Rakoczy, a po jego śmierci - brat zmarłego króla

184

(i Jana Kazimierza również), Karol Ferdynand Waza. Wprowadzenie na tron swojego kandydata usytuowałoby księcia Wiśniowieckiego, mającego w dodatku w swym ręku wojsko, bardzo wysoko w ówczesnej hierarchii, kto wie, czy nie na drugim miejscu, zaraz po królu. Łatwo się domyślić, co oznaczałoby to dla Ossolińskiego - trwałe odsunięcie od wpływu na władcę i od władzy (a do władzy Ossoliński był bardzo przywiązany); kto wie nawet, czy nie groziłby mu sąd sejmowy w związku z podejrzeniem o utrzymywanie kontaktów z Chmielnickim.

Gra szła więc o bardzo wysoką stawkę, a graczem politycznym (i intrygantem przy okazji) był Ossoliński, człowiek naprawdę nieprzeciętny, zdecydowanie górujący pod tym względem nad dość prostodusznym i w gruncie rzeczy prostolinijnym Wiśniowieckim. Nic więc dziwnego, że pierwszą rundę wygrał zdecydowanie kanclerz.

A że w rezultacie konsekwencje miało ponieść państwo? No cóż, takimi „drobiazgami” magnaci, zwłaszcza ci, którzy w XVII-wiecznej Polsce namiętnie angażowali się w politykę, specjalnie się nie przejmowali.

Sejm konwokacyjny, który rozpoczął obrady 17 lipca 1648 roku, miał rozstrzygnąć

nie tylko sprawę dowództwa wojskowego, ale również kilka innych, doniosłych kwestii. Należało do nich m.in. odprawienie posłów, wysłanych przez Chmielnickiego do Rzeczypospolitej, oraz podjęcie decyzji w sprawie wysłania własnych komisarzy w celu podjęcia rokowań ze zwycięskim wodzem ukraińskim.

Prawdę mówiąc, lektura zapisów kanclerza litewskiego Albrychta Radziwiłła w jego, znakomitym zresztą, pamiętniku, dotyczących obrad tego sejmku, wprawia w niektórych momentach w zdumienie. Oto bowiem obrady sejmowe toczyły się raczej spokojnie, rzecz by można, nawet leniwie. Toczono długie narady, dyskutowano i spierano na zupełnie nieraz drugorzędne tematy. Przesłuchiwano posłów kozackich, aby się dowiedzieć, kto ongi, w trakcie tajemnej, nocnej narady posłów kozackich z Władysławem IV, wypłacił im pieniądze i z jakiego skarbu. Tak, jakby tych czterech nieszczęsnych Kozaków mogło mieć na ten temat jakieś szczegółowsze informacje i jakby to miało wtedy, po śmierci tegoż króla i po klęskach na Ukrainie, jakieś większe znaczenie. Szeroko dyskutowano również wzajemne pretensje katolików do „dysydentów” i vice versa - tak było np. 23 lipca, kiedy to sporo czasu zajęła kwestia, wniesiona przez posłów województwa mazowieckiego, protestujących przeciwko odprawianiu innych nabożeństw niż katolickie, a także

30 lip-

185

ca, podczas dyskusji nad zgłoszonym przez Janusza Radziwiłła żądaniem ustalenia

interpretacji aktu konfederacji z 1573 roku, gwarantującego tolerancję wobec wszystkich wyznań<sup>40</sup>.

Ostatecznie posłowie kozaccy zostali odprawieni 22 lipca z listem „od wszystkich stanów Rzeczypospolitej”, w którym zapewniano Wojsko Zaporoskie, że „jeżeli za ten występek słusznie żałować będziecie, nie będzie od tego Rzeczpospolita, aby wam tego, czegoście się dopuścili, przebaczyć nie miała”.

Nie ulega wątpliwości, że zapowiedź powszechnej amnestii, w połączeniu z obietnicą Ossolińskiego, że będzie orędowną w sejmie i senacie w sprawie Kozaków, o ile okażą oni pokorę, z punktu widzenia reguł dyplomacji była poważnym błędem.

Ma więc rację W. Serczyk, twierdząc, że mogła ona „polepszyć samopoczucie powstańców i zwiększyć ich pewność siebie”, natomiast prawie na pewno nie mogła wyjść na dobre Rzeczypospolitej<sup>41</sup>.

Sejmowa „Komisja Pokoju”

27 lipca dotarła do Warszawy informacja o zdobyciu przez Krzywo-nosa Połonnego oraz o towarzyszących temu rzeziach wśród szlachty i Żydów, którzy schronili się w tym mieście, w owym czasie będącym jednym z ważniejszych ośrodków na Ukrainie.

Dwa dni później natomiast, 29 lipca, odczytano listks. Dominika Zasławskiego-

Ostrogskiego, w którym niedawno mianowany regimentarz informował sejm o tym, że w ręce kozackie wpadło nie tylko Połonne, ale również inne miasta, najczęściej poddane bez oporu przez sprzyjających powstaniu mieszczan. W liście znalazła się

również wzmianka o zeznaniach złożonych przez wziętych do niewoli Kozaków, z których wynikało, że Chmielnicki rozpoczął pertraktacje z Moskwą.

40 A. S. Radziwiłł, Pamiętnik..., op. cit., s. 104. Z obszernych zapisów wystąpień na ten temat, odnotowanych przez autora pamiętnika, warto przytoczyć fragment mowy na ten temat kanclerza Ossolińskiego: „Bądźcie już zadowoleni z tego, co otrzymaliście, wy, których zaszczycamy uczuciem równości, ale waszego wyznania nienawidzimy bardziej niż węża i smoka. Chcemy spokoju i nic więcej wam nie przyznamy. Skoro już się zdeklarowałem, to chociażby nie tylko Chmielnicki, lecz nawet szatan szarpał naszą ojczyznę i groził ruiną, to raczej padnę, niż choćby jedną literę dołoży się do poprzedniej konfederacji”.

41 W. Serczyk, Na płonącej Ukrainie..., op. cit., s. 112.

186

Wiadomości te tak przeraziły posłów, że postanowiono jak najszybciej wysłać z Warszawy komisarzy, którzy podjęliby rozmowy z Chmielnickim i Kozakami. Komisja miała składać się z czterech osób. Na jej czele postawiono Adama Kisiela, a członkami zostali: podkomorzy przemyski Franciszek Dubrawski, podkomorzy mozyrski Teodor Michał Obuchowicz i podstoli poznański Aleksander Sielski. Skład komisji to kolejne zwycięstwo Ossolińskiego, gdyż wszyscy jej członkowie byli ludźmi należącymi do stronnictwa pokojowego i popierającymi bez zastrzeżeń politykę kanclerza.



Sejm udzielił komisarzom bardzo obszernej co prawda, ale dość ogólnikowej instrukcji, która pozostawiała im spory zakres swobody i samodzielności w rokowaniach, dając również pełnomocnictwo do podpisania układu z Kozakami. Warunkiem podstawowym, który mieli spełnić Kozacy, aby uzyskać przebaczenie Rzeczypospolitej, było oczywiście zerwanie sojuszu z Tatarami. Mieli też komisarze domagać się pełnego podporządkowania się władzom Rzeczypospolitej, zwolnienia jeńców, wyrównania wyrządzonych szkód oraz zwrotu dział i chorągwi zagarniętych pod Żółtymi Wodami i Korsuniem. Natomiast decyzje w innych sprawach - jak relacjonuje Albrycht Radziwiłł - pozostawiono „własnemu sądowi i zręczności komisarzy, byleby jedynie nie pozwalali na ustępstwo, gdyby Kozacy chcieli oderwać od Królestwa jakąś część ziemi”. Te „inne sprawy” to przede wszystkim zakres swobód i przywilejów, jakie komisja sejmowa mogła przyznać Kozakom. W tej kwestii sejm w zasadzie wyrażał zgodę na powrót do postanowień ugody kurukow-skiej względnie perejasławskiej, zawartej w 1630 roku przez hetmana Konięcpolskiego, najkorzystniejszej dla Kozaków, a przewidującej m.in., że ich oddziały rejestrowe mogą liczyć do 8000 ludzi. Oznaczało to zwiększenie o 2000 liczby Kozaków rejestrowych w stosunku do tej, jaką ustalono w słynnej konstytucji sejmowej, uchwalonej po powstaniu Pawluka. Pod żadnym jednakże pozorem nie wolno było komisarzom przyznawać Kozakom

jakiegokolwiek autonomii terytorialnej. Stosowny akapit instrukcji brzmiał bowiem:  
„Tego też przestrzegać PP. Komisarze będą aby żadnego osobliwego wydziału z dóbr Rzeczypospolitej Wojsku Zaporoskiemu nie czynili, ale, według dawnych komisji, w rozproszeniu po miastach rozdanych w dawnych rezydencjach pułkowych mieszkali Kozacy, ażeby w dobrach lennych i duchownych nie byli”. Wszystko to razem musiałoby w praktyce oznaczać pełną kapitulację Kozaków; taką

187

jaką uzyskiwali hetmani po stłumieniu poprzednich powstań i odniesieniu liczących się sukcesów w polu.

A co Kozacy mieli otrzymać w zamian? Obok wspomnianego powiększenia rejestru, przede wszystkim pełne przebaczenie wszelkich win i grzechów popełnionych od początku powstania, a ponadto obietnicę, że „(...) cokolwiek pewnym dowodem pokaże Wojsko Zaporoskie, że młodcom ich gwałtownie i bezprawnie odebrano, tego im restytucją PR Komisarze nakazać powinni, czemu dzierżawcy ukraiński mają podporządkować się wszyscy”. Było to więc - wprawdzie pośrednie, nie mniej jednak dość wyraźne przyznanie się Rzeczypospolitej do błędów z przeszłości, a konkretnie do tolerowania niesprawiedliwości, jaka rozpleniła się na Ukrainie, zwłaszcza w latach „złotego pokoju”. Instrukcja zalecała też komisarzom jak najszybsze wyruszenie do Kijowa na spotkanie z Chmielnickim i przedstawicielami Wojska Zaporoskiego, wyznaczając

równocześnie termin rozpoczęcia rokowań na dzień 23 sierpnia.

Realizując ten nakaz, Kisiel wraz z pozostałymi komisarzami oraz orszakiem, którego liczebność doszła do 2000 dworzan i żołnierzy, natychmiast wyruszył z Warszawy w kierunku na Kijów. Senator był w dobrym nastroju i pełen nadziei na pomyślne zakończenie swej misji. W liście z 2 sierpnia, zapewniając kanclerza Ossolińskiego o dobrych intencjach Chmielnickiego, prosił jedynie o niewysyłanie na Ukrainę podjazdów koronnych, aby nie prowokować Kozaków i nie drażnić wodza kozackiego. Jeszcze w liście z 11 sierpnia, w słowach przepełnionych euforią, donosił Ossolińskiemu: „Bo skoro posłowie moi przyjechali do Chmielnickiego, mam tę wiadomość, że Krzywonosą wzięto do armaty, a przykuwano za szyję łańcuchem, szlachtę też wszystką, cokolwiek więźniów było przy Krzywonosie, wypuszczono.. „<sup>42</sup>.

W Warszawie początkowo podzielano nadzieje wojewody braclawskiego, zwłaszcza że stolica była wprost zalewana informacjami o kłótniach, zamieszkach i rozruchach w obozie kozackim. Ich powodem -jak głosiła stugębna plotka - były animozje między Chmielnickim a jego pułkownikami, zwłaszcza Krzywonosem. Z opowiadanych sobie - również w sejmie - z lubością historyjek wynikało najczęściej, że to hetman

42 Dokumenty ob oswoboditielnoj wojnie ukraińskiego naroda 1648-1654, Kijów 1965, nr41, s. 109.

aresztował i skazał atamana, a czasem, że było dokładnie odwrotnie, że to ataman wziął górę, a Chmielnicki zginął z rąk swych własnych towarzyszy.

Maksym Krzywonos był rzeczywiście w tym okresie jednym z najbardziej radykalnych i energicznych dowódców kozackich, wokół którego gromadziły się najbardziej żądne krwi (i rozboju) elementy spośród Kozaków i chłopów ukraińskich. Można jednak wątpić, czy dochodziło między nim a Chmielnickim do poważniejszych sporów. Być może więc pewna część opowieści o niesnaskach w obozie powstańców była wynikiem zwykłego „chciejstwa” i robienia wideł z igły; wszak przekonanie o słabości przeciwnika i jego wewnętrznych problemach zawsze poprawia nastroje we własnym obozie.

Nie można też wykluczyć, że wieści o walkach w obozie powstańczym były preparowane przez samego Chmielnickiego, który był mistrzem w dezinformacji.

Hetman kozacki wiedział doskonale o gromadzącej się, opieszale, bo opieszale, armii koronnej i chciał koniecznie odwlec moment spotkania i bitwy, oczekując powrotu Tatarów, którzy -jak pamiętamy - swoim zwyczajem odwieźli na Krym łupy i odprowadzili jasyr. Sława oręża polskiego wówczas jeszcze nie całkiem zgasła, a świeże przecież doświadczenia, wyniesione ze spotkań Krzywonosa i innych, drobniejszych atamanów z Jeremim Wiśniowic-kim, przekonywały Kozaków, że w walkach w otwartym polu z jazdą i dragonia polską wciąż jeszcze ponoszą klęski.

Dlatego Chmielnicki chciał poczekać na powrót Tatarów i dopiero wówczas przejść do ofensywy.

Sporo też opowieści o zatargach Chmielnickiego z Krzywonosem i radykalnymi elementami wśród powstańców powstało na bazie przekonania, że Chmielnicki szczerze pragnie pogodzenia się z Rzeczpospolitą, ale przeszkadzają mu w tym "Jastrzębie" we własnych szeregach. To też swoisty rodzaj „chciejstwa”, niestety, moim zdaniem, pozbawiony racjonalnego uzasadnienia, bo do poważniejszych rozdzwieńków w obozie kozackim nie dochodziło. Chmielnicki talentami znacznie przerastał swych towarzyszy, był na pewno utalentowanym politykiem i dyplomata, a także wodzem (w tej kolejności) i chyba jako jedyny wśród powstańców miał określoną wizję tego, jak należałoby ukształtować sytuację Ukrainy i uregulować jej stosunki z Rzeczpospolitą.

Wówczas, latem 1648 roku, była to jednak do-  
189

piero wizja, a nie program, bo na jego skonkretyzowanie było jeszcze za wcześnie. Czy w tej wizji mieściło się porozumienie z Rzeczpospolitą? W jakimś ogólnym sensie na pewno tak, można jednak wątpić, czy na tych warunkach, jakie „wiózł” mu Kisiel. Prawdę mówiąc, w lipcu i sierpniu 1648 roku propozycje sejmu konwokacyjnego zarówno dla Chmielnickiego, jak i Kozaków, a tym bardziej dla chłopów ukraińskich były nie do przyjęcia. A to oznacza, że nie mógł ich zaakceptować ani Krzywonos, ani Chmielnicki i na tym tle na pewno nie było

między nimi sporu.

Działalność Krzywonośa oraz innych pułkowników i atamanów kozackich, pozornie samodzielna, a nawet samowolna, tak naprawdę była Chmielnickiemu nawet na rękę, gdyż pozwalała mu na rozszerzanie powstania i osłabianie pozycji strony polskiej, przy równoczesnym odwlekaniu walnego starcia do chwili, którą sam uzna za właściwą. Może zresztą nawet i karciał momentami swojego nazbyt krewkiego i radykalnego podwładnego, były to jednak co najwyżej „ojcowskie klapsy i upomnienia”, a nie konflikt o charakterze zasadniczym. Wręcz przeciwnie, w obozie powstańczym wszyscy zgadzali się co do tego, że do starcia z Rzeczpospolitą musi dojść, a różnili się jedynie w szczegółach dotyczących przygotowań do niego. Chmielnicki był po prostu ostrożniejszy i bardziej przewidujący niż jego pułkownicy i reszta wojska! W konsekwencji więc obie strony rzekomego konfliktu w armii kozackiej odgrywały - trzeba przyznać, że z dużym powodzeniem - swoje role w sztuce, której autorem, reżyserem i głównym aktorem był hetman kozacki. Chmielnicki uspokajał władze Rzeczpospolitej, zgadzał się na rokowania i obiecywał podpisanie traktatu, sugerując, że właściwie niczego bardziej nie pragnie, jak pokojowego uregulowania stosunków z Rzeczpospolitą. Aby to uprawdopodobnić, odżegnywał się więc głośno od poczynań swych podwładnych, a po cichu aprobował ich poczynania, zapewniając im osłonę w chwilach niepowodzeń (tak było np. pod Konstantynowem) i

tłumacząc ich winy postępowaniem „polskiego jastrzębia”, czyli Wiśniowieckiego, ów bowiem, odpowiadając terrorem na terror, rzeczywiście zakłócał nieco obraz sytuacji. Natomiast pułkownicy, z Krzywonosem na czele, też z powodzeniem realizowali swoje zadania. Rozszerzali - formalnie na własną rękę - zasięg powstania, zdobywali miasta, powiększali armię i w szeregu starć osłabiali siły Rzeczypospolitej. A wszystko to za cichym przyzwoleniem swego wodza.

190

Niewielu było ludzi w Rzeczypospolitej, którzy zdawali sobie sprawę z tej podwójnej gry hetmana. Na pewno nie zaliczał się do „szef komisji sejmowej, Adam Kisiel. Co gorsza, z podwójnej gry Chmielnickiego nie zdawał sobie chyba sprawy również Jerzy Ossoliński, który, choć był wytrawnym politykiem, w tym przypadku dał się oszukać. Znacznie jaśniejszy obraz sytuacji miał natomiast nieznany szerzej Jerzy Stornel, który przestrzegał: „Chmielnicki sztuką taką jak z hetmany szedł, takąż nami idzie, błaga nas i prosi o uspokojenie przez traktaty, a tu zmyka na nas pułkowników swoich i chłopstwo insze, zbuntowane przez swoją fakcją wsadza na pany i sam, rzekomo o tern nie wiedząc, szczuje... a potem na wysilonych sam, wzmocniwszy się, uderzy”<sup>43</sup>. Starania Chmielnickiego o uspokojenie nastrojów w Rzeczypospolitej odniosły jeszcze i ten dodatkowy skutek, że pogłębiły nastrój beztroski w armii. Początkowy zapal wojenny wyraźnie przygasł. Wojsko w obozach regimentarzy

gromadziło się bardzo powoli, a nastroje w oddziałach przypominały bardziej atmosferę już to pola elekcyjnego - gdyż czas poświęcano głównie zażartym dyskusjom o wyższości jednego kandydata nad drugim, już to pikniku, niż obozu armii, która przygotowuje się do poważnej rozprawy.

Echa przekonania, że po Żółtych Wodach i Korsuniu Chmielnicki szczerze i rzetelnie pragnął pokoju z Rzeczpospolitą, lecz przeszkodził mu w tym z jednej strony Wiśniowiecki, a z drugiej opozycja we własnym obozie, na tyle silna, że mogła mu grozić przewrotem, a nawet śmiercią, przetrwały wieki i da się zauważyć w niektórych współczesnych opracowaniach historycznych. Ta jest np. u Karola Szajnochy, który twierdzi, że Chmielnicki pragnął szczerze poddania się Rzeczpospolitej, ale w końcu uległ silnej presji żądań Kozaków i chłopów ukraińskich, i, godząc się na tzw. drugą wojnę kozacką (Piławce), „wybrał życie”. Nie jest to bynajmniej odosobnione stanowisko. Czy jednak to, co napisałem poprzednio o braku poważniejszych, zasadniczych konfliktów, oznacza, że w obozie kozackim panowała zupełna idylla i ogólne „kochajmy się”? Oczywiście, że nie! Tym jednak, co rzeczywiście różniło Chmielnickiego od reszty dowództwa i armii powstańczej, nie była kwestia podpisania kolejnej ugody z Rzeczpospolitą (bo na warunkach, jakie wiozł ze sobą Kisiel, było to niemożliwe), ale kształt

43 Cyt. [za:] J. Kaczmarczyk, Bohdan Chmielnicki, op. cit., s. 66.



wizji dalszych losów i powstania, i Ukrainy. Zdecydowana większość powstańców po prostu nie miała żadnych planów. Dla nich powstanie było celem samym w sobie, nie zajmowali się więc tym, co będzie potem, dokąd ich to wszystko zaprowadzi.

Sądzę, że gdyby ich o to zapytano, wzruszyliby ramionami i odpowiedzieli: „JBoh znajet”. Nie zapominajmy, że Kozaczyzna zawsze była organizacją zdecydowanie anarchistyczną, której „ideologicznie obca” była idea jakiegokolwiek państwa, jakichkolwiek reguł ustrojowych i to się nie mogło z dnia na dzień zmienić.

Zarówno więc Kozacy, jak i skozaczeni chłopcy w warunkach zupełnego rozprzężenia czuli się wręcz doskonale. Dla nich brak jakichkolwiek reguł był właśnie regułą! Tak jak ongi chadzali na Krym i miasta tureckie po „dobro”, które następnie tracili beztrąsko w upojnych hulankach, tak dziś „chodzili” na wsie szlacheckie, na miasta i zamki magnackie. W tym samym celu i z tym samym skutkiem!

Inaczej było z Chmielnickim. On miał wizję, miał program, który oczywiście zmieniał się, dojrzewał i konkretyzował w miarę rozwoju sytuacji. Gdy rozpoczął powstanie, pragnął przede wszystkim przywrócenia swobód i przywilejów kozackich, choć pewnie już wówczas marzyło mu się ich rozszerzenie i uzyskanie pewnej autonomii; ta myśl kiełkowała w nim od czasu nocnej narady u króla. Mimo to, gdyby wówczas wysłano do niego Kisiela i komisję z gałązką

oliwną i obietnicą przywrócenia ugody kurukowskiej lub perejasławskiej, zapewne „kupiłby” takie rozwiązanie i podpisał się pod nim obiema rękami. Teraz, po Żółtych Wodach i Kor-suniu, było to już jednak zbyt mało.

Nie chodziło zresztą wyłącznie o rosnące ambicje hetmana. Prawdę mówiąc, propozycje, które wiózł mu Kisiel, w sytuacji, jaka istniała na Ukrainie latem 1648 roku, były obiektywnie niemożliwe do zrealizowania. Spróbujmy się nad tym chwilę zatrzymać. Po zwycięstwie nad wojskami koronnymi armia Chmielnickiego gwałtownie powiększyła się i na przełomie lipca/sierpnia stał on zapewne na czele wojsk liczących kilkadziesiąt tysięcy: może 40 000, a może nawet 60 000; niektórzy twierdzą, że było ich jeszcze więcej, bo około 100 000. Oczywiście, nie licząc luźnych watah i zwykłych grabieżczych band, których włóczyło się wówczas po Ukrainie mnóstwo i które jedynie teoretycznie podlegały Chmielnickiemu. Natomiast Rzeczpospolita ustami Kisielia chciała mu zaproponować powrót do rejestru liczącego 6000-8000 mo-łojców. Czy ktoś w Warszawie zastanowił się, w jaki sposób Chmielnic-  
192

ki miałby taką redukcję przeprowadzić? Według jakich kryteriów miałby zwalniać ich „do cywila”? Po poprzednich powstaniach - z trudem, bo z trudem - takie wtłoczenie kozaczyzny w ramy wąskiego rejestru jakoś się udawało, bo nad Kozakami wisiały zwycięskie szable wojsk koronnych. Ale teraz, po takich sukcesach nad

wojskami koronnymi, kto miałby, kto mógłby zmusić Kozaków do tej całkowitej kapitulacji? A poza tym, nawet gdyby jakimś cudem starszyzna i rada mołojców takie rozwiązanie zaakceptowały, to co z resztą? Co z tymi, którzy znów mieliby znaleźć się poza rejestrem, zmienić w „chłopy obrócone pospólstwo”?

W dodatku, zgodnie z pamiętną instrukcją, Kisiel miał kategorycznie zabronić Kozakom „chadzek po tureckie dobro”, z czego więc ci ludzie, którzy nie zmieściliby się w oddziałach rejestrowych i którzy już posmakowali i zwycięstw, i swobody, mieliby żyć? Gdyby rzeczywiście Chmielnicki miał choć przez chwilę zamiar takie propozycje przyjąć i operację taką przeprowadzić, to mógłby całkiem realnie obawiać się o swoje życie i wówczas Szajnocha miałby rację - Chmielnicki, odrzucając takie propozycje, „wybrał życie”. Tyle tylko, że on nigdy takiego samobójczego zamiaru nie miał i, mówiąc językiem młodzieżowym, po prostu „ściemniał”, udając jedynie, że jest skłonny zawrzeć ugodę na takich warunkach. Nie musiał więc dokonywać żadnych dramatycznych wyborów.

Zważywszy że instrukcja polecała Kisielowi i komisji nadzorować układanie nowego rejestru, interesujące byłoby dowiedzieć się, jak sobie to i kanclerz, i reszta „warszawskich statystów”, a również i sam Kisiel wyobrażali? Że mołojcy staną grzecznie w kolejce, jak poborowi przed komisjami wojskowymi? We wszystkich zawieranych do tej pory ugodach („transakcjach”, jak to wówczas określano)

wtlaczanie Kozaków w ramy rejestru odbywało się pod nadzorem i presją zwycięskich wojsk koronnych. Teraz sytuacja była diametralnie inna, czy więc sądzono, że do przeprowadzenia tej operacji wystarczy 2000 żołnierzy towarzyszących wojewodzie i komisji? Z mojego punktu widzenia, „wystarczającym” sukcesem byłoby raczej, gdyby Kisiel i jego koledzy po prostu uszli z życiem. Nawiasem mówiąc, rokowania z Chmielnickim były trudne także dlatego, że, moim zdaniem, zaliczał się on do rodu politycznych marzycieli (zapewne więc świetnie rozmawiałoby mu się z naszym Władysławem IV). Gdyby więc Rzeczpospolita ustami Kisiela w lipcu 1648 roku zaproponowała mu podniesienie Ukrainy-Rusi do poziomu Litwy i Korony, w cha-

193

rakterze trzeciego członu Rzeczpospolitej, z nim, jako hetmanem Wojska Zaporoskiego, w roli głównej, to program taki zyskałby zapewne jego uznanie. Ale Chmielnicki marzyciel dość szybko poszedł jeszcze o krok dalej i zaczął myśleć o samostijnej Ukrainie, czyli o faktycznym i prawnym oderwaniu się od Rzeczpospolitej. Chmielnicki realista, oczywiście, zdawał sobie doskonale sprawę z faktu, że Ukraina jest za słaba, aby wolność wywalczyć sobie własnymi siłami. Z tego powodu prowadził politykę tak zawiłą, że gdyby jej śladami posuwał się wąż, zapewne połamałby sobie kręgosłup. Zawierał i zrywał sojusze, przerzucał się z obozu do obozu, składał obietnice i przysięgi, które następnie, bez

zmrużenia oka, łamał (będziemy mieli okazję jeszcze nieraz o tym wspominać), a wszystko po to, by... urzeczywistnić swoje marzenie.

Współcześni, tak przyjaciele, jak i wrogowie, nie do końca go rozumieli, nic więc dziwnego, że wielokrotnie zarzucano mu, iż była to droga donikąd, za którą zapłaciły obie strony: i Rzeczpospolita, i Ukraina -choć Ukraina więcej. Moim zdaniem jednak, to tylko część prawdy. Sądzę, że Chmielnicki, prowadząc tak zagmatwaną politykę, chciał osiągnąć dwa współgrające ze sobą cele: zyskać wartościowego sojusznika przeciw Rzeczpospolitej i nie dopuścić do powstania koalicji Rzeczpospolitej z którymkolwiek z państw sąsiednich, bo wówczas wszelkie plany i marzenia musiałyby prysnąć jak bańka mydlana. Przez długi czas mu się to udawało i to jest na pewno dowód jego politycznego geniuszu!

Do prawdziwego, istotnego konfliktu hetmana z jego podwładnymi mogło więc dojść jedynie na tle tych marzeń i wyrosłych z nich planów, bo w nich Chmielnicki był osamotniony. Jego otoczenie - i to nie tylko prości mołojcy i chłopci ukraińscy, ale również starszyzna kozacka - po prostu go nie rozumiało. Przypomnijmy jeszcze raz - Kozacy byli anarchistami do szpiku kości, a innej elity- częściowo z winy Rzeczpospolitej - Ukraina nie miała, Chmielnicki nie miał więc na kim innym się oprzeć. Te kontrowersje nigdy jednak nie przybrały szerszego rozmiaru i tak naprawdę nigdy nie zagroziły pozycji hetmana. Na to był on zbyt zręcznym,

przewidującym i bezwzględny politykiem, ale też zbyt popularnym wśród rzesz kozackich i chłopskich trybunem. To też pewnego rodzaju paradoks, bo w gruncie rzeczy o interesy chłopów ukraińskich dbał on niewiele więcej niż warszawscy politycy.

194

Optymistyczne nastroje w stolicy nieco przygasły po nadejściu informacji o zdobyciu przez Kozaków twierdzy Bar na Ukrainie (każdy, kto czytał Ogniem i mieczem Sienkiewicza, pamięta dramatyczny moment, gdy w trakcie uczty w Zbarażu na salę wchodzi pokryty kurzem oficer Jeremiego z hiobową wieścią: „Bar wzięty!"). Była to rzeczywiście klęska dotkliwa, gdyż Bar był jedną z największych i najsilniej obwarowanych twierdz Rzeczypospolitej w tym regionie; stanowił też główny arsenał wojsk koronnych. Załoga twierdzy i zgromadzona w Barze szlachta oraz Żydzi zostali wycięci w pień, mimo że komendant twierdzy Andrzej Potocki wcześniej wynegocjował warunki poddania się, które dawały załodze zamku prawo do swobodnego wyjścia. Sam Potocki został wzięty do niewoli. Kozacy, którymi dowodził pułkownik Braclawiec, wzięli w Barze ogromny łup, zwłaszcza jeśli chodzi o sprzęt wojskowy, armaty, muszkiety itp. Ważniejsze jednak było wrażenie, jakie zdobycie tej twierdzy wywarło w Warszawie i reszcie kraju. Oto okazało się, że dla powstańców nie ma twierdz nie do zdobycia i nawet ucieczka w odległe strony, pod ochronę murów Zamościa i innych miast, może nie

gwarantować bezpieczeństwa.  
Powoli gasł też optymizm głównego orędownika  
pokoju, Adama Kisiela, jak się  
bowiem już wkrótce miało okazać, droga na  
spotkanie z Chmielnickim to droga  
przez mękę. O tym, czym jest wojna na Ukrainie,  
przekonał się już we własnej  
Huszczy, którą zastał doszczętnie zrujnowaną i  
ograbioną. Co chwila też  
dowiadywał się o zdobywaniu nowych miast -  
Starodubu, Homla, Niemirowa czy też  
Tulczyna, i o losie Żydów i szlachty chroniących  
się w tych miastach.  
Głośnym echem odbiła się zwłaszcza historia  
zdobycia Tulczyna. Bronił go książę  
Janusz Czetwertyński, a oblegał słynny Krzywonos,  
który najpierw nakazał wydać  
sobie ogromny okup, na który złożyły się głównie  
kosztowności żydowskie, potem  
skłonił szlachtę do wydania Żydów, a następnie  
zdobył miasto i wymordował  
znajdącą się w nim również szlachtę. Z relacji  
wynika, że żona i córki  
Czetwertyńskiego zostały wielokrotnie zgwałcone w  
obecności ojca, który został  
następnie zamordowany, natomiast księżnę  
Czetwertyńską zabrano do obozu  
kozackiego. Tak przynajmniej opisał to Natan  
Hannower z Zaslawia, autor kroniki  
Jawein Mecula tj. Bagno głębokie. Wydaje się  
jednak, że ta akurat historia jest  
nie do końca prawdziwa, chociaż wszystko wskazuje  
na to,

195

że J. Czetwertyński rzeczywiście zginął w  
Tulczynie, ale jego żona przeżyła i  
wkrótce ponownie wyszła za mąż, a dzieci podobno  
to stadło nie miało w ogóle<sup>44</sup>.

Takie i podobne opowieści kursowały nie tylko po Ukrainie, ale również po pozostałych terenach Rzeczypospolitej, budząc grozę i oburzenie. Docierały również, co oczywiste, do obozu Kisiela, który zresztą o wielu wydarzeniach mógł się przekonać naocznie, bo podróżował przez tereny objęte powstaniem, a Ukraina w miesiącach letnich 1648 roku była rzeczywiście „ziemią krwi i przemocy”, i zupełnego bezprawia. Nawet przemarsz komisarzy i towarzyszących im oddziałów mało przypominał przelot gołębi pokoju. Oddział otaczały zbrojne bandy, a chwilami dochodziło nawet do starć zbrojnych, m.in. w samej Huszczy, gdzie w potyczce z liczącym kilkaset osób oddziałem powstańczym chorągiew, idąca w straży przedniej orszaku Kisiela, najpierw straciła dwóch żołnierzy, a potem sama „wzięła ich na szable (...) i wszystkich niemal z pomocą Bożą wysiekli; ledwo ich ze 30 koni uszło w las”. To zwycięstwo nie uratowało zresztą majątności wojewody, gdyż kolejne bandy (trudno je nazywać oddziałami, gdyż, prawdę mówiąc, nie podlegały nikomu i zajmowały się wyłącznie rabunkiem) zniszczyły doszczętnie jego majątności i spaliły zamek<sup>45</sup>. Nic więc dziwnego, że Kisiel, patrząc teraz na powstanie poprzez pryzmat własnych strat, zapomniał nieco o swej roli i poprzednich zapewnieniach, i w liście do senatorów z 27 sierpnia twierdził już, że szanse na dojście do porozumienia z Kozakami są znikome. Nie oznacza to, że wojewoda braclawski zaniechał zupełnie starań, aby zawrzeć



porozumienie z „Tamerlanem” -jak nazywa Chmielnickiego w jednym z listów. Wręcz przeciwnie, starał się, i to bardzo, doprowadzić do spotkania z Chmielnickim, słusznie przewidując, że następne starcie znów zakończy się klęską wojska Rzeczypospolitej (swoją drogą ciekawe, czy wówczas zdawał sobie już sprawę, że osobiście przyczynił się do osłabienia Rzeczypospolitej, optując wraz z Ossolińskim za mianowaniem miernot na stanowiska regimentarzy i dopuszczając do niespotykanego w dziejach wojen, wręcz niesłychanego „zatomizowania” dowództwa wojskowego?!).

44 W. Serczyk, Na płonącej Ukrainie..., op. cit., s. 118.

45 Ibidem, s. 119.

196

W intencji pojednania Kisiel co i rusz wysyłał posłańców do hetmana zaporoskiego, prosząc go o wyznaczenie spotkania. Chmielnicki na ogół odpowiadał na listy wojewody z pewnym opóźnieniem, ale na spotkanie się zgadzał - choć jednocześnie nie krył swojego sceptycyzmu co do jego skuteczności. Pisał np. w liście, wysłanym na początku sierpnia do wojewody moskiewskiego Siemiona Bełchowskiego: „Nie spodziewam się, żeby w tej sytuacji mógł zapanować pokój między nami, lecz niech będzie tak, jak Bóg pozwoli”<sup>46</sup>. Ostatecznie, w liście do Kisiela z 22 sierpnia, wyraził zgodę na jak najszybsze spotkanie, wskazując Konstantynów jako miejsce rokowań.

Kisiel uznał list i zgodę Chmielnickiego za dobrą monetę i ruszył wraz z całym

swoim orszakiem w nakazanym kierunku, planując dotrzeć do obozu kozackiego w ciągu trzech dni. Niestety, do spotkania nie doszło ani za trzy dni, ani w ogóle, gdyż znów dało znać o sobie fatum, jakie ciążyło nad wszelkimi poczynaniami Kisiela. W tym samym bowiem czasie, w którym Kisiel ruszył pod Konstantynów trasą, która biegła przez Ostróg, miasto to zostało napadnięte i splądrowane przez kilkutysięczną watahą kozacką. Gdy pułk Kisiela dotarł w pobliże Ostroga, Kozacy zaatakowali również i jego oddziały. Wojewoda walki nie podjął, co można zrozumieć, gdyż Kozacy mieli przewagę liczebną (było ich ponoć 3000), a poza tym jechał on przecież w misji pokojowej, o czym usilnie starał się przekonać napastników, wyjaśniając im swoją rolę i cel, w jakim udaje się pod Konstantynów. Jako argument służył mu dopiero co przysłany list hetmana zaporoskiego. Prawdę mówiąc, były to rozmowy bardzo trudne, gdyż Kozacy, w tym również ich dowódcy, byli po prostu pijani i niewiele z argumentów wojewody do nich docierało. Wreszcie jednak dali się przekonać i zezwolili na przejazd przez Ostróg, pod warunkiem wszelako pozostawienia na miejscu zakładników. Liczba tych zakładników jest dziś trudna do ustalenia. Albrycht Radziwiłł pisze: „Dał więc wojewoda siedmiu żołnierzy w zakład”, ale z zachowanej do naszych czasów listy ich nazwisk wynika, że było ich ośmiu, natomiast w niektórych opracowaniach (np. w biografii Jeremiego Wiśniowieckiego pióra W. Tomkiewicza) mówi się o

dziesięciu zakładnikach. To zresztą sprawa drugorzędna. Ważniejsze było to, że Kisiela, a i samych zakładników, prześladował pech, gdyż już po zawar-

46 Dokumenty Bohdana Chmielnickiego 1648- 1657, Kijów 1961, s. 45.

197

ciu porozumienia na Ostróg i kwaterujących w nim Kozaków spadł podjazd strażnika polnego koronnego Jana Sokoła. Krzywdy wielkiej im nie zrobił, a niewykluczone, że w ogóle nie podjął walki, gdyż na to był to zbyt słaby oddział (raptem 5 chorągwi, czyli nie więcej niż 600 kawalerzystów), ale Kozacy uznali, że jest to dowód... zdrady Kisiela. Podejrzewając, że to on sprowadził żołnierzy z obozu Wiśniowieckiego (gdyż stamtąd właśnie Sokół został wysłany), nie czekali na dalszy rozwój wypadków i rozpoczęli ścinanie zakładników. Albrycht Radziwiłł twierdzi co prawda, że tylko „trzech zakładników skrócili o głowę”, ale chyba zginęło ich więcej, zanim pomyłka się wyjaśniła. Egzekucje wówczas wprowadzie wstrzymano, ale Kozacy cofnęli pozwolenie na przejście polskiego orszaku przez Ostróg i kazali mu poszukać sobie innej drogi do Konstantynowa. Kisiel spod Ostroga udał się więc w kierunku na Lachowce, spotykając po drodze nowy podjazd, tym razem liczniejszy, pod dowództwem Aksaka i Hołuba, który dotarł do Ostroga, wyciął część oddziału powstańczego i spalił przedmieścia. Oczywiście Kisiel żalił się później, że to podjazdy polskie, wysyłane przez

Wiśniowieckiego i pozostałych, zgrupowanych wokół niego dowódców, nie pozwoliły mu spełnić misji. Ci z kolei odpierali zarzuty w liście, autorstwa chyba samego Wiśniowieckiego, że misja Kisiela nie przynosi żadnych rezultatów, a oni pokoju zrywać nie chcą, ale podjazdy wysyłać muszą, bo Kozacy ich zaczepiają, zdobywają i rabują miasta itp. Nie zabrakło zresztą w tym liście również słów krytyki pod adresem wojewody, że dopuścił do zajęcia Ostroga i stracenia zakładników „(...) jako się i teraz stało w oczach WMPana samego, lubo to nie z małym zgromadzeniem ludzi Rzpltej zostawiającego (...)”.

Obu stronom trudno odmówić racji; ostatecznie przecież wojsko jest po to, aby bronić terenu i ludności, ale fakt pozostaje faktem: walki toczące się na trasie przemarszu komisji na pewno nie ułatwiały jej zadania. Tak więc wojna trwała, krew się lała obficie po obu stronach, a wśród tych walk, podjazdów i rabunków błąkała się i dryfowała, jak statek bez masztów i żagli w oku cyklonu, komisja pokojowa, coraz bardziej zagubiona i coraz mniej wiarygodna dla jednej i dla drugiej strony.

Ostatecznie więc do spotkania z Chmielnickim nie doszło, rokowań nie podjęto i ugody nie zawarto, a Kisiel wraz ze swoim orszakiem wylądował w obozie regimentarskim (w końcu był jednym z komisarzy wy-

198

znaczonych do prowadzenia armii i do walki z Chmielnickim - to też wiele mówiący paradoks).

Czy fiasko i samego Kisiela jako negocjatora, i kierowanej przez niego komisji oznaczało, że w ogóle nie należało podejmować prób przeprowadzenia rokowań?

Oczywiście, nie. Rokowania prowadzić należy zawsze, tak długo, jak się da.

Ostatecznie słowa i papier są tańsze od krwi. Musi być jednak do tego

spełnionych kilka warunków. Po pierwsze, obie strony powinny przystępować do negocjacji z mniej więcej równych pozycji, trzeba więc w tym przypadku przyznać rację Wiśniowieckiemu i pozostałym członkom stronnictwa wojennego, że należało Kozakom przynajmniej „pokazać szablę”, czyli zebrać silne, dobrze zaopatrzone i sprawnie dowodzone wojsko.

Po drugie, na czas rokowań działania wojenne powinny zostać zawieszane. To oznacza, że obie strony musiałyby na ten czas wziąć „na smycz” swoich dowódców i nie pozwolić im na, świadome lub nie, celowe lub przypadkowe, torpedowanie obrad.

Trzeci warunek jest dość oczywisty: należało ustalić z góry miejsce i czas spotkania. Przyznam, że nie do końca rozumiem, dlaczego wysłano nieszczęsnego Kisiela w kraj zrewoltowany i już bardzo zniszczony, kraj, w którym, prawdę mówiąc, wojna wciąż trwała bez przerwy i w którym musiał niejednokrotnie wywalczać sobie drogę siłą lub pertraktacjami z pijanymi watażkami, tracąc czas i, co ważniejsze, autorytet. Dlaczego nie zaproponowano Chmielnickiemu spotkania przedstawicieli obu stron w jakimś dogodniejszym miejscu, niekoniecznie w

Warszawie, ale gdzieś na pograniczu obu „stref wpływów?” Należy przypuszczać, że na to, by była to rezydencja zwolennika ugody, Ossolińskiego, sejm by się nie zgodził, choć... kto wie? Kanclerzowi udawało się przecież przeforsować bardziej karkołomne propozycje.

Po czwarte - rokowania powinny być poprzedzone przeprowadzeniem wstępnego rozeznania, które pozwoliłoby ustalić „wyjściowe” stanowiska stron i w oparciu o to określić granice dopuszczalnego kompromisu. Wreszcie, last but not least, kwestia piąta to skład komisji. Na tak trudne rokowania Rzeczpospolita powinna wysłać wytrawnych, doświadczonych, kutych na cztery nogi dyplomatów, dorównujących pod względem sprytu i inteligencji

Chmielnickiemu. Z całym szacunkiem dla Adama Kisiela, który rzeczywiście w 1648 roku przeszedł istną drogę krzyżową, ale on do takich ludzi na pewno się nie zaliczał. Wręcz przeciwnie,  
199

jego postępowanie każe uznać go za człowieka łatwowiernego, wprost naiwnego, pozwalającego Chmielnickiemu wodzić się za nos.

Etniczna i religijna „wspólność” z powstańcami to stanowczo za mało, zwłaszcza że Kozacy aż tak religijni nigdy przecież nie byli.

A poza Kisielalem w komisji znalazły się jedynie marionetki Ossolińskiego, które na moment, dzięki temu, że w komisji się znalazły, wychynęły z mroku dziejów i natychmiast w nim na powrót zniknęły. Prowadzenie rozmów z Chmielnickim

powierzono więc niewłaściwym ludziom i, prawdę mówiąc, wyrządzono im w ten sposób, zwłaszcza samemu Kisielowi, ogromną krzywdę. Co gorsza jednak, również, a raczej przede wszystkim, państwu.

Kampania jesienna 1648 roku  
Piławce

W sprawie ukraińskiej sejm konwokacyjny podjął w zasadzie dwie istotne uchwały - o powołaniu komisji do rozmów z Chmielnickim i w sprawie odtworzenia wojsk państwowych. Zdecydował również o mianowaniu nowych dowódców na miejsce przebywających w niewoli tatarskiej hetmanów. Niestety, żadna z tych decyzji nie przyniosła pozytywnych rezultatów. Komisja, mimo wysiłków i determinacji Kisiela, nie spotkała się z Chmielnickim, a tym samym nie wynegocjowała pokoju. Nie odniosła więc spodziewanego przez polityków i większość społeczeństwa sukcesu. Spowodowała natomiast pewne szkody, choćby w kwestii autorytetu państwa, który w tym przypadku nieco ucierpiał, jak również z powodu „rozhartowania” społeczeństwa (mam oczywiście na myśli społeczność szlachecką, bo jedynie ona się liczyła), które miało pewien wpływ na determinację wojska. Nie były to jednak szkody o fundamentalnym znaczeniu, a ich skutki można było dość łatwo zniwelować. Gorzej było natomiast z decyzją w sprawie dowództwa armii w kształcie i składzie narzuconym przez Ossolińskiego. Brak jednolitego, sprawnego i doświadczonego dowództwa dał o sobie znać bardzo

szybko, prawdę mówiąc zanim jeszcze rozpoczęto właściwe działania, a nawet zanim wojska się zebrały. Już bowiem w tej wstępnej fazie doszło do poważnego rozłamu w kwestii lokalizacji obozu, w którym armia miała się koncentrować. Regimentarze, a konkretnie ks. Zasławski i Ostroróg, wyznaczyli jako punkt zborny miejscowość Gliniany pod Lwowem.

Decyzję tę natychmiast zakwestionował Wiśniowiecki, który uważał, że miejscowość ta jest zbyt daleko odsunięta od terenu działań zbrojnych. Książę zwołał więc w Zbarażu naradę swych przyjaciół i stronników. Przybyło na nią wielu doświadczonych dowódców, a także, o dzi-  
201

wo, jeden z regimentarzy, a mianowicie Andrzej Koniecpolski, szwagier Wiśniowieckiego. Można z tego wnosić, że w obliczu tak potężnego zagrożenia, jakim stało się powstanie Chmielnickiego, stosunki w rodzinie poprawiły się i wysiłki kanclerza, aby ostatecznie skłócić szwagrów, faworyzując jednego z nich (Koniecpolskiego) kosztem drugiego, spełzły na niczym. Do Zbaraża przybyło również wielu komisarzy mianowanych przez sejm<sup>1</sup>. Na naradzie tej zapadła decyzja, aby punkt koncentracji armii wyznaczyć w położonej 50 km na wschód od Zbaraża miejscowości Czołhański Kamień. Czy była to niesubordynacja wobec decyzji regimentarzy, a właściwie dwóch spośród nich - Zasławskiego i Ostroroga? I tak, i nie. Jak pamiętamy, kompetencje i stopień zależności komisarzy od regimentarzy nie zostały przez



sejm określone, można więc przyjąć, że każdy z nich miał prawo podejmować samodzielne decyzje. Czy jednak oznacza to, że komisarze mogli również kwestionować decyzje regimentarza, a zwłaszcza regimentarza głównego, którym był ks. Zasławski? Przyjęta później praktyka zdaje się wskazywać, że to ks.

Zasławskie-mu wyznaczono pozycję pierwszego wśród równych.

Tak czy inaczej, prawnie czy bezprawnie, przyjęto rozwiązanie sprzeczne z decyzją obu regimentarzy, już na wstępie stawiając pod znakiem zapytania rezultat całej operacji.

Nie wnikając głębiej w kwestie formalne, zastanówmy się, kto w tym sporze miał rację merytoryczną. Oponenti zarzucali Wiśniowieckiemu, że zakładając obóz w pobliżu Zbaraża, kierował się prywatą, gdyż starał się głównie chronić własne włości, a raczej te ich resztki, które były rozlokowane w okolicach Zbaraża.

Może i coś tam było na rzeczy, ostatecznie XVII-wieczna magnateria i szlachta o sprawy majątkowe bardzo dbały. Przykładów można by wskazać wiele, również w trakcie opisywanej „wyprawy piławieckiej”, kiedy to regimentarz Aleksander Koniecpolski, pamiętając o swych interesach, wysyłał podległe mu chorągwie do swoich miejscowości z zadaniem przepędzenia oddziałów kozackich i chłopskich, które się tam kręciły.

' Z bardziej znanych dowódców do Zbaraża przybyli m.in.: późniejszy hetman wielki Stanisław Rewera-Potocki, syn hetmana polnego Samuel Kalinowski, wojewoda

kijowski Tyszkiewicz i inni.

202

W kwestii lokalizacji obozu był to jednak zarzut w znacznej mierze niesprawiedliwy, za założeniem go w okolicy Zbaraża przemawiały bowiem również, a raczej nawet przede wszystkim, względy strategiczne. Nie można przecież odmówić księciu słuszności, gdy pisał do Ostroroga: „Co bowiem za korzyść Rzeczpospolitej, że pod Gliniany mieć będzie zgromadzenie? Będzie to tylko, że Wołyń, że Podole i wszystka prawie Ruś odbieżana na rabunek przyjdzie nieprzyjacielowi”<sup>2</sup>.

Popularność Jeremiego spowodowała, że znacznie więcej oddziałów wojskowych przybywało do obozu pod Czołhańskim Kamieniem niż pod Gliniany. Mniej więcej w połowie sierpnia regimentarze w obozie pod Glinianami dysponowali blisko 1000 żołnierzy, gdy tymczasem w obozie pod Czołhańskim Kamieniem było ich już około 15 000!

Po długich namowach, po wielu listach i spotkaniach posłów i mediatorów, Zasławski i Ostroróg spuścili nieco z tonu i przesunęli swe oddziały bliżej zgrupowania Wiśniowieckiego. 4 września doszli do brzegów Horynia i założyli obóz w odległości około 2 mil od obozu Wiśniowieckiego. Nieopodal znajdował się też obóz trzeciego z regimentarzy, Aleksandra Koniecpolskiego, który wyraźnie nie potrafił się zdecydować, jak postąpić i wobec kogo być lojalnym.

Decyzję o zbliżeniu się obozów uznać należy wprawdzie za krok we właściwym

kierunku, nie oznaczało ono jednak pojednania zwaśnionych wodzów, uzgodnienia jednego, wspólnego miejsca koncentracji i ustanowienia jakiegoś jednolitego dowództwa. Trzeba jednak przyznać, że pracowano nad tym usilnie. Między obozami kursowali posłowie i negocjatorzy, którzy w końcu doprowadzili do zażegnania konfliktu.

Ostateczne, uroczyste pojednanie nastąpiło 11 września. Przed frontem całego wojska ks. Dominik Zasławski wyściskał się z ks. Wiśnio-wieckim, potem odbyła się narada, a wreszcie, jakżeby inaczej, wielka uczta. Nastroje w wojsku oczywiście poprawiły się, zwłaszcza że obóz był dobrze zaopatrzony w żywność, napitki i inne dobra. Niestety, ten hurraoptymizm miał też i negatywne skutki, spowodował bowiem, że obóz przekształcił się w jedno wielkie pole piknikowe; odbywały się tam niekończące się biesiady, na których wznoszono toasty za zdrowie wodzów, przyjaciół, no i oczywiście własne, a także „na pohybel” wrogom Rzeczypospolitej.

2 Jakuba Michałowskiego, wojskiego lubelskiego..., op. cit., s. 154–155.

203

Dobrego samopoczucia wojaków nie psuły również informacje dostarczane przez podjazdy, a zwłaszcza przez Kozaka Zabuskiego, który 13 września przybył do polskiego obozu. Z jego relacji wynikało, że armia Chmielnickiego jest wprawdzie dość liczna (twierdził, że liczy około 100 000 ludzi), ale dość lichy uzbrojona,

że cierpi zwłaszcza na niedostatek strzelb, a ponadto - identycznie jak w obozie polskim - brakuje jej zupełnie dyscypliny, gdyż wojsko jest „na każdy dzień pijane”. Tenże Zabuski zapewniał również, że Chmielnicki nie wie jeszcze o koncentracji wojsk polskich i sądzi, że ma przed sobą najwyżej kilka tysięcy wojska, a mimo to zwleka z ofensywą, gdyż czeka ciągle na Tatarów. Zabuski ucieszył ponadto polskie serca informacją, że wśród Kozaków rejestrowych istnieje rozległy spisek i że gdy dojdzie do bitwy, to stronę polską wesprze co najmniej 1000 zakonspirowanych sojuszników armii koronnej. Radość w obozie polskim była oczywiście ogromna, tyle tylko, że wieści te nie miały wiele wspólnego z prawdą, a Zabuski musiał być obdarzony dość bujną wyobraźnią. To można by nawet zrozumieć, nie tylko przecież pan Zagłoba lubił i umiał koloryzować. Dziwi natomiast, że w dowództwie polskim, w którym znajdowało się sporo doświadczonych oficerów, tak łatwo dano wiarę tego rodzaju rewelacjom i tak autentycznie z nich się cieszą. Jak bowiem można było uwierzyć w rozległy spisek antykozacki wśród Kozaków rejestrowych, a więc tych samych, którzy przecież nie tak dawno dobrowolnie złamali przysięgę złożoną Rzeczpospolitej i w głównej mierze przyczynili się do późniejszych klęsk wojsk koronnych?! Co obecnie miałoby ich skłonić do zawiązania spisku i planowania z kolei zdrady Chmielnickiego? Jakie motywy miałyby nimi kierować? Jaką wreszcie korzyść

zamierzali w ten sposób osiągnąć? Gdyby Zabuski rozmiary tej konspiracji określił na kilku, najwyżej kilkunastu ludzi - jeszcze można by mu w to uwierzyć, bo w 100-ty-sięcznej armii zawsze może się znaleźć tylu ludzi mających kłopoty z myśleniem. Ale tysiąc?

Nie lepiej też było z informacją, iż Chmielnicki jest przekonany o tym, że armia polska liczy około 2000-3000 żołnierzy. Kampania wiosenna dowiodła, że wódz kozacki doskonale sobie radzi z organizacją wywiadu i kontrwywiadu, dzięki czemu na bieżąco dysponuje znacznie lepszymi informacjami niż strona polska. A nawet gdyby założyć, że tym razem umiejętności i służby te go zawiodły, to -jak słusznie zauważa W. Ser-czyk- liczebność wojsk polskich musiałby niewątpliwie odgadnąć z siły

204

polских podjazdów, których wysyłano sporo. Czynili to regimentarze i komisarze, zwłaszcza Wiśniowiecki, i nie były to bynajmniej małe oddziały; wręcz przeciwnie, często liczyły one tysiąc, a nawet więcej żołnierzy. Podjazdy te dość często toczyły zwycięskie walki z oddziałami kozackimi i hetman zaporoski musiał być o tym doskonale poinformowany, jeśliby więc z takich jednoznacznych przesłanek nie wyciągnął należytych wniosków, oznaczałoby to, że jest człowiekiem bardzo mało spostrzegawczym i wręcz naiwnym. Załóżmy jednak, że tak rzeczywiście było, że nagle stał się ślepy, głuchy i, co gorsza, umyślowo

ograniczony, to dlaczego w takim razie nie starał się wykorzystać sprzyjającej okazji? Przecież jeśli był przekonany, że ma tak ogromną przewagę liczebną, to czyż nie powinien natychmiast przejść do ofensywy i zgnieść tę garstkę wojska jeszcze przed przybyciem Tatarów? Skąd więc Zabuski brał te wiadomości? Łatwo by oczywiście można skwitować całą aferę stwierdzeniem, że był on kolejnym, nasłanym przez Chmielnickiego „agentem J-23”, szkopał jednak w tym, że Zabuski do szpiegów Chmielnickiego na pewno nie należał. Przekonuje o tym rozwój wypadków, przedstawionych w dalszych częściach naszej opowieści.

Ostatecznie jednak relacja Zabuskiego spowodowała przynajmniej jeden korzystny skutek: skłoniła balującą armię do ruszenia się z miejsca i zaatakowania Kozaków, zanim nadejdzie orda. Nie oznaczało to, że w obozie polskim zaprzestano sporów i kłótni, a poważnie zajęto się sprawami merytorycznymi, czyli zbliżającą się walką. Bynajmniej. Wprawdzie spory te dotyczyły z reguły spraw marginalnych, drobnych ambicy-jek itp., ale były okrutnie zażarte i skutecznie rozbijały jedność armii. Charakterystyczna była np. kłótnia Ostroroga z Konięcpolskim o to, czyja dywizja ma maszerować pierwsza. Ostatecznie, po wielu sporach, zaszczyt ten przyznano Konięcpolskiemu, więc gdy 14 września armia wy-maszerowała w kierunku Konstantynowa, pochód otwierały oddziały podlegające Konięcpolskiemu. Spodziewano się, że Chmielnicki zechce bronić przeprawy przez rzekę Ikopot pod

Rosołowcami, ale hetman zaporoski skoncentrował całą swą armię w okolicy Piławiec i pościagał do obozu wszystkie dotychczas samodzielnie operujące grupy. Dzięki temu armia regimentarzy bez żadnych przeszkód mogła sforsować bród na rzece i 16 września jej straż przednia dotarła w okolice Konstantynowa, gdzie - również bez więk-

205

szych przeszkód - opanowano przeprawę przez Słucz. Okazało się jednak, że samo miasto jest zajęte przez około 5-tysięczny oddział kozacki, który zapewne spóźnił się i nie zdążył wycofać na miejsce koncentracji przed przybyciem wojsk koronnych.

Obaj „szwagroszkowie” („szwagroszczakowie”), czyli A. Konięcpolski i

Wiśniowiecki sformowali liczący około 2000

kawalerzystów oddział ochotników i na jego czele zaatakowali Konstantynów.

Próba zdobycia umocnień siłami samej kawalerii nie powiodła się, bo powieść się

nie mogła, w związku z czym dowódcy zwrócili się z prośbą - według jednej wersji

do ks. Zasławskiego, który z głównymi siłami znajdował się jeszcze po drugiej

stronie Słuczy, a według innej, do regimentarza Ostroroga - o przysłanie

dragonii i piechoty. Jak było w rzeczywistości, pewnie już się nie dowiemy.

Zwolennicy tezy, że adresatem prośby był

Zasławski, twierdzą, że regimentarz

odmówił, uważając - z bliżej nieznanых powodów - że należy ze zdobywaniem miasta

wstrzymać się do następnego dnia. Natomiast z relacji pochodzącej od Ostroroga

wynika, że był on skłonny pomocy udzielić, zanim jednak zdołał dotrzeć pod mury miasta, zapadła już noc i szturm odłożono do dnia następnego. Niezależnie więc od tego, która wersja jest prawdziwa, skutek był taki sam: miasto pozostało na razie niezdobyte, a następnego dnia cała sprawa była już nieaktualna, gdyż w nocy załoga Konstantynowa niepostrzeżenie opuściła umocnienia i wycofała się do Piławiec.

Incydent ten potwierdził prawdziwość informacji o rozkazie wydanym przez

Chmielnickiego: wszystkie wojska miały skoncentrować się w głównym obozie i tam czekać na nadejście Polaków. Hetman wyraźnie przyjął taktykę defensywną, nie chcąc rozpoczynać bitwy bez posiłków tatarskich, które jeszcze nie nadeszły. A to wyraźnie wskazuje na to, że -wbrew temu, co twierdził Zabuski - doskonale orientował się w sile polskiej armii i nie chciał ryzykować starcia w otwartym polu siłami samych Kozaków i ukraińskiego „pospolitego ruszenia”.

W opuszczonym przez nieprzyjaciela Konstantynowie odbyła się kolejna narada sztabu polskiego, na której musiano rozstrzygnąć zasadniczy problem: pozostać w Konstantynowie czy maszerować pod Piławce. Każde z tych rozwiązań miało swoje dobre i złe strony. Za pozostaniem pod Konstantynowem przemawiało to, że posiadał on własne umocnienia, a poza tym położony był w miejscu z natury obronnym, które doskonale nadawało się do założenia silnego obozu. Można było w nim spo-



kojnie czekać na nadejście Chmielnickiego, nawet wzmocnionego Tatarami, i podjąć z nim walkę z dużymi szansami na sukces, gdyż Tatarzy, groźni w otwartym polu, niezbyt byli przydatni przy szturmach na umocnienia.

Były jednak również kontrargumenty. W sztabie polskim zorientowano się już, że Chmielnicki przyjął taktykę nieatakowania zgrupowania polskiego, istniała więc obawa, że będzie nadal oczekiwał Polaków pod Piławcami. W tej sytuacji nie miało sensu zakładanie obozu i bezczynne czekanie nad brzegiem Słuczy, podczas gdy maszerując pod Piławce, można było zmusić Kozaków do bitwy, zanim nadejdą Tatarzy, a to poważnie zwiększało polskie szanse na zwycięstwo. Argument ten, choć rzeczywiście poważny, nie miał siły rozstrzygającej, istniały bowiem równie istotne argumenty, które przemawiały za niepodejmowaniem ofensywy na Piławce. Chodziło zwłaszcza o konfigurację terenu i usytuowanie obozu Chmielnickiego. Otóż z tego, co wiedziano w obozie polskim, wynikało, że Chmielnicki rezyduje w murowanym, niezbyt obronnym i silnym zameczku, a jego obóz, dobrze umocniony, ciągnie się aż do brzegów bagnistej rzeczki Piławki, zwanej też Ikawą. Pozycja była mocna, gdyż chroniąca umocnienia rzeczka i rozciągające się nad jej brzegami bagna chroniły umocnienia kozackie i mogły utrudnić natarcie konnicą. Słusznie więc oceniano ją w polskim obozie jako „paskudną”, choć nie wiedziano

jeszcze wówczas o wszystkich jej niedogodnościach. Prawda ta miała w pełni ujawnić się dopiero po przybyciu armii pod Piławce, a jest to kolejny dowód na to, jak bardzo szwankowało rozpoznanie sił i możliwości przeciwnika. Problem, czy pozostać na miejscu, nad Słuczą, czy maszerować pod Piławce, był, jak widać, poważny i trudny do rozstrzygnięcia, przypominający nieco pokerowy dylemat - wchodzić do puli, przebijać przeciwnika czy też czekać na jego decyzję. Sztab polski zdecydował się na rozwiązanie pierwsze - czyli na przejście do ofensywy i marsz pod Piławce. Ta decyzja, przy wspomnianym już braku pełnego rozpoznania i oceny pozycji nieprzyjaciela, wymownie świadczy o tym, jak bardzo niedoświadczone było polskie dowództwo, pozwalając narzucić sobie wybrany przez Chmielnickiego teren przyszłego starcia. Co zdecydowało o podjęciu takiej decyzji? Niestety, nie dysponujemy relacjami na temat tej narady, stanowisk prezentowanych przez jej uczestników itp., sformułowanymi przed zakończeniem bitwy piławieckiej.

207

Wszelkie informacje na ten temat, które dotrwały do naszych czasów, pochodzą z okresu „po bitwie”, kiedy znano już skutki podjętej decyzji i powszechnie uznano ją za najważniejszy błąd popełniony w trakcie tej wyprawy, a to oczywiście miało ogromny wpływ na treść tych relacji. Nie od dziś wiadomo przecież, że sukces ma wielu ojców, a klęska jest sierotą... Zgodnie z tym porzekadłem, główny

regimentarz (a był nim, jak pamiętamy, przynajmniej nominalnie, ks. Dominik Zasławski-Ostrog-ski) twierdził, zarówno w listach, jak i w późniejszych relacjach sejmowych, że osobiście był zdecydowanym przeciwnikiem marszu pod Piławce, a popierali go w tym: ks. Wiśniowiecki, Tyszkiewicz, Rewera--Potocki i Kisiel.

Powstaje w takim razie pytanie: kto optował za pozostaniem pod Konstantynowem? Tu już pamięć księcia zawodziła i inne nazwiska podawał w prywatnych listach, a inne w relacji sejmowej. W listach księżę twierdził, że głównym zwolennikiem marszu pod Piławce był Mikołaj Ostroróg, wspierany przez anonimową większość sztabu, natomiast w relacji sejmowej podawał, że sprzeciwiali mu się szczególnie Andrzej Firlej, Hieronim Radziejowski, Jan Szczawiński i... Tyszkiewicz, znów oczywiście wspierani przez pozostałych uczestników narady i przez samo wojsko, które - wstrząśnięte tym, co zastano w Konstantynowie - zdecydowanie chciało maszerować pod Piławce i groziło, że w przypadku podjęcia odmiennej decyzji rozejdzie się do domów lub... wybierze innych hetmanów<sup>3</sup>.

Tak to wyglądało w relacji Zasławskiego, nie brak jednak również informacji, z których wynika, że to właśnie główny regimentarz najmocniej obstawał za wyruszeniem pod Piławce, gdyż obawiał się, że koczujące nad Słuczapod Konstantynowem wojsko obje mu ze szczeniem jego włości, znajdujące się w tamtych stronach.

Była jeszcze ponoć propozycja kompromisowa, wysunięta przez Wi-śniowieckiego. Radził on podobno, aby pod Konstantynowem pozostawić tabor (zapewne obsadzony piechotą i artylerią) dla zabezpieczenia 3 Tym, co tak wzburzyło żołnierzy, był widok zniszczonego Konstantynowa, sprofanowanych kościołów i udręczonych mieszkańców miasta, którzy przeżyli okupację kozacką. Jeden z uczestników wyprawy relacjonuje, że zastano ludzi „jakby z innego świata”, którzy „półżywi z rąk tyrańskich, od głodu strapieni, drogę nam z płaczem zachodzili, ścian się opierając”. (Jakuba Michałowskiego..., op. cit., s. 195).

208

tyłów, a z resztą wojska ruszyć „komunikem” pod Piławce i spróbować pokonać Kozaków, zanim nadejdą Tatarzy. Nie wiemy, czy była to oryginalna koncepcja „Jaremy”, czy też próba pogodzenia zwaśnionych dyskutantów. Brak też informacji, jak została ona przyjęta przez sztab i kto się za nią, poza oczywiście księciem, opowiedział.

Wyruszając pod Piławce, armia maszerowała szykiem bardzo rozciągniętym, trzema grupami. Skrzydłami dowodzili regimentarze Ostroróg i Konięcpolski, natomiast grupą centralną Dominik Zasławski, mając do pomocy komisarza J. Wiśniowieckiego.

Maszerowano powoli, gdyż wojsko obciążone było ogromnym taborem, składającym się z dziesiątków tysięcy wozów. Większość tych wozów należała oczywiście do magnaterii, od której w tej armii aż się roiło, i do bogatszych oficerów.

Tabory były istną zmorem ówczesnych armii, i koronnych, i litewskich, tym razem jednak zdecydowanie, nawet jak na polskie zwyczaje, przesadzono z jego wielkością. Wojsko ciągnęło na wyprawę, jakby to miał być bal, najwyraźniej przekonane, że chodzi jedynie o demonstrację siły i że do poważniejszych starć nie dojdzie (podobno ulubioną rozrywką żołnierzy pochodzenia szlacheckiego było trzaskanie z biczem i twierdzenie, że uspokoją bunt samymi batami, bez konieczności wyciągania broni). W sumie więc umysły szlachty zgromadzonej w obozie regimentar-sko-komisarskim bardziej zajmowały rozrywki, głównie uczty i pijatyki, urozmaicane obecnością dam podejrzanej konduity i nie najcięższego prowadzenia. Było ich ponoć w obozie sporo, a dla niepoznaki niektóre z nich poprzebierano w męskie szatki. Ale że wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi... W każdym razie nie mogło to nikogo zmylić. Nie tylko zresztą ucztowanie zajmowało czas i umysły zgromadzonej szlachty. Sporo uwagi poświęcano również sprawom politycznym, a zwłaszcza zbliżającej się elekcji. Ponoć nawet na tej brzemiennej w skutki naradzie konstantynowskiej wiele czasu poświęcono rezolucji, jaką zamierzano wysłać do prymasa, prosząc go o przesunięcie terminu wyborów tak, aby szlachta, służąca w wojsku i biorąca udział w wyprawie, zdążyła na czas powrócić do Warszawy i wziąć udział w wyborze króla. Niewykluczone nawet, że to właśnie względem na elekcję, na jej termin,

przesadził o decyzji marszu pod Piławce. Pozostając bowiem na miejscu i okopując się pod Konstantynowem, musiano by najpierw czekać na ruch Chmielnickiego, potem odpierać ataki, jeszcze potem wracać... A czas płynąłby i kto inny zadecydowałby o wyborze tego a nie innego władcy.

209

O ile przeciętnemu szlachcicowi mogło być obojętne, kto zostanie królem (choć szlachta dość powszechnie opowiadała się za popieranym przez Wiśniowieckiego Karolem Ferdynandem), to z całą pewnością nie było to obojętne magnatom. A przecież w wyprawie brało udział wcale liczne ich grono; z ironiąprzecież wyliczano, że było ich „wojewodów siedmiu, kasztelanów pięciu i starostów szesnastu”<sup>4</sup>. Dla nich kwestia, kto zostanie władcą, była nader istotna, bo przecież to władca był szafarzem łask, jak wówczas mawiano „pszczołą bez żądła”, a dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że „pszczoła” ta da miód jedynie własnym stronnikom i poplecznikom. Przeciwnicy zaś dostaną figę z makiem. Dla magnaterii sprawą niezwykle ważną był więc powrót do stolicy na czas, tak by zorientować się, jakie wiatry wieją, który z kandydatów ma większe szanse i w porę podjąć stosowną akcję lub zająć z góry upatrzone, wygodne stanowisko. A zatem to magnaci byli szczerze zainteresowani jak najszybszym zakończeniem wyprawy i powrotem do Warszawy i oni przy kielichu często przypominali „braciom” stare hasło: nic o nas bez nas...

Pod Piławce armia przybyła 20 września. Na miejscu okazało się, że jest gorzej niż przypuszczano. Ikwa szeroko rozlała się po ostatnich deszczach, a jej brzegi zamieniły się w trzęsawiska, co nader utrudniało przeprawę. W dodatku brzeg, na którym rozłożyła się armia Chmielnickiego, był wyższy i równiejszy, a Kozacy zdecydowanie kontrolowali wszystkie brody i podejścia.

Przeprawa polskiej armii na „kozacki” brzeg nie miała zresztą wielkiego sensu, gdyż umocnienia obozu Chmielnickiego dochodziły prawie do brzegów rzeki i założenie obozu po tamtej stronie było w praktyce niemożliwe.

Pozycje Chmielnickiego były trudne do zaatakowania nie tylko z powodu przeszkód terenowych, o których wspominałem, ale również dlatego, że były one dobrze ufortyfikowane. Obóz otoczono wysokimi wałami, a jary przecinające tamten teren zostały należycie umocnione i obsadzone wojskiem tak, że umożliwiały skuteczny ostrzał przedpola.

„Polski” brzeg był nie tylko niżej położony od „kozackiego”, ale w dodatku zupełnie nie nadawał się do założenia dużego obozu, był bowiem błotnisty i znajdowały się nim wcale strome pagórki. Słynący z inżynierskich umiejętności Rzymianie (na których tak lubiano się w XVII-wiecz-

4 Cyt. [za:] W. Serczyk, *Na płonącej Ukrainie...*, op. cit., s. 137.

210

nej Polsce powoływać) może by sobie z tym jakoś poradzili; wszak Cezar w czasie

wojny domowej z Pompejuszem otoczył swego przeciwnika pod Dyrrachium systemem fortów, fos i wałów biegnących szczytami o wiele wyższych gór niż wzgórze pod Piławcami, długości około 25 km. No, ale Rzymianie zdolności architektonicznie i inżynierskie mieli niejako zapisane w genach, a i tak zajęło im to aż trzy miesiące, a Polacy tyle czasu nie mieli... Ostatecznie więc umieszczono wojsko i ogromny tabor w sześciu odrębnych, zupełnie ze sobą niepowiązanych obozach, co dodatkowo rozproszyło i tak rozczłonkowaną przecież armię i utrudniło centralne kierowanie walką. Summa summarum, powstał obóz, „bez porządku, ani końca nie mając swego i początku”, w którym „gdzie kto chciał, tam stanął”. Podzieliły się zresztą nie tylko obozy, ale - ostatecznie i nieodwracalnie - cała armia. Nie ma sensu powracać jeszcze raz do charakterystyki Zasławskiego, wyznaczonego przez sejm (a właściwie przez Ossolińskiego) na głównego dowódcę, i pozostałych członków dowództwa, warto jednakże odnotować, że to, co w trakcie pochodu funkcjonowało jeszcze jako tako, teraz, po dojściu pod Piławce, po roztasowaniu się w różnych obozach, rozeszło się w szwach zupełnie, tak że, jak to odnotowano w relacjach, każdy słuchał, kogo chciał, atakował, kiedy chciał (jeśli w ogóle chciał) i jak chciał. Armia zaczęła więc przypominać dryfujący statek bez steru, miotany falami i prądami morskimi. Przerwijmy jednak te narzekania i przyjrzyjmy się siłom obu stron. 20 września



pod Piławcami Tatarów jeszcze nie było, Chmielnicki dysponował więc armią złożoną wyłącznie z Kozaków i oddziałów chłopskiego „pospolitego ruszenia”. Liczebność tej armii autorzy zachowanych listów i relacji oceniają około 100 000 ludzi, jednakże powszechnie znana skłonność do przesady XVII-wiecznych kronikarzy zmusza do pewnej ostrożności. Przyjmijmy więc, że siły kozacko-chłopskie, skoncentrowane pod Piławcami, były nieco mniejsze i liczyły prawdopodobnie około 70 000, może 80 000 ludzi. Niełatwo również jednoznacznie ocenić wartość bojową tej armii, zapewne pod tym względem dość niejednolitej. Niewątpliwie najlepiej prezentowała się piechota zaporoska. Jej walory – dobre wyszkolenie strzeleckie i wysokie umiejętności obrony w obozie, z wałów i umocnień tworzonych z wozów – były powszechnie znane i budziły podziw nawet zagranicznych obserwatorów, chociażby Beauplana. Nie poprawiły się

211

natomiast walory jazdy kozackiej, czego dowodem może być chociażby przebieg bitwy pod Konstantynowem. Nadal nie dorównywała ona „natarczywością” jeździe polskiej i nie potrafiła stawić jej czoła w otwartym polu, nawet przy wsparciu własnej piechoty. Najgorzej natomiast pod względem walorów bojowych przedstawiały się zapewne oddziały chłopów ukraińskich. Wprawdzie byli oni na ogół nieźle obeznani z bronią, a doświadczenie zdobywali w częstych walkach z

Tatarami, ustępowali jednakże zawodowym żołnierzom pod względem uzbrojenia, dyscypliny i odporności na stres towarzyszący bitwom.

Nie mamy, niestety, żadnych bezpośrednich informacji dotyczących uzbrojenia oddziałów kozackich i ukraińskiej „czerni”, trudno jednak uwierzyć w rewelacje Zabuskiego o tym, że było one „bez strzelby dwie części większe”. Na Ukrainie, wiecznie narażonej na najazdy tatarskie, zawsze było sporo broni palnej po wsiach i miastach (przypomnijmy sobie, ile strzelb i samopalów skonfiskował na początku powstania w swych dobrach ks. Wiśniowiecki). Po wybuchu powstania sytuacja pod tym względem musiała się jeszcze poprawić; Kozacy zdobyli przecież w bitwach pod Żółtymi Wodami i Korsuniem oraz w dziesiątkach miast i twierdz ukraińskich, zwłaszcza w Barze, który -jak pamiętamy - był arsenałem armii koronnej, spore ilości muszkietów, strzelb i rusznic oraz amunicji. Dłaczegóż więc główne zgrupowanie pod Piławcami miałoby być tak fatalnie wyposażone w broń palną?

A jak z kolei prezentowała się strona polska? Koncentracja oddziałów polskich przebiegała początkowo, jak pamiętamy, dość opieszale, ale w końcu udało się zebrać około 30 000-36 000 żołnierzy. Czeladzi, woźniców i innych „ciurów obozowych” oczywiście nikt wówczas nie liczył, ale na pewno było ich co najmniej kilkanaście tysięcy ludzi, jeśli nie więcej. Armia ta składała się z około 10

000 żołnierzy pochodzących z zaciągów powiatowych, ponad 1000 żołnierzy gwardii królewskiej, około 1500 żołnierzy ordynackich, piechoty wybranieckiej i licznych oddziałów prywatnych. Nie było natomiast pod Piławcami, wbrew dość rozpowszechnionemu mniemaniu, szlacheckiego pospolitego ruszenia.

Jak na warunki polskie, była to więc armia imponująca pod względem liczebnym; największa od czasów wojen moskiewskich Władysława IV.

5 J. Wimmer, *Wojsko Polskie...*, op. cit., s. 46-54.

212

Najliczniejszą formacją (3:1) była oczywiście jazda różnych rodzajów.

Tradycyjnie mniej było piechoty, ale biorąc pod uwagę, że na polu bitwy, a zwłaszcza wówczas, gdy trzeba było bronić własnego obozu lub zdobywać umocnienia przeciwnika, wspierała ją zazwyczaj dragonia, czyli „piechota na koniach”, to i pod tym względem uznać można sytuację za nie najgorszą- oczywiście jak na polskie zwyczaje i tradycje.

Jeśli chodzi o wartość bojową, zapewne najlepiej prezentowała się jazda z zaciągów powiatowych i pocztów prywatnych, a także piesza gwardia królewska.

Trudno natomiast coś konkretniejszego powiedzieć o pozostałych regimentach i chorągwiach piechoty i dragonii. Nie wiemy, czy było to stare i doświadczone wojsko, czy też, podobnie jak w maju w armii Potockiego, składały się one, zwłaszcza w dywizjach prywatnych, z niewyszkolonych i nieostrzelanych jeszcze

żołnierzy, werbowanych z chłopów pańszczyźnianych. Armia polska była też nieźle wyposażona w broń palną i działa, których miała zapewne blisko kilkadziesiąt, w tym co najmniej 18 dział armii koronnej; reszta należała do oddziałów prywatnych. Nie brakowało również innego sprzętu wojskowego.

Jak z tego widać, była to groźna siła, która pod sprawnym, umiejętnym dowództwem mogła - z nadzieją na sukces - podjąć walkę z powstańcami, nawet po wzmocnieniu ich siłami koalicjanta. Wyglądała też imponująco. W jednym ze źródeł znajdujemy taką oto gorzko-ironiczną ocenę armii polskiej pod Piławcami: „(...) Wojsko wszystko uszykowane, srogie, świetne, ozdobne, pokazywali nieprzyjacielowi, aby go byli wielkością i strachem do pokory przywiedli<sup>6</sup>.

Niestety, dobra prezencja to za mało, zdecydowanie za mało, aby zwyciężyć. Armia polska, górując wyglądem nad Kozakami, ustępowała im pod względem dyscypliny, odporności psychicznej, a przede wszystkim jakości dowództwa. Niestety, w obozie polskim doskonale sprawdzało się stare powiedzenie, że „gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”, zwłaszcza jeśli się pamięta, że główne „kucharki” miały jedynie mgliste pojęcie o „gotowaniu”. Chmielnicki już w kampanii wiosennej dał się poznać jako dowódca doświadczony, utalentowany, energiczny i umiejący doskonale wykorzystać wszystkie walory koalicyjnej armii kozacko-tatarskiej. Zalety te

6 Dokumenty o wojnie..., op. cit., s. 137.

w pełni potwierdził już na początku kampanii jesiennej. Świadczy o tym przyjęta przez niego taktyka defensywna, wynikająca ze znajomości słabych stron swej armii, która, pozbawiona wsparcia konnicy tatarskiej, mimo swojej liczebnej przewagi mogła ponieść klęskę w otwartej bitwie. Dysponując, z powodu opieszałości strony polskiej, czasem i swobodą manewru, wybrał doskonałe pod względem walorów obronnych stanowisko pod Piławcami, ufortyfikował je i spokojnie czekał na nadejście zarówno Polaków, jak i swoich sprzymierzeńców Tatarów. Tym samym zmusił nieudolne dowództwo polskie do niemrawo prowadzonej ofensywy i, w konsekwencji, do stoczenia bitwy w miejscu wybranym przez siebie, a dla Polaków, dysponujących głównie wartościową kawalerią, nader niedogodnym. Czy to oznacza, że strona polska nie miała w swoim sztabie wartościowych, doświadczonych dowódców, mogących zmierzyć się z Chmielnickim? Oczywiście, nie. Był przecież Tyszkiewicz, był Rewera-Potoc-ki, no i oczywiście najlepszy chyba wówczas polski dowódca, ks. Jeremi Wiśniowiecki. Ale nie oni decydowali o sposobie prowadzenia tej kompanii, tak się bowiem dziwnie złożyło w tym zaiste kuriozalnym dowództwie, że większość przydanych regimentarzem komisarzy górowała nad nimi wiedzą wojskową i doświadczeniem. No cóż, bezsporną rację miał autor powiedzenia, że armia baranów dowodzona przez lwa ma większe szanse niż armia lwów dowodzona przez barana. A co dopiero mówić o sytuacji, gdy tych baranów

było kilkudziesięciu, a i lwy były nieco wyliniałe...

Skutki braku należytego, wcześniejszego rozpoznania terenu, ujawniły się już pierwszego dnia, prawie natychmiast po przybyciu na miejsce. Okazało się bowiem, że nie tylko nie można założyć prawidłowego obozu, ale wojsko pozbawione jest dostępu do wody, bez której taka masa ludzi i zwierząt nie mogła przecież wytrzymać nawet jednego dnia. Ściślej mówiąc, dostęp był, tyle że mało dogodny, gdyż wodę czerpać można było jedynie z Ikwy, z miejsc, które znajdowały się pod silnym ostrzałem kozackim. Stało się to też przyczyną pierwszego spontanicznego, bezładnego i niekontrolowanego „boju spotkaniowego”.

Wprawdzie przyczyny i przebieg tego pierwszego spotkania różnie są w różnych relacjach przedstawiane, przyjmijmy jednak wersję, która wydaje się być najbliższą prawdzie. Według niej, walkę rozpoczęła czeladź obozowa, która wyprawiła się po wodę i została ostrzelana przez 214

Kozaków blokujących dostęp do Ikwy. „Ciury obozowe” oczywiście nie były w stanie same walki wygrać, więc wsparł je wojewoda Tyszkiewicz. Fakt, że bez rozkazu, pytanie jednak, czy musiał się o niego starać? Był przecież jednym z komisarzy i, prawdę mówiąc, mógł postępować tak, jak to uznał za stosowne.

Tyszkiewiczza wsparł oczywiście od dawna z nim współpracujący Wiśniowiecki, dołączył też Koniecpolski. Dowódcy ci, na czele 30 chorągwi, wyparli ostatecznie

przeciwnika z grobli umożliwiającej dostęp do Ikwy i przeprawę na drugą stronę rzeki.

Mimo kozackich kontrataków, grobla pozostała w rękach polskich, a chroniący ją szaniec został poszerzony, dodatkowo umocniony, no i obsadzony: według jednej wersji, na rozkaz księcia Zasławskiego, silnym, liczącym około 1200 żołnierzy oddziałem piechoty oraz niewielką ilością jazdy, a według innej, kilkoma chorągwiami Wiśniowieckiego i Koniecpolskiego. Sukces odniesiony zaraz po przybyciu pod Piławce, aczkolwiek nieplanowany, wręcz przypadkowy, a w dodatku nie do końca wykorzystany, bardzo j ednak podbudował morale wojska, może więc dlatego w sztabie polskim zapadła decyzja, aby walną bitwę stoczyć już w dniu następnym, 21 września. Jeżeli tak było naprawdę, byłaby to jedna z nielicznych rozsądnych decyzji, jakie w tym gremium zapadły. Za jak najwcześniejszym rozstrzygnięciem spotkania pod Piławcami przemawiały bowiem dwa niezwykle ważne, wręcz fundamentalne argumenty. Pierwszy wiązał się oczywiście z Tatarami. Jak wiemy, w chwili przybycia armii polskiej pod Piławce jeszcze ich nie było, ale strona polska miała informacje (niestety, prawdziwe), że mają lada moment nadejść. Ich pojawienie się na placu boju zmieniłoby diametralnie sytuację na korzyść Chmielnickiego, należało więc doprowadzić do decydującej bitwy jeszcze przed ich przybyciem. W końcu po to przecież opuszczono wygodną i bezpieczną pozycję pod Konstantynowem, aby

rozgromić Kozaków przed przybyciem ich groźnego koalicjanta!

Argument drugi był pochodną dość pochopnej decyzji o marszu pod Piławce całością sił, wraz z dziesiątkami tysięcy wozów taborowych. Po prostu w tak trudnych warunkach, jakie zastało, bez możliwości zbudowania jednolitego, należyście bronionego obozu i bez bezpiecznego, swobodnego dostępu do wody, armia polska nie mogła zbyt długo w tym miejscu koczować.

215

Planowaną na 21 września bitwą miał ponoć dowodzić jednoosobowo ks. Jeremi

Wiśniowiecki. Kwestia tego dowództwa jest dość niejednoznaczna i chyba rację ma

J. Widacki, który w swojej biografii księcia Jeremiego twierdzi, że w gruncie rzeczy nie wiadomo, czy nominacja ta nastąpiła z inicjatywy regimentarza i

pozostałych komisarzy, czy wręcz przeciwnie - została na nich w pewnym sensie

wymuszona przez wojsko. Stosowny zapis źródłowy, na który powołują się obaj

biografowie „Jaremy”, to znaczy Tomkiewicz i Widacki, brzmi: „Ex consensu (za

zgoda) wojska miała być potrzeba, bo w ten dzień uszykował wojsko ks. Jeremi

bardzo porządnie, co było cum invidia, ale panowie nie następowali, mówiąc: co z

tego za pociecha będzie, kiedy chłopów swoich powybijamy”.

Tekst ten faktycznie jest niejasny, bo, prawdę mówiąc, można z niego równie

dobrze wysnuć wniosek, że to sama bitwa (potrzeba) miała odbyć się za zgodą

wojska, które z kolei przystało na to właśnie dlatego, że w dniu tym do



szykowania wojska i kierowania działaniami  
wyznaczony został J. Wiśniowiecki.  
Jak było, tak było, ważne, że do bitwy w tym dniu  
nie doszło i po pewnym czasie  
„porządnie uszykowane” wojsko, niczego nie  
osiągnąwszy, wróciło spokojnie pod  
namioty. Zgadza się z obydwoma biografami, że o  
takim przebiegu zdarzeń w tym  
dniu musiała zdecydować zawiść współtowarzyszy  
księcia: regimentarzy, komisarzy  
i pomniejszych dowódców, którzy po prostu nie  
chcieli się bić. Dlaczego? No cóż,  
odpowiedź na to pytanie jest stosunkowo prosta -  
dla wielu z nich wizja  
Jeremiego zwycięzcy musiała być nie do przyjęcia.  
Spora część dowódców w obozie  
piławieckim (z Zasławskim na czele) to przecież  
zwolennicy Ossolińskiego,  
członkowie frakcji ugodowej, wciąż jeszcze  
wierzący w możliwość porozumienia się  
z Chmielnickim. To również zwolennicy elekcji Jana  
Kazimierza, którym  
wzmacnianie pozycji Wiśniowieckiego na pewno nie  
mogło być na rękę. A że musieli  
jakoś tę swoją postawę uzasadnić, sięgnęli po  
dziwny, oględnie mówiąc, argument  
o niechęci do wybijania własnych poddanych.  
Argument ten był rzeczywiście  
bzdurny, bo jeśli istotnie nie chcieli się bić,  
aby nie zabijać swoich poddanych,  
to po co w ogóle ruszali pod Piławce?  
Trudno natomiast przyznać rację W. Serczykowi,  
który, komentując to wydarzenie,  
stwierdza: „Gdy Wiśniowieckiemu oddano podobno na  
jeden dzień (21 września)  
komendę, to okazało się, że szlachta, która -  
216

wydawało się - skoczy za Jeremim w ogień, ociągała się z wykonywaniem jego rozkazów. Wprawdzie w literaturze apologetyzującej Wiśniowieckiego spotkać się można ze stwierdzeniem: »regimentarze zrobili wszystko, aby ten dzień nie przyniósł rozstrzygającej bitwy«, a więc w jakiś sposób starali się pokrzyżować plany wojewody ruskiego, ale nie znajdujemy żadnego potwierdzenia tych opinii"<sup>7</sup>. Otóż odnoszę wrażenie, że bardzo ceniony historyk i wybitny znawca historii Ukrainy i Kozaczyzny trochę niesłusznie w tym wypadku kieruje swoje pretensje. Wiśniowiecki był przecież idolem raczej średniej i drobnej szlachty, a ta pod Piław-cami nie miała wiele do powiedzenia, gdyż w składzie armii - powtarzam po raz kolejny-n i e było pospolitego ruszenia. Oczywiście, w oddziałach wojskowych, zwłaszcza jazdy, służyła szlachta, zazwyczaj w charakterze oficerów i towarzyszy, nie sądzę jednak, aby mieli oni aż tak wielki wpływ na to, czy iść do ataku, czy też nie. Mniemać należy, że tego rodzaju decyzje podejmowali dowódcy, regimentarze, komisarze, pułkownicy itp. A wśród nich Wiśniowiecki miał zdecydowanie mniej stronników. Biorąc to pod uwagę, mimo wszystko jestem skłonny bardziej wierzyć w zawiść współkolegów dowódców, którzy rzucali Wiśniowieckiemu kłody pod nogi, niż w ogólny strajk wojska na polu bitwy. Szlachta polska miała wiele grzechów na sumieniu, ale akurat ten historyk przypisał jej chyba niesłusznie. Potwierdzają

to zresztą zdarzenia mające miejsce w ciągu następnych dwóch dni, kiedy to wojsko biło się w sposób nieskoordynowany, wręcz chaotyczny, ale biło się i tylko niektóre chorągwie podobno „potykać się nie chciały”, też zresztą nie wiadomo, czy dlatego, że nie chcieli tego dowódcy, czy sami żołnierze.

Rozważania te jednakże tak naprawdę niczego nie wyjaśniają, a nawet jeszcze bardziej zaciemniają obraz tego, co wydarzyło się 21 września. Bo jeśli rzeczywiście - pod przymusem czy też dobrowolnie - powierzono Wiśniowieckiemu na ten jeden dzień dowództwo całej armii, to jednak powinno do walki dojść. Mógł przecież Wiśniowiecki użyć do ataku własnych chorągwi; wszystko też wskazuje, że mógł liczyć na współdziałanie stałych sojuszników: Koniecpolskiego, Tyszkiewicza, na-

7 Zob.: W. Tomkiewicz, Jeremi Wiśniowiecki (1612-1651), Warszawa 1933, s. 244; J. Widacki, Jeremi Wiśniowiecki, op.cit., s. 142 i W. Serczyk, Na płonącej Ukrainie..., op. Git., s. 142.

217

wet Rewery-Potockiego. Byłby to wprawdzie atak ograniczonymi siłami, ale historia wojen zna wiele wypadków, kiedy jedno podjęte działanie uruchamia kolejne i wypadki zaczynają toczyć się własnym rozpędem, jak spadająca kula śniegowa. A tymczasem, jeśli wierzyć autorom relacji, tego dnia nie zdarzyło się nic godnego uwagi. To rzeczywiście dziwne i zagadkowe, tak jak zagadkowa była cała ówczesna polityka Rzeczypospolitej!

W ten sposób jednak stracono ostatnią chyba szansę na pozytywne rozstrzygnięcie wyprawy piławieckiej. 21 września Tatarów ciągle nie było i dobrze poprowadzony szturm na pozycje kozackie mógł przynieść pozytywny skutek.

Do walnej rozprawy nie doszło również nazajutrz, 22 września, choć toczyły się wówczas podobno jakieś nieskoordynowane, zupełnie bez-planowe starcia, które jednak nie przyniosły żadnego rozstrzygnięcia. A jednak dzień ten miał okazać się bardzo ważny, wręcz przełomowy dla całej operacji, bo w godzinach popołudniowych na placu boju pod Piławcami pojawiły się pierwsze czambuły tatarskie, witane przez Chmielnickiego salwami armatnimi na wiwat.

W obozie polskim oczywiście słyszano okrzyki i strzały, ale nikt nie wiedział, o co chodzi; sądzono wręcz, że to Kozacy biją się między sobą (może przypominano sobie rewelacje Zabuskiego i przypuszczano, że wybuchł bunt spiskowców wśród Kozaków rejestrowych?). W każdym razie nikomu nie przyszło do głowy, że chodzi o gorące powitanie Tatarów, nie dano wiary nawet informacjom dostarczonym przez podjazd Wiśnio-wieckiego, który ujął dwóch jeńców. 22 września pod Piławce przybyło niewielu Tatarów, podobno było ich zaledwie 3000, a jednak nawet tak niewielka liczba tych wojowników spowodowała, że sytuacja uległa diametralnej zmianie. Do tej pory inicjatywa, przynajmniej pozornie, należała do strony polskiej. To oddziały polskie wychodziły w pole i

to w polskim sztabie toczyły się niekończące się narady nad sposobem wywabienia Kozaków zza umocnień. 23 września to się zmieniło. Tym razem to Chmielnicki wystąpił do boju z otwartą przyłbicą. Zaraz rano pułki kozackie wyszły z taboru i ruszyły do natarcia. Widok ten zupełnie zaskoczył stronę polską. Odezwały się wprawdzie trąby wzywające żołnierzy pod znaki, ale nikt już na to nie zwracał uwagi. Przypuszczalnie w poprzednich dniach zbyt często i raczej bez potrzeby trąbiono w obozie polskim czy to na zbiórkę,

218

czy też na trwogę i wojsko zaczęło reagować na sygnały głosowe opieszale. Zaskoczenie zaskoczeniem, ale chaos w obozie polskim wynikał głównie z braku dowództwa albo raczej z ... jego nadmiaru. Jak zwykle w takich sytuacjach, każdy działał na własną rękę, niczego nie uzgadniano, nikt nie koordynował poczynań poszczególnych oddziałów, a nawet całych pułków. Kisiel, składając relację z tej nieszczęsnej bitwy prymasowi, żalił się, że zaraz z rana do jego pułku, który stał w straży przedniej, przybył jeden z komisarzy i wydał rozkaz do ataku. Zupełnie zdezorientowani żołnierze ruszyli natychmiast, podobno nawet nie rozwinięszy szyków. Dopiero gdy starli się już z nieprzyjacielem, na pomoc ruszyły im oddziały Wiśniowieckiego i Koniecpolskiego. Później dołączyły jeszcze oddziały Zasławskiego, Michała Kuropatwy z ziemi halickiej i kilku innych dowódców. Reszta jednakże pozostała na stanowiskach, obserwując toczącą się

walkę, a część zaczęła wycofywać się do obozu („brzydki i wszetecznie uciekały”). Czyż trzeba lepszego dowodu na zupełny bałagan i brak jakiegokolwiek centrum dowodzenia?

Około godz. 4.00 po południu, gdy oddziały polskie walczyły jeszcze w polu i nawet stawiały skuteczny opór, sztab polski odbył „nagłą w polu radę na koniach”.

Wśród jej uczestników panowała podobno zgoda co do tego, że kontynuowanie walki

pod Piławcami jest niemożliwe, „albowiem niepodobna było wytrzymać

nieprzyjacielowi na tamtem tak złem i niebezpiecznym miejscu”, zwłaszcza że część wojska „nie wiedzieć gdzie się podziało”.

Chyba tylko jeden Kisiel poddał pod rozagę rady, jako jedną z propozycji, możliwość zaatakowania nieprzyjaciela całością sił, po to, by albo zginać, albo zwyciężyć. Była to wszelako propozycja, którą on sam nazwał desperacką i przed przyjęciem której przestrzegał. Na

poważnie więc rozważano jedynie, w jaki sposób wycofać się spod Piła-wiec - czy „komunikem”, pozostawiwszy pod Piławcami wozy taborowe, czy też w szyku taborowym.

Później, już po zakończeniu tej narady, powstał jeszcze jeden pomysł, zaproponowany podobno przez samych komisarzy: wycofać spod Piła-wiec same tabory, ochraniane przez piechotę, natomiast całą jazdę, pod dowództwem Wiśniowieckiego, pozostawić jako straż tylną wycofującej się armii. Ostatecznie jednak zdecydowano o wycofaniu się całością sił i zabranii ze sobą

wszystkich wozów taborowych. Na pewno nie była to decyzja

219

najrozumniejsza, gdyż tak ogromny tabor musiał być kulą u nogi wycofujących się oddziałów. Najbliższa przyszłość pokazała jednak, że nie miało to już żadnego znaczenia, gdyż wszelka inicjatywa wymknęła się, ostatecznie i nieodwołalnie, z rąk najwyższego dowództwa. Wszystko zaczęło się wraz z nadejściem nocy, gdy rozpoczęto ładowanie wozów regimentarskich.

Wówczas to bowiem, nie wiadomo skąd i nie do końca wiadomo dlaczego, pojawiła się wśród żołnierzy i zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, informacja (a może tylko plotka?), że „hetmani uciekają”.

Jak później twierdzono, wszystko zaczęło się od tego, że „(...) panowie regimentarze i pułkownicy, zjechawszy się cicho, ciemnej nocy uchodząc, wszystką siłą poczęli uciekać, i odbiegli chorągwi, bez znaków, armaty, taborów i wozów niezliczonych (... )<sup>8</sup>”. Może tak było, a może i nie, tego się już pewnie nie dowiemy. Ma to zresztą niewielkie znaczenie, bo ważne jest nie to, czy informacja jest prawdziwa, ale to, czy za taką jest uważana. A w tym przypadku tak właśnie było, co spowodowało oczywiste konsekwencje: najpierw nerwowość i strach w szeregach wojska, a potem ogólną panikę i powszechną, bezładną ucieczkę całej armii.

Dziś nie da się już dociec, kto w tym wszystkim zawinił najbardziej i kto pierwszy rozpoczął tę paniczną rejteradę. Warto jednak zauważyć, że współcześni,

w większości, nie mieli wątpliwości, że „regimentarze uszli pierwsi”. A Albrycht Radziwiłł w swych Pamiętnikach zanotował: „(...) W nocy z 22 na 23, kiedy starszyna, bez ujawniania komukolwiek tego zamiaru, potajemnie rzuciła się do ucieczki, wszyscy rozbiegli się”<sup>9</sup>. Nawet główny regimentarz, ks. Dominik Zasławski, twierdził później w relacjach składanych w sejmie, że tabory Mikołaja Ostroroga zaczęły uciekać jeszcze w trakcie owej „konnej” narady, sugerując w ten sposób, że winę za tragiczny rozwój wypadków ponosi jego towarzysz - regimentarz. Rzecz jednak w tym, że nie brakło również głosów naocznych świadków twierdzących, że było inaczej, że Ostroróg, Wiśniowiecki i Kisiel wycofywali się (uciekali?) dopiero rankiem 24 września, a więc jako jedni z ostatnich. Prawdą niezaprzeczalną było również to, że Zasławski przybył do Lwowa w gronie pierwszych uciekinierów już rano 26 września, a to oznacza, że musiał opuścić obóz piławiecki jako jeden z pierwszych.

<sup>8</sup> Jakuba Michałowskiego..., op. cit., s. 207-210.  
<sup>9</sup> A. Radziwiłł, Pamiętniki..., op. cit., s. 112.

220

Inni też nie byli gorsi i -jak pisze A. Radziwiłł - „niektórzy do obiadu ubiegli 18 mil”. Tempo doprawdy wyśmienite, zwłaszcza jeśli porówna sieje ze ślimaczym tempem marszu pod Piławce! Bądźmy jednak sprawiedliwi: adrenalina w takich sytuacjach potrafi czynić cuda. Rano 24 września do opuszczonego obozu weszli, zaskoczeni, wręcz niebotycznie



zdumieni Kozacy. Czegoś takiego nikt z nich na pewno się nie spodziewał. Po świetnej, strojnej i bogatej armii pozostało jedynie kłębowisko porzuconych i porozbijanych wozów, stratowanych namiotów, no i ogromne bogactwa w kosztownościach, zbrojach, szatach i sprzętach. Łup był ponoć tak wielki, że zdobywcy za wódkę wymieniali srebrne i złote zastawy oraz bogate, jedwabne szaty. Można by rzec, oczywiście z pewnym przekąsem, że w 1648 roku Rzeczpospolita zbierała swe wojska i wystawiała armie wyłącznie po to, aby wzbogacać bractwo zaporoskie i oddawać chłopom ukraińskim znaczne części zdobytych dzięki nim fortun szlacheckich.

Cechą wspólną bitew pod Korsuniem i pod Piławcami jest niewątpliwie to, że obie one zostały przegrane z powodu fatalnych błędów polskiego dowództwa. A jednak obu tych klęsk nie można kłaść na jednej szali. Pod Korsuniem armia polska przegrała po twardej, zażartej walce, stawiając do końca zdecydowany opór. Spod Korsunia (tak jak wcześniej spod Żółtych Wód), nikt nie uciekał w panice, a męstwem i determinacją wykazali się wszyscy - zarówno szeregowi żołnierze, jak i ich dowódcy z obu hetmanami na czele, o czym wymownie świadczy liczba zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Natomiast Piławce to na dobrą sprawę klęska bez walki i zupełna kompromitacja zarówno naczelnego dowództwa, jak i żołnierzy i oficerów. Aby należycie to ocenić, warto zdać sobie sprawę, że na polu bitwy pod

Piławcami zginęło raptem około 300-400 żołnierzy polskich, straty były więc wręcz minimalne, zwłaszcza jeśli się pamięta o wielkości armii i rozmiarach klęski. Nic dziwnego, że Chmielnicki z pogardą nazywał trzech regi-mentarzy piławieckich „pierzyną, łaciną i dzieciną”, czyniąc w ten sposób aluzję do wygodnictwa Zasławskiego, uczoności Ostroroga i młodego wieku Koniecpolskiego, a o ich żołnierzach zwykł mawiać „dety-ny (dziecinki) w żelazo poubierane”. Notabene również reakcja Chmielnickiego też wskazuje na to, że trzeba inaczej oceniać Korsuń, a inaczej Piławce; po Korsuniu Chmielnicki nie wypowiadał żadnych tego rodzaju pogardliwych komentarzy.

221

Oceny bitwy pod Piławcami nie zmienia nawet fakt, że dwóch czy trzech, no, może czterech wyższych dowódców (Wiśniowiecki, Kisiel, Tyszkiewicz, Koniecpolski) chciało walczyć, że te chorągwie, które zdecydowały się pójść do boju, zwłaszcza 23 września, były się z determinacją, była to bowiem kropla w morzu.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń, uważam jednak, że fala miażdżącej krytyki i pogardy, jaka spadła na dowódców i żołnierzy spod Piławiec, okazywana im przez wiele miesięcy, a nawet lat, była niesłuszna<sup>10</sup>. Bo tak naprawdę winny tej klęski był tylko jeden człowiek – kanclerz koronny Jerzy Ossoliński. Nie dlatego, że próbował realizować politykę ugody z Chmielnickim – tę linię postępowania można uznać za słuszną, choć, jak starałem się to wykazać, w tym konkretnym momencie

niemożliwą do zrealizowania. Winą Ossolińskiego było to, że prowadził politykę wyraźnie jednotorową, nie starając się zapewnić państwu bezpieczeństwa na wypadek, gdyby polityka ugody nie przyniosła pozytywnych rezultatów. Wybitny mąż stanu, a za takiego Ossolińskiego chce uważać wielu polskich historyków, powinien grać na wielu instrumentach, starać się być przygotowanym na różne sytuacje i posiadać rozwiązania alternatywne. Spróbujmy zastanowić się nad tym, dlaczego w 1648 roku Ossoliński postępował jak koń dorożkarski z klapkami na oczach. Nie ulega wątpliwości, że jednym z głównych motywów postępowania kanclerza, zarówno przed sejmem konwokacyjnym, jak i w trakcie jego obrad, były względy polityczne. Kanclerz czuł się spadkobiercą idei zmarłego króla i, podobnie jak on, dążył do porozumienia z Kozakami, aby wykorzystać ich następnie i do wzmocnienia władzy wykonawczej w Rzeczypospolitej i, a może raczej przede wszystkim, w planowanej wojnie z Krymem, a w dalszej perspektywie może nawet z Turcją w ramach europejskiej ligi anty-tureckiej. To głównie w imię tej koncepcji Ossoliński zepchnął stronnictwo wojenne i jego przywódców do politycznej defensywy, przeforsował wygodny dla siebie skład komisji pokojowej, a wreszcie dlatego właśnie stworzył zupełnego potworka w postaci ponadtrzydziestoosobowego dowództwa, mianując na najwyższe stanowiska w armii zupełnie miernoty,

" Ibidem. Jako przykład można przytoczyć zdanie A. Radziwiłła, podsumowujące

opis zdarzeń pod Piławcami: „Uciekali więc, przez nikogo nie ścigani, niepomini na szlachectwo, na wstyd, na to, w jakim stanie pozostaje Rzeczpospolita”.

222

bez wiedzy, doświadczenia i autorytetu. W założeniach wzmocnić szanse Kisiela na zawarcie traktatu Pokojowego

„przedpole” do rozmów z Chmielnickim. Cel nie ??

• 'Oczyszczyć mu

środki, zwłaszcza jeśli on sam jest niezbyt święty

a • . ^ nak uświęca

końca realny.

' Już na pewno

nie do

Można wręcz odnieść wrażenie, że latem 1648 r V

? ? (niez) kanclerz starał

się realizować scenariusz odn

Później

rów-

bajki, że nie zauważył (lub nie chciał zauważyć),

? Sl^ ^° 'nneJ

szły wiosną 1648 roku na Ukrainie (Żółte Wody

?'^??.?????' które za" ły, że

wszelkie stare zamierzenia i plany po prostu n

^Powodowane. Być może, gdyby żył

Władysław IV, sytuacja w ? ? ^ ?^??1-może te stare

plany i zamierzenia udałoby

się zrealizować - a maczej> zmarł w najmniej (jeśli

tak można powiedzieć o jat-- -

r. , stary król odpowiednim momencie i w tej

sytuacji należało jaj, .

śmierci)

nowy scenariusz, bardziej przystający do

rzeczywistości - ? ? . J napisać niestety,

zabrakło do tego wyobraźni!

' kanclerzowi,

Podstawowym zatem grzechem Ossolińskiego był

sytuacji, a także, wzorem

niedouczone szulerów, stał na ocena  
syna jedną kartę. Szulerowi  
ostatecznie wolno, człowj ]c ? ^szystkieg°  
polityką państwa - na pewno nie!  
' °ry kieruje  
To jednak nie jedyne grzechy. Wiele wskazuje n  
kierowały nie tylko względy  
polityki ogólnopaństw ?' • anc^erzem a w  
każdym razie w niewiele  
mniejszym stopniu rr,- . ew równym, wy  
osobiste, prawdę mówiąc, niezbyt  
piękne, a na Wadze moty-  
otwarciem, wręcz szkaradne, bo wynikających ze  
z\yvut •' Jedzmy to lertz był  
niezwykle, nawet jak na stosunki panujące w -  
^^^?\*?- Kanc-siejszej również)  
klasie politycznej, przywiązany rj0 0w^zesnej (a i  
dzi-co czynił, miał na  
względnie również (a kto wie, c?v ?  
czyniąc to,  
kim) wzmocnienie własnej pozycji w państwie, a  
otaC7 • • ec\*ewszyt-notami, jak  
Zasławski, pozycji owej zupełnie nie •> .  
^^kimimier-  
' • • u ? \\ ? ?  
\ u ?  
Zagrażało. Kierowała  
nim również chęć załatwienia prywatnych ???????  
^terowata  
śniowieckiego. No, i jeszcze jedna sprawa, być ? .  
. Unku do Wi-  
dążenie do przeforsowania własnego elekta, Jana v-  
• . azniejsza -  
kwestii będziemy mieli okazję powrócić, więc obec  
? Qxz&- Do tej  
jedynie problem. Otóż Jerzy Ossoliński od samep0  
sygnalizujemy

elekcyjnej popierał kandydaturę Jana Kazimierza,  
tę ? kampanii  
dzieć, że kierował nim wzgląd na wspólne, a  
przynajmniej podobne pro-

223

gramy polityczne. To prawda, że Jan Kazimierz,  
podobnie jak kanclerz, niezbyt  
dobrze czuł się w gorsecie reguł ustrojowych  
demokracji szlacheckiej. Była to  
jednakże niejako „cecha rodowa” Wazów i zapewne  
również Karol Ferdynand miał  
podobne zapatrywania na potrzebę sanacji ustroju  
państwa. Z tego więc punktu  
widzenia Ossoliński równie dobrze mógł popierać  
jednego, jak i drugiego z braci.

Nie jestem natomiast pewien, czy obaj panowie  
zgadzali się do końca w tym, jak  
taką naprawę przeprowadzić.

Trudno też mówić o jakiejś nadzwyczajnej  
zbieżności poglądów w kwestii kozackiej  
czy, szerzej, ukraińskiej. Odnoszę zresztą  
wrażenie, że Jan Kazimierz swój  
program w tej materii wypracował dopiero po  
wyborze, pod wpływem swego kanclerza.

Nie był zresztą w tym ani konsekwentny, ani stały  
i dość szybko, pod naporem  
faktów, zaczął zmieniać swe zapatrywania. To  
zresztą dobrze o nim świadczy, gdyż,  
jak już to udowodnił Machiavelli, dobry władca  
powinien być elastyczny.

Zapewne też o poparciu udzielonym Janowi  
Kazimierzowi nie zdecydowały  
nadzwyczajne zalety królewicza (o jego wybitnym  
talencie wojskowym naprawdę  
dowiedziano się znacznie później), gdyż po prostu  
ich nie prezentował. Muszę

wyznać, że mam ogromną sympatię do tego króla, ale raczej z powodu tych cech jego charakteru, które trudno u władcy uznać za zalety (nastrój owość, niekonwencjonalne -jak na członka jednego z najpotężniejszych rodów Europy - pomysły, urocze przygody miłosno-erotyczne itp.) i sądzę, że również Ossoliński wybrał swego kandydata nie z powodu jego walorów, ale właśnie z racji jego wad. Jan Kazimierz należał bowiem do ludzi, którzy szybko nużą się odgrywanymi w życiu rolami, często i raczej impulsywnie zmieniają plany, a co ważniejsze, którymi można stosunkowo łatwo kierować. Można im sugerować poglądy, oczywiście umiejętnie i delikatnie, narzucać kierunek działania itp.

Jan Kazimierz był też, co nader istotne w tej sprawie - człowiekiem bardzo nie lubianym przez ogół szlachecki i bez poparcia Ossolińskiego (a jak się przekonamy, również Chmielnickiego) nie miał co liczyć na wybór. Ossoliński mógł więc zasadnie spodziewać się wdzięczności swego elekta. Wszystko to razem dawało Ossolińskiemu poważne atuty: oto w Janie Kazimierzu miałby władcę, którym mógłby kierować, przy którym nadal skupiałby wszystkie nici w rękę, pozostałby drugą, a de facto pierwszą osobą w państwie. Scenariusz ten zresztą sprawdził się niemal

224

w stu procentach jednakże tylko do czasu, bo przyszłość, wcale nie tak odległa, miała pokazać, że Ossoliński nieco pomylił się w ocenie charakteru swego elekta.

Jan Kazimierz był rzeczywiście człowiekiem dość słabym, dość łatwo ulegającym wpływom, miał jednak pewną cechę charakteru, której chyba Ossoliński nie docenił - a mianowicie potrafił nużyć się nie tylko funkcjami, które sprawował i rolami, które w życiu odgrywał (a odegrał ich kilka, bardzo dziwnych i interesujących), ale również otaczającymi go ludźmi, zwłaszcza tymi, którzy, tak jak kanclerz, wyobrażali sobie, że będą nim kierować w nieskończoność.

Stronnictwo wojenne, z bardzo popularnym Wiśniowieckim na czele, popierało kandydaturę Karola Ferdynanda. Jeśli więc na czele armii stanął Wiśniowiecki i ewentualnie pokonał Chmielnickiego lub przynajmniej w wojnie z nim odniósł kilka znaczących sukcesów, to jego popularność i wpływ wzrosłyby tak ogromnie, że przesądziłoby to o wyniku elekcji, a zabiegi Ossolińskiego okazałyby się nieskuteczne. Trzeba też pamiętać, że Karol Ferdynand był i tak bardziej popularny wśród szlachty niż Jan Kazimierz. A wybranie na tron elekta popieranego przez Wiśniowieckiego oznaczałoby niewątpliwie prywatną klęskę Ossolińskiego, gdyż wtedy pierwsze skrzypce zaczęłyby grać Wiśniowiecki, natomiast Ossoliński odszedłby w cień, zwłaszcza że obaj panowie nie przepadali za sobą.

Moim więc zdaniem, głównie w tych meandrach przebrzmiałego programu politycznego, prywatnych ambicji i osobistych animozji należy szukać przyczyn klęski



piławieckiej. Ossoliński okazał się - nie po raz pierwszy zresztą - mistrzem intryg politycznych i przeforsował rozwiązania zgodne z własnym interesem i swoją prywatną „racją stanu”, choć ceną tych „uzysków” miała być najhaniebniejsza chyba klęska w dziejach Rzeczypospolitej i zagrożenie dla bezpieczeństwa, a nawet bytu państwa.

Wprawdzie więc odium hańby spadło na regimentarzy, komisarzy i całe „piławieckie wojsko”, ale ojcem chrzestnym klęski był niewątpliwie Ossoliński. A była to klęska o wiele groźniejsza niż korsuńska, gdyż stawiała pod znakiem zapytania może nie byt państwa, ale jego przyszłość na pewno. Jeśli Korsuń spowodował poważną rysę na fundamentach potęgi militarnej Rzeczypospolitej, to Piławce wywołały trzęsienie ziemi, które sprawiło, że rozpadły się one w gruzy.

Zakładając, że program Ossoliń-  
225

skiego miał być lekarstwem na chorobę ustroju Rzeczypospolitej, to okazało się, że jest to lekarstwo groźniejsze od samej choroby. Kudak, Lwów i Zamość,

czyli dalszy ciąg jesiennej kampanii 1648 roku. Po Piławcach Chmielnicki zachował się inaczej niż po Korsuniu. Wówczas, jak pamiętamy, doszedł jedynie do Białej Cerkwi, organizował armię, wysyłał posłów do Warszawy, prowadził ożywioną korespondencję z Kisielem, z pogranicznymi wojewodami rosyjskimi itp., ale do marszu w głąb Rzeczypospolitej się nie kwapił.

Wprawdzie i wówczas działania wojenne trwały nadal, ale - po pierwsze,

kontynuowali je podkomendni hetmana, a on sam solennie wypierał się swojego w nich udziału, czasem nawet publicznie gromiąc swych podwładnych za niesubordynację, a po drugie - działania te miały ograniczony zasięg terytorialny i w zasadzie nie wykraczały poza „włość” ukraińską. Teraz natomiast, po dokumentnym оголощенiu opuszczonego obozu polskiego, poszedł, jak to określił jego biograf J. Kaczmarczyk, „w ślad zwycięstwa” i ruszył w kierunku Lwowa, miasta będącego jedną z najważniejszych ruskich stolic, po drodze zajmując niebroniony Zbaraż, gdzie sprofanował groby przodków Wiśniowieckiego oraz zabrał pozostawione tam armaty i amunicję. Postępy armii powstańczej i koalicyjnej ordy tatarskiej budziły powszechne przerażenie, wręcz paniczny strach, nie tylko mieszkańców Lwowa, ale i odleglejszych ziem Rzeczypospolitej. Dość powszechnie obawiano się, że Lwów nie zatrzyma tak silnych wojsk i że one, po zdobyciu miasta, zaatakują dalsze tereny, tym razem już rdzennie polskie. Zatrzymać Chmielnickiego mógł dopiero Zamość, ale nie brakowało również opinii (wyrażał je np. Stanisław Lubomirski), że bezpieczne nie są nawet obie stolice państwa - Warszawa i Kraków.

Upadek Kudaku

Najwcześniej konsekwencje klęski pod Piławcami poniósł Kudak. Była to twierdza wybudowana w 1635 roku, według projektu francuskiego

inżyniera Wilhelma Beauplana, na prawym brzegu Dniepru. Jej zadaniem miało być utrzymywanie w ryzach stale buntującej się Siczy, a zwłaszcza powstrzymywanie wypraw kozackich na Morze Czarne. Kudak był twierdzą nowoczesną, trudną do zdobycia, zwłaszcza że obsadzono ją niewielką wprawdzie, ale doborową załogą, a jej komendantem został doświadczony żołnierz Krzysztof Grodzicki. Chmielnicki zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że zdobycie Kudaku będzie wymagało długotrwałego oblężenia, dlatego maszerując wiosną 1648 roku pod Żółte Wody, ominął twierdzę, nawet nie próbując jej szturmować. Później, po klęsce wojsk koronnych pod Korsuniem, najprawdopodobniej w sierpniu, w dowództwie armii Chmielnickiego zapadła decyzja o likwidacji tego swoistego miecza Damoklesa wiszącego nad zaporoską Siczą. Rozpoczęto regularne oblężenie twierdzy. Przez długi czas nie przynosiło ono pozytywnych - dla Kozaków oczywiście - rezultatów. Kudak, odcięty wprawdzie od Rzeczypospolitej, z powodzeniem odpierał ataki, oczekując nadejścia odsieczy. Nadzieje te rozwiały się jednakże zupełnie po wrześniowej klęsce pod Piławcami i dalszy opór przestał mieć sens. Dlatego też już 1 października rozpoczęto rozmowy na temat kapitulacji i dość szybko uzgodniono preliminarz ugody, zgodnie z którą dowódca wojsk oblężniczych płk Maksym Nesterenko gwarantował załodze, a także osobom, które się w twierdzy schroniły (był między nimi zbiegły w tym czasie z niewoli tatarskiej płk Stefan

Czarniecki") bezpieczne i honorowe wyjście z  
bronią, zapalonymi lontami itp.  
Przemarsz żołnierzy Grodzickiego przez Ukrainę  
miał ochraniać oddział kozacki  
pod dowództwem samego Nesterenki, zapewniając im  
nie tylko bezpieczeństwo, ale  
również wyżywienie i kwatery. Ugodę zaprzysiągł  
osobiście Nesterenko wraz z  
towarzyszczącymi mu pułkownikami: Prokopem Słumejką i  
Janem (Jaśkiem?) Wołczenką.  
Były to warunki dla polskiej załogi wręcz  
wyśmienite, a z faktu, że Nesterenko i  
jego podkomendni tak szybko się na nie zgodzili,  
można wysnuć przypuszczenie, że  
i oni mieli już dość oblężenia, które postępowało  
niemrawo i nie przynosiło  
rezultatów. Dodatkowo potwierdza to tezę, że  
kapitulacja Kudaku była wyłącznie  
„pokłosiem” sromotnej klęski pod Piławcami.  
" Nie można też wykluczyć, że Stefana  
Czarnieckiego wykupił z niewoli tatarskiej  
jego brat, Marcin, będący w tym czasie oficerem  
załogi twierdzy.

227

Kozacy początkowo dość solidnie przestrzegali  
zaprzysiężonych warunków  
kapitulacji. Załoga, ochraniana przez konwój  
Nesterenki, doszła bezpiecznie aż w  
poblże Czehrynia. Wówczas jednak, podobno na  
polecenie Heleny Ukraińskiej  
(czyli konkubiny Chmielnickiego), wszystko się  
zmieniło. Przede wszystkim  
podzielono żołnierzy i oficerów na kilka grup, a  
następnie obrabowano ich i  
pobito. Wielu z nich zresztą zginęło bądź to z rąk  
Kozaków i „czerni”, bądź też  
z zimna (mimo silnych mrozów nie zapewniono im  
kwater) i z głodu.

Obrona Lwowa

Pierwsi uciekinierzy spod Piławiec (wśród nich dwaj regimentarze -ks. Dominik Zasławski-Ostrogski oraz Mikołaj Ostroróg) zaczęli docierać do miasta już w godzinach porannych 26 września, musieli więc rzeczywiście poruszać się w niesłychanym, jak na ówczesne możliwości, tempie. Przybysze opowiadali mieszkańcom o ogromnej ordzie tatarskiej i rzeszach Kozaków, rzekomo deptających im po piętach, co oczywiście budziło powszechną grozę. Opowieści te częściowo wynikały z chęci usprawiedliwienia swojej panicznej ucieczki z pola walki, a częściowo z autentycznego przekonania uciekinierów, że goniące ich dzikie ordy lada moment pojawią się pod murami miasta. No cóż, strach ma wielkie oczy... Rzeczywistość wyglądała jednak nieco inaczej. Wprawdzie Chmielnicki postanowił tym razem zdyskontować odniesione zwycięstwo i pomaszerować na Lwów, a potem dalej, w głąb Rzeczypospolitej, ale nie uczynił tego od razu. Najpierw zajął się porzuconym obozem i pozostawionymi w nim skarbami, a dopiero później podjął dalsze działania. Zabrało mu to, oczywiście, kilka dni, tak że pierwsze forpoczty jego armii, w postaci czambułów tatarskich kałgi Krym Gereza, pojawiły się pod miastem dopiero 6 października. Mieszkańcy Lwowa, aczkolwiek przerażeni tym, co się już wydarzyło i co się mogło wydarzyć w najbliższej przyszłości, nie zamierzali jednak kapitulować, zwłaszcza że obrońców nie brakowało. Wręcz przeciwnie, miasto pękało w szwach od nadmiaru

żołnierzy z armii piławieckiej. Byli to wprawdzie ludzie sfrustrowani poniesioną klęską, w większości pozbawieni broni i jakiegokolwiek sprzętu, ale energiczny, wzbudzający

228

zaufanie i respekt wódz mógłby z tej bandy uciekinierów stworzyć całkiem spore i wartościowe wojsko. Tylko że z wodzami był tym razem kłopot. Nie oznacza to oczywiście, że ich nie było! Wprawdzie generał regimentarza, ks. Zasławski, bardzo szybko opuścił miasto i uciekł do Rzeszowa w obawie przed swoimi żołnierzami, którzy wręcz otwarcie mu się odgrażali, ale na miejscu pozostał Ostroróg. On nawet próbował wziąć władzę w swoje ręce, ale, jak wiemy, brakowało mu nieodzownych do tego talentów, a już na pewno nie wzbudzał zaufania ani wśród mieszkańców miasta, ani też, tym bardziej, wśród swych podwładnych<sup>12</sup>.

W mieście znalazło się również kilku komisarzy (m.in. Janusz Tyszkiewicz i Jeremi Wiśniowiecki) oraz wcale niemało pułkowników, rotmistrzów itd., ale żaden z nich nie kwapił się do wzięcia rządów w swoje ręce. Choć więc pod Piławcami chętnych do dowodzenia było tak wielu, że ukuto nawet nowe porzekadło („każdy panek to hetmanek”), teraz kandydatów na wodzów wyraźnie zaczęło brakować.

28 września w kościele Bernardynów odbyła się wreszcie - z inicjatywy regimentarza Ostroroga - wielka narada wojska. Wzięło w niej udział około 3000 żołnierzy, wśród nich sporo dowódców (m.in. oczywiście sam Ostroróg, a także

Tyszkiewicz, Wiśniowiecki, Zbigniew Firlej, Hieronim Sieniawski, Wojciech Wessel i wielu innych oficerów). Emocje, i w mieście, i wśród żołnierzy, nieco już opadły, przestano więc wreszcie wypominać sobie wzajemnie popełnione grzechy i dyskusja dotyczyła głównie środków obrony miasta, ale problemem, który, choć nie poruszany otwarcie, „wisiał” niejako nad zebranymi, była kwestia naczelnego dowództwa. Kwestię tę na forum publicznym postawiła ponoć otwarcie szlachcianka Katarzyna Słoniowska, zaklinając księcia Wiśniowiec-kiego, aby przyjął naczelne dowództwo<sup>13</sup>. Jej propozycja spotkała się 12 Oceniając walory wodzów spod Piławiec, L. Kubala w swym szkicu pt. Oblężenie Lwowa w 1648 roku pisze: „(...) Według starego przysłowia, Rzeczpospolita mogła śmiało dwóch pierwszych oddać w ręce Kozakom, byle sobie zabrali trzeciego”.

13 Nieoceniony L. Kubala twierdzi, że Katarzyna Słoniowska po wejściu do kościoła rzuciła pod nogi ks. Jeremiego Wiśniowieckiego srebra należące do zakonu karmelitanek i do niej samej, a następnie „(...) zaklęła go z płaczem wielkim na miłość ojczyzny, na Boga, na świętych patronów kraju, na wszystko najdroższe na świecie, aby stanął na czele wojska i ratował ojczyznę”. (L. Kubala, Oblężenie Lwowa w 1648 roku, s. 56 [w:] Dzieła Ludwika Kubali - szkice historyczne, t. II, Lwów 1923.

229

z aplauzem większości zebranych, ale sam kandydat na wodza wzbraniał się z

uporem, twierdząc, że dowództwo powinno należeć do wodźów mianowanych przez Rzeczpospolitą, a więc przede wszystkim do obecnego w mieście Ostroroga. Sytuacja księcia była rzeczywiście trudna i przypominała nieco dylemat panienki z modnej ongi piosenki „I chciałabym, i boję się”. Z jednej strony powszechny aplauz dla jego kandydatury na pewno mile łechtał jego ambicję i otwierał przed nim określone możliwości na przyszłość, z drugiej jednak, co zrozumiałe, obawiał się przyjąć stanowisko z rąk wojska i mieszczan, zdając sobie sprawę z faktu, że jego przeciwnicy, a zwłaszcza kanclerz Ossoliński, potraktują to jako uzurpację, a takich zarzutów książę, po piławieckiej klęsce, a zwłaszcza przed elekcją, wolał uniknąć. Opór księcia przed przyjęciem ofiarowanej mu przez żołnierzy buławy nie był więc być może zupełnie szczery, ale na pewno nie był też wyłącznie grą pozorów. Ostatecznie jednak znaleziono rozwiązanie kompromisowe. Wodzem naczelnym został Wiśniowiecki, ale swoją buławę zatrzymał również Ostroróg, który miał księciu pomagać w sprawowaniu dowództwa. Nominacja Wiśniowieckiego zmieniła dość radykalnie nastroje i w wojsku, i w mieście. Ogłoszono publiczną zbiórkę na rzecz wojska i dosłownie w kilka dni zebrano - częściowo w drodze pożyczki gwarantowanej przez Rzeczpospolitą, a częściowo z darowizn - ogromną jak na owe czasy kwotę ponad 1 300 000 złotych w gotówce, kosztownościach, a także w towarach (np. w sprzęcie wojskowym,



materiałach na mundury, broni itd.). Jest to zresztą jedynie kwota przybliżona, niezbyt dokładna, gdyż w materiałach źródłowych można spotkać różne wyliczenia, dość znacznie nieraz różniące się od siebie. Nie to było jednak najważniejsze.

Liczyło się coś innego: oto jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazły się pieniądze, które pozwoliły księciu Wiśniowieckiemu w ciągu dosłownie kilku dni, bo do 5 października, zebrać wcale pokaźną armię, składającą się z 8 chorągwi husarskich, 21 pancernych i lekkich oraz 2 chorągwi dragońskich i kompanii piechoty. Łącznie było to około 3800 żołnierzy.

Wydano również groźne w tonie uniwersały, wzywające wszystkich zbiegłych spod Piławiec żołnierzy, przebywających w okolicach Lwowa lub na innych terenach, aby pod groźbą surowych kar, z karą śmierci włącznie, wracali pod swoje znaki. Część zebranych pieniędzy przeka-

230  
zano kandydatom na rotmistrzów, polecając im prowadzenie zaciągów w innych, spokojniejszych częściach państwa. Powołanie blisko 4-tysięcznej armii niewątpliwie dobrze świadczyło o zdolnościach organizacyjnych nowego hetmana i jego współpracowników, nie była to jednak siła, która mogła zmierzyć się z nadciągającą armią kozacko-tatarską. Trudno więc dziwić się Wiśniowieckiemu, że 5 października, na wieść o pojawieniu się w pobliżu miasta czambułów tatarskich, za którymi maszerowała główna armia

Chmielnickiego, wycofał się z Lwowa, zabierając z sobą gros wojska (do dyspozycji obrońców Lwowa pozostawiono jedynie 50 dragonów pod dowództwem rotmistrza Cichockiego i niewielki oddział piechoty); wziął też wszystkie pozostałe pieniądze.

Aby być w zgodzie z faktami, trzeba zauważyć, że Wiśniowiecki wymknął się z miasta cichaczem, pod pozorem przeprowadzenia rekonesansu, a o swojej decyzji poinformował mieszczan w liście, który przywiózł wspomniany Cichocki. Czyż można się dziwić, że reakcją mieszczan było oburzenie, strach i wściekłość? Poczuli się opuszczeni, zdradzeni, a w dodatku okradzeni ze swych tak hojnie oddanych pieniędzy. Echa tych nastrojów można zauważyć jeszcze i dziś w opracowaniach wielu historyków, w których wręcz zarzuca się księciu zdradę interesów Lwowa, tchórzostwo i ogołocenie - po kryjomu! - miasta z żołnierzy, pieniędzy, broni i części zapasów żywności. No cóż, Jeremi, wielbiony nie tylko za życia, ale i po śmierci przez społeczność szlachecką, nie ma na ogół szczęścia do historyków, którym ich nieskrywana antypatia nierzadko przesłania rzeczywisty obraz sytuacji i nie pozwala na zdroworozsądkowe podejście do tej sprawy. Czyż można bowiem, oceniając rzecz rozsądnie, potępiać księcia za tę decyzję? Moim zdaniem, dziwne byłoby raczej, gdyby jej nie podjął.

Spróbujmy spokojnie i bez uprzedzeń zastanowić się nad sytuacją, jaka miała miejsce na początku października 1648 roku. Chmielnicki dysponował wówczas

ogromną, na pewno ponad siedemdziesiąt tysięcy armią, wspartą dodatkowo siłami ordy krymskiej; łącznie było to zapewne około 80 000-90 000 żołnierzy. Natomiast Wiśniowiecki miał do dyspozycji jedynie około 4000 żołnierzy w oddziałach regularnych i mógł liczyć na wsparcie milicji mieszczańskiej, liczącej około 1500 ludzi o różnym stopniu wyszkolenia wojskowego i dość różnorodnie uzbrojonych. Dysproporcja sił na korzyść Chmielnickiego była więc ogromna.

231

Lwów był miastem ufortyfikowanym, to prawda, można więc było się w nim przez jakiś czas bronić, ale nie była to ani silna, ani nowoczesna forteca, w każdym razie na pewno słabsza od Baru, który skapitulował przecież zaledwie parę miesięcy wcześniej, po dość krótkim oporze wobec jedynie części sił kozackich. Czy można było rozsądnie zakładać, że Lwów stawi skuteczniejszy opór i to całej armii?

Aby lepiej zrozumieć te obawy niedoszłych obrońców, przyjrzyjmy się umocnieniom miejskim. Lwowskie fortyfikacje obejmowały jedynie niewielką, czworoboczną część miasta, otoczoną murem wewnętrznym. Tuż za nim była fosa, a za fosą wał ziemny i jeszcze jeden mur, zewnętrzny, wzmocniony 17 basztami. Dodatkowo miasta broniły: od południa warowny klasztor oo. bernardynów, od wschodu, słabiej nieco ufortyfikowany, klasztor oo. karmelitów, od zachodu - pozostałości moczarów, a od północy tzw. zamek niższy, silniej niż pozostałe części miasta obwarowany. Na

tym terenie znajdowało się około 400 domów. Dokładną liczbę stałych mieszkańców trudno dziś oczywiście określić, ale przyjmijmy za L. Kubala, że było ich ponad 400014.

Miasto miało również dwa spore przedmieścia, Krakowskie i Halickie, zamieszkane w większości przez bogatych mieszczan. Na ich terenie znajdowało się około 1500 domów, a raczej różnego rodzaju dworków, letnich rezydencji, ogrodów, kościołów, cerkwi prawosławnych i klasztorów. Przedmieścia również były otoczone murem, na tyle jednak rozległym i niejednolicie ufortyfikowanym, że do jego obrony potrzeba by było co najmniej kilkanaście tysięcy wojska, a i tak opór nie mógłby trwać za długo. Całość fortyfikacji Lwowa uzupełniał tzw. wysoki zamek, usytuowany na wzgórzach, obsadzony przez załogę liczącą 50 żołnierzy. Mury tego zamku, od dawna nie remontowane, były w opłakanym stanie, należało więc sądzić, że stosunkowo szybko i łatwo wpadnie on w ręce Kozaków, którzy następnie będą mogli ustawić na wzgórzach baterie dział i ostrzeliwać domy w obrębie fortyfikacji.

Można było, oczywiście, spalić zawczasu przedmieścia, co pozwoliłoby na dłuższą obronę właściwego miasta, ale pozostawał jeszcze problem wysokiego zamku, no i kwestia wielkości ufortyfikowanego terenu.

Nietrudno sobie wyobrazić, co by się tam działo, gdyby obok stałych  
14 Opis fortyfikacji Lwowa i pozostałe dane [za:]  
L. Kubala, Obrona Lwowa..., op.  
cit., s. 59 i n.

mieszkańców znalazła się na tym obszarze również 4-tysięczna armia

Wiśniowieckiego i mieszkańcy spalonych przedmieść!

Zakwaterowanie takiej masy

ludzi i zaopatrzenie jej w żywność graniczyłoby z cudem. A co by się działo,

gdyby po zdobyciu wysokiego zamku nieprzyjaciel rozpoczął bezpośredni ostrzał

tych stłoczonych tłumów?

Nie należy też zapominać, że siły, jakimi książę dysponował, składały się w

zdecydowanej większości z kawalerii, a więc z żołnierzy mało przydatnych w

obronie murów miejskich.

Słusznie też zauważa J. Widacki, biograf

Wiśniowieckiego, że Chmielnicki mógł

łatwo, jedynie częścią swoich sił, zablokować miasto i zgromadzoną w nim armię

wraz ze wszystkimi wodzami, a sam, z resztą

wojska, pomaszerować w kierunku nie

tak przecież odległej Warszawy. A można też być pewnym, że wiedząc o pobycie

jednego ze swych najzaciętszych wrogów w oblężonym mieście, hetman kozacki nie

zadowoliliby się jedynie okupem, lecz na pierwszym miejscu swej listy żądań

postawiłby wydanie Wiśniowieckiego, a zapewne i pozostałych magnatów również,

choćby na żądanie Tatarów, którzy na

osobistości polowali ze szczególnym

zapalem, spodziewając się godziwego okupu. Czy w tych warunkach był więc sens

pozostawiania w mieście i narażania tych resztek sił zbrojnych Rzeczypospolitej na

nieuchronną zagładę?

Z punktu widzenia interesów państwa - a przyjąwszy naczelne dowództwo książę

musiał o nich pamiętać - znacznie ważniejszą sprawą niż obrona Lwowa było powiększenie armii i należyte zabezpieczenie stolicy i terenów etnicznej Polski. Jeśli chodzi o kwestię pierwszą, to liczono przede wszystkim na te oddziały powiatowe, które nie zdały pod Piławce, i na piechotę pomorską, która gdzieś tam również się błąkała, a która bez wsparcia odtworzonej armii Wiśniowieckiego byłaby zdana na własne siły. Problem drugi mogło rozwiązać jedynie należyte przygotowanie do obrony twierdzy Zamość, bodaj najsilniejszej w ówczesnej Polsce, a w dodatku blokującej drogę na Warszawę. Zamość, należycie przygotowany do obrony i obsadzony wystarczającą załogą, mógł z powodzeniem zatrzymać marsz Chmielnickiego w kierunku centrum państwa, zwłaszcza że współdziałałaby z nim niewielka, bo niewielka, ale sprawna w polu armia konna Wiśniowieckiego. Lwów, przy całym szacunku dla ofiarności i determinacji jego mieszkańców, takich możliwości nie miał.

233

Nieuzasadnione też wydaje się zarzucanie księciu tchórzostwa; wszak to on zapisał jedną z piękniejszych kart naszej historii, jaką była bohaterska obrona Zbaraża w roku następnym. Wyprzedzając tok naszej opowieści przypomnijmy, że w obozie w Zbarażu kilkanaście tysięcy polskich żołnierzy stawiało skuteczny opór przeważającym siłom (chyba nawet liczniejszym niż te, które maszerowały pod Lwów) armii kozackiej i ordy tatarskiej, a jednym z najważniejszych dowódców tej

obrony (jeśli nie głównodowodzącym, bo co do tego nie ma pełnej jasności) był właśnie Wiśniowiecki. Ze Zbaraża nikt nie uciekał, nawet Czapliński, który był wrogiem numer jeden Chmielnickiego. Tyle że armia w Zbarażu czekała na odsiecz pozostałych sił pod dowództwem króla Jana Kazimierza, więc ta obrona miała sens i cel, a na kogo mieliby czekać obrońcy Lwowa? Kto mógłby przyjść im z pomocą? Pozostanie we Lwowie byłoby więc decyzją bezsensowną z punktu widzenia interesów państwa, ale i Lwowa również, bo już po kilku dniach powstałby zapewne problem wyżywienia tych kilku tysięcy dodatkowych ludzi, a i pertraktacje w sprawie okupu byłyby nader utrudnione ze wspomnianego już powodu.

Prawdę mówiąc, nie dziwię się również temu, że - jak podkreśla większość historyków, nawet tak życzliwie ustosunkowanych do Wiśniowieckiego, jak L.

Kubala czy też raczej neutralnych, jak J.

Kaczmarczyk - wyjazd księcia z wojskiem przypominał ucieczkę i był przygotowywany w tajemnicy. Przede wszystkim sądzę,

że pomysł ten powstał nie wcześniej niż w dniach 3-4 października. Jestem

przekonany, że początkowo, zwłaszcza w trakcie słynnej narady w kościele

Bernardynów, zarówno Wiśniowiecki, jak i pozostali dowódcy i oficerowie,

zamierzali bronić miasta, gdyż, prawdę mówiąc, byli przekonani, że innego

wyjścia nie ma. Poważnie przecież sądzono wówczas, że nieprzyjaciel depcze po

piętach zbiegom spod Piławiec i lada moment pojawi się pod Lwowem. A w takim

wypadku idący w straży przedniej Tatarzy natychmiast otoczyliby miasto i uniemożliwili odwrót w kierunku Zamościa. Decyzję o wyjściu z miasta można więc było podjąć dopiero wówczas, gdy upewniono się w polskim dowództwie, że droga ta jest wolna, a to nie mogło się stać wcześniej niż 4., może 3 października pod wieczór. Wykonano ją zresztą dosłownie w ostatniej chwili, gdyż 5 października pojawiły się pod Lwowem pierwsze czambuły tatarskie i armia Wi-śniowieckiego musiała przerwać ich kordon, aby wywalczyć sobie przejście w kierunku Zamościa.

234

A że samą decyzję utrzymywano „w skrytości”? No cóż, nietrudno sobie wyobrazić, co by się działo we Lwowie, gdyby o tym planie dowiedzieli się wszyscy jego mieszkańcy. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby zobaczyć te tłumy na ulicach, demonstracje, tarasowanie drogi i chwytywanie koni za uzdy. A także okrzyki: „Zdrada, mości panowie!”, „Oszuści!”, „Sprzedawczyki i złodzieje!” itp. Mieszkańcy miast mają zwykle ogromne pretensje do tych, którzy ich opuszczają zamiast bronić, zwłaszcza jeśli wycofują się, przynajmniej na pozór, dobrowolnie, pozostawiając ich na pastwę nieprzyjaciela. Nawet gdy jest to manewr uzasadniony z punktu widzenia „wyższych” racji wojskowych. Przekonał się o tym w kilka wieków później inny polski książę i wódz, Józef Poniatowski, gdy po nierozstrzygniętej bitwie pod Raszynem wycofywał się z Warszawy, pozostawiając



ją Austriakom. Epitety „sprzedawczyk” i „zdrajca” należały wówczas do najłagodniejszych, mimo że z punktu widzenia strategii i taktyki był to wyśmienity manewr, który otworzył księciu drogę do ostatecznego sukcesu.

Można oczywiście powiedzieć, że w tamtym momencie książę Pepi zapłacił za złą sławę swego stryja, króla Stanisława Poniatowskiego (a i za niektóre własne grzeszki z przeszłości też). Reakcja lwowian byłaby prawdopodobnie taka sama, bo przecież opuszczali ich ci sami żołnierze i dowódcy, którzy dopiero co haniebnie uciekli spod Piławiec, a w dodatku „wycisnęli” z miejskiej kiesy ogromne pieniądze.

Wiśniowiecki, jak pamiętamy, pozostawił we Lwowie 124 ludzi piechoty niemieckiej (zaciągniętej zresztą za miejskie pieniądze), 50 dragonów Cichockiego i 52 żołnierzy załogi zamku górnego. Poza tym można było liczyć na około 1500 członków miejskiej milicji. Komendantem miasta książę mianował generała Krzysztofa Arciszewskiego, jednego z najlepszych dowódców polskich, który doświadczenia zdobywał w wielu armiach zagranicznych, między innymi w holenderskiej, uważanej wówczas za najnowocześniejszą w Europie Zachodniej. Arciszewski dowództwa wprawdzie nie przyjął, cedując je na radcę miejskiego Marcina Gro-zwayera, ale sam pozostał w mieście i służył swoją radą i pomocą. Straż przednia armii Chmielnickiego, złożona głównie z Tatarów, podeszła pod

Lwów 6 października, a główne siły dotarły nazajutrz; tego samego dnia po południu, bez żadnych przygotowań, niejako z marszu, przeprowadzono szturm na mury przedmieść. Zgodnie z przewidywaniami, obrona, acz zażarta, została dość szybko przełamana, a przedmie-

235  
ścia zdobyte. Ich mieszkańcy, uciekający masowo w obręb murów miasta, podobno tak zablokowali bramy, że gdyby wówczas nastąpił generalny szturm kozacki, to miasto zostałoby zdobyte już pierwszego dnia oblężenia, zwłaszcza że jego obrońcy liczyli na dłuższy opór przedmieść i nie byli przygotowani do walki.

Po tym pierwszym sukcesie Chmielnicki rzeczywiście rozpoczął przygotowania do szturm generalnego. Miejsce chłopów ukraińskich, którzy własnymi siłami zdobyli umocnienia przedmieść, zajęły doborowe oddziały piechoty zaporoskiej. Już po krótkiej chwili ruszyły one z pozycji wyjściowych do ataku, zaraz jednak, nieoczekiwanie dla przerażonych lwowian, najpierw zatrzymały się, a potem wycofały do taboru.

Dlaczego tak się stało? Zdaniem lwowskich mieszczan, swoje ocalenie miasto zawdzięczało ingerencji sił nadprzyrodzonych, a konkretnie pojawieniu się w chmurach, nad klasztorem Bernardynów, postaci klęczącego zakonnika ze wzniesionymi do nieba rękami. Widok ten tak podobno przeraził Chmielnickiego, że odwołał rozpoczynający się szturm. Bernardyni, a w ślad za nimi pozostali

mieszkańcy Lwowa kojarzyli tę postać z bł. Janem z Dukli, któremu też po zakończeniu oblężenia ufundowano srebrną tablicę, umieszczoną na jego grobie, a w następnym roku pomnik, istniejący aż do 1945 roku.

Czy tak było istotnie? Być może, a legenda ta dość zgrabnie tłumaczy

rzeczywiście zagadkowe postępowanie Chmielnickiego, który po początkowym sukcesie, na własne niejako życzenie, wypuścił z rąk niemal pewne zwycięstwo.

Chmielnicki, jak zresztą większość ówczesnych ludzi, był bardzo zabobonny i jeśli rzeczywiście zobaczył na niebie coś, co mogło przypominać postać klęczącego zakonnika, mógł naprawdę przerazić się tej wizji. A może, całkiem zwyczajnie, była to fanaberia hetmana, zarządzana w pijanym widzie? Chmielnicki dość często nadużywał alkoholu i, jak to człowiek pijany, miewał nagłe zmiany nastrojów.

Wizja zakonnika nie wstrząsnęła jednakże wodzem kozackim na tyle, by całkowicie zaprzestał szturmów. Wręcz przeciwnie, w dniu następnym zdobyto katedrę św. Jura, w której schronili się miejscowi Rusini, sądząc widocznie, że ochroni ich powaga cerkwi. Niestety, przeliczyli się. Wielu z nich zostało zamordowanych, a wszyscy obrabowani i pobici. Podobno nawet popa, odprawiającego nabożeństwo, oblano wódką i podpalono, aby zmusić go do ujawnienia miejsca ukrycia skarbów.

Atakowano również, początkowo bez powodzenia, zamek górny.

Kozacy obsadzili również opuszczone zabudowania na przedmieściach i, korzystając z ich osłony, podjęli ostrzał obrońców na murach. W tej sytuacji rada miejska podjęła dramatyczną decyzję spalenia przedmieść. Uczyniono to tej samej nocy, wywołując ogromny pożar, który trwał cały dzień i noc, a wiejący w stronę śródmieścia wiatr niósł palące się głównie, które padając na dachy domów, wzniewały pożary wewnątrz murów. Istniała obawa, że spłonie całe miasto. Ofiara ta nie poszła jednak na marne. Determinacja mieszczan przekonała Chmielnickiego, że miasto się nie podda i będzie walczyło do końca, a to skłoniło go do rozpoczęcia układów. W pierwszym liście hetman żądał wydania ks. Wiśniowieckiego, hetmana Koniecpolskiego i pozostałych żołnierzy spod Piławiec. Senat Lwowa odpowiedział oczywiście, zgodnie z prawdą, że ludzi tych już w mieście nie ma. Wówczas Chmielnicki, jako warunku oszczędzenia miasta, zażądał wydania mu wszystkich Żydów, których oskarżał o to, że są przyczyną wojny i że dawali pieniądze na zaciągi wojskowe. Mimo bardzo trudnej sytuacji Senat nie zgodził się spełnić tego żądania i swych współmieszkańców pochodzenia żydowskiego nie wydał, stwierdzając, że są oni poddanymi Rzeczypospolitej i wszelkie niebezpieczeństwa dzielą z pozostałymi mieszczanami. Ostatecznie hetman kozacki zadowolił się żądaniem okupu w wysokości 200 000

dukatów, które zamierzał przekazać w formie daniny towarzyszącemu mu Tuhaj-bejowi. W trakcie pertraktacji o wysokość okupu został zdobyty zamek górny, co spowodowało, że miasto zaprzestało targów i zgodziło się na wpuszczenie pełnomocników kozackich i tatarskich, którzy mieli dokonać lustracji majątku miasta. Był to, trzeba przyznać, doskonały pomysł, gdyż pełnomocnicy ci (pułkownik kozacki Głowacki i oboźny tatarski Piriaga) zostali przekupieni przez władze miasta i poświadczyli, że w mieście nie ma pieniędzy, w związku z czym zgodzono się na spłatę okupu w towarach, wybieranych przez tychże pełnomocników (komisarzy), a ocenianych ostatecznie przez Tuhaj-beja. Pertraktacje trwały aż dwa tygodnie, ale ostatecznie miasto zaoferowało nie 200 000 dukatów (czyli około 1 200 000 złotych), a jedynie 500 000 złotych, a zatem niespełna połowę żądanej sumy. Kwota ta została ostatecznie zaakceptowana i 25 października 1548 roku spod Lwowa odeszli Tatarzy Tuhaj-beja, którzy ruszyli w kierunku Zamościa. Następnego dnia również Chmielnicki zakończył oblężenie miasta i pomaszerował śladem

237

Tuhaj-beja. Wcześniej, bo już 23 października, obóz pod Lwowem opuścił kałga Krym Gerej, który na czele swoich czambułów udał się w kierunku Kamieńca, a potem dalej, do Oczakowa. Hadży Mehmed Senai tak oto barwnie i kwieciście opisał ten powrót na łono ojczyzny jej wiernych żołnierzy: „Uwieńczone zwycięstwem

wojsko muzułmańskie, zdrowe i bogate w łupy, zadowolone i wesołe, mając w swej władzy cały kraj giaurów, jedząc i pijąc odpoczywało i maszerowało od stacji do stacji i od postoju do postoju". Może i jest w tych słowach nieco przesady, bo przecież nie „cały kraj giaurów” znalazł się we władzy wojowników Półksiężycy, ale nie ulega wątpliwości, że kronikarz tatarski mógł dać w surmy zwycięstwa, gdyż tak naprawdę, w pełni, zwycięzcami kampanii 1648 roku byli właśnie Tatarzy, którzy zagarnęli nie tylko bogate łupy i okup za co znamienitszych jeńców, ale również ogromne rzesze jasyru, przy czym nie robiło im żadnej różnicy, czy niewolnikami stają się wrogowie, czy sprzymierzeńcy, Rusini czy Polacy, prawosławni, greko-katolicy czy też katolicy. Prawdę mówiąc, kryterium, którym się kierowali przy dokonywaniu selekcji, był wiek branych w jasyr, ich sprawność fizyczna i płeć, nie wspominając o urodzie dziewcząt.

Obrona Zamościa i odwrót Chmielnickiego  
Chmielnicki spędził pod Lwowem trzy tygodnie, ale faktyczne oblężenie miasta trwało dłużej, gdyż po odejściu głównej armii pojawiły się wokół miasta różne luźne watahy chłopów ukraińskich, a także zwykłych rabusiów. Chmielnicki doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego pozostawił w mieście swojego krewnego, Zachariasza Chmielnickiego, oraz kilku asawułów i atamanów, mających stanowić pewnego rodzaju zabezpieczenie. Nie było ono jednakże wystarczające i

nadal trzeba było trzymać bramy zamknięte. Dla mieszkańców były to bardzo trudne tygodnie, nie tylko z powodu strat materialnych, jakie ponieśli, gromadząc okup potrzebny Chmielnickiemu na opłacenie tatarskich sprzymierzeńców.

Najtragiczniejsze były zwykłe w owych czasach konsekwencje długotrwałego oblężenia, a więc głód i choroby spowodowane niewłaściwym odżywianiem. Były one przyczyną dużej śmiertelności wśród ludzi stłoczonych na niewielkim obszarze. Pojawiły się też trudności z grzebaniem zwłok, co dodatkowo pogorszyło stan higieny, i bez tego trudnej do

238

utrzymania w tak dużym skupisku ludzi. Konsekwencją tego były z kolei epidemie chorób zakaźnych, dziesiątkujące mieszkańców długo jeszcze po zakończeniu oblężenia<sup>15</sup>. Ale to właśnie dzięki tym trzem tygodniom strachu, głodu i śmierci, Lwów w znacznym stopniu przyczynił się do uratowania państwa, a przynajmniej do zminimalizowania poniesionych przez nie strat. Bo to dzięki jego oporowi udało się należycie zaopatrzyć i przygotować do oblężenia Zamość, który potem zatrzymał armię Chmielnickiego i w ten sposób uratował terytoria etnicznie polskie.

Aby w pełni docenić rolę Lwowa w tym przełomowym okresie, wystarczy przypomnieć, że w chwili, gdy rozpoczynało się oblężenie Lwowa, Zamość dysponował załogą złożoną jedynie z około 300 żołnierzy piechoty z ordynacji Zamojskich, natomiast

gdy w pierwszych dniach listopada pod twierdzę podeszły czambuły tatarskie, a w ślad za nimi armia kozacka, załoga ta liczyła już blisko 4000 żołnierzy.

Składało się na nią ponad 2000 dobrze wyszkolonej piechoty, w tym 1500 piechoty niemieckiej, przyprowadzonej przez kasztelana elbląskiego Ludwika Weyhera, i kompanii wyprowadzonej ze Lwowa. Resztę załogi stanowiła okoliczna szlachta, która schroniła się w mieście. Oprócz tego Weyher, mianowany dowódcą twierdzy, mógł liczyć na uzbrojoną milicję miejską. Zamość był też wyposażony w silną artylerię forteczną.

W Zamościu i jego okolicach Wiśniowiecki zwerbował również dalsze 11 chorągwi jazdy lekkiej, liczącej łącznie około 1100 żołnierzy. Korpus księcia Wiśniowieckiego, mimo pozostawienia kilku oddziałów w Zamościu, powiększył się więc do około 4000 kawalerzystów. Na ich czele regimentarz koronny (taki bowiem tytuł przysługiwał Wiśniowieckiemu po zatwierdzeniu jego nominacji przez senat) opuścił twierdzę w ostatnich dniach października, co należy uznać za posunięcie rozsądne. W obronie twierdzy jazda była na ogół formacją mało przydatną toteż pozostawienie jej w obrębie murów mogło jedynie powiększyć trudności zaopatrzeniowe (a wiemy z listu Ludwika Weyhera do brata, że w Zamościu z żywnością było raczej krucho). Korpus księcia był również o wiele za słaby, aby podjąć jakieś działania zaczepne przeciw Chmielnickiemu, nawet w oparciu o



twierdzą. Jazda mogła natomiast przydać się do atak-

15 L. Kubala twierdzi, że w następnych trzech miesiącach po zakończeniu oblężenia zmarło we Lwowie z powodu chorób zakaźnych około 7000 mieszkańców (L. Kubala, Oblężenie Lwowa..., op. cit, s. 66).

239

ków na linii zaopatrzeniowej armii kozackiej czy oddziały oddalające się od sił głównych itp.

Po wyjściu z miasta Wiśniowiecki zdał dowództwo Myszkowskiemu i wyruszył do Warszawy, dokąd przybył 3 listopada. Przede wszystkim miał zamiar wziąć udział w elekcji, a także zabiegać o poczynienie nowych zaciągów. Podobno regimentarz chciał powiększyć armię do 60 000 i na jej czele pokonać Kozaków w kampanii zimowej. Pomysł był może i interesujący, ale raczej mało realny. To prawda, że piechota zaporoska w zimie traciła wiele ze swych walorów, nie mogła bowiem tak skutecznie się okopywać jak latem. Ale prawdą jest również to, że stworzenie w tak krótkim czasie tak olbrzymiej armii przekraczało chyba możliwości mobilizacyjne ówczesnej Rzeczypospolitej. Poza tym prowadzenie działań w zimie, na terenach, przynajmniej częściowo, wyludnionych i ogołoconych z zapasów żywności i paszy, nastroczało wiele problemów również armii koronnej, gdyż wymagało posiadania magazynów zaopatrzeniowych, nie tylko z żywnością dla ludzi, ale również z paszą dla koni, zarówno jazdy, jak i taborowych, a spichlerzy

takich, jak wiadomo, ówczesna armia polska nie posiadała.

Obrona Zamościa to stosunkowo krótki, niemniej jednak niezwykle ważny fragment jesiennej kampanii 1648 roku. Chmielnicki już 6 listopada, jeszcze przed przybyciem pod mury miasta, wystosował do Weyhera list, w którym zaproponował mu... zdradę. To interesujący fakt, bowiem do tej pory wódz kozacki nigdy podobnych ofert nie składał (prawdę mówiąc, nie namawiał do zdrady nawet ludności ruskiej Lwowa, choć sugerował, aby w chwili generalnego szturmu chroniła się w cerkwiach). Być może hetman kozacki sądził, że ma do czynienia z najemnikiem niemieckim, na co mogłoby wskazywać jego niemieckie nazwisko oraz to, że Weyher dowodził niemiecką piechotą. Za taką hipotezą przemawia fakt, iż list ten do Zamościa dostarczył poseł narodowości niemieckiej. W wypadku zgody Weyhera Chmielnicki przyrzekł mu pozostawienie dowództwa piechoty pomorskiej oraz dość enigmatycznie określone korzyści („nie będziecie, Waszmość, głodni i nadzy... .“)?

Tenże sam poseł dostarczył również list adresowany do „senatorów, przezacnego rycerstwa...“, w którym hetman żądał okupu i groził, że w wypadku niezaakceptowania żądania „dekret Boski się wykona“. Zestawienie treści obu listów prowadzi do wniosku, że była to akcja nie do końca przemyślana, bo przecież w wypadku przejścia Weyhera na stro-

nę Kozaków Zamość musiałaby skapitulować, a wówczas okup nie byłby potrzebny.

Oczywiście Weyher propozycję zdrady odrzucił z oburzeniem, a miasto wykreślało się wszelkimi sposobami od zapłacenia kontrybucji.

W tej sytuacji Chmielnicki rozpoczął oblężenie, a nawet próbował bezpośrednich szturmów, ale wśród Kozaków oraz chłopów ukraińskich nie było zapału do walki.

Mury Zamościa były zbyt potężne, jego artyleria, zgrupowana w siedmiu bastionach, zbyt silna, a i zmęczenie długotrwałą kampanią zapewne zaczynało dawać o sobie znać. Wódz

kozacki musiał doskonale zdawać sobie sprawę z nastrojów panujących w armii i ostatecznie zgodził się na symboliczny okup w wysokości 20 000 złotych.

Nieudane w gruncie rzeczy oblężenie Zamościa pod koniec listopada zakończyło działania zbrojne prowadzone w 1648 roku.

Wcześniej jednak miały miejsce dwa wydarzenia o charakterze politycznym, których nie sposób pominąć, gdyż miały one

ogromny wpływ na rozwój sytuacji. 11 listopada królewicz Karol ostatecznie zrezygnował z kandydowania na tron królewski.

Dzięki temu uniknięto burzliwej, a kto wie, czy nie krwawej elekcji, gdyż siły obu stronnictw były dość wyrównane.

O decyzji Karola zdecydowało niewątpliwie stanowisko Chmielnickiego, który wielokrotnie dawał do zrozumienia, że „jako szlachcic polski” zamierza głosować na Jana Kazimierza i obiecywał, że po elekcji podda się jego woli. Zapewnienie to miało swoją wagę, gdyż mimo nieudanego oblężenia Zamościa, groźba marszu

armii kozacko-tatarskiej w stronę Warszawy  
pozostawała nader realna.  
Po rezygnacji jednego z kandydatów, wydarzenia w  
Warszawie potoczyły się  
błyskawicznie. 17 listopada dokonano elekcji, a 20  
listopada Jan Kazimierz  
złożył przysięgę napada conventa, identyczne z  
tymi, jakie w skrajnie odmiennej  
sytuacji zaprzysiągł ongi jego brat, Władysław IV.  
Był to kolejny fortel  
Ossolińskiego, który na pewno nie przysporzył mu  
popularności wśród „braci  
szlacheckiej”. Świadczy o tym mnóstwo paszkwili,  
które się wówczas pojawiły;  
jeden z nich, trafiający idealnie w sedno  
szlacheckich pretensji, warto  
przytoczyć:

„Jechał na Ukrainę (Ossoliński -przypis autora)  
Kozaków buntować.

Wtem umiera Władysław, on się skrobie w głowę.  
I taką ma sam ze sobą tajemną rozmowę: Król umarł,  
ale ja żyw, mam subiectum  
takie,

241

Że ja przecież pokażę sztuki me wszelakie.  
Kazimierza obiorą, choć nie chcą  
Polacy, Boć nań tylko nastają ludzie lada jacy...  
Cóż uczynić, więc pisać list  
do Chmielnickiego, Aby się przybliżył, a postępków  
jego Złękna się, elekcji  
koniec uczyniwszy, A ja się będę cieszył, koronę  
zblaźniwszy... Ci zdrajcy in  
viscera zwiedli Chmielnickiego, Potem króla  
stawili perfumowanego”^.

Jak z tego wynika, szlachta wybrała Jana  
Kazimierza, bo bała się Chmielnickiego,  
ale pretensje o to miała do... Ossolińskiego. No  
cóż, gniew ludzki jest jak

głodna pantera, własnego ogona przecież nie zje!  
Inna rzecz, że nie wróżyło to  
Janowi Kazimierzowi pomyślnego panowania.  
Drugim ważnym wydarzeniem było wysłanie 15  
listopada przez Chmielnickiego posła  
do Jana Kazimierza, wówczas królewicza i dopiero  
kandydata do korony (o  
wcześniejszej rezygnacji Karola Chmielnicki nie  
mógł jeszcze, oczywiście,  
wiedzieć, to nie był przecież czas błyskawicznego  
rozchodzenia się informacji).  
Posłem był ksiądz Andrzej Mokrzycki, a list, który  
przywiózł do Warszawy dopiero  
23 listopada (a więc kilka dni po elekcji), obok  
wielokrotnie już powtarzanych  
oskarżeń wobec Mikołaja Potockiego, Jeremiego  
Wiśniowieckiego i Andrzeja  
Koniecpolskiego, o sprowokowanie buntu kozackiego,  
zawierał kilka interesujących  
informacji. Otóż Chmielnicki nie tylko jeszcze raz  
opowiadał się za kandydaturą  
Jana Kazimierza na króla Polski, ale też  
oficjalnie przyznawał, że ruszył w głąb  
Polski po to, by przeforsować wybór swego  
kandydata i aby nowy król „raczył być  
samodzierżawcą”. Chmielnicki jawi się więc tu jako  
realizator polityki, planów i  
zamierzeń Ossolińskiego, wręcz jego „zbrojne  
ramię”.  
List zawierał również propozycje pokojowe,  
sprowadzające się w gruncie rzeczy do  
domagania się dość szeroko pojętej autonomii  
Ukrainy (m.in. wycofania wojsk  
koronnych z Ukrainy i ustanowienia 12-tysięcznej  
armii rejestrowej, która miała  
sama wybierać swego hetmana, a ten, wraz ze swym  
wojskiem, miał podlegać  
bezpośrednio królowi). Nato-

16 Cyt. [za:] J. Kaczmarczyk, Bohdan Chmielecki, op. cit., s. 72. 242

miast Kozacy mieli cieszyć się takimi samymi prawami, jak litewscy Tatarzy, czyli prawami szlacheckimi. Chmielnicki nie zapomniał również o sobie, żądając nadania mu starostwa na Ukrainie i „na dwadzieścia mil gruntu”.

Poseł Chmielnickiego rozminął się w drodze z wysłanym w dniu 14 listopada sekretarzem Jana Kazimierza, Jakubem Śmiarowskim. Wprawdzie Jan Kazimierz nie był jeszcze wówczas królem, ale był już pewny wyboru, o czym też natychmiast powiadomił Chmielnickiego, żądając odeń wycofania się spod Zamościa. Śmiarowski został oficjalnie przyjęty przez Chmielnickiego 21 listopada, formalnie więc wycofanie się Kozaków spod Zamościa, przeprowadzone w następnych dniach, nastąpiło na prośbę króla elekta. Wolę rozpoczęcia negocjacji z Chmielnickim i akceptację jego warunków Jan Kazimierz potwierdził w prywatnym liście, przekazanym przez księdza Mokrskiego już po oficjalnej elekcji.

Rokowania, które z ramienia Rzeczypospolitej miał znów prowadzić Kisiel, zaplanowano na połowę stycznia 1649 roku, a 12 grudnia 1648 roku król wydał uniwersał, w którym ogłosił zakończenie wojny kozackiej.

Koniec wojny można zadekretować, sukcesu - nie. Choć, prawdę mówiąc, uniwersał królewski powinien właściwie informować o zawieszeniu wojny, gdyż tak strona ukraińska traktowała zawarte porozumienie, które mogło być (i było!) trwałe

jedynie do pierwszej trawy. W gruncie więc rzeczy uniwersał nieco na wyrost dekretował pobożne życzenia. Spróbujmy w kilku zdaniach podsumować to, co się wydarzyło w tym szczególnym dla Rzeczypospolitej, dla Kozaków i Chmielnickiego, a także dla całej Ukrainy roku. Dla Rzeczypospolitej ten rok oznaczał pasmo tak dotkliwych klęsk i upokorzeń, że ich odpowiednik trudno byłoby znaleźć w całej jej dotychczasowej historii, a prawdę mówiąc, również w historii tworzących ją narodów Polski i Litwy. W gruzach legła potęga militarna państwa, ujawniły się wszystkie słabości i wady jego ustroju politycznego, a w ślad za tym, jak bańka mydlana, prysł też jej międzynarodowy prestiż. Skutki tego faktu dały znać o sobie już wkrótce - na Rzeczpospolitą zwały się wojny moskiewskie, szwedzkie, tureckie, siedmiogrodzkie, a nawet pruskie. O ich przebiegu, a także konsekwencjach dla dalszych losów państwa będziemy jeszcze wielokrotnie mówić w naszej trylogii, nie należy więc obecnie wyprzedzać faktów.

243

Wróćmy zatem do klęski. Przyczyn jej było wiele. O ustrojowych nie warto już wspominać, bo poświęcono im tony papieru, a i temat niniejszego opracowania nie upoważnia do tego rodzaju rozważań. Wspomnijmy więc o przyczynach bardziej „konkretnych”, bo personalnych. Pod tym względem w owym nieszczęsnym roku 1648 wszystko sprzysięgło się przeciw Rzeczypospolitej. Zmarł król, a ludzie, których

pozostawił i którzy mieli w tym szczególnym momencie kierować nawa państwową, okazali się nieudolni.

To ostatnie stwierdzenie nie odnosi się oczywiście do kanclerza wielkiego koronnego Jerzego Ossolińskiego. Politykiem był on niewątpliwie bardzo kontrowersyjnym, ale jeśli chodzi o rozgrywki personalne, ogromnie skutecznym i w tej materii, moim zdaniem, przerastał nawet słynnego francuskiego kardynała Armanda Richelieu. Richelieu, aby rządzić Francją, musiał sterować tylko jednym człowiekiem - królem Ludwikiem XIII, natomiast Ossoliński w tym samym celu musiał posługiwać się „narodem szlacheckim”, licznym, skłóconym, podejrzliwym i, co najważniejsze, nie cierpiącym swego kanclerza. Owo „posługiwanie się” najczęściej się Ossolińskiemu udawało, a już absolutnym majstersztykiem było wykreowanie na króla nielubianego, nieszanowanego, a raczej wręcz pogardzanego - choć, moim zdaniem, niesłusznie - królewicza Jana Kazimierza.

Niestety, znacznie mniej skuteczny był Ossoliński w przeforsowywaniu programów przebudowy państwa. W tej dziedzinie nie udało mu się, prawdę mówiąc, nic.

Historycy są skłonni usprawiedliwiać nieskuteczność ministra wadami naszego ówczesnego ustroju, np. Paweł Jasienica twierdził, że kanclerz przyćmiłby zupełnie swego francuskiego kolegę, gdyby Rzeczpospolita miała taki ustrój państwowy jak Francja. Ale to nie jest poważne usprawiedliwienie. Ustrój



Rzeczpospolitej był twardą rzeczywistością,  
doskonale wszystkim znana, i dobry  
polityk powinien brać to pod uwagę. Na  
rzeczywistość nie można się obrażać.  
Jeśli uważa się, że jest zła, to należy ją  
zmieniać, ale w tym celu trzeba  
najpierw opracować dobry i skuteczny program. W  
przypadku naszych XVII--  
wiecznych realiów wymagało to cierpliwości,  
elastyczności i konsekwencji, a  
zwłaszcza elastyczności. Polityka była, jest i  
zapewne zawsze będzie grą, w  
której trzeba brać pod uwagę zarówno chęci, jak i  
możliwości, i – tak jak w  
miłości – nic nie wolno w niej robić na siłę, na  
łapu--capu, czyli pośpiesznie i  
byle jak. Jest to sztuka w której cele osiąga się  
244

przy pomocy wyrafinowanych działań, gry pozorów,»  
wania. Richelieu to rozumiał,  
a Ossoliński – niesteh^wodzenia i czaro-potrafił,  
Ossoliński sztuki skutecznego  
działania nie ov' me- Richelieu to nie  
pozostawiające wątpliwości dowody. Wszak  
to onknował i dał temu nierealny plan w chwili,  
gdy nad państwem zawisło  
forsował zupełnie pieczeństwo i on próbował  
reformować i państwo jak śmiertelne  
niebez-jako jego część, wykorzystując do tego celu  
siłę zwyJ^ całość, i Ukrainę  
????, który niby też życzył sobie uregulowania  
wielu saskiego przeciw-i  
ustrojowych (aby „król raczył być samodzierncą”).  
jr^aw i ukraińskich, że gdy  
dwoje mówi to samo, to nigdy nie jest to  
są^miętajmyjednak, zamierzał zrobić  
Ossoliński, należało wykonać co naT10- Wszystko,  
co wcześniej, w zupełnie innej

rzeczywistości. ^ mniej dziesięć lat Henryk Sienkiewicz swą powieść Ogniem i mie<sup>^</sup> stwierdzenia: „Rok 1647 był to dziwny rok, w któryrn<sup>^</sup>ew rozpoczął od niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyc<sup>^</sup> rozmaite znaki na Wiara w to, że z anomalii atmosferycznych lub kosmi<sup>^</sup>Jne wydarzenia", ciągać wnioski dla losów pojedynczych ludzi, a naw<sup>^</sup>2nych można wy-towarzysząca ludzkości od zaraniaajej dziejów, ma swq\* całych narodów, lenników i równie gorących prześmiewców. PrawdJCn gorących zwo-rok 1648 był to czas szczególny i brzemienny w skutkj Jest jednak taka: tej i dla Ukrainy, dla Polaków i dla Kozaków, dla CV<sup>^</sup>a Rzeczpospoli-Ossolińskiego, a także dla długiego szeregu osób „zarnj<sup>^</sup>ielnickiego i dla wydarzenia. Rżanych" w tamte Ale o tym w następnych częściach opowieści i wcv Hach kozackich.

Spis treści

Wstęp.....

.....5

Cisza przed burzą.....

.7

Początek wojny o Ukrainę.....

.....41

Dyplomacja i szabla.....

.....41

Międzynarodowy charakter konfliktu.....

..51

Siły zbrojne przeciwników.....	5
....., ..	
6	
Rzeczpospolita.....	
.....	
.....56	
Armia kozacko- tatarska.....	
.....68	
Tatarzy.....	
.....	
.....72	
Strategia i taktyka stron konfliktu.....	
..75	
Kampania wiosenna 1648 roku.....	
.....85	
Fatalny plan.....	
.....	
.....85	
Żółte Wody.....	
.....	
.....96	
Korsuń.....	
.....	
.....114	
Przygotowania do starcia.....	
.....114	
Bitwa.....	
.....	
.....127	
Wojna czy	

pokój?.....	15
3	
Sejmowa „Komisja Pokoju”.....	186
Kampania jesienna 1648 roku.....	201
Piławce.....	201
Kudak, Lwów i Zamość, czyli dalszy ciąg jesiennej kampanii 1648 roku.....	226
Upadek Kudaku.....	226
Obrona Lwowa.....	228
Obrona Zamościa i odwrót Chmielnickiego.....	238

^\j

w

Druk i oprawa: WDG Drukarnia w Gdyni Sp. z o.o.  
ul. Św. Piotra 12, 81-347 Gdynia  
tel. (58) 660-73-10, tel./fax (58) 621-68-51

\